



MARC ELSBERG



NA CO BYŁOBY CIĘ STAĆ?



W
ab
yd wnic
two

Marc Elsberg

CHCIVOŚĆ
Na co byłoby cię stać?

Przekład Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska



Tłumaczenie książki powstało przy wsparciu finansowym Austrian Federal Chancellery

Tytuł oryginału: *Gier*

Copyright © 2019 Marc Elsberg

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Copyright © for the Polish translation by Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska, MMXIX

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Dzień wagi

Decyzja pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

Decyzja druga

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

Decyzja trzecia

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

Decyzja czwarta

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

Decyzja piąta

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

Decyzja szósta

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

Decyzja siódma

74

75

76

77

78

79

80

81

82

Zapach ziemi

Posłowie i podziękowania

Przypisy

*Dla Almy, Aloisa, Anny, Elisy, Erika, Georga (Georgów), Itty, Kicka, Liny,
Matthiasa, Moritza, Nadine, Noah, Paula, Phillipa, Sebastiana, Theo, Tibbego,
Ursuli, Valerie i wszystkich innych młodych ludzi*

Dzień wagi

Dana otarła pot z czoła. Wsparłszy się na drzewcu kosy, powiodła spojrzeniem po złocistych polach. Powietrze drżało w letnim upale. Ponad rozkołysanym morzem kłosów torsy żniwiarzy pochylały się i obracały w rytm regularnych zamachów błyszczących kling. „To jak taniec”, pomyślała Dana. Powolny, miarowy taniec życia i umierania, nieskończonego krwiobiegu natury. Wraz z każdym zamachem na ziemię osuwała się wiązka kłosów, źdźbła padały jedno na drugie jak fizylierzy. Kosiarze pozostawiali w krajobrazie za sobą przesuwane się schodki, aż wreszcie pod koniec dnia z ziemi sterczały tylko suche szpikulce, niczym resztki zarostu na poranej zmarszczkami twarzy starca. W regularnych odstępach stały jak małe stożki wulkanów wsparte na sobie snopki, wiązki bezcennego zboża, dzięki któremu Dana i jej bliscy mieli przetrwać zimę i doczekać kolejnego roku. Aby następnej wiosny na polu Dany mogła na nowo wykiełkować przyszłość, tak jak działo się to od pokoleń, przez wszystkie lata.

To był dobry rok dla Dany i jej rodziny. Pogoda okazała się łaskawa. Surowa zima wymroziła szkodniki, a zachowała ziarno w ziemi. Ciepła wiosna wywabiła z niej młode pędy, obfity deszcz wczesnego lata dosłownie wypchnął je z tłustej gleby. Oszczędziły je burze, grad i grzyby. A gorące lato i deszcz dały im w odpowiednim czasie ową moc, którą one przekażą potem Danie i innym pod postacią kaszy i chleba, a czasami nawet kawałka ciasta.

W oddali widać było pole Billa. Na nim też odbywał się taniec. Dana zastanawiała się, jak jemu poszło w tym roku.

Nadszedł dzień wagi. Gdy snopki wyschły na polach, Dana i jej bliscy zebrali je i zwieźli do stodoły. Podczas znoej i łamiącej krzyże młócki oddzielili ziarno od plew. Potem tyle ziarna co zawsze schowali w spichrzach jako zapas na zimę i na przyszłoroczny zasiew. Resztę wysypali do worków.

Dana zaprzęła woły do wozu, aby zawieźć worki na targ w mieście. Cieszyła się z wyprawy do miasta i na targ. Ona, a także Ann, Bill, Carl i inni chłopcy ze wsi sprzedadzą plony tym, którzy zaoferują najlepszą cenę. A wieczorem, po powrocie, będą świętować jak co roku.

Przy wagach kupców Bill przywitał ją gromkim śmiechem. Był potężnym mężczyzną o niebieskich oczach i bujnej czarnej czuprynie. Właśnie stawiał swoje worki na szerokiej platformie wagi.

– W tym roku będę miał więcej niż ty – zwrócił się do niej. – Więcej niż wy wszyscy!

Dana wzruszyła ramionami. Nie zależało jej na ściganiu się z Billem. Cieszyła się, jeśli mogła wraz z rodziną w sytości przetrwać zimę i zarobić na zbiorach tyle, aby móc posłać dzieci do szkoły i przeprowadzić niezbędne naprawy w domu. Może nawet starczy na nową krowę.

Kupiec zważył także jej worki.

– To był dla ciebie dobry rok – powiedział z uznaniem do Dany. – Miałaś dużo lepsze żniwa niż Bill.

– Oboje mieliśmy dobry rok – odrzekła. – Bez szkodników, bez suszy, bez powodzi, bez gradu.

Zauważyła, że Bill jest zawiedziony i zły. Już jako dziecko zawsze chciał być najlepszy. Nieustannie porównywał się z innymi, pojedynkował się, nie umiał grać razem, tylko przeciwko, musiał być pierwszy i zawsze zajmować najwyższe miejsce na podium. Uprawiał ziemię równie żyzną jak ziemia Dany, zasiewał ją takim samym ziarnem. Ich pola zajmowały taką samą powierzchnię. Żyli pod tym samym niebem i doświadczali takiej samej pogody. Bill był nie mniej pracowity niż ona i nie gorzej znał się na swoim fachu. W gruncie rzeczy to sympatyczny mężczyzna i na dodatek przystojny. Dana uważała go za dosyć atrakcyjnego, lecz nużyła ją jego wojownicza natura. Zwłaszcza że nad nim górowała.

– To po prostu niemożliwe! – krzyknął. – Harowałem jak wół! Robiłem wszystko, jak trzeba! A jednak to ty masz obfitsze plony! Trzeci rok z rzędu! Jak to wytłumaczyć?

Urażona męska ambicja. Jeszcze by tego brakowało, żeby oskarżył ją o magię.

„Może już czas, aby zdradzić mu tajemnicę”, pomyślała Dana.

Decyzja pierwsza



„W początkach życia część samokopiujących się struktur chemicznych materializuje regułę matematyczną, która działa na ich korzyść”

Will Cantor

1

Ulice płonęły. Gęsty dym kłębił się nad asfaltem. Koktajle Mołotowa niczym spadające meteoryty eksplodowały kulami ognia i czarnym smogiem. Tu i ówdzie przemykały ciemne zjawy, to wyłaniając się z szarej pomroki, to w niej znikając.

– To jest wojna! – krzyknęła Melanie Amado, kuląc się na wszelki wypadek.

Z chmury dymu za jej plecami wyrosła zwarta ściana ludzi. Głowy i ramiona. Banery i transparenty.

– Co tam jest napisane?! – zawołał Ed Silverstein, robiąc zbliżenie na hasła demonstrantów.

„Pohamujcie chciwość!”, „Płaca podstawowa bez żadnych warunków!”, „Nie stać mnie na lobbystów!”, „Wreszcie zgoda! Śmierć kapitalizmowi!”.

Amado ścisnęła mikrofon.

– Po pęknięciu bańki zadłużenia przedsiębiorstw świata grozi taki sam kryzys finansowy jak w dwa tysiące ósmym roku. Setki tysięcy ludzi protestują w tej chwili w Berlinie przeciwko nowym pakietom oszczędnościowym dla ratowania banków i korporacji. Kto spodziewałby się czegoś takiego jeszcze kilka miesięcy temu? Nagle wszędzie mamy Grecję!

Cięcie. Z dymu wynurzyło się czoło innej demonstracji.

– Ogolone głowy! Bomberki! – krzyczał Silverstein do kamery.

Niektórzy wywijali drewnianymi żerdziami albo kijami bejsbolowymi. „Precz z cudzoziemcami!”, „Niemcy najważniejsze!”, „To my jesteśmy narodem!”. Łyse głowy i wściekłe facjaty wypełniły ekran.

Obok obrazów z demonstracji w lustrze łazienkowym lśniły zielone oczy Jeanne. Luksusowe hotele prześcigały się w wymyślaniu niestworzonych rzeczy. Fragment ogromnego lustra był jednocześnie ekranem telewizyjnym. Jeanne pociągnęła tuszem dolne rzęsy.

Amado:

– Podobne sceny docierają do nas z metropolii amerykańskich...

Podczas gdy Jeanne malowała górne rzęsy, w Bloomberg TV połączono się z dwoma rozgorączkowanymi reporterami w Nowym Jorku. Tuż obok twarzy Jeanne policjanci uzbrojeni w pałki biegli przez przetaczające się

fale dymu na Brooklynie. Rozbłyśki bengalskich ogni spowijały tę dziką szarzę demoniczną czerwienią.

– Po tym, gdy członek ruchu Alt-right wjechał samochodem w grupę demonstrantów, powodując śmierć trzech Afroamerykanów, w kilkunastu wielkich miastach USA płoną całe dzielnice!

Jeanne sięgnęła po rozświetlacz, Bloomberg TV zaś po obrazy okrętów wojennych i wystrzeliwanych rakiet balistycznych. Szczerczący zęby azjatyccy politycy spieszyli na narady.

– A nadciąga coś dużo gorszego – mówiła komentatorka. – Marynarka wojenna Chin prowokuje na azjatyckich wodach konflikty ze swoimi sąsiadami. Arabia Saudyjska, Iran i Izrael eskalują działania wojenne na Półwyspie Arabskim. Słysząc pierwsze groźby użycia broni atomowej. Rosja bawi się zapałkami w Europie Wschodniej. Jeszcze nigdy po drugiej wojnie światowej globalna sytuacja nie była tak napięta.

Zakrwawione, oblepione pyłem dzieci w gruzach po ataku bombowym gdzieś na Bliskim Wschodzie. Jeanne pociągnęła szminką usta.

Europejcy i północnoamerykańscy politycy stojący za pulpitem na tle wytapetowanych ścian, siedzący przy stołach konferencyjnych.

– Dlatego od dawna planowane spotkanie ministrów spraw zagranicznych w Berlinie zostało w trybie pilnym uzupełnione o dodatkową agendę i zamieniło się w szczyt kryzysowy, na który zjeżdżają czołowi politycy, przedstawiciele banków centralnych i szefowie korporacji z całego świata.

Jeanne wyprostowała się przed lustrem. Poprawiła fryzurę, wygładziła jedwabną wieczorową suknię uszytą na zamówienie w Sook Dwala Studio w Los Angeles. Mogłaby być modelką.

W lustrze ukazał się Ted Holden. Był tego samego wzrostu co ona, o kilka lat starszy; miał na sobie smoking. Przez ułamek sekundy Jeanne poczuła się zdezorientowana. Czy Ted jest w wiadomościach, czy stoi za jej plecami?

– Jesteś gotowa? – spytał.

Był rzeczywisty.

Skinęła głową, podczas gdy on niemal niezauważalnie powiódł wzrokiem po jej ciele.

– Łączymy się ponownie z Mel i vEdem w Berlinie...

Płomienie trawiły wraki samochodów.

Mimo klimatyzacji smród spalenizny wnikał do wnętrza limuzyny. Mieszał się z zapachem skóry i zatykał Willowi Cantorowi gardło. Przez zamknięte okna do kabiny wdzierał się tępy brzęk rozbijanych butelek, huk eksplozji, pogłos skandujących demonstrantów.

„Czy szyby na pewno wytrzymają uderzenie kostką brukową?”, zastanawiał się Will, zaciskając palce na uchwycie nad drzwiami.

Posuwali się w żółwym tempie. Kilka metrów przed nimi na skraju ulicy płonął samochód.

Kierowca, mocno zbudowany wąsaty mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, zaklął po niemiecku.

Siedzący obok Willa profesor Herbert Thompson trzymał przy uchu telefon w kościstej starczej dłoni.

– Jedziemy przez sam środek piekła – zachrypiał jego zdarty głos. – Porozmawiamy o tym później!

Podobnie jak większość wiekowych ludzi skurczył się w miarę upływu lat – garnitur był za szeroki w ramionach, rękawy wydawały się zbyt obszerne. Na luksusowej skórzanej kanapie sprawiał wrażenie wręcz zagubionego. Ratowała go jedynie energia.

Ze słuchawki docierały strzępy zdań rzucanych przez jego rozmówcę:

– ...najbardziej wpływowi współcześni ekonomiści!... popełniasz naukowe samobójstwo!

– Wręcz przeciwnie – zaskrzeczał Thompson. – To jest moja najważniejsza praca!

Odpowiedź rozplynęła się w zgiełku demonstracji.

– Dzieło życia?! – krzyknął Thompson. – Właśnie je stworzyłem! Te koncepcje mogą wreszcie położyć kres temu szaleństwu. Zapewnić większą sprawiedliwość. Większy dobrobyt dla wszystkich! Kogo jak kogo, ale noblisty na pewno posłuchają.

– ...ciebie... wyśmiej! – gorączkował się tamten w słuchawce.

Thompson zdecydowanym ruchem nacisnął czerwoną słuchawkę i do teczki spoczywającej na jego kolanach wsunął z powrotem notatki do przemówienia.

– Idiota! – rzucił. – Po prostu się boi, że pogonimy kota takim jak on. – Zmrużył oczy. – Co tam jest napisane? – spytał ze wzrokiem utkwionym

w transparencie.

– Stop chciwości! Śmierć kapitalizmowi! – powiedział Will.

– Nie mają zielonego pojęcia, co to kapitalizm, ale oczywiście to on jest wszystkiemu winny – gderał Thompson. Po chwili dodał ubawiony: – No to trafiliśmy do właściwego samochodu. Gdyby ci tam wiedzieli, kto nim jedzie...

Will nie dostrzegał w tym nic zabawnego. Bo gdyby ci na zewnątrz to wiedzieli, kolejny koktajl Mołotowa z całą pewnością wylądowałby na ich lśniącej czarnej limuzynie.

Trwająca rewolta bardzo odpowiadała Thompsonowi. On nigdy nie bał się konfrontacji. Konkurencji. *Survival of the fittest* podstawą wszelkiego sukcesu, wzrostu i dobrostanu. Za niektóre ekonomiczne modele służące realizacji tych celów otrzymał dwanaście lat wcześniej Nagrodę Nobla. Był legendą. Głosem, którego słuchali najważniejsi, najpotężniejsi i najbogatsi tego świata.

Jego komórka znowu zaświeciła. Prychnąwszy, Thompson przyłożył ją do ucha.

– Czego jeszcze chcesz? – warknął. – Chyba wytłumaczyłem ci jasno, że mamy dowód. *Matematyczny dowód!*

Will nastawił uszu.

– ...zachować tę głupotę.

Staruszek spurpurowiał z wściekłości.

– Stoimy u progu zmiany paradygmatu! Wygłoszę swoją mowę i ty mnie przed tym nie powstrzymasz. Nikomu się to nie uda.

Rozłączył się i odłożył telefon.

Kierowca w popłochu zerknął do tyłu. Za nimi włókł się spory sznur aut. Ostatnie z nich pochłonęła nadciągająca fala dymu, w której majaczyły nowe sylwetki ludzi.

Thompson, zbyt sztywny, aby się odwrócić, spytał:

– Co to za jedni?

Will rzucił okiem przez tylną szybę.

– Mają na transparentach „Precz z cudzoziemcami”, „Niemcy najważniejsze”.

Niektórzy unosili ręce w hitlerowskim pozdrowieniu.

– To naziści! – zawołał Will.

Noblista pokręcił głową.

– Trudno się dziwić nowemu nacjonalizmowi. Skoro przez kilkadziesiąt lat wypiera się państwo, wtedy z państwa narodowego pozostaje jedynie ten drugi człon: narodowe. Teraz ciągle się to słyszy. Narodowy. Międzynarodowy...

Jego wywód przerwało uderzenie w tylną szybę. Will skulił się przerażony. Po śliskiej powierzchni zsuwały się odłamki szkła trzymane razem etykietą popularnego piwa.

To nie był koktajl Mołotowa, tylko zwyczajny alkohol.

Thompson też się przygarbił. Zwrócił się do kierowcy:

– Mam do wygłoszenia ważne przemówienie – powiedział. – Które może temu wszystkiemu położyć kres. – Poklepał mężczyznę po ramieniu. – Jak to kiedyś powiedział Churchill? „Jeśli przechodzisz przez piekło, nie zatrzymuj się, idź dalej”. A zatem: niech pan jedzie!

Siedział w pokoju hotelowym przed ekranem laptopa wypełnionym szeregami kodów, gdy na szóstym z ośmiu na pozór staroświeckich telefonów komórkowych z klawiszami, ułożonych w dwóch równych rzędach po lewej stronie komputera, rozbłysła ikonka wiadomości. Ponieważ szczelnie zaciągnął pomarańczowobrazowe zasłony, nie widział wielkiego miasta poniżej. Mogłaby nim być dowolna metropolia świata, ale akurat tak się składało, że to był Singapur.

Otworzył wiadomość i od razu odgadł nadawcę. Jego nazwiska oczywiście nigdy nie poznał; wszechświatowy anonim. Natrafili na siebie na jednej z platform w Darknecie, na których można anonimowo zwerbować specjalistów ze wszystkich dziedzin. W jego przypadku chodziło o hakera.

Wiadomość zawierała tylko jedno słowo: Ikar.

Uruchomił drugiego laptopa; jego palce tańczyły po klawiaturze, kilka sekund później wysłał komendę. Równocześnie na ekranie otworzyło się siedem okien, w których mógł sprawdzić przebieg operacji. Tworzyły folder z dokumentami z różnych programów e-mailowych i serwerów. Od chwili, gdy zleceniodawca skontaktował się z nim przed kilkoma miesiącami, jego programy śledziły wszystkie wersje dokumentów za pośrednictwem serwerów oraz różnych programów do pobierania wiadomości e-mail. Jednocześnie w każdej z nich zainstalowały małe bomby zegarowe, które czekały tylko na jego rozkaz, aby w razie potrzeby usunąć dokumenty.

Rozkaz, który właśnie wydał.

W ciągu paru sekund jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ze wszystkich folderów zniknęły poszczególne dokumenty. Jeszcze raz sprawdził katalogi, a potem zakończył połączenie Remote Control. Okna zniknęły z monitora; zamknął laptopa. W komórce wstukał także tylko jedno słowo: *Done*. Zrobione.

Usunął kartę SIM z telefonu, połamał ją (bezsensowny rytuał, którego mimo wszystko przesądnie przestrzegał), poszedł do łazienki i zwinawszy kawałeczki w papier toaletowy, spuścił je w sedesie. Telefonem cisnął kilka razy o posadzkę, aż w końcu aparat się roztrzaskał. Parę kopniaków wystarczyło, aby rozdeptać większe elementy na tyle, by

ich także móc się pozbyć w klozecie. To równie przesadny środek ostrożności, on jednak – staromodnie – wolał mieć stuprocentową pewność.

Następnie wrócił do biurka i zajął się kodami na drugim ekranie.

Przez przednią szybę range rovera Eldridge patrzył prosto na mercedesa wiozącego Thompsona i Cantora. Tłumy sprzed pałacu musiały chyba zboczyć z wyznaczonych tras, a blokady policyjne, które miały je odgradzać, najwyraźniej były dziurawe jak stary wąż ogrodowy. Właśnie zalewali ich demonstranci wypływający przez jedno z takich pęknięć. Pierwsi wytatuowani łysole, skini i brodaci rockersi zrównali się już z ostatnimi samochodami. Ich Eldridge się nie bał. On i czterej pozostali mężczyźni w aucie byli przyzwyczajeni do czegoś znacznie gorszego.

Siedzący za kierownicą Jack czekał na jego polecenia. Stalowszare bojówki opinały potężne uda, umięśnione ramiona i barki przeżyły się pod szarą koszulą, wąskie szparki w mięsistej twarzy poznaczonej bliznami kryły oczy. Jego czoło niemal dotykało dachu.

Zestaw słuchawkowy w uchu Eldridge'a zasygnalizował połączenie. To mogła być tylko jedna osoba.

– Odbiór.

– Plan Ikar – oznajmił głos w minisłuchawce.

– Powtarzam – powiedział Eldridge. – Plan Ikar.

– Potwierdzone.

Dzwoniący zakończył połączenie.

Eldridge, dla członków swojej ekipy El, musnął palcem tablet, który trzymał na kolanach. Na ekranie ukazał się przekrój samochodu widziany z góry: kabina, siedzenia, deska rozdzielcza, silnik...

System napędowy i system sterowania – silnik, kierownica, skrzynia biegów, pedały – świeciły się na niebiesko. Powyżej silnika prędkościomierz pokazywał dwa kilometry na godzinę. W prawym górnym rogu ekranu czerwone pole „Enter”.

Kliknięcie.

„Enter” zmieniło kolor z czerwonego na zielony.

El ponownie przytknął czubek dużego, szorstkiego palca wskazującego do ekranu. Dokładnie do niebieskiego pedału gazu w przekroju auta. Podniósł wzrok na tylną szybę limuzyny, po której zsuwały się resztki rozbitej butelki po piwie, i zaczął delikatnie zwiększać nacisk.

Nagle przyspieszenie wcisnęło Willa w kanapę. Mercedes jechał prosto na ludzi. Wśród demonstrantów podniósł się krzyk. Niektórzy raptownymi skokami w bok ratowali się przed rozpędzonym autem, inni z furją wymachiwali pięściami.

– Uważaj, człowieku! – zachrypiał Thompson. – Powiedziałem tylko: jechać przez piekło! A nie: wykończyć ich!

– Coś tu nie tak! – krzyknął kierowca łamaną angielszczyzną.

Will usłyszał w jego głosie niedowierzenie.

– Co się dzieje?

– Auto... ono jedzie samo!

Kierowca gwałtownymi ruchami naciskał pedały, walił w klakson. Wóz pruł jak taran przez dym oraz umykające przed nim cienie i wciąż nabierał prędkości.

– Hamulce nie działają! – Mężczyzna spróbował szarpnięciem przełączyć biegi. – Biegi też! Nic!

Cofnął ręce z kierownicy.

– Widzi pan?

– Niech pan nie puszcza kierownicy! – rozkazał Thompson.

Kierowca zastosował się do polecenia.

Will widział za szybą szeroko otwarte oczy, wrzeszczące usta.

Jakiś transparent pacnął na prawą połowę przedniej szyby i ją zasłonił. Po chwili zerwał go pęd powietrza.

Kierowca na próżno kręcił kierownicą.

– Rany boskie... – wyjąkał Will. – Ktoś włamał się do samochodowego komputera!

Drżącymi rękami wygrzebał komórkę z kieszeni marynarki. Mimo nerwowego uderzania w wyświetlacz jego powierzchnia pozostała czarna.

Na ulicy gęśniał dym. Ludzie pierzchali przed nimi we wszystkie strony. Kupie metalu rozpędzonej do co najmniej czterdziestu kilometrów na godzinę nie mogli przeciwstawić niczego poza własnym ciałem, własnymi kośćmi i własną skórą. Własnym życiem.

– Ma pan telefon? – Will spytał kierowcę.

– Proszę.

Podczas gdy tamten nadal bezradnie szarpał kierownicą i dźwignią biegów, Will próbował uruchomić jego komórkę. Ale ona też nie reagowała. Zerknął na Thompsona, który z głową wciśniętą w ramiona siedział skulony na kanapie i kurczowo obejmował aktówkę. Trupio błądy śledził zabiegi Willa.

Limuzyna jeszcze przyspieszyła, droga pustoszała, ani jednego demonstranta, żadnego ruchu. Will aż zamrugał, bo nie mógł uwierzyć własnym oczom. Jechali całkiem normalną ulicą. Odwrócił się za siebie. W pewnej odległości z tyłu sceneria nadal przypominała ziemię po przejściu kataklizmu. Stworzoną przez nich „przesieką” mknął tylko ciemny SUV.

Przejechali skrzyżowanie i za znakiem zakazu wjazdu odbili w kilkupasmową ulicę. Will dostrzegł w oddali Kolumnę Zwycięstwa. Wjeżdżali do Tiergarten.

– Pański telefon! – zażądał Will, wyciągając otwartą dłoń do Thompsona.

Przeszukiwanie kieszeni zajęło nobliście całą wieczność. Jechali szeroką, pustą ulicą przez park.

– Dlaczego tu nikogo nie ma?! – zawołał Will.

– Zamknięte, bo jutro tu będą demonstracje – wyjaśnił kierowca. Czoło pokrywał mu pot.

Kiedy w końcu Will wziął do ręki komórkę Thompsona, okazało się, że jest martwa jak pozostałe. Zdenerwowany rzucił ją na kanapę.

– Ktoś próbuje nas porwać! – krzyknął. – Musimy jakoś zwrócić na siebie uwagę!

– Ale jak?! – wrzasnął mężczyzna za kierownicą. – Tu nikogo nie ma! Kurde!

Samochód cisnęło na lewo. Z piskiem opon odbili w prawo. Zbyt gwałtownie! Prosto na park. Przednie koło trafiło w krawężnik. Auto uniosło się po stronie pasażera i niemal stanęło dęba, a potem, obracając się wokół własnej osi, zaczęło wirować w kierunku drzew.

Jan zobaczył najpierw wielki cień. Potem wirująca tona metalu wypadła z ulicy i przecięła ścieżkę rowerową. Instynktownie schował głowę w ramiona. Samochód mignął obok niego. Zahaczył o pień drzewa, wleciał na drugie, odbił się. Niewiele brakowało, a Jan straciłby kontrolę nad rowerem. Gwałtowne hamowanie.

Auto leżało na dachu wśród drzew siedem, osiem metrów dalej. Z podwozia w okolicy przednich kół wydobywał się dym.

Jan cisnął rower na ziemię. Był to jeden z tych momentów, kiedy się nie myśli. Ciało napięło się jak cięciwa. Puścił się pędem przed siebie. Znalazł komórkę w przedniej kieszeni dzinsów. Numer alarmowy. Dopadł do sterty zgniecionej blachy.

Ciemna luksusowa limuzyna. Morze odłamków szkła. Fotel kierowcy był najbliżej. W tej części dach najlepiej wytrzymał twarde lądowanie. Z siedzenia zwisał bez ruchu starszy mężczyzna. Ciemny garnitur. Wąsy. Dookoła niego sflaczała poduszka powietrzna. Ktoś odezwał się w komórce.

– Mówi Jan Wutte – powiedział chłopak. – Poważny wypadek samochodowy w Tiergarten, między Kolumną Zwycięstwa a Bramą Brandenburską.

Schował telefon. „Jesteś pielęgniarzem. Znasz się na ludzkim ciele”. Dotknął szyi mężczyzny. Nie wyczuł pulsu. Szarpnął klamkę drzwi. Nic z tego. Za kierowcą leżał starszy mężczyzna, też w ciemnym garniturze, głową do przodu, dziwnie wygięty pośrodku dachu. Nie był przypięty pasami. Zalany krwią. Jedna ręka wystawała przez okno. Jan nie wyczuł pulsu. Obok niego zwisał z odwróconej do góry nogami kanapy inny człowiek, przytrzymywany pasami. Dostyc młody mężczyzna. Poruszał ustami. Jan obiegnął auto dookoła. Spróbował wcisnąć głowę przez wąską szparę, która wcześniej była oknem.

– Jak się pan czuje?! – wrzasnął. – Pomoc już jedzie!

Zamknięte oczy, szept. Nie sposób czegokolwiek odczytać z odwróconej twarzy. Mimika na opak.

– Coś pana boli?

Obok głowy mężczyzny leżała na dachu otwarta aktówka. Z wnętrza wystawały pojedyncze kartki. Tuż obok komórka i jakieś szpargały.

Szept był zbyt cichy. Jan spróbował przysunąć się jeszcze bliżej do poruszających się ust. Usiłował uspokoić mężczyznę. Powieki rannego trzepotały. W końcu zobaczył Jana. Dolnym – teraz górnym – skrajem oczu.

– ...elemen... – wystękał – ...szan... dall...

Elementy? Chantal? Bez sensu.

– *Sorry...* ja pana nie rozumiem. Ale proszę się nie denerwować. Pomoc jest już w drodze.

Mężczyzna chyba go nie słyszał.

– Fitzroi pil... a... gold... bar...

– Fitzroi co?

Jan niewiele mógł zrobić. Nawet gdyby udało mu się odpiąć pas, ciało rannego upadłoby na dach i być może doznałoby jeszcze poważniejszych obrażeń.

– Fitz... roi pil – wyrzeźił. – Szan... dall... e...

– Chantal E? To jest nazwisko? – Kątem oka Jan zerknął na pozostałych. Żadnego znaku życia. – Fitzroi – czy to też nazwisko albo imię? – Nigdy takiego nie słyszał.

Mężczyzna opuścił powieki. Czy to oznaczało potwierdzenie? Szepnął:

– Golden... bar...

Jack zatrzymał range rovera kilka metrów za miejscem wypadku. Krawężnik zadziałał dosłownie jak katapulta. Eldridge i Sam wyskoczyli z auta i patrzyli na wrak mercedesa pod drzewami. Na ścieżce wzdłuż zamkniętej ulicy nie było o tej porze żywej duszy. Leżał tylko rower. Po chwili El zobaczył mężczyznę. A dokładnie jego tyłek wystający z okna po stronie pasażera.

– Szybko! – zawołał do reszty. – Musimy tam iść! Jack, wyprowadź samochód poza strefę zakazu ruchu!

Rob i Bell też wysiedli z SUV-a. Wysportowani supermeni jak El i Sam, w ciemnych dżinsach i kurtkach.

Chłopak przy limuzynie cofnął tułów z kabiny i zaczął szarpać drzwi. Szczupły, wysoki młodzik, ciemne bujne włosy ostrzyżone na undercut, ciemna bluza z kapturem, sprane dżinsy. Omal się nie przewrócił, kiedy drzwi się odklinowały i otworzyły. Ponownie wsunął głowę i ramiona do środka, coś majstrował. Po chwili się wynurzył. Już prawie przy nim byli. W następnej sekundzie ich zauważył.

– Chwała Bogu! – zawołał. – Chociaż jeden żyje! Może mówić! Trzeba go wyciągnąć! – Samarytanin wskazał na kłęby dymu wydobywające się spod maski. – Zanim wszystko wyleci w powietrze!

„To *nie* wyleci w powietrze”. A przynajmniej nie samo z siebie.

Czterej faceci, którzy podbiegli do Jana i wraku, byli jak z jednostki specjalnej SWAT. Rośli, wysportowani, w ciemnych strojach sportowych. Precyzyjne ruchy. Tym lepiej. Przyda się kilka par silnych ramion.

Nowi pomocnicy od razu się rozdzielili. Dwaj przeszli na drugą stronę, gdzie tkwili nieżywi. Dwaj zostali przy Janie. Tylko dlaczego w letni wieczór noszą rękawiczki? Pochylili się ku niemu, zajrzeli do samochodu.

– Co się stało? – spytał jeden.

Miał brodę jak kowadło. Jan nie potrafił rozpoznać akcentu. Amerykanin? W prawym uchu tkwiła mała słuchawka.

– Jeszcze przed sekundą coś mówił – wyjaśnił Jan. – Może wspólnie uda nam się go wyciągnąć.

Ten z potężnym podbródkiem chwycił Jana za kark i grzotnął jego głową o karoserię. Chłopakowi zrobiło się czarno przed oczami, zamroczony upadł na bok, czaszka rąbnęła o ziemię. „Co...?”

Wszystko wirowało, mózg pulsował. Oczy napęły się łzami. Facet wepchnął swój potężny tułów do limuzyny. Po drugiej stronie, za przednim kołem, jeden z mężczyzn majstrował coś w miejscu, z którego wydobywał się dym. Jan usiłował jakoś się pozbierać i wstać. Nic z tego. Ktoś wydawał krótkie polecenia w obcym języku. Po angielsku. Inny grzebał w kabinie. Po stronie Jana jeszcze jeden manipulował przy tylnej części karoserii. Przy korku wlewu paliwa. Otworzył go! Wylała się benzyna. W oddali rozległy się syreny. Jan znowu spróbował się dźwignąć.

Ten z podbródkiem jak kowadło wynurzył się z samochodu; trzymał aktówkę. Odwrócił się do chłopaka, chwycił go za kostkę i zaczął ciągnąć do kałuży benzyny. Jan usiłował się wyrwać, ale typ oprócz brody jak kowadło miał chwyt imadła. Jan wił się desperacko. Przez przypadek zdołał capnąć jakiś kawałek blachy, spiczasty i ostry. Z furią wbił go w dłoń oplatającą mu kostkę. Facet kwiknął i go puścił. Jan zerwał się na nogi. Benzyna rozlewała się dookoła auta. Ten od korka wlewu zakręcił go z powrotem. Dwaj stojący po drugiej stronie odsunęli się od wraku. Ten z kowadłem wpatrywał się z furią w dziurę w swojej rękawiczce,

z której kapąła krew. Jan usłyszał syknięcie zapalniczki. Sierpowy cios dostrzegł już tylko kątem oka. Kiedy benzyna buchnęła płomieniem, w ostatniej sekundzie zdążył rzucić się w bok. Fala gorąca wywołana eksplozją dodała mu skrzydeł – rzucił się do ucieczki.

Płomienie skwierczały za nim, odwrócił się. Dwa pędzące cienie supermenów na tle kuli ognia. Jeszcze nigdy w życiu tak szybko nie przebierał nogami. Słyszał ciężkie kroki swoich prześladowców, potem syreny. Ale najgłośniejsze było jego dyszenie. Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu głowa.

„W samochodzie byli ludzie! Jeden jeszcze żył! Oni go po prostu spalili!”

Naprzeciw niego, w przytłumionym świetle, biegli dwaj mężczyźni. Od strony Kolumny Zwycięstwa. W ciemnych spodniach i ciemnych koszulach. „Czy oni są z tamtymi?”

Jeden gmerał przy pasku spodni. Broń? Jan obejrzał się za siebie. Ogień. Nikt go nie gonił. A tamci wciąż pędzili w jego stronę.

– Stać! Policja! Dokąd panu tak spieszą?!

Jego oddech był szybszy od pulsu. Przez płomienie i gęsty dym chłopak zobaczył teraz obok miejsca wypadku migające niebieskie światła. Kilka karetek. Ciemne typy zniknęły. W płonąjącym wraku coś eksplodowało, wyrzucając iskry w ciemną noc. Najbliższe drzewa zajęły się ogniem. Było już za późno na jakąkolwiek pomoc. Na myśl o trzech mężczyznach we wraku Janowi ścisnął się żołądek. Fala mdłości dotarła do czubków palców u rąk i nóg, do nasady włosów, do lędźwi, przeszła ciało porażającym skurczem.

– Dlaczego pan ucieka? – spytał ostro jeden z mundurowych.

„Nigdy mi nie uwierzcie!”

Jan nie wykrztusił ani słowa.

– Idziemy!

Huk śmigła w głowie Jeanne, jedwab na skórze, wibracje helikoptera w jej ciele. Obok niej po lewej siedział Ted, po prawej – szef jego ochrony, Mitch McConnell. Po drugiej stronie Teda zajął miejsce główny lobbysta George Lamack, a naprzeciw nich sekretarz skarbu USA w smokingu i jego żona w sukni wieczorowej, w towarzystwie dwóch agentów ochrony.

Sekretarz gestykulował zdenerwowany.

– ...znowu?!

Mimo wygłuszenia kabiny musieli mówić bardzo głośno.

– Wiem to z pewnego źródła! – powiedział Ted. – General Motors nie jest już w stanie obsługiwać części swoich długów. A BLA stoi u progu bankructwa.

– Ten chiński holding mieszany? – spytał z niedowierzaniem George Lamack.

– Właśnie ten. – Ted zmierzył sekretarza wzrokiem. – Chyba zdajesz sobie sprawę, co to znaczy. – Chyba jednak nie. – Skoro istnieją wątpliwości co do wypłacalności GM, następni będą Volkswagen i inni producenci samochodów, a w ciągu kilku godzin wszystkie firmy, które w ostatnich latach zbyt łatwo nadmiernie się zadłużyły, aby sfinansować przesadnie drogie przejęcia albo wywindować kursy swoich akcji przez odkupienia. Czyli może być ich całe mnóstwo! To miliony miejsc pracy w nie wiadomo ilu krajach!

Ted wiedział, jak należy rozmawiać z politykami.

– Wow! – krzyknął George, zwróciwszy twarz w stronę okna. – Co to takiego?

Pod nimi falowały światła wieczornego Berlina. Jasno oświetlony pałac Charlottenburg, po jednej stronie ciemny park, po drugiej pajęczyna roziskrzonych ulic.

– Demonstranci? – spytał sekretarz skarbu.

– Sześćset tysięcy, jak twierdzą organizatorzy – wyjaśnił Mitch. – Według policji czterysta tysięcy.

– I my mamy tam wylądować?! – wykrzyknął George, wyraźnie zaniepokojony.

– A co tam tak świeci? – spytała żona sekretarza.

– To wyświetlacze telefonów komórkowych – wyjaśniła Jeanne. – Współczesna wersja łańcucha światła.

– Jak na popowym koncercie?

– Demonstracje to od zawsze swego rodzaju party.

Na placu przed pałacem morze światła zlało się w jeden wielki obraz.

W okrągły złocisty tort!

W jego dolnej części odkrojono wąski kawałek. Widoczne na nim cyfry – 99% – nie oznaczały jednak rocznicy urodzin. A na pozostałym dużym kawałku u góry widniało: 1%.

– Zmyślna inscenizacja – powiedziała Jeanne, zerkając na Teda. – Przeważająca większość dostaje tylko mały kawałek tortu.

– Niedługo nie dostaną w ogóle nic – odparł Ted. – BLA rzuci na rynek swoje zagraniczne akcje. Kursy spadną, a ich pożyczki i akcje znajdą się pod dodatkową presją. Kolejne chińskie koncerny zrobią to samo i również pozbędą się udziałów na Zachodzie. Firmom zabraknie inwestorów, splajtują i wyrzucą wszystkich na bruk.

Linie cięcia w torcie zaczęły się niczym szalone wskazówki zegara obracać po obu stronach do góry, aż w końcu po lewej i po prawej odgraniczyły skrawek z widocznym 1%.

Poniżej tortu migotał napis w zmieniających się językach.

„We want our share!”

„Chcemy naszej części!”

„Nous...”

– Te obrazy obiegają cały świat – mruknęła Jeanne, podczas gdy helikopter powoli opuszczał się coraz niżej.

Śmigłowiec wylądował na trawniku za pałacem w wytyczonym kręgu światła. Specjalnie oddelegowani pracownicy w liberiach chronili fryzury dam, osłaniając je parasolami przed wirem powietrza. Elektryczne pochodnie wskazywały gościom drogę do malowniczo oświetlonych barokowych łuków oranżerii. Przed nią i w jej wnętrzu Jeanne dostrzegła z daleka eleganckie smokingi i wieczorowe kreacje. Hałas i wiatr wywołane obrotami śmigła słabły w miarę oddalania się od maszyny. Dały się słyszeć pierwsze takty muzyki klasycznej. Bach, o ile Jeanne dobrze rozpoznawała. Znowu można było swobodnie rozmawiać.

– Jeśli sprawa GM i BLA wypłynie – powiedział cicho Ted – jutro rano na światowym rynku kredytów korporacyjnych nastąpi ostateczna zapaść.

I w konsekwencji na rynku CLO.

„Collateralized Loan Obligations – pomyślała Jeanne – to równie nieprzejrzyste motory napędowe inwestycji jak w 2008 roku CDO-sy, obligacje zabezpieczone długiem, które podczas kryzysu subprime o mały włos nie pociągnęły gospodarki światowej w przepaść. Słynny miliarder inwestycyjny Warren Buffett nazwał takie aktywa bronią masowego rażenia”.

– To samo stanie się z rynkami akcji – kontynuował Ted. – I w rezultacie prawie ze wszystkimi dużymi bankami, firmami ubezpieczeniowymi, administratorami nieruchomości, parabankami...

– Kto jeszcze o tym wie? – spytał sekretarz stanu.

„Dlaczego on nie dowiedział się przed Tedem?”, zastanawiała się Jeanne.

– Z pewnością parę osób stąd – odpowiedział Ted, obejmując wzrokiem otoczenie. – Im mniej, tym lepiej.

Obok nich pojawili się inni goście zmierzający na przyjęcie w oranżerii. Słabnący huk helikoptera zastępowała coraz silniejsza wrzawa demonstrantów szalejących w pewnym oddaleniu od pełnych przepychu sal, za policyjnymi barykadami. Jeanne musnęła wzrokiem powitalne banery w kilkunastu językach oraz małe tablice informacyjne, na których anonowano mówców dzisiejszego wieczoru.

Herbert Thompson, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie nauk ekonomicznych 2007

Ofalu Nkebi, sekretarz generalny ONZ

Leymah Gbowee, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla 2011

Thompson miał siedzieć przy ich stole. Nuda. Stary człowiek od pięćdziesięciu lat głoszący te same koncepcje. Był znany tylko dlatego, że zdążył za nie dostać Nagrodę Nobla.

Dotarli do oranżerii i pozostałych gości. Począwszy od negocjacji w sprawie porozumienia klimatycznego na konferencji paryskiej w 2015 roku, międzynarodowa wspólnota otworzyła nowy rozdział w sprawach o globalnym znaczeniu. Włączała do rozmów już nie tylko polityków i dyplomatów, ale również przedstawicieli organizacji pozarządowych, przemysłu i innych interesariuszy. Na ile taki wybór jest reprezentatywny dla światowej społeczności, pozostaje kwestią dyskusyjną.

Goście paradowali dumnie i przystawali raz po raz; tu całus, tam uścisk dłoni, tutaj fotka, pojedynczo bądź w grupie. Panowie w ciemnych garniturach, smokingach lub tradycyjnych paradnych strojach narodowych, panie w wieczorowych kreacjach i drogocennej biżuterii. Jedynie nieliczne grupki gości poszeptywały z z troskaniem.

Zauważywszy ich, kilka osób podeszło bliżej. Jeanne rozpoznała szefa dużego francuskiego banku, niemieckiego ministra gospodarki i siwowłosego miliardera i inwestora giełdowego Kempa Gellunda.

– Słyszeliście już? – spytał ten ostatni.

Flashback. Charakterystyczny ton. W 2008 roku Jeanne zetknęła się z nim po raz pierwszy. Kryzys finansowy przeżyła w Nowym Jorku jako stażystka jednego z banków inwestycyjnych. Dni pełne napięcia, ostatecznie zakończone wybuchem paniki. Wśród ludzi, o których sądziła, że nie mają się czego bać, ponieważ zarabiali dziesiątki milionów, a jeszcze więcej odłożyli. A tymczasem ulegli przerażeniu, które nie dawało się ukryć pod zadbaną fasadą. Było w ich głosie, w oczach, w każdym ruchu.

– Nie wolno wam do tego dopuścić – zwrócił się Gellund do polityków.

– Musicie coś zrobić, żeby ta wiadomość się nie rozeszła.

– Jeśli to prawda, pomoc państwa powinna być większa niż w dwa tysiące ósmym – powiedział dyrektor banku z poblądłą twarzą.

– Na coś takiego dzisiaj nie stać już żadnego państwa – odparł Ted.

– Otóż to! – wtrącił Gellund. – Dlatego dojdzie też do zapaści w kredytach państwowych. – Jego głos stał się szorstki. – Kraje rozwijające się są już na dnie. Wróci kryzys na rynku kredytów państwowych. I to ze zdwojoną siłą.

– Boże – jęknął niemiecki minister. – Włochy i tak chcą wyjść ze strefy euro!

– W tej sytuacji tak czy inaczej je to czeka – powiedział Ted. – Podobnie jak Hiszpanię, Grecję i być może inne kraje.

– Z powodu wciąż niskich stóp procentowych bankom emisyjnym też brakuje skutecznych instrumentów – dodał niemiecki minister.

Narastał zgiewk głosów.

– Euro i Unia eksplodują.

– Wielu się ucieszy.

– Chyba nie zdają sobie sprawy z konsekwencji.

– To tylko potęguje cały dramat.

– W porównaniu z tym, co może się zdarzyć, dwa tysiące ósmy to była bułka z masłem.

– Równia pochyła prowadząca prosto do piekła!

– Ci na zewnątrz na pewno sięgną po widły...

– Musicie niezwłocznie porozmawiać z pozostałymi!

– Po pierwsze z Chińczykami. Rynki w Azji otwierają się za kilka godzin.

Ted pochylił się ku Jeanne i szepnął jej do ucha:

– Uważaj! Dzisiejszej nocy niektórzy zbiją fortuny!

Strażacy w ciężkich strojach ochronnych dokonywali oględzin tłącego się szkieletu samochodu i zwęglonych ciał pasażerów. Koledzy Jörna Schesty odgradzali miejsce zdarzenia trzepoczącą taśmą, za którą tłoczyło się kilkudziesięciu gapiów.

Nieco dalej z przodu lekarz z ambulansu zamykał walizeczkę. Za plecami Jörna żądni sensacji ludzie wyciągali w górę telefony komórkowe. Jak na koncercie jakiejś gwiazdy pop. „Bydlaki!”.

Na ulicy stała kolumna dwunastu pojazdów różnych służb: dwa wozy gaśniczo-ratownicze, jeden mały samochód strażacki, trzy karetki pogotowia i samochody policyjne w najrozmaitszych odmianach.

– Jeszcze tego nam dziś było trzeba, co? – zwrócił się Jörn do szefa zastępu strażaków, którego pokryta sadzą twarz była równie czarna jak bujne wąsy.

Facet przypominał mu postać z ulubionej gry wideo z czasów przedszkolnych. Od razu wydał mu się sympatyczny. Tylko zamiast niebieskich spodni na szelkach miał na sobie gruby czerwony kombinezon.

– Jakbyśmy mieli mało roboty – dokończył Jörn.

Strażak Mario zsunął hełm na tył głowy.

– Zawsze się gdzieś pali – zauważył lakonicznie.

– Byliście już wzywani do demonstrantów? – spytał Jörn. Próbował stworzyć poczucie wspólnoty wśród służb ratowniczych.

Szef strażaków potaknął.

– Ale na razie nic strasznego się nie działo – powiedział.

Jörn spojrzał ponad jego ramieniem na wrak. Paskudna sprawa.

– Jakiś pomysł, co tu się stało?

– Wygląda na klasykę. Kierowca stracił panowanie, rąbnął w drzewo i już.

W stercie powyginanej blachy pokrytej resztkami brudnej piany Jörn prawie nie widział zwłok.

– Zginęli na miejscu?

– To ustalą patolodzy.

– Przecież to było supernowoczesne auto. Chyba nie powinno się tak łatwo spalić?

Mario wzruszył ramionami.

– Niby nie. Ale przefrunęło parę ładnych metrów w powietrzu. Musiało całkiem niezłe pędzić jak na miejskie warunki. Wtedy wyzwalają się różne siły. I mogą rozsadzić bak. Wystarczy, że przy zderzeniu metalu karoserii z ziemią powstanie kilka iskier, i... buuum! Może się tak zdarzyć, jak ktoś ma pecha. – Odwrócił się w stronę wraku. Przyglądał mu się z nabożeństwem, niemal jak dziełu sztuki. – Ale z drugiej strony... Gdyby doszło do eksplozji zaraz po upadku, spalona powierzchnia wyglądałaby inaczej. Byłaby bardziej nieregularna. Chyba że...

Jörn powściągnął ciekawość i milczał. Chciał, aby strażak dalej myślał na głos, zastanawiał się, wyciągał wnioski.

– ...chyba że auto jeszcze chwilę leżało, benzyna sączyła się z baku i dopiero po chwili wszystko wyleciało w powietrze. A to... – Zrobił kilka kroków w bok i wskazał na odłamki szkła. – Te kawałki nie pochodzą z szyby samochodu. Tylko z rozbitej butelki.

– Ma pan na myśli koktajl Mołotowa?

– Czy w momencie wypadku odbywały się w pobliżu jakieś demonstracje?

– Kilkaset metrów dalej – powiedział Jörn.

– Czyli to są po prostu śmieci, które ktoś tu wcześniej wyrzucił.

– Ale pod wpływem czego mogłoby dojść do zapalenia się benzyny, jeśli nie byłoby iskier od karoserii? Gdyby samochód spokojnie leżał?

Spojrzenie Schesty powędrowało ku rzekomemu świadkowi, który opowiadał swoją wersję jego kolegom.

– Ustalimy – odparł strażak.

– Kiedy?

– Dzisiaj? Jutro? Za tydzień? Jak sam pan powiedział, pewnie powinniśmy być gdzie indziej.

– Zawsze tak jest.

– To prawda.

Jörn usłyszał za sobą czyjeś pospieszne kroki. W jego stronę zmierzali dwaj policjanci. Jeden miał w ręce komórkę z jasnym wyświetlaczem.

– Zidentyfikowano numery rejestracyjne – poinformował.

– Na razie. – Jörn pożegnał szefa strażaków i odwrócił się do kolegów.

– To samochód z wypożyczalni limuzyn – kontynuował funkcjonariusz.

– Został wynajęty na dzisiejszy wieczór dla uczestnika szczytu.

Wszyscy jęknęli.

- Miejmy nadzieję, że to żadna gruba ryba – bąknął Jörn.
 - Niejaki Herbert Thompson – wyjaśnił policjant. – Noblista z ekonomii.
- „Szlag by to trafił!”.

Jack odjechał nieco dalej roverem i czekał w jednej z bocznych ulic w okolicy Bramy Brandenburskiej. El i Sam trzymali się z tyłu, uważając, aby przypadkiem nie dostać się w obiektyw komórki któregoś z gapiów. Na wszelki wypadek naciągnęli czapki z daszkiem głęboko na czoło.

Ela interesował wyłącznie samarytanin. Chłopak podniósł rower i postawił go przy sobie, oparłszy na nóżce. Od kilku minut rozmawiał z dwoma policjantami. Gestykulował, pokazywał. Wyjątkowo sugestywnie. Jego ramię właśnie zatoczyło w powietrzu łuk od ulicy w kierunku drzew. „Tak wysoko poszybowało to auto!” – El miał wrażenie, że słyszy każde jego słowo. Pewnie zaraz opowie, jak próbował pomóc. I jak pojawiły się jakieś ciemne typy, które chciały dobrać mu się do skóry i podpaliły samochód. Policjanci kiwali głowami. Ich twarze jasno wyrażały to, czego samarytanin w zdenerwowaniu przypuszczalnie w ogóle nie dostrzegał. Powątpiewanie. Zmarszczone czoła. I bardzo dobrze.

– Teczka? – spytał El.

Bell wciąż miał ją przy sobie, jakby była jego własnością. Tyle że pod napakowanym ramieniem niemal dwumetrowego osiłka aktówka wyglądała jak zabawka. Ranę na dłoni prowizorycznie opatrzył dwoma plastrami.

Bell otworzył teczkę, a El zaczął w niej grzebać. Znalazł chudy portfel, dwa długopisy, kartę magnetyczną z hotelu Thompsona, notes. Szybko go przewertował. Puste kartki. Tekturowa teczka z pojedynczymi arkuszami papieru w formacie A5. Cienki karton, jak się okazało. Na pierwszym arkuszu widniało po angielsku: „Szanowne Panie i Szanowni Panowie, Ekszelencje...”, dalej wymienione tytuły – powitanie. Standard. El przejrzał jeszcze kilka kartek. Tak. Szybki rzut oka na samarytanina. Nadal rozmawiał z policjantami. Powrót do teczki. Gruby plik zbindowanych kartek A4, na okładce tytuł. *Wealth Economics. By Herbert Thompson and Will Cantor*. Pendrive. Kto dziś jeszcze używa czegoś takiego? Luźna kartka A4 gęsto zapisana mikroskopijnymi koślawymi literami, których El nie był w stanie odszyfrować.

Zerknąwszy znowu na samarytanina, wyciągnął rękę w kierunku Bella, jak chirurg w czasie operacji.

– Koperta.

Bell podał mu przygotowaną kopertę.

El wpakował do niej tekturową teczkę z kartonikami, gruby zbindowany plik, zabazgraną kartkę i pendrive'a. Oderwał pasek papieru osłaniający klej i zamknął kopertę. Przekazał ją Samowi.

– Wiesz, co masz zrobić.

Sam odszedł.

– Zadzwoń do Z-D – rzucił El do słuchawki. Ponownie zwrócił oczy na samarytanina.

Po drugiej stronie odezwał się głos zleceniodawcy. W tle słychać było gwar licznego zgromadzenia.

– Osoby docelowe deaktywowane – zameldował. – Pakiet w drodze.

– Wszystko poszło gładko?

– Prawie. Jeszcze jeden drobiazg do załatwienia.

– Mam się martwić?

– Nie.

El zakończył rozmowę i znowu skupił się na scenie z policjantami. Zdaje się, że o coś pytali samarytanina.

Pewnie chcieli wiedzieć, jak wyglądali tamci mężczyźni. Wymowne gesty w odpowiedzi. Dłoń chłopaka uniesiona poziomo jakieś dwadzieścia centymetrów nad jego głową. „Takiego wzrostu”. Łokcie w bok, ręce ugięte jak u goryla – „napakowani, muskularni”. Policjanci skwapliwie notowali. Wymieniali spojrzenia. Zadawali pytania. Samarytanin rozejrzał się, wskazał w kierunku, w którym uciekał. Wzruszył ramionami. „Nie mam pojęcia, gdzie się podzieli”.

„Jesteśmy tutaj. Bliżej, niżbyś chciał. Całkiem blisko. Mamy cię na oku”.

Straż pożarna za Janem wydostawała z limuzyny troje zwęglonych zwłok. Woń ozonu dobywająca się ze spawarki mieszała się z odorem spalonego ciała i lekkim fetorem śmieci zalegających w lesie. Wokół latarni ulicznych unosiły się chmury owadów. Jan nie miał odwagi popatrzeć za siebie.

Ostre światło reflektorów oblewało całą tę scenerię niestosownym blaskiem. Między uniformami strażaków prawie nie było widać

zwęglonego wraku. Jan poczuł, że znowu wzbierają w nim mdłości. Mimo to nie potrafił oderwać wzroku od groteskowych czarnych postaci.

– Jan Wutte?

Policjant był wysoki i szczupły – jeden z tych, którzy budują sobie muskulaturę, albo przynajmniej próbują się jej dorobić, w klubie bokserskim. Z nim jeszcze pięciu. W tym dwaj, którzy go zatrzymali.

– Jörn Schesta – przedstawił się ten nowy. Wyglądał na szefa grupy. Zmierzył Jana spojrzeniem spod przymrużonych powiek. Opuścił wzrok na swoją komórkę.

– Osiemnaście lat, kształci się na pielęgniarza, od czternastego roku życia wielokrotne zakłócanie porządku publicznego...

– Trochę się imprezowało...

– ...wielokrotne spożywanie nielegalnych środków odurzających...

– O rany, parę dżointów...

– Podejrzanie o uszkodzenie ciała...

– Nieprawda, wręcz przeciwnie – obruszył się Jan. – Wcale nie brałem udziału w tamtej bójce w knajpie. To ja oberwałem jednym z krzesel, które fruwały w powietrzu! Świadcowie to potwierdzili! Dlaczego tego nie skasowano?

– ...a teraz trzy trupy.

„Co proszę? A teraz co?!”

– Jak to? Przecież opowiedziałem pana kolegom, jak było.

– Dosyć naciągana historia – stwierdził policjant. – Dlaczego pan uciekał?

– Przecież już tłumaczyłem! Uciekałem przed tymi kolesiami, którzy mnie pobili i chcieli spalić! Tutaj! Nie widzi pan?!

Jan dotknął swojego czoła. Prawa połowa wciąż jeszcze pulsowała po przymusowym spotkaniu z karoserią.

Policjant ledwie spojrział na jego twarz. Pociągnął nosem.

– Czuć od pana benzyną.

– No właśnie.

– Bo majstrował pan przy baku?

– Nie! Niech pan posłucha...

„Tylko spokojnie!”

– Jak się pan tu znalazł? Wracał pan z demonstracji? Czy na nią szedł?

– Mam lepsze rzeczy do roboty. Jechałem z dwunastogodzinnego dyżuru w szpitalu. Można sprawdzić. I jedyne, o czym marzę, to znaleźć

się w domu. Wziąć prysznic, zjeść, iść spać.

Policjant skinął głową.

– Wie pan, kto był w tym samochodzie?

– Niby skąd mam to wiedzieć?

– Mówił pan kolegom, że z jednym z tych ludzi jeszcze pan rozmawiał.

– Facet próbował coś wykrztusić. Może nazwisko. Nie mogłem go zrozumieć. Wszystko powiedziałem pana kolegom.

– Jeśli tu byli jeszcze ci inni, jak pan twierdzi...

– Tak było...

– ...to dlaczego moi koledzy natrafili tylko na pana? – kontynuował niewzruszenie policjant. – I na dodatek zatrzymali pana w czasie ucieczki?

– Bo ja...

– A tych innych nie widzieli?

– Może nie przyjrzeni się porządnie.

„Niewłaściwa odpowiedź”. Jan zorientował się od razu. To jeszcze jeden dupek. Uśmiechał się do niego fałszywie i ze współczuciem kręcił głową. Teraz odszedł parę kroków. Pozostali poszli za nim, coś mu mówili. Jan nastawił uszu.

– Jak tylko... wiadomo, kto tam zginął, siedzą... na karku – szeptał policjant. – Burmistrz, politycy, media... Koszmar!

– No tak – odezwał się inny – ...szczyt najważniejszy.

– Jeśli plotki... potrójne morderstwo... ofiary... noblista Herbert Thompson.

Czy on mówi o tym dymiącym stosie za nimi? Noblista? Jan najdyskretniej, jak to możliwe, przysunął się bliżej.

– ...jeden świadek...

– ...o ile... świadek...

Co to ma znaczyć: o ile? Czy oni mówią o nim? A niby kim ma być?

– ...ekstremiści...

– ...koktajl Mołotowa...

– ...zatuszować...

– ...podpalić...

Oni chyba nie myślą...

Na pewno mówią o czymś innym, niż podpowiadała mu fantazja na podstawie usłyszanych strzępów rozmowy. Na pewno. Przecież to on wezwał pomoc. To on...

Policjant gdzieś dzwonił. Przyłożył aparat do ucha.

– ...jeżeli zabójstwo, dlaczego... uciekał?... Potrzebne wyniki...

Podejrzany...

– ...aresztować... jako świadek...

– Co... to jest?

Jeden z policjantów jak zahipnotyzowany wpatrywał się w pociemniałe już niebo. Inni poszli za jego przykładem. Po kolei, jeden za drugim, nie odrywając wzroku od tego, co zobaczyli, zrobili kilka kroków w kierunku ulicy, aby lepiej widzieć. Uwaga gapiów również zwróciła się w tamtą stronę. Ich komórki nie były już skierowane na wrak, tylko gdzieś w dal.

Jan przeniósł spojrzenie tam gdzie wszyscy. Na granatowoczarnym niebie, na zachód od Kolumny Zwycięstwa, wysoko w górę wzbijały się iskry. Setki. Tysiące. Jak podczas pożaru. Gigantycznego pożaru. Nad dzielnicą Berlin Charlottenburg.

Kieliszki szampana w dłoniach i pogodne uśmiechy na twarzach nie zwiodyły Jeanne – atmosfera w oranżerii była napięta... Kelnerzy w liberiach meandrowali między gośćmi z tacami hors d'œuvres, po które jednak nikt nie sięgał. Nieduża grupka dyskretnie zmierzała w kierunku chińskiego ministra handlu i towarzyszących mu osób.

– W żadnym razie nie wspominać bezpośrednio o sprawie BLA – ostrzegł Kemp Gellund. – Chińczycy odebraliby to jako afront i natychmiast by się usztywnili. Wystarczą delikatne aluzje, krążenie dookoła, sondowanie.

– A jak rozwiążemy problem z zachodnimi udziałami, które odrzuca? – spytał szef Departamentu Skarbu USA.

Jeanne szła z nimi. Jako jedyna kobieta, ponieważ żona amerykańskiego dygnitarza zatrzymała się przy innych gościach. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Obok czołowych polityków i miliarderów była jak powietrze. Mimo ukończenia studiów z najlepszym wynikiem w rekordowym czasie, mimo sukcesów w banku inwestycyjnym i pracy dla funduszu hedgingowego teraz, w ścisłym kręgu otaczającym mężczyznę (dla którego może mogłaby być kimś więcej, gdyby tylko na to pozwoliła) przez krótką chwilę poczuła się jak kopciuszek.

Zmobilizowała się jednak, aby usunąć tę rysę ze swojej samoświadomości, i zauważyła, że ton rozmów toczących się wokół niej nagle uległ zmianie. Coraz więcej spojrzeń kierowało się ponad przeszklone łuki oranżerii.

– Co to jest?

– Wygląda jak Loy Krathong.

– Tajlandzkie święto świateł?

Niczym ogromne świetliki w niebo nad demonstrantami wzbijały się migoczące punkty. Były ich setki. A może więcej.

– Ktoś będzie musiał przejąć te akcje, tyle że to nie może się natychmiast przedostać do wiadomości publicznej – oznajmił Ted, nie zwracając uwagi na rozgrywający się na zewnątrz spektakl.

– Poszczególne państwa już temu nie podołają – wtrącił niemiecki minister gospodarki – a na pewno nie w całości.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że BLA i inne chińskie koncerny w ostatnich latach nabyły akcje także wielu firm niemieckich albo wręcz całkowicie je przejęły. Wycofanie się Chińczyków oznaczałoby w tej sytuacji setki tysięcy bezrobotnych.

– Ja na przykład bym mógł – powiedział Ted. – I Kemp chyba też. Wilbur pewnie także by nie odmówił – dodał, wskazując głową w kierunku starszego mężczyzny, wokół którego zgromadziło się grono bardziej i mniej znanych osób. – Założę się, że już się nad tym zastanawia. I inni także.

– To on wie?

– Tego może pan być pewien. Oczywiście byłoby lepiej, gdybyśmy mogli to koordynować.

A więc to miał na myśli Ted! Dzisiejszej nocy niektórzy zbijają fortuny. On też. Jak inni na przełomie dwa tysiące ósmego i dziewiątego. Warren Buffet, legenda rynku inwestycyjnego, mniej więcej w chwili najgłębszego kryzysu wpakował w bank inwestycyjny Goldman Sachs pięć miliardów dolarów i zabezpieczył się, kupując opcje na zakup akcji. Pięć lat później pięć miliardów urosło do ośmiu. O takim zysku normalni śmiertelnicy mogli jedynie marzyć.

– Ale oczywiście byłoby to możliwe tylko pod określonymi warunkami – dodał Ted.

– Jakimi? – zainteresował się minister.

– To drony! – krzyknął ktoś nagle. – To są oświetlone drony!

Teraz unosiły się ich już nie setki, ale tysiące. Latające obiekty formowały się według Jeanne w podejrzaną konstelację.

– Ktoś koordynuje to widowisko – stwierdziła z fascynacją, ale i z niepokojem. – Inaczej nie da się tego wyjaśnić.

Coraz więcej gości w oranżerii unosiło telefony komórkowe, aby nagrać spektakl za oknami.

– Cena musi być do przyjęcia. – Ted niewzruszenie powrócił do tematu.

– Ale Chińczycy są pod presją, więc będą nam sprzyjać. Mimo to ryzyko istnieje. Dlatego na pierwsze lata potrzebujemy gwarancji państwowych i ulg podatkowych czy wręcz zwolnień z podatków.

Światła na niebie zaczynały się układać w określony kształt. Łączyły się w gigantyczny okrąg, wysoki jak drapacz chmur. Podzielony pionową linią, do której po chwili dołączyły dwie krótsze ukośne.

– Pacyfa!

Co najmniej stumetrowej średnicy.

Aby lepiej zobaczyć, niektórzy goście wyszli na dwór. Już ponad połowa filmowała telefonami, robili to nawet miliarderzy i żony prezydentów.

– Zamierza pan kupować po okazyjnej cenie i jeszcze oczekuje pan gwarancji i ulg podatkowych? – rzucił z rozdrażnieniem niemiecki minister.

– Chcemy jedynie pomóc – odezwał się Gellund. – I jesteśmy gotowi zaryzykować miliardy. Ale nie głowy.

– To nikomu by nie służyło – powiedział Ted. – Choćby ze względu na naszych inwestorów powinniśmy przynajmniej ograniczyć ryzyko. I trzeba działać szybko. Zanim otworzą się rynki w Azji, musimy uzyskać wiążące zgody. – Wzruszenie ramion. – Alternatywę omówiliśmy już wcześniej. – Wskazał głową za okno. – Wtedy tym na zewnątrz nie pomogłyby już żadne święta światła.

Jaśniejący symbol pokoju zaczął się obracać wokół własnej osi. Jak pozaziemski statek kosmiczny, który przyjmuje pozycję nad miastem.

Szmer w sali zaczął narastać. Gdzieś rozlegały się okrzyki przerażenia.

– To zbliża się do nas!

– Ściągnąć mi je zaraz na ziemię! – Zastępca komendanta policji i oficer dowodzący Eduard Köstritz wściekał się przed monitorami w centrum kryzysowym dzielnicy Berlin-Mitte. – Co to za gówno! Czy oni poszaleli?!

Maja Paritta wpatrywała się jak zaklęta w peace-UFO na środkowych ekranach. Na pozostałych migotał bezładny kalejdoskop rozmaitych scen. Zdjęcia lotnicze ze śmigłowców latających nad Charlottenburgiem i morzem protestujących.

– Dlaczego blokuje się pokojowych demonstrantów, a nie tych kryminalistów? – Maja zwróciła się do Köstritza.

Na obrazach z okolic położonych na północny wschód od głównej demonstracji zamaskowani osobnicy wyłaniali się z kłębow dymu. Rzucali czym popadnie. Bili się. Płonęły samochody. Nie widać było ani jednego policjanta.

– Pieniądze dostaję wtedy, gdy robię zdjęcia nieograniczonej przemocy, a nie za pokojowe obrazy – brzmiała odpowiedź zastępcy.

Maja na chwilę zaniemówiła. Co nie zdarzało się często.

Tak naprawdę należała do jednej z dziewięciu berlińskich komisji do spraw zabójstw, ale podczas szczytu, podobnie jak wszyscy, którzy nie prowadzili dochodzeń w sprawach z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, musiała być do dyspozycji w operacjach specjalnych. Akurat wyciągnęła Czarnego Piotrusia: trafiła do centrum kryzysowego.

– Co za pętaki! – miotał się Köstritz. – Co za pieprzone kutasy! Słono mi za to zapłaca!

Niektóre monitory były włączone na telewizyjne kanały informacyjne i transmisję online. Właśnie wszystkie wysyłały w świat obrazy gigantycznego znaku pokoju na niebie nad Berlinem.

– Sprowadzić mi to na ziemię! – wrzeszczał zastępca komendanta ogarnięty paniką. – Nadajnik zakłócający, cokolwiek!

– Za późno – rzucił jeden z funkcjonariuszy sprzed monitorów. – Wszystkie drony posypałyby się na oranżerię.

Gigantyczny znak obracał się stopniowo. Jak w zwolnionym tempie ułożył się poziomo. Teraz był jeszcze lepiej widoczny z miejsca, gdzie odbywało się przyjęcie rangi państwowej.

– To jakiś koszmar – jęknął Köstritz.

Trudno mu się było dziwić. Będzie musiał złożyć raport, jak mogło do tego dojść. A jeżeli nie skończy się na pokojowych symbolach? Jeżeli drony mają jeszcze inne zadania? Niby to tylko zabawki, ale kto wie, w co są uzbrojone?

Asystent zastępcy zmierzał do niego szybkim krokiem z komórką w ręce.

– Niech zgadnę – zachrypiał Köstritz. – Komendant? Minister spraw wewnętrznych? Czy...

– To nie to – przerwał mu asystent i wcisnął przełożonemu telefon do ręki.

Znak świetlny na niebie powrócił do pionowej pozycji.

– To musi być nad demonstracją przed pałacem – stwierdził jeden z policjantów stojących obok Jörna.

– Kto to zorganizował? I jak? – spytał inny.

– To drony – wyjaśnił Jörn.

Ktoś stuknął go w ramię, kierując jego spojrzenie w stronę wraku. W miejsce, gdzie wcześniej stał Jan Wutte.

– Gdzie on jest? – rzucił Jörn. – Przecież przed chwilą jeszcze tu był!

– Jego roweru też nie ma.

Jörn gorączkowo omiół wzrokiem całą odgradzoną strefę.

– Niech to szlag. Dał nogę! Teraz wszystko jasne. Ogłosić pościg!

Samarytanin stał niedaleko wraku i pilnie nasłuchiwał, co mówią policjanci. El niemal widział, jak wydłużają mu się uszy.

Gdy wszyscy skupili się na świetlnym widowisku nad Charlottenburgiem, chłopak jak w zwolnionym tempie oddalił się od policjantów. Wziął rower – jak gdyby nigdy nic: to ja już sobie pójdę. Dobry był, bez dwóch zdań. Żadnych nerwowych ruchów, żadnej gorączkowości. El nie przypuszczał, że gówniarz jest taki sprytny. Przeszedł z rowerem obok wraku, nie rzucając się nikomu w oczy. Mijał całe to mrowie jak duch. Policjanci byli do tego stopnia pochłonięci grą świateł na niebie, że w ogóle nie zauważyli chłopaka przeprowadzającego rower pod taśmą; nie zatrzymał go żaden z mundurowych, którzy dostali rozkaz, by nikogo nie wpuszczać. O niewypuszczeniu nikt nic nie mówił. Tuż za wianuszkami gapiów dzielny samarytanin dosiadł swojej kolarzówki, nacisnął na pedały i ruszył pędem, jakby gonił go sam diabeł. Jechał nie ulicą, ale przez park spowity nocną ciemnością. Chwilę później policjanci, którzy wcześniej go odpytywali, stwierdzili, że zniknął. Popłoch, bieganie tam i z powrotem, rzucone nerwowo polecenia. Lekka panika.

Tymczasem El i Sam już ruszyli za samarytaninem. Pędzili przez las w kierunku Bramy Brandenburskiej. Rob na razie został na miejscu. Może on wyniucha, dlaczego chłopak wziął nogi za pas. Eldridge'owi przychodziła do głowy tylko jedna myśl: policjanci nie uwierzyli w jego opowieść. Niezależnie od tego, co im nagadał. A co gorsza (dla niego), uważali, że ma coś wspólnego z pożarem. On prawdopodobnie powiedział im prawdę. Albo to, co za nią uważał. Jednak ludzie nie zawsze dają wiarę prawdzie. Zwłaszcza wtedy, gdy nie do końca pasuje do obrazu, który już sobie stworzyli. Pewnie jeden z policjantów zrobił właśnie coś takiego: stworzył obraz, do którego samarytanin lepiej pasował jako sprawca niż jako świadek. Klasyczny błąd confirmacji: preferujesz tylko te informacje, które potwierdzają twój pogląd. Kto ma swoje zdanie, nie potrzebuje żadnych faktów!

Samarytanin jechał w kierunku Bramy Brandenburskiej. El i Sam byli w dobrej formie. Wprawdzie dystans się zwiększał, ale obaj wciąż mieli

go w zasięgu wzroku. El informował Jacka w roverze przez słuchawkę. Pytanie tylko, kto szybciej dopadnie chłopaka. Policja czy oni.

Jan pedałowiał jak opętany. Policja potrzebowała podejrzanego. Kozła ofiarnego. A on potrzebował planu. Może nawianie nie było w tym momencie najlepszym pomysłem, jednak Jan nie miał ani ochoty, ani dość mocnych nerwów na to, żeby zostać kozłem ofiarnym. Chcieli zawiązać mu stryczek na szyi, pogrążyć z powodu paru imprezek i dzointów! I bójkę w knajpie! Był tylko jej świadkiem, i tyle! Przyklejony do ściany, próbował nie oberwać żadnym z fruwających krzesel, uchylał się przed butelkami i pięściami. Mimo to jedna z butelek trafiła go w skroń, a krzesłem dostał w zębra. Miał siniaki jeszcze wiele tygodni później. Trzech prowodyrów i dwie przypadkowe ofiary, najciężej poszkodowani, leżeli na podłodze, czterej pozostali zadymiarze uciekli. Gliniarz na komisariacie był dokładnie taki sam jak ten dzisiejszy: kto jest podejrzanym? Oczywiście Jan. Człowiek czuje się wtedy jak gówno. Jak przestępca. Chociaż jest niewinny. W końcu lekarz stwierdził, że to pomyłka. Chcąc nie chcąc, musieli go wypuścić, na dodatek mnóstwo osób poświadczyło, że jest niewinny. A mimo to wciąż ma to w papierach!

Dzisiejszego wieczoru nie było żadnych świadków poza nim. Jeśli jedna z ofiar to rzeczywiście ktoś sławny, to mieli problem. Megapresja ze wszystkich stron, żeby jak najszybciej przedstawić rezultat dochodzenia. Jan nie chciał być ekspresowym rezultatem.

Chociaż być może ucieczka właśnie go nim uczyniła.

Do domu na razie nie mógł wrócić. Rozejrzał się dookoła. Czy tamci kilerzy zwiali? Czy może wszystko obserwują? Powoli pokazywało się coraz więcej ludzi. Przed Bramą Brandenburską trwała nieduża demonstracja, jutro miała się odbyć gigantyczna.

Brama i leżący z tyłu Pariser Platz były już odgródzone masywnymi policyjnymi barierami. Jan odbił na północ. Na wysokości Reichstagu skręcił w kierunku Friedrichstraße. Tu ludzi było całe mnóstwo. Poczuł się trochę bezpieczniejszy.

Co próbował mu powiedzieć tamten człowiek? Chantal. Przynajmniej on tak to sobie poskładał. I nazwisko? Fritzroi Pil. „Co to za nazwisko?”, pytali go policjanci. On też siebie pytał.

Zatrzymał się i znowu się rozejrzał na wszystkie strony. Powietrze wydawało się czyste.

– Stop! – polecił El przez słuchawkę. – Stanał!

Jechali roverem około dwustu metrów za samarytaninem. Przed nimi cztery samochody.

– Wciśnij się gdzieś.

Jack skręcił w zatoczkę. El widział, że chłopak wyjmuje komórkę.

– Ruszył – powiedział Eldridge. – Dalej. Nie za szybko, dyskretnie. Jak się z nim zrównamy, wciągniemy go do środka.

Jack obrócił kierownicę i czekał, aż będzie mógł włączyć się do ruchu.

Chodzi ci o Fitzroya Peela?

„Nie mam pojęcia, o co mi chodzi”, pomyślał Jan.

2307 wyników w wyszukiwarce.

Pierwsze zdjęcia pokazywały tego samego gościa. Dryblasowaty, około trzydziestu pięciu lat, ocenił Jan, wyraźnie przerzedzone włosy. Na wszystkich zdjęciach siedział przy stoliku do gry, z kartami w dłoni, ze stertą żetonów przed sobą. Jan szybko przejrzał linki. Wyglądało na to, że internet zna kogoś o takim nazwisku. Facet musiał być chyba zawodowym graczem. Anglik. Kilka stron dalej cały czas ta sama osoba. Nie było nikogo innego.

Sieć nie dostarczyła jednak informacji, gdzie Fitzroy Peel mieszka. Ani dlaczego właśnie jemu ktoś poświęcił swoje ostatnie słowa. O ile one rzeczywiście dotyczyły jego. A może mężczyzna w limuzynie usiłował zdradzić nazwisko zabójcy?

Jan próbował przypomnieć sobie twarze czterech bandytów. Ten z brodą jak kowadło nie był Fitzroyem Peelem. Drugi, od wlewu paliwa, też nie. Dwóch pozostałych nie widział dokładnie. Tak czy inaczej żaden z nich na pewno nie był dryblasowaty.

Szukanie Chantal byłoby bezcelowe. Pozostawał Goldenbar. Albo Golden Bar. Lub jeszcze inaczej? Jan wstukał drugą wersję.

Samarytanin stał w odległości około stu metrów, pochylony nad telefonem komórkowym. Przed nimi jakiś mały samochód włókł się za innym rowerzystą. Z tyłu od najbliższego auta mogło ich dzielić – oceniając po reflektorach – jakieś dwieście metrów. Na chodnikach nie

było wielu przechodniów, nikt nie szedł w bezpośredniej bliskości. Ale zawsze ktoś mógł wyglądać przez okno. Chociaż to akurat nie ma najmniejszego znaczenia. Bo ich numery rejestracyjne są nie do zidentyfikowania.

– Jack, zatrzymaj się dokładnie na jego wysokości – polecił El. – Zablokuję go drzwiami. – Zwrócił się do Sama i Bella na tylnej kanapie: – Wy go wciągniecie.

Już podczas wklepywania hasła wyszukiwarka wyrzuciła pierwsze wyniki. Trzeci brzmiał: Golden Bar, Berlin.

A więc jednak istnieje bar o takiej nazwie, w dzielnicy Berlin-Mitte, jakiś kilometr stąd. Pokazały się setki innych linków do hasła Golden Bar. Wydawały się zdecydowanie mniej pasować. Chociaż tak naprawdę w tej historii w ogóle nic do niczego nie pasowało.

Jan musiał coś wymyślić. Przyszło mu do głowy tylko jedno. Schował komórkę i wsiadł na rower.

W centrum operacyjnym większość spojrzeń była skupiona na monitorach pokazujących rozświetlony gigantyczny znak pokoju. Z najwyższego miejsca okręgu, jakby przegnane przez wiatr, zaczynały się oddzielać pojedyncze światła; przesuwały się w kierunku demonstrantów. Stopniowo dołączały do nich kolejne.

– Co się dzieje?! – krzyknął zastępca komendanta Köstritz, wciąż z telefonem asystenta w dłoni. – Atakują?!

Symbol na niebie rozpadał się od góry jak rozwiane silnym podmuchem puzzle. Punkty przygasały jeden po drugim. W ciągu pół minuty zjawa zniknęła.

– Kutasy – syknął Köstritz. Jednak nie bez ulgi.

– Akumulatory się rozładowały – wyraził przypuszczenie jeden z operatorów.

– Ale cel osiągnęli – wtrącił inny. – Te obrazki poszły na cały świat.

– Mam dla pani robotę – zastępca zwrócił się do Mai.

„Bogu dzięki”, pomyślała. Przynajmniej będzie mogła stąd wyjść.

Köstritz zniżył głos:

– Był wypadek. Spalił się samochód z trzema pasażerami. Tożsamość na razie nieznana. Jeden podejrzany świadek zniknął.

– To jest podejrzany czy zniknął? Czy jedno i drugie?

- Niech się pani temu przyjrzy. Tylko superdyskretnie!
 - Superdyskretnie? Jacyś ważni pasażerowie?
 - Limuzyna była wynajęta dla jednego z mówców otwierających szczyt.
- Dla noblisty Herberta Thompsona.

– Zobaczymy się później – oznajmił chiński minister handlu z nieprzeniknioną miną.

– Oczywiście – odparł sekretarz skarbu Stanów Zjednoczonych. – Z pewnością jeszcze trochę tu zostaniemy.

Pożegnali się skinieniem głowy. Towarzyszyli im francuski minister gospodarki i brytyjski dyplomata. Powoli wszyscy zajmowali miejsca przy stolikach; niemiecka kanclerz zamierzała wygłosić mowę powitalną.

– Jednak się udało – powiedział sekretarz skarbu.

– Zbyt gładko – mruknął Gellund.

Więcej Jeanne nie zdołała usłyszeć. Z daleka promiennie uśmiechał się do Teda atrakcyjny, opalony czterdziestolatek.

– Ted! – zawołał.

– Maurizio!

Trittone. Włoski minister gospodarki, przywódca populistycznej partii prawicowo-narodowej oraz – o ile Jeanne się orientowała – kluczowa postać w razie ewentualnego wyjścia Włoch z Unii Europejskiej. Przed godziną widziała go w łazienkowym lustrze w wiadomościach telewizyjnych. Teraz uśmiechnął się do niej czarująco. Ted zgrabnie pozostał pół kroku z tyłu, kierując w ten sposób wyciągniętą na powitanie dłoń ministra w stronę Jeanne.

– Jeanne Dalli – przedstawił ją bez dodatkowych wyjaśnień.

Jeanne Dalli. Współpracownica? Czy osoba towarzysząca, ponieważ prezentowała się wystarczająco atrakcyjnie? Rodzaj oficjalnego wprowadzenia, a może nawet coś więcej? Pozostali członkowie zespołu asystentów Teda o niczym nie wiedzieli. Przynajmniej Jeanne miała taką nadzieję. Propozycja, aby to ona towarzyszyła mu podczas dzisiejszej kolacji, nie była dla nikogo zaskoczeniem, bo przy tego rodzaju okazjach zawsze ktoś z teamu musiał być blisko Teda, podczas gdy reszta trwała w pogotowiu na drugim planie.

– Zostań z nami, Maurizio – poprosił Ted i delikatnie dotknął przedramienia ministra, zachęcając go, aby poszedł z nimi.

Włochowi ewidentnie to pochlebiało.

Zrównali się z resztą.

– ...GM tym razem olać – mówił właśnie sekretarz skarbu USA. – Nieudolny menedżment nie musi być nagradzany.

– To nieodpowiedni moment na dyskusję o pokusach nadużycia – zaproponował jego kolega z ministerstwa handlu. – Przedyskutowaliśmy już potencjalne skutki. Pomyśl o Lehmanie w dwa tysiące ósmym.

Jeanne doskonale to pamiętała: również wtedy rozważano, czy nie zaniechać ratowania spółek, by w ten sposób ukarać menedżerów za ryzyko, które stworzyli. Ale w gruncie rzeczy ukarano by tylko ich współpracowników, menedżerowie bowiem i tak zadbali o swoje interesy. W rezultacie także później żadna z odpowiedzialnych osób nie trafiła do więzienia.

– Przetrwają najsilniejsi, *survival of the fittest*...

– Przetrawanie najlepiej przystosowanych – wtrącił angielski dyplomata – to dobry punkt wyjścia...

– Przetrawanie najsilniejszych – skorygował sekretarz skarbu.

– *The fittest* u Karola Darwina to nie najsilniejszy fizycznie czy duchowo – wyjaśnił dyplomata. – *The fittest* pochodzi od *to fit in*. Darwin opisuje tym określeniem tych, którzy najlepiej przystosowują się do istniejących warunków. Zatem *survival of the fittest* oznacza przetrwanie nie najsilniejszych, ale najlepiej przystosowanych.

Jeanne nigdy nie myślała o tym w ten sposób.

– A zatem pan uważa, że to wszystko to jedno gigantyczne nieporozumienie? – spytała. – Wszystkie te samce alfa tu zgromadzone sądzą, że są ukoronowaniem swoich społeczności, uważają się za ich najlepszych, najsilniejszych i najbardziej nadzwyczajnych reprezentantów. A tymczasem są tego całkowitym przeciwieństwem, bo są najbardziej konformistyczni.

Niezbyt to było dyplomatyczne. Na chwilę zaległa niezręczna cisza. Jedyne Brytyjczyk uśmiechnął się do Jeanne. Dostyc potężny sześćdziesięciolatek z siwym wianuszkiem włosów. Ambrose Peel, o ile dobrze pamiętała.

– Ona ma rację. – Ted przerwał milczenie wybuchem śmiechu. – To się zaczyna już od sposobu ubierania.

Wszyscy panowie mieli na sobie smokingi. Zawtórowali Tedowi śmiechem, aby rozładować napięcie.

Ted puścił oko do Jeanne, jakby chciał powiedzieć: To było dowcipne!

– Czyli – sekretarz skarbu spoważniał – korporacje nie są przystosowane do panujących w danym momencie warunków. Wychodzi na to samo.

– Równie mało przystosowane jak dinozaury do uderzenia gigantycznego meteorytu – wtrącił niemiecki minister gospodarki. – Nikt nie jest przygotowany na taką sytuację, z jaką znowu mamy do czynienia.

– Do której sami doprowadziliśmy – odparł Peel. – Kryzys finansowy i ekonomiczny to w przeciwieństwie do meteorytu nie jest katastrofa naturalna, tylko katastrofa wywołana przez człowieka.

– Mimo to zarówno firmy, jak i ludzie muszą się z nią zmierzyć i się przeobrazić – upierał się sekretarz stanu.

– Konserwatywnego darwinistę społecznego takiego jak pan postawi to oczywiście wobec nierozwiązywalnego konfliktu – powiedział Peel. – W nieustannie przeobrażającym się świecie przystosowanie oznacza konieczność ciągłego zmieniania się. Całkowite przeciwieństwo bycia konserwatywnym. *Survival of the fittest* albo konserwatyzm, będzie się pan musiał zdecydować. Jedno i drugie jednocześnie nie jest możliwe.

– Właśnie dlatego chętnie bywam na takich imprezach – zażartował George, który zauważył narastającą irytację swojego ministra finansów i chciał ją dyplomatycznie załagodzić. – Człowiek ciągle się czegoś uczy.

– Miss Dalli doskonale to uchwyciła – rzekł Peel, uparcie się uśmiechając.

„Dziękuję, uczyni mnie faworytką ministra!”.

– Gdyby wszyscy tutaj zaakceptowali, że nie są najsilniejsi – ciągnął Peel – lecz najlepiej przystosowani, nie musieliby jak koguty udowadniać sobie nawzajem tej rzekomej siły i umieliby się tolerować w swoim uniformizmie.

„Zabawny facet – uznała Jeanne – ale z pewnością pozbył się już wielkich ambicji zawodowych”.

– Cudowne! – Francuz roześmiał się i poklepał Anglika po ramieniu. – I wszystkie problemy rozwiązane!

„Poza tym jednym, że cały system gospodarki światowej właśnie może znowu wylecieć w powietrze”, pomyślała Jeanne. Chociaż od ostatniego razu eksperci twierdzili, że teraz wszystko jest o wiele bezpieczniejsze. A zostało już coraz mniej czasu, aby temu zapobiec.

Wrzawa setek tysięcy demonstrantów docierała aż do oranżerii, chociaż nieco przytłumiona. Niechcący wywołała w Jeanne pewne wspomnienie.

Po strzelninie w Virginia Tech w 2007 roku wyszła na ulicę – podobnie jak wielu uczniów i wiele uczennic w całym kraju – aby uczestniczyć w upamiętnieniu ofiar i manifestacjach domagających się zaostrzenia przepisów dotyczących posiadania broni w USA. Po raz pierwszy i ostatni. Pamiętała tamto poczucie wspólnoty, poruszenie, bunt, napięcie. Dni wewnętrznej rewolty. Jej ojciec szalał. I w ten sposób tylko ją umacniał. Jej młodzieńczego ducha przekory. Niczego jednak nie zmienili. Na demonstrantów z Okupuj Wall Street w 2011 roku w parku Zuccotti patrzyła z uśmiechem politowania, zmierzając do pracy w banku inwestycyjnym. „Na zewnątrz niczego nie zmienicie”.

Golden Bar. Tucholskystraße, w samym środku dzielnicy cyganerii Berlin-Mitte. Jan porównał adres z danymi w telefonie. To musiało być tutaj. Przy stolikach na chodniku siedziało kilku wytrwałych gości i palacze z opróżnionymi do połowy kuflami piwa. Jan przypiął rower do znaku drogowego po drugiej stronie jezdni. Ulicę wypełniali ludzie z demonstracji przemieszani z imprezowiczami. W gruncie rzeczy klientela typowa dla Mitte. Z lokalu wylała się roześmiana grupa.

Jan wpatrzył się w drzwi. „Co ty tu właściwie robisz?”

Po raz kolejny rzucił okiem na twarz Fitzroya Peela na wyświetlaczu komórki. Potem ruszył do baru.

Upłynęła chwila, zanim oswoił się z żółtopomarańczowym mrocznym światłem w lokalu. Panował w nim nieopisany ścisk. Zwarta kurtyna głosów rozbawionych gości i pogodny Rat Pack w tle.

Skądś dochodził wrzaskliwy śpiew wyjątkowo wesołego towarzystwa. Na ścianach ciemne drewno aż po sufit. Kilkanaście stolików, w głębi bar w kształcie wydłużonego U, rzędy niezliczonych butelek. Po lewej i po prawej jeszcze więcej stolików ginących w mroku. Personel przeciskał się przez tłum. Sądząc po zastawionych tacach, pito tutaj wszystko, począwszy od soków owocowych po karaibskie koktajle, ale królowało piwo.

Jak znaleźć kogoś totalnie obcego, kogo w dodatku prawdopodobnie wcale tutaj nie ma? Jan znowu ujrzał mężczyznę w limuzynie, jak szepcze słowa, których on nie zrozumiał. Kto wie, czy ten człowiek nie dotrwałby do przyjazdu karetki.

Zniechęcony zaczął się kręcić po pomieszczeniu, zaglądać ludziom w twarze. Rozmowy o podróżach, przyjaciołach, wrogach, koleżankach, autach. Flirty, nieufność, śmiech, nuda. Przecisnął się do baru. Przed nim czekały w kolejce dwie młode kobiety. Muzyka nadawała tempo. Obok nich grupa młodych ludzi, parki zatopione w rozmowie. Randkownicze z Tindera – zdradzała ich mowa ciała. Wymuszony luz, nierzadko przesadny, właściwie sztuczny. Vis à vis zaciekawienie, lecz i rezerwa. Albo nadmierne podekscytowanie. Jan znał to aż nazbyt dobrze. Zamówił małe piwo. Czekaając na nie, rozglądał się dalej. W głębi lokalu zauważył

wyjatkowo ożywione grono. Wszyscy dyskutowali, gestykulowali. Pośrodku wysoki facet. Z ogoloną czaszką.

Jan wyciągnął komórkę. Odświeżył stronę ze zdjęciami Fitzroya Peela.

Poczuł łaskotanie w żołądku. To mógł być on.

Barman postawił piwo na ladzie. Jan szybko zapłacił, nie spuszczać z oka łysego. Jego rysy wydawały się ostrzejsze niż na fotografiach, nos większy. Jan wziął kufel i zaczął się przedzierać w jego kierunku.

Decyzja druga



„Wraz z procesem ewolucji określone jednostki chemiczne tworzą zgodnie z tą samą korzystną zasadą związki, które nazywamy komórkami”

Will Cantor

– Jasne, że wygram – perorował wielki facet z solidnym brzuchem opiętym T-shirtem z jakąś sentencją.

Dookoła stołu stało kilkanaście osób z kuflami w dłoniach. Nikt nie siedział.

– Wy tłumacz jeszcze raz – poprosił mniejszy mężczyzna ze szczeciniastym wąsem, przypominający Janowi jednego z Galów z komiksu o Asteriksie. Jego brązowa skórzana kurtka była o dwa rozmiary za duża.

– Ostatni raz dla największych bystrzaków – powiedział z angielskim akcentem mężczyzna wyglądający jak Fitzroy Peel. – Zakład polega na tym: na koncie startowym każdy ma sto punktów. Potem rzucamy monetą. Sto razy. Jeśli wypadnie awers, zyskujesz pięćdziesiąt procent swoich punktów. Jeśli rewers – tracisz czterdzieści procent punktów. Jeżeli po stu rzutach masz więcej niż początkowe sto punktów, podwajam twój wkład. Który wynosi, powiedzmy, maksymalnie sto euro. Czyli po podwojeniu będzie dwieście euro. To jak? Grasz czy nie?

– Jasne, że gram! – krzyknął T-shirt. – Wygrana jak w banku. Zaczynamy!

Jan zastanawiał się, czy do nich nie dołączyć. Sto rzutów. Pewnie awers i rewers wypadną pół na pół. Jedna połowa dawała wygraną w wysokości pięćdziesięciu procent, druga – stratę w wysokości czterdziestu procent. Czyli zostawało dziesięć procent na plus. Więc ostatecznie miałyby więcej niż sto punktów i by wygrał. Gwarantowane jak w banku. Jednak matematyka nie była mocną stroną Jana. Bo czy do czegokolwiek w życiu się przydaje? Jego myśli powędrowały z powrotem do wraku. Ścisnął kufel.

– Jak to: wygrana jak w banku? – spytała kobieta o pomarańczowych włosach i ustach pociągniętych jaskrawoczerwoną szminką. Na obcisłej koszulce z brokatowymi aplikacjami miała czarną dżinsową kurtkę.

– To bardzo proste – odpowiedział T-shirt z dużą pewnością siebie. – Wystarczy wyliczyć średnią. Czyli wszystkie możliwe wyniki podzielone przez liczbę tych wyników. W tym przypadku sto pięćdziesiąt procent twoich stu punktów albo sześćdziesiąt procent. To daje w sumie dwieście dziesięć procent, dzielone przez dwa do wyliczenia średniej. W rezultacie

otrzymujemy sto pięć procent pierwotnych punktów. Czyli pięć procent ekstra. W każdej rundzie! Oczywiście średnio.

Aha, czyli jednak wygląda to inaczej, niż myślał Jan. I wygrana jest dużo większa! I pewna. W każdej rundzie. Tego nie wziął pod uwagę.

Dumny ze swojej prezentacji facet w T-shircie powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Większość się zastanawiała.

– Spróbuję! – zawołał pierwszy ochotnik.

Zgłosił się też drugi.

– Chwila! – zawołał trzeci. Gal z wąsem. – To nie takie proste. Średnia powinna być liczona inaczej! Trzeba uwzględnić prawdopodobieństwo!

Jan miał dobre przecucie. Matma. Jego słaba strona.

– No, mądrało, słuchamy! – zachęcił go T-shirt.

– Wyrzucenie awersu da ci wygraną na poziomie półtorakrotności wkładu – wyjaśniał Gal. – W przypadku rewersu zostanie ci sześćdziesiąt procent wkładu, czyli zero przecinek sześć. Prawdopodobieństwo obu wariantów wynosi pół na pół, czyli zero przecinek pięć.

Sięgnął po serwetkę, wyciągnął długopis z kieszeni kurtki i zaczął bazgrać.

– Spodziewana ogólna wartość gry wynosi zatem według tej metody liczenia jeden przecinek pięć razy zero przecinek pięć plus zero przecinek sześć razy zero przecinek pięć. Czyli w efekcie jeden i pięć setnych wkładu. Pięć procent. Na rundę.

Jan wpatrywał się w serwetkę. Miał mętlik w głowie. Pociągnął solidny łyk piwa.

T-shirt wybuchnął gromkim śmiechem.

– Pięć procent! No przecież mówiłem! To ci mądrała!

– No tak, ale prawidłowo wyliczone – upierał się Gal, wyraźnie urażony.

– Tak czy owak, średnio pięć procent zysku na partię. Razy ponad sto rund... to całkiem sporo – przekonywał T-shirt.

– To daje pomnożenie wkładu o sto trzydzieści jeden przecinek pięć – sprecyzował Gal.

– Wchodzę w to! – T-shirt zawachlował setką. – Jeśli sto punktów ma dać trzynaście tysięcy sto pięćdziesiąt, to moja stówka na pewno zostanie podwojona!

Czy oni zamierzają teraz grać? Sto razy rzucać monetą? Zapowiadał się długi wieczór.

Łysol, ewentualny Fitzroy Peel, zasiadł do stolika, odsunął na bok szklanki. Przed sobą położył papierową serwetkę, z kieszeni bluzy wyjął długopis.

Dlaczego proponował ten zakład, skoro inni mogli liczyć na pewną wygraną?

– Na początek ja biorę wasz wkład. I każdy musi mieć po jednej monecie.

Do gry zgłosiło się siedmiu mężczyzn i dwie kobiety, za ich plecami cisnęli się ciekawscy. Gracze położyli banknoty na blacie. Setki, pięćdziesiątki. Do tego po jednej monecie. O wartości jednego albo dwóch euro.

– Okej, teraz niech każdy przesunie monetę do swojego sąsiada po prawej. Żeby nie było podejrzeń o oszustwo. A potem zaczynamy. Rzucacie monetę, łapiecie, kładzicie na grzbiecie dłoni i odsłaniacie. Ja będę zapisywał punkty.

Na serwetce narysował dziewięć pionowych linii tworzących kolumny, powyżej nich napisał litery od A do I. Pod każdą kolumną zanotował odpowiedni wkład, a poniżej napisał liczbę sto. Punkty startowe.

W tym musiał być jakiś kruczek, Jan nie miał co do tego wątpliwości. W przeciwnym razie po co domniemany Peel wchodziłby w taki układ? Jan nadal nie wiedział, jaką rolę mógł odegrać Peel w sprawie morderstwa. Przecież nie zwróci się do niego przy tych wszystkich ludziach. Postanowił stworzyć dogodną okazję, aby go zagadnąć.

– Ja też zagram! – oświadczył.

Domniemany Peel spojrział na niego przelotnie.

– Wkład – rzucił.

Jan wygrzebał pięćdziesiątkę. Nie miał więcej. I jeszcze monetę. Usiadł obok Łysola i przesunął do niego swoją monetę. Ten przekazał ją sąsiadowi po prawej. Łysol dorysował na serwetce dziesiątą kolumnę. J. Pasowało do jego imienia. Sto punktów startowych.

– Idealnie się składa – powiedział Jan, wyciągając rękę do Peela. – Jestem Jan.

Facet spojrział na niego zaskoczony. Uścisnął mu dłoń.

– Miło mi – odrzekł. – Fitzroy.

– Co on robi?

El został w przedniej części lokalu, gdzie samarytanin na pewno nie mógł go dostrzec. Jack poszedł za chłopakiem. Jako kierowca rovera był jedyną osobą, której tamten nie widział przy wraku.

– Nie uwierzysz. – El usłyszał głos Jacka w słuchawce. – On gra.

– Gra? W co?

– Na pieniądze. Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi.

Ktoś pchnął Ela od tyłu, starając się go ominąć. Eldridge grzecznie ustąpił, nie chciał zwracać na siebie uwagi. Przy drzwiach wejściowych dealowano. Było to oczywiste dla każdego, kto trochę uważniej się przyjrzał. Ciekawe, czy personel wie. El nie potrafił rozpoznać towaru. Wygląd klienta wskazywał raczej na zwykłą trawkę. Zresztą jak całej tej budy.

– W co oni grają? – spytał Sam. – W karty? W pokera? W blackjacka?

– Nie widzę żadnych kart. Same pieniądze.

– Jak wyglądają inne wyjścia? Tylne i ewakuacyjne? – chciał wiedzieć El.

– Są dwa wyjścia ewakuacyjne – poinformował Sam. – Po jednym z każdej strony. Oprócz tego z tyłu przy toaletach, gdzie jest też przejście do kuchni.

– Zostańcie tam – zarządził El.

Samarytanin grał. Albo był sprytniejszy, niż wyglądał, albo stracił rozum. Znowu ktoś szturchnął Ela, a on się odsunął.

– To jakiś kompletny odjazd. – Jacka niełatwo było zaskoczyć, czasami jednak się udawało. – Oni rzucają monetami!

– Ha! Wygrałem – zagrzemiał T-shirt. Na grzbiecie jego dłoni widniał awers.

Na dłoni Jana rewers.

Jan nie mógł nadążyć za Fitzroyem notującym punkty na serwetce. Ze startowych stu zostało mu już tylko sześćdziesiąt, a sto faceta w T-shircie urosło do stu pięćdziesięciu. Czterech z dziesięciu graczy przegrało, sześciu wygrało. A cała partia nie trwała nawet minutę. Profesjonalista.

– Następna runda! – zawołał Fitzroy.

Hops! Moneta przecięła powietrze. Złapać. Na dłoń. Odkryć.

Awers.

Wygrana. Plus pięćdziesiąt procent.

Konto Jana powiększyło się z sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu punktów.

Ale zaraz, zaraz, chwileczkę!

Pięćdziesiąt procent początkowych stu punktów to przecież pięćdziesiąt. Brakowało dziesięciu punktów.

Fitzroy zamierzał już zapowiedzieć następny rzut, gdy wtrąciła się jedna z kobiet. Podobnie jak Jan przegrała pierwszą rundę, a wygrała drugą.

– Dostałam tylko trzydzieści punktów – powiedziała.

Tak jak on.

– No tak – potwierdził Fitzroy bez wahania. – Po pierwszym rzucie miałaś sześćdziesiąt. Po wyrzuceniu awersu zyskujesz pięćdziesiąt procent tej liczby. Pięćdziesiąt procent od sześćdziesięciu daje trzydzieści.

– Oczywiście. Jasne – odpowiedziała zbita z tropu kobieta.

Oczywiście. Jasne.

Jan musiał znaleźć jakiś sposób, żeby móc spokojnie porozmawiać z Fitzroyem. Odczekał jeszcze jedną rundę.

T-shirt z zadowoleniem patrzył na swoją kolejną wygraną. Sto pięćdziesiąt punktów rozmnożyło się już do dwustu dwudziestu pięciu. Na samym początku.

Natomiast Jan po jednym udanym i jednym nieudanym rzucie miał mniej niż na starcie. Dziewięćdziesiąt zamiast stu. I po stu rzutach miał uzyskać ponad trzysta tysięcy punktów? Jakim cudem?

– Rzucamy! – ponaglał Fitzroy.

Jan nie był jedyną osobą potrzebującą czasu na policzenie.

Hops.

Awers.

– Rzucają monetą – wyjaśnił Jack. – Jeden gra przeciw reszcie. Typ wygląda na wyjadacza. Swoją drogą, jestem ciekaw, jak długo personel będzie się temu spokojnie przyglądać. Raczej mało prawdopodobne, żeby coś takiego było dozwolone.

El przysunął się bliżej stołu, pilnując się, aby przez cały czas być za plecami samarytanina i w razie czego się uchylić. Knajpa zapełniła się do tego stopnia, że kelnerzy obsługiwali już tylko tych, którzy wystarczająco energicznie dobijali się o ich uwagę.

– W razie potrzeby będziemy mogli to wykorzystać. Ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, dlaczego on tu w ogóle przyszedł. Przecież nie po to uciekł policji, żeby sobie tutaj spokojnie grać.

– Może chciał im tylko zniknąć z oczu.

– Są na to lepsze sposoby niż zakazane gry hazardowe. Ty od razu wszedłeś za nim do knajpy. Jak on się zachowywał?

– Podeszedł do baru, zamówił piwo. Czekał. Kiedy je dostał, ruszył do towarzystwa, z którym teraz siedzi.

– Czyli wygląda na to, że to był jego cel. Może od początku chciał się tu znaleźć?

– Niewykluczone.

– Chodziło o przyjaciół?

El potarł kark.

– Nie bardzo wierzę, żeby po wszystkim, co przeżył, tak po prostu, na luzie, przyszedł spotkać się ze znajomymi. Musimy go usunąć. Na wszelki wypadek trzeba sprawdzić, z kim do tej pory się kontaktował. Zrób dyskretnie fotki ludziom przy stole i przepuść je przez rozpoznawanie twarzy i banki danych.

Na pierwszy rzut oka sceneria przypominała plac budowy. Ramię dźwigu zniknęło z kręgu oślepiającego światła reflektorów i zlało się z wieczornym niebem. Z ciemności wyłaniały się teraz jedynie liny, które miały unieść bezkształtną szaro-czarno-białą masę przypominającą abstrakcyjną rzeźbę. Tą rzeźbą był wrak limuzyny. Przy ulicy stała furgonetka z trzema ciałami w workach na pace, której drzwi zamykał właśnie technik kryminalny. Z oddali dobiegało terkotanie śmigłowców krążących nad demonstrantami. Gdzieś przetaczała się burza.

Maja pasowała do tej scenerii. Krępa, muskularna sylwetka, dzinsy, mocne buty, pod kurtką koszula z długim rękawem. W tylnym zapięciu czapki z daszkiem kołysał się koński ogon. Maja włożyła do ust miętowy cukierek, choć wiedziała, że nie usunie w ten sposób posmaku alkoholu, a tym bardziej bólu głowy. Poprzedniego wieczoru trochę przesadziła. Znowu. Powinna być mądrzejsza. Przecież wyrosła z wieku, kiedy takie sprawy odkłada się na następny dzień.

Patrzyła za odjeżdżającym samochodem z ciałami, dopóki nie zniknął w ciemności. Mimo woli pomyślała o nieuchronnych pożegnaniach. Ruszyła w stronę miejsca, w którym limuzyna prawdopodobnie wypadła z drogi. Komuś musiało się bardzo spieszyć. I to w niewłaściwym kierunku. Inaczej trudno było wyjaśnić wysokość śladów na drzewach pozostawionych po uderzeniu auta i odległość miejsca ostatecznej katastrofy od jezdni. Detale ustalą technicy.

Maja zwróciła się do mundurowego, który ją przywitał, oraz do jego partnera. Oskar i Jörn. Jak z *Ulicy Sezamkowej*.

– Czyli jedyny świadek zwiął? – spytała.

– Może dlatego, że był nie tylko świadkiem.

Jörn wyciągnął ku Mai swoją komórkę. Na wyświetlaczu widniało zdjęcie młodego mężczyzny. Przeciętny typ, prostoduszne spojrzenie, ciemnoblonde włosy, fryzura w stylu undercut.

– Jan Wutte – powiedział. – Osiemnaście lat, początkujący pielęgniarz. Kilka drobnych deliktów: zakłócanie porządku, marihuana. Po wypadku zaczął uciekać, wpadł kolegom prosto w ręce. Opowiedział im absurdalną historię. Podobno wracał z pracy. Fantazjował coś o ofierze, która

wyjąkała jeszcze parę słów we wraku, o bandziorach, którzy zabrali jakąś teczkę, a na koniec wszystko podpalili. No a potem uciekł.

„Pozwoliliście mu się wymknąć”, pomyślała Maja, ale ugryzła się w język. Tego rodzaju uwagami nie zyskuje się przyjaciół. A dzisiejszej nocy będzie ich potrzebować.

– Ktoś niewinny według mnie tak nie wygląda – stwierdził na koniec Jörn.

– Może podsumujmy fakty – powiedziała Maja. – Jakie informacje mamy z wypożyczalni limuzyn?

– Dostaliśmy potwierdzenie, że auto zostało wynajęte dla Herberta Thompsona.

– Noblisty z ekonomii.

– Tak. – Jörn dotknął wyświetlacza swojej komórki. – Przysłali nam jego trasę. Proszę. Thompson mieszkał w hotelu Podium, niedaleko Alexanderplatz. Miejsce docelowe to pałac Charlottenburg. Dziś wieczorem jest tam bankiet...

– Wiem. Dalej.

– Zaraz po odebraniu pasażera z hotelu zadzwonił kierowca limuzyny. Thompson zabrał kogoś ze sobą.

– Kogo?

– Kierowca nie powiedział. Thompson polecił mu, żeby po zawiezieniu go do Charlottenburga wrócił z tym gościem do Mitte. Dokładny adres miał dostać od niego. Kierowca poprosił centralę o pozwolenie na dodatkowy kurs.

– I otrzymał je.

– Tak, zresztą auto i tak musiało wrócić do Mitte.

– Czy wiadomo, jaki miał być cel dodatkowego kursu?

– Nie.

– Czyli ów tajemniczy gość, prawdopodobnie jedna z ofiar wypadku, chciał towarzyszyć Thompsonowi z Mitte do Charlottenburga, a potem miał wrócić sam do Mitte. Dlaczego?

Jörn wzruszył ramionami.

– Może mieli coś pilnego do omówienia.

– Wygląda na to, że tego współpasażera nie było na liście gości w Charlottenburgu.

– Czy w okolicy są kamery monitoringu? Na pewno. Proszę sprawdzić. Policjant się skrzywił.

- Czy ktoś już zweryfikował informacje podane przez Wuttego?
- Przecież pani chyba wie, co tam się dzieje – zauważył Jörn, robiąc nieokreślony gest. – Wszystkie będące do dyspozycji siły uczestniczą w operacji.
- Ale pan i ja najwyraźniej jesteśmy nadal do dyspozycji – rzuciła Maja. – Inaczej nas by tu nie było.

Awers.

– Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem – powiedział Jan do Fitzroya. Jakby sam kiedykolwiek tu bywał. – Pierwszy raz w tej okolicy?

Fitzroy Peel znowu zapisał punkty. Ależ on szybko liczył! Jan ufał, że jako profesjonalista sumuje bezbłędnie, ponieważ sam dodawał wszystko jedynie pi razy drzwi. Jego wynik nie wyglądał najlepiej.

– Tak.

– Co cię sprowadza?

– Szczyt.

Palce Anglika były niewyobrażalnie szybkie. Podczas tej krótkiej wymiany zdań zanotował wszystkie wyniki.

– Moneta – wydał polecenie Peel i każdy z graczy wykonał rzut.

Co prawda grze brakowało blasku i magii partii pokera rozgrywanej przez Jamesa Bonda, ale za to później Jana nie czekały tortury. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Rewers.

– Tak myślałem – podjął. – Akcent. Brzmi dziwnie.

Jego konto punktowe kurczyło się dalej.

– Anglia.

Jan trzy razy wygrał i cztery razy przegrał. Ze stu punktów zostały mu czterdzieści trzy i coś po przecinku. Fitzroy zaokrąglił wynik. Ale wystarczy grać dostatecznie długo, aby zakończyć całość na plusie – tak przynajmniej dowodzili T-shirt i Gal, chociaż każdy inną metodą.

– Dobrze mówisz po niemiecku.

Awers.

– Mieszkałem tu parę ładnych lat.

Awers.

A jednak.

Rewers.

Punkty Jana to rosły, to malały. Przy tempie zapisywania wyników przez Fitzroya rzucanie monetą wydawało się niemal medytacją. Na krótkie chwile Jan zapominał o przeżyciach nad kanałem.

Awers.

Rewers.

„Jak szybko może się odwrócić szczęście”.

Bell dotarł pieszo do najbliższej stacji metra i pojechał na Alexanderplatz. Wieża telewizyjna. Od niej kilka minut spacerem do Rosa-Luxemburg-Straße. Przez całą drogę uważał na kamery monitoringu. Szedł ze schyloną głową, z twarzą ukrytą pod daszkiem bejsbolówki. Resztę załatwił specjalny makijaż.

Ulice wypełniali zwyczajni wieczorni przechodnie albo przynajmniej wyglądający na takich. Tylko gdzieś tam przeciągały nieduże grupy z transparentami, dyskutujące z ożywieniem w drodze na jedną z manifestacji albo z powrotem do domu.

Kopertę Bell ukrył pod koszulą. Na potężnej, umięśnionej klatce piersiowej wybrzuszenie w ogóle nie rzucało się w oczy.

W łuku bramy starej kamienicy stał młody mężczyzna i palił papierosa. Był ubrany w letnie spodnie i koszulkę polo, sięgał Bellowi dokładnie do nosa.

- Ładny wieczór, prawda? – powiedział Bell.
- To zależy, czy spędza go pan w towarzystwie.
- Spędzam. – Bell kontynuował uzgodniony dialog.
- No to rzeczywiście ładny wieczór.

Wszystko się zgadzało. Bell odpiął trzy guziki koszuli, wyciągnął kopertę i podał mężczyźnie. Ten ważył ją przez chwilę w dłoni, zaciągnął się papierosem, następnie rzucił go na ziemię i zgasił czubkiem buta. Trzymając kopertę jak lekką teczkę w lewej dłoni, wyszedł z bramy bez słowa.

- Przesyłka dostarczona – poinformował Bell Eldridge’a przez zestaw.
- W porządku. Jedź teraz do Golden Baru na Tucholskystraße. Za kilka minut uderzamy.

Kanclerz i przewodniczący ONZ wygłosili przemówienia jeszcze przed przystawką, kremem z gęsich wątróbek o francuskiej nucie z galaretką lawendowo-portwajnową. Dosyć zdumiewające danie na niemieckim szczyście. Sale oranżerii mieściły około czterdziestu okrągłych stołów na dwanaście osób. Gości rozmieszczono według ich rangi. Im wyższa, tym bliżej mównicy. Jeanne, jako osoba towarzysząca Tedowi, siedziała na samym przedzie. Przy ich stole znaleźli się także polityczka, trzech polityków, w tym jeden z partnerką, prezes banku emisyjnego, biskup i chiński miliarder z żoną. Krzesło laureata Nagrody Nobla ziało pustką jak dziura po wybitym zębie. Wyglądało na to, że większość obecnych nie zna najnowszych wiadomości. Dyskutowano o minionych kryzysach – wystarczająco dramatycznych – ale także o ostatnich urlopach, zakupowych hitach bądź chwalono się dziećmi. Pokazywano w komórkach zdjęcia z zakończenia roku. Odgłosy demonstracji i warkot policyjnych śmigłowców docierały jak wytłumione przez watę. Cała ta sytuacja wydawała się Jeanne coraz bardziej surrealistyczna.

– Może rozprostujmy trochę nogi – zaproponował jej Ted i podniósł się z krzesła.

Chociaż przy tego rodzaju zasiadanych kolacjach coś takiego nie jest przyjęte, wiele osób poszło za ich przykładem. Sytuacja była zbyt napięta, potrzeba wymiany poglądów z ludźmi siedzącymi przy innych stołach zbyt silna, by dało się wytrwać na swoich miejscach podczas wszystkich przerw między pozycjami menu. Salę wypełnił szelest jedwabiu i gwar głosów. Za Tedem wyłonił się George, którego stół znajdował się daleko w głębi sali.

– Muszę odbyć jeszcze kilka rozmów – powiedział Ted. – George, zajmij się, proszę, Mauriziem.

– Z przyjemnością – odparł gorliwie George, który miał słabość do prawicowych populistów. – Włochy są naćpane.

– Jeanne, potrzebuję na chwilę telefonu.

Ukrywając zaskoczenie, Jeanne wręczyła mu jedną ze swoich dwóch służbowych komórek. Normalnie w takich sytuacjach Ted albo wydawał jej instrukcje, albo rozmawiał przez któryś z własnych aparatów.

– Cary – powiedział, odwracając się od niej. – Krótka sprzedaż GM i innych koncernów samochodowych.

Reszta rozmowy rozplynęła się w gwarze wypełniającym salę i do uszu Jeanne docierały jedynie jej strzępy. Ted wymienił jeszcze kilkanaście nazw znanych i mniej znanych firm, a potem już nic nie dało się zrozumieć. Najwyraźniej stawiał na spadki kursów. Ryzykowna strategia, która wobec faktu, że wiedział o kłopotach tych firm, zanim stały się powszechnie wiadome, mogła zostać uznana za *insider trading* albo *front running*, czyli nielegalne wykorzystywanie informacji poufnych. Chociaż Ted na pewno wie, co robi. Prawdopodobnie transakcje odbywały się w jakichś rajach podatkowych za pośrednictwem odległych i wystarczająco zanonimizowanych spółek córek jego szeroko rozgałęzionej, pogmatwanej grupy kapitałowej. Bardziej dziwiło Jeanne to, że on w ogóle robi coś takiego. Stawianie na dużą skalę na spadki kursów przedsiębiorstw nie pozostanie niezauważone na rynku i w obecnej sytuacji pociągnie je jeszcze bardziej w dół. A to z kolei może doprowadzić do szerokich spekulacji na temat kłopotów, które na dobrą sprawę nie powinny być znane opinii publicznej, dopóki nie zostanie uzgodniona strategia rozwiązania kryzysu. Reakcji łańcuchowej, którą mogłoby to wywołać, bali się przecież wszyscy. Jeanne miała na to tylko jedno wyjaśnienie. Jej rozmyślenia przerwał jednak starszy pan w okularach w złotej oprawce podchodzący właśnie do pulpitu. Chrząknąwszy, lekko stuknął w mikrofon.

– Szanowni państwo! Ponieważ nasz pierwszy mówca, pan Herbert Thompson, jeszcze nie przybył, głos zabierze laureatka Pokojowej Nagrody Nobla z roku dwa tysiące jedenastego. Przywitajmy gorąco panią Leymah Gbowee!

Publiczność zaczęła bić brawo, ci, którzy dotąd siedzieli, wstali. Ted oddał telefon i podszedł do chińskiego miliardera przy ich stole. W ogólnym zgiełku Jeanne nie usłyszała, co mu powiedział. Chińczyk skinął głową, po czym obaj, rozmawiając z ożywieniem, przecisnęli się przez oklaskujących do tyłu, podczas gdy większość gości z powrotem zajmowała swoje miejsca. Chińczyk i Ted zagadnęli po drodze jeszcze trzy osoby. Jeanne rozpoznała szwedzkiego miliardera i inwestora oraz szefa jednej z największych na świecie firm zarządzania nieruchomościami. Trzecim rozmówcą był również Chińczyk. Tym razem Ted nie zabrał jej ze sobą. Usiadła zatem na krześle i obróciła się ku podium, na którym

przemawiała noblistka. Przy stole brakowało Teda, Chińczyka i prezesa banku. Pozostawiona sama, Jeanne poczuła się znowu jak kopciuszek. Rola biernej osoby towarzyszącej zupełnie jej nie odpowiadała. Powtórnie ogarnęła salę spojrzeniem w poszukiwaniu Teda. Teraz, kiedy większość gości siedziała, szybko zauważyła, że zniknęły również wszystkie głowy państw.

Kamienica z lat sześćdziesiątych przy Beusselstraße chyba już od dawna czekała na remont. Na parterze chińska restauracja zabiegała o klientów ofertą *all-you-can-eat* za siedem euro, tuż obok pralnia oferowała wypranie dwóch garniturów za osiemnaście euro. W ciemnym oknie wystawowym trzeciego lokalu – krzywa żaluzja, kurz i martwe muchy na parapecie.

– Elegancko – bąknął Jörn, obrzucając budynek pogardliwym spojrzeniem.

Maja nacisnęła przycisk domofonu przy nazwisku Wutte.

– Tak? – zazgrzytał kobiecy głos.

– Maja Paritta z policji. Czy zastaliśmy pani syna?

– Nie! A co on znowu nawywijał?

– Możemy wejść na górę?

Niewyraźne mamrotanie, po chwili odezwał się brzęczyk i Jörn pchnął drzwi.

Na klatce schodowej unosił się zapach kurzu, stęchlizny i środków czystości po ostatnim sprzątnięciu. Wuttowie mieszkali na pierwszym piętrze.

Matka Jana była w wieku Mai. O pół głowy wyższa, farbowana blondynka, ubrana w obcisły sweterek z błyszczącą aplikacją i dzinsy. „Atrakcyjna kobieta – pomyślała Maja – chociaż życie i papierosy odcisnęły wyraźne piętno na jej twarzy”.

– Nie wiem, gdzie on jest.

– Możemy wejść?

– Proszę.

Maja ruszyła pierwsza, pozostawiając Jörnowi obowiązek zamknięcia drzwi. Mieszkanie wyglądało na czyste i schludne, ale urządzone było zupełnie nie w guście Mai.

– Czy ten kretyn znowu dał się na czymś przyłapać? – zapiszczał dziewczęcy głos z dużego pokoju.

Na kanapie leżała do góry brzuchem nastolatka wpatrzona w komórkę. Młodsza wersja matki, jeszcze nie do końca pozbawiona dziecięcego tłuszczu, co zdradzały krótki top odsłaniający brzuch i obcisłe dzinsowe szorty.

– Zamknij się, Regina! – warknęła na nią matka. – Lepiej zdejmij pranie!

Drzwi do pozostałych pomieszczeń były otwarte. W kącie jednego z nich stała szczelnie obwieszona suszarka na bieliznę. Pani Wutte przeszła za deskę do prasowania i jak gdyby nigdy nic zaczęła robić dalej to, co jej przerwano.

– Jak chcecie, możecie sprawdzić, że go tu nie ma – zasugerowała.

– Wierzę pani – powiedziała Maja. – Szukamy go w związku z wypadkiem, który widział.

– Lub... – zaczął Jörn, ale urwał trącony przez Maję.

Twarz pani Wutte raptem wydała się o dziesięć lat starsza, a gdy kobieta się odezwała, drżał jej głos:

– Wypadek? Coś mu się stało?!

– Nie, proszę się nie martwić – uspokoiła ją Maja.

– Ale o co chodzi?

– Właśnie chcielibyśmy się tego dokładniej dowiedzieć.

Pani Wutte podeszła do stolika przy kanapie, na którym leżała jej komórka.

– Zadzwońię do niego!

Przeciągnęła palcem po wyświetlaczu. Czekala.

– Nie odbiera.

– Gdzie syn mógłby pójść? Do przyjaciół? Dziewczyny? Krewnych?

– Do własnego ojca na pewno nie – zapięła Regina z kanapy.

Jej matka wzniosła oczy.

– Miałaś zdjąć bieliznę!

– Ale mój też nie jest wiele lepszy – kontynuowała córka, nie ruszając się z miejsca.

– Zamknij się, mówię! – warknęła matka, po czym zwróciła się do Mai:

– Ona niestety ma rację. Nie mam szczęścia do facetów.

– Możesz mówić głośno – skomentowała Regina.

– Coś o tym wiem – rzuciła Maja. – Jacyś przyjaciele, koleżanki?

– Sami frajerzy i ofiary losu – wtręciła dziewczyna.

– Znasz nazwiska, telefony, adresy?

– Nie – rzuciła Regina, nie podnosząc wzroku znad komórki. – Po co mi one?

– Mogę podać pani dwa albo trzy – powiedziała pani Wutte i otworzyła w swojej komórce okienko z kontaktami.

Maja sfotografowała je aparatem w swoim telefonie. Następnie podała kobiecie wizytówkę.

– Jeśli Jan pojawi się w domu, proszę, żeby się do nas zgłosił.

– Prędzej wyrzuciłby komórkę do Szprewy, niż zgłosił się na policję – skomentowała Regina.

Rewers.

Byli chyba przy rundzie pięćdziesiątej piątej. Punktowe konto Jana zredukowało się do jednocyfrowego wyniku. Podobnie jak konta sześciu innych z dziesięciu graczy, w tym również Gala. T-shirt miał jeszcze ponad dwadzieścia punktów. Jemu też nie szło.

– Co robisz na szczycie, kiedy nie grasz? – Jan kolejny raz spróbował szczęścia.

– Gram – odparł.

Awers.

Wynik Jana zwiększył się z dwóch przecinek coś tam do trzech i odrobiny.

– Coś mi tu się nie zgadza – poskarżył się jeden z graczy. Właśnie wyrzucił awers. Również jego konto było jednopunktowe. – Przecież w ten sposób nigdy w życiu nie dojdę do trzynastu tysięcy punktów.

Awers.

– Cierpliwości – wtrącił T-shirt, ale jego głos nie brzmiał już pewnie.

– Musimy tylko wytrzymać wystarczająco długo – potwierdził Gal, jednak bez przekonania. Także jego wynik ostro pikował.

– Grasz? – Jan próbował kontynuować rozmowę z Fitzroyem.

Awers.

Tylko jedna z kobiet zebrała ponad tysiąc punktów. W kolejnej rundzie wyrzuciła awers.

A Jan znowu rewers.

Fitzroy notował. Jeśli nic się nie zmieni, na koniec będzie musiał podwoić wkład tylko tej jednej kobiety. Resztę będzie mógł zatrzymać dla siebie. A wszystko to liczył w głowie. Błyskawicznie. Tyle że nikt tego dokładnie nie kontrolował.

U Jana zmieniała się już tylko cyfra po przecinku.

Tymczasem wszyscy nauczyli się rzucać monetą jak profesjonalści.

Jan właśnie przygotowywał się do rzutu, gdy Fitzroy gwałtownie się wyprostował.

– Popatrzcie!

Zaskoczonemu Janowi moneta zsunęła się z kciuka.

– Mamy dziesięcioro graczy. Czworo z was już praktycznie zbankrutowało. Troje jeszcze coś tam ma. Dwójka zachowała startową liczbę punktów. I tylko jedna osoba naprawdę coś zarobiła.

Trafnie to podsumował. Jan należał niestety do pierwszej grupy.

– Ciekawe, prawda? – kontynuował Fitzroy. – Wasz podział punktów jest mniej więcej taki sam jak rzeczywisty podział zasobów w społeczeństwie. Czterdzieści procent nie ma nic z tortu. Trzydzieści do czterdziestu procent dostaje drobne kawałeczki. Natomiast nieliczni posiadają naprawdę sporo. Wcale nie pracując na to więcej niż pozostali. Przez rzucanie monetą. Przez zwykły przypadek.

Co to ma być? Lekcja ekonomii?

– A ty zgarniesz nasz cały wkład, jeśli tak dalej pójdzie – zauważył Gal.

– I to czyni cię kim w tym twoim porównaniu? Bankiem? Marią Antoniną?

Fitzroy parsknął śmiechem.

– To niemożliwe – bąknął ktoś inny. – Gdyby wszystkim rządził przypadek, wtedy punkty rozkładałyby się jednak w miarę równomiernie. Dlaczego większość z nas jest na minusie, a punkty gromadzą się na koncie jednej osoby?

– Grajmy dalej – powiedział Fitzroy, uśmiechając się zagadkowo. – Jeszcze nie skończyliśmy.

Jan właściwie skończył. Przynajmniej tę grę. Huczało mu w głowie. Od hazardu czy po przymusowej konfrontacji z karoserią samochodu? Pora rozmówić się z mister Peelem w cztery oczy.

– Mam ich twarze – oznajmił głos Jacka w słuchawce.

El kilkakrotnie zmieniał miejsce w lokalu, zafundował sobie nawet lemoniadę. Od trzydziestu minut tamci rzucali monetami.

– Znajdziesz je w folderze – powiedział Jack.

Wystarczy dobry program do rozpoznawania twarzy, profesjonalne operowanie informacjami z sieci, dostęp do solidnych banków danych i kilku ludzi, którzy potrafią to wszystko obsługiwać. *No rocket science.*

– Nasz samarytanin to pielęgniarz. Jan Wutte, osiemnaście lat. Berlińczyk. Ma na koncie parę grzeszków: głośne imprezy, dzointy. Nic poważnego.

El sprawdził swój telefon. Przewinął fotki, które pstryknął Sam, i dołączone do nich krótkie informacje. Dwie kobiety, siedmiu facetów, samarytanin.

„Co ty tutaj robisz?”

Podczas tego szybkiego przeglądania coś go zirytowało. Wrócił do początku i odkrył, o co mu chodziło. Typ z ogoloną na łyso czaszką. Jeśli Eldridge dobrze zrozumiał informację od Sama i jeśli jego własne oczy nie kłamały – to on jest rozgrywającym. Cała reszta nosiła niemieckie nazwiska i była stąd.

Kierujący grą jest Brytyjczykiem. Fitzroy Peel. Dziwne nazwisko. Profesjonalny gracz. El chciał przeczytać więcej, gdy w uchu usłyszał głos:

- To jedyny Brytol w grupie.
- Fitzroy Peel.
- Ale to nie wszystko. Widziałeś już notatkę o nim?
- Właśnie miałem przeczytać.
- Spójrz na zdjęcia pod koniec informacji.

El przewinął stronę.

Dwie fotografie. Dwóch facetów śmieje się do kamery. Na jednej są w czarnych togach i czarnych biretach absolwentów uczelni. Na drugiej – w drogich garniturach, wypisz wymaluj młodzi bankierzy.

Obaj wyglądali na dziesięć lat młodszych. Mimo to El od razu rozpoznał ich twarze. Z jednym z nich samarytanin grał teraz parę stolików dalej.

Drugi godzinę temu wisiał do góry nogami w zmiażdżonej limuzynie kilka kilometrów stąd i miał nadzieję, że samarytanin zdoła go uratować.

– Czyli jeździsz na szczyty, żeby grać?

Fitzroy zerknął na chłopaka obok siebie kątem oka. Ciekawski był. Wyglądał nie najgorzej – *loose jointed* – tylko włosy obcięte w ten koszmarny sposób: krótkie nad uszami, u góry długie. Taka fryzura przypominała Fitzroyowi dzieciaki z Hitlerjugend.

– Tak jak tutaj? Żyjesz z tego?

W ostatnim momencie włączył się znowu do gry.

Cztery razy awers. Sześć razy rewers. Fitzroy notował, zmieniały się głównie cyfry po przecinku. Poza wynikiem jednej kobiety.

– Z tego? Niekoniecznie.

Przegrane zdawały się dla tego szczeniaka nic nie znaczyć. Fitzroy nie mógł pozbyć się wrażenia, że chłopak jest tutaj z zupełnie innego powodu.

– Dlaczego nie? – spytał młody i wskazał na stos pieniędzy przed Fitzroyem. – Parę setek w ciągu godziny. Chętnie bym się zgodził na taką stawkę.

– Niedługo się przekonasz.

Osiem razy awers. Dwa razy rewers. Większości już niewiele to pomogło. Włącznie z obydwoma mędrkami, którzy wciągnęli w to pozostałych. Nawet kobieta mająca początkowo dobrą passę właśnie spadła z ponad dwóch tysięcy punktów na tysiąc dwieście.

Fitzroy dziwił się tylko, że obsługa lokalu tak długo mu na to pozwala.

– Coś jednak się nie zgadza! – wykrzyknął gruby mądrała. – Ty oszukujesz! – cisnął w kierunku Peela.

– Tak! – wrzasnął drugi.

Długo to trwało. Także inni zgłaszali pretensje. Rundy były coraz bardziej nerwowe.

– To wasze monety – przypomniał im Fitzroy. – Wasze rzuty. I to wy zdecydowaliście się na ten zakład. Przecież sobie wyliczyliście.

– No właśnie. Dlatego powinienem mieć więcej! – odparł gruby przemądrzalec.

– Może się przeliczyłeś? – zasugerował Fitzroy. – Wyliczyłeś nieprawidłową średnią?

– Nieprawidłową...? – Gruby na chwilę zaniemówił zaskoczony. – Bzdura!

Zerwał się z miejsca i wyciągnął rękę nad stołem, próbując chwycić Fitzroya za kołnierz koszuli, ale ten w porę to zauważył i z łatwością się uchylił, co wywołało w mądrali jeszcze większą agresję. Jego sąsiedzi także podnieśli się z miejsc, wykrzykiwali oskarżenia, gotowi do rękoczynów.

Fitzroy wstał, aby nie znaleźć się w zbyt głębokiej defensywie, chociaż był równie wysoki jak gruby mędek. A na pewno bardziej wysportowany.

– Uprawiasz tu nielegalny hazard! – wrzasnął tamten i ponownie spróbował zaatakować Anglika. Znowu nie trafił.

– A ty? – roześmiał się Peel. – Do gry potrzeba dwojga.

– Chcę z powrotem moje pieniądze, oszuście! – wrzeszczał gruby.

Tego samego zaczęli domagać się teraz inni.

Fitzroy wskazał na kobietę, która ciągle była na plusie.

– Czyli ona też ma nie dostać swojej wygranej?

To ich na chwilę zatrzymało.

– Umówiliśmy się – przypomniał Fitzroy.

– Gównu mnie to obchodzi! – ryknął gruby z czerwoną gębą. – Oskarżę cię, ty oszuście! – Wyciągnął rękę po plik pieniędzy Fitzroya.

– Okej. – Peel roześmiał się pojednawczo. – Wobec tego przerywamy! I każdy dostanie swoje pieniądze...

Gruby nie słuchał. Był zawiedziony, że jego wyliczenia się nie sprawdziły, i zbyt zarozumiały, by się do tego przyznać. Spróbował sierpowym dosięgnąć Fitzroya, który co prawda zdołał się uchylić, ale ponieważ za plecami graczy tłoczyli się inni goście i ograniczali ich ruchy, pięść grubasa musnęła usta Peela. Pozostali usiłowali ratować swoje monety, dobrać się do pliku banknotów leżących na stole lub również rzucić się na Anglika. Takie sytuacje nie były mu nieznane.

El po raz kolejny zlustrował sufit, aby się upewnić, czy w lokalu nie ma kamer monitoringu. Zrobił to również zaraz po wejściu do baru i potem jeszcze dwa razy. Nie odkrył ani jednej.

– Dobra okazja – powiedział do Jacka i Sama. – Nasz samarytanin Jan Wutte i Fitzroy Peel nie przetrwają tej bijatyki. Idę do was. Uważajcie na aparaty w komórkach.

Fitzroy Peel przewyższał samarytanina oraz większość innych graczy o głowę. Mimo to co najmniej czterech ruszyło właśnie na niego, reszta zbierała się w sobie. Peel uniósł ręce w geście obrony, roześmiał się i krzyknął: „Stop! Stop!”, jakby to wszystko było jedynie żartem.

Ale jego ofiary w ogóle go nie słuchały. Ich prowodyr, wielki facet o wydatnym brzuchu piwnym, wymierzył celny cios prosto w twarz Peela. Anglik zachwiał się i przewrócił kilku innych gości. Rozbijały się szklanki, ludzie upadali jeden na drugiego, rozlegały się krzyki bólu. Po kilku sekundach na podłodze kłębił się rój rąk, nóg i głów. Obok zaczęli rzucać się na siebie także dotychczas niezainteresowani, bo ktoś kogoś szturchnął albo czymś oblał. Do rozgorączkowanego tłumu przeciskał się kelner, nie był jednak w stanie powstrzymać bójki. Wywijano pięściami i coraz więcej ciosów trafiało w klatki piersiowe, żołądki i twarze. Samarytanin próbował uciec z tego zamętu, jednak tłum był zbyt zwarty.

El wydał rozkaz:

– Teraz!

Jan starał się uchylać przed machającymi na oślep pięściami i wydostać się z chaosu. W tylnej części lokalu, gdzie jeszcze przed chwilą odbywała się gra, trwała regularna bitwa. Kelnerzy zrezygnowali z prób mediacji, dwaj z nich, kryjąc się za barem, gorączkowo gdzieś dzwonił. Pewnie na policję. Tylko nie to! Jeszcze tego brakowało. W knajpie wciąż było tak tłoczno, że nawet osoby niezaangażowane w bijatykę też nie mogły się wycofać. Jan stracił z oczu Fitzroya Peela. Nad głowami fruwały butelki i szklanki, przeleciało też pierwsze krzesło. Przedmioty dosięgały także ludzi spoza strefy walki. I w ten sposób ją poszerzały. Jan znajdował się bliżej wyjścia do toalet niż spokojniejszej frontowej części lokalu. Aby do niej dotrzeć, musiałby się przecisnąć obok co najmniej dwudziestu okładających się facetów, przedrzeć przez anonimową masę w mroku i wystawić się na przypadkowe ciosy. W samym środku tego kłębowa znalazł Fitzroya. Bronił się przed T-shirtem i jeszcze jakimiś dwoma innymi.

To musiał być instynkt. Za sprawą intensywnych emocji wypalone głęboko w podświadomości obrazy pozwoliły mu natychmiast rozpoznać twarz, która dla jego oczu wyłoniła się z tłumu tak, jakby oświetliło ją punktowe światło reflektora.

Facet z brodą jak kowadło. Za Fitzroyem niezdającym sobie z niczego sprawy. Nad głową Brytyjczyka zawisła stłuczona butelka, zwrócona ku niemu ostrą krawędzią, w ręce gotowej do zadania ciosu. Jan rozpoznał także drugiego ze zbirów, ubranego na ciemnoszaro, który stał tyłem do niego. On też się przymierzał, żeby zaatakować Peela. Na ułamek sekundy w jego dłoni błysnęło ostrze. Jan zerwał się z miejsca. Rzucił się na ciemnoszare plecy, wrzeszcząc:

– Fitz! Za tobą! Na ziemię!

Plecy, na które wskoczył Jan, wydawały się skałą obciążoną materiałem. Facet nawet nie zwrócił na niego uwagi.

Fitzroy na szczęście usłyszał ostrzeżenie i raptownie się skulił. Utłuczona butelka wymierzona w jego szyję minęła ją dosłownie o milimetry i rozorała ramię T-shirtowi. Grubas rozdarł się na całe gardło, krew z rany trysnęła na wszystkich wokół. Rumak pod Wuttem uniósł rękę z nożem, celując w Fitzroya – przynajmniej tak się Janowi wydawało, gdy nagle oprych obrócił dłoń i zamachnął się na niego. Jan uchylił się w ostatnim momencie, ostrze dosięgło tylko jego kurtki. Mięśniak strącił go brutalnie ze swoich pleców i jakby tego było mało, teraz, zamiast na Fitzroya, skupił się na nim. Był o głowę wyższy i dwa razy cięższy. Napakowany. W prawej ręce nadal miał nóż. Jan gorączkowo szukał ratunku, gdy nagły cios prosto w nerki odebrał mu oddech. Upadł na kolana. Coś twardego, zimnego roztrzaskało się na jego twarzy. Czy to jego twarz się roztrzaskała? Jan osunął się na bok, ale nogi walczących nie pozwoliły mu upaść do końca. Jak przez watę słyszał krzyki. Młot wyburzeniowy trafił go w brzuch. Wypchnął resztki powietrza z płuc. Przed oczami Jana pokazały się czarne plamy. Chłopak widział mniej więcej tak, jakby otworzył powieki pod wodą. Zamazane kontury rzucały się na niego, cienie skakały we wszystkich kierunkach. Stalowe palce odciągnęły mu głowę za włosy do tyłu, na szyi poczuł zimny metal klingi. Jego nogi wierzgały, jego ręce wymachiwały, tylko jego myśli płynęły w zwolnionym tempie. Ociekających krwią thrillerów i horrorów naoglądał się całą masę. Nagrań wideo wrzucanych do internetu przez terrorystów nie oglądał nigdy. „O Boże!”

Dzięki ostrzeżeniu Jana rozbita butelka bandziora nie dosięgła tętnicy szyjnej Fitzroya. Rana, jaką obłąkaniec zadał grubasowi w ramię, dała Fitzroyowi szansę na odwet. Jeden kopniak pod kolana i facet zgiął się

wpół. Krzesłem w czaszkę – i mięśniak się zatoczył, upadł, w ostatnim odruchu osłaniając się jeszcze rękami. Fitzroy nie myślał. Jego gadzi mózg walczył o przetrwanie. Swoimi rozgrywkami już nieraz napytał sobie biedy, ale czegoś takiego nie doświadczył jeszcze nigdy. Kolesie w ciemnych strojach chcieli nie tylko się bić. Przecież oni nawet nie uczestniczyli w grze. Fitzroy dosłownie o włos uniknął zaszlachtowania.

Nieopisany krzyk grubasa i deszcz krwi zwróciły na nich uwagę. Jan runął na podłogę z pleców napastnika, który razem z jeszcze jednym mięśniakiem ubranym na szaro robili z niego miazgę. Fitzroy dostrzegł ostrze noża przy szyi chłopaka. Krzesło, które trzymał, było tylko nadłamane. Peel roztrzaskał je w drobny mak na głowie faceta z nożem. Ten drugi chyba już wcześniej nagrabił sobie także u innych albo ktoś nie miał jeszcze dość. Rzuciło się na niego trzech gości naraz. Co prawda nie zrobiło to na nim szczególnego wrażenia, ale wystarczyło, by przynajmniej na chwilę zostawił w spokoju swoją ofiarę. Fitzroy chwycił chłopaka za nadgarstek i pociągnął go w górę. Jan miał nogi jak z waty. Zarzuciwszy go sobie na ramię, Peel zaczął przedzierać się w kierunku toalet. Za nimi znajdowało się wyjście awaryjne, co sprawdził przed grą. Przepisnął się przez tłum, który w korytarzu prowadzącym do łazienek chronił się przed bijatyką. Ludzie ustępowali im z drogi z przerażeniem lub odrazą w oczach. Za ich plecami cała ta zgraja zbijała się znowu w zwarte kłębowisko, zasłaniając ich przed spojrzeciami prześladowców. Fitzroy opuścił nisko głowę, by nie zdradził go wzrost. Jan przy jego pomocy znowu jako tako powłóczył nogami.

Wyjście awaryjne – szare metalowe drzwi – było otwarte. Prowadziło na wąską uliczkę pełną ludzi. Niektórzy stali w grupkach i spoglądali na knajpę. Pewnie przed chwilą ją opuścili. Inni to normalni nocni imprezowicze albo uczestnicy demonstracji. Jan, stojąc u boku Fitzroya, łapczywie zaczerpnął powietrza, zarzęził, a potem wstrząsnął nim atak kaszlu. W końcu odetchnął głęboko i stanął prosto.

Spojrzał na Anglika.

– Oni chcieli mnie zabić – wycharczał, lękliwie rozglądając się dookoła. Potem podziękował.

– To ja ci dziękuję – odpowiedział Fitzroy. – Gdybyś mnie nie ostrzegł, leżałbym tam teraz jak długi z tulipankiem wbitym w szyję.

Jan chwycił Peela za ramię i ruszył ulicą.

– Musimy stąd spadać.

Wciągnął go w uchyloną bramę jakiejś starej kamienicy. Za nią otwierało się przejście przez połączone podwórza kwartału domów. Ani żywej duszy, marne oświetlenie. Fitzroy odetchnął.

– Co to, u diabła, było?

El razem z Samem ścigał tamtych dwóch korytarzem prowadzącym do toalet, minął je i wyjściem awaryjnym wypadł na zewnątrz. Nie wierzył w złą gwiazdę. Tylko w złe przygotowanie. Albo w nadmierną pewność siebie. Nie docenili instynktu przetrwania tamtych dwóch. „Nasz błąd”. A także intensywności zadymy w knajpie. Była gwałtowniejsza, niż można by się spodziewać. Przez przypadek dostało się także Bogu ducha winnym. Słabo. Ale błędy są nieuniknione. Tylko trzeba je korygować. Ich zleceniodawca nie musi się o niczym dowiedzieć.

Uliczką na tyłach baru przechadzali się ci, którzy z niego uciekli, i wieczorni spacerowicze. El nie zauważył żadnych samochodów ani rowerów. Czyli tamci nie mogli uciec daleko. Do najbliższych bocznych uliczek było co najmniej siedemdziesiąt metrów. Nikt nie biegł. Są tacy sprytni? Czy może superszybcy? El i Sam puścili się slalomem między przechodniami aż do skrzyżowania. Szeroka ulica. Więcej ludzi. Więcej możliwości zniknięcia.

Eldridge analizował błyskawicznie. Jan Wutte raczej nie pojedzie do domu po tym, jak dał drapaka policji, bo liczy się z tym, że może go tam czekać coś niemiłego. El jeszcze raz przejrzał informacje o Fitzroyu Peelu. Brakowało ważnej rzeczy. Połączył się z Jackiem, specjalistą od researchu w internecie.

– Potrzebny mi aktualny adres Fitzroya Peela w Berlinie!

Nawet z kogutem na dachu prawie nie posuwali się naprzód. Albo może właśnie przez niego. Ludzie na ulicach jakoś się nie kwapili, aby ustępować miejsca radiowozowi. Jörn jechał na granicy przepisów. Przez radio słyszeli relacje z demonstracji. Ta największa na razie przebiegała spokojnie. Tylko na jej obrzeżach i na Kreuzbergu doszło do utarczek części czarnego bloku z policją, we Friedrichshain pravicowi ekstremiści rzucali kostką brukową i wykrzykiwali nazistowskie hasła.

– Że też pozwala się na te demonstracje... – prychnął Jörn.

– Twoim zdaniem bogaci mogą się gromadzić, a inni nie?

Podano wiadomości. Szefowie rządów oraz eksperci obradują podczas przyjęcia w pałacu Charlottenburg. Grupy robocze będą pracować także w nocy.

– Ile mamy jeszcze do Golden Baru? – spytała Maja.

– Jakies dziesięć minut – wymamrotał Jörn. – Pani naprawdę bierze na poważnie tę historię...?

– Już o tym rozmawialiśmy. Na razie nie mamy żadnych innych punktów zaczepienia poza „tą historią”. Golden Bar. Fitzroy Peel. Chantal.

– Na piechotę dotarlibyśmy chyba szybciej – mruknął Jörn.

Maja wyłączyła radio i głosem uruchomiła swoją komórkę.

– Herbert Thompson – powiedziała. – Wikipedia.

Telefon posłusznie odczytał wpis z encyklopedii na temat laureata Nagrody Nobla. Urodzony w 1937 roku, studiował nauki ekonomiczne w Chicago i na Harvardzie, wykładał w Chicago, Londynie, na Uniwersytecie Stanforda i innych najlepszych uczelniach świata. Stworzył ważne opracowania dotyczące teorii pieniądza, bezrobocia i cykli koniunktury. Był doradcą amerykańskiego rządu w kwestiach gospodarczych za prezydentury Geralda Forda i Ronalda Reagana, w latach dziewięćdziesiątych doradzał też Bankowi Światowemu i pomagał w szerokiej prywatyzacji wielu ekipom rządzącym państw powstałych po rozpadzie Związku Radzieckiego, czym w późniejszych latach naraził się na krytykę, ponieważ proces ten uczynił z licznych oligarchów miliarderów, podczas gdy przeważająca większość społeczeństwa drastycznie zubożała. Następnie pracował dla gabinetu George’a W. Busha. Odmówił objęcia stanowiska sekretarza Departamentu Skarbu. Orędownik liberalizmu gospodarczego, obrońca wolności jednostki i rynków, zwolennik ograniczenia roli państwa do minimum. Nadal doradza wielu politykom, instytucjom międzynarodowym, m.in. Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu i Organizacji Narodów Zjednoczonych. Napisał wiele książek, które stały się bestsellerami.

– Wygląda na to, że to ktoś ważny – zauważył Jörn.

– Był na liście mówców otwierających szczyt podczas dzisiejszej kolacji – odparła Maja. – Jutro też miał przemawiać.

Podgłośniła krótkofalówkę.

– ...powtarzam: bójka na Mitte, Tucholskystraße, Golden Bar, potrzebne wsparcie...

Krótkie spojrzenie na Jörna zdradziło jej, co on myśli: Okej, „ta historia” przyjmuje interesujący obrót.

Zgłosili się policjanci będący w pobliżu. Już jechali na miejsce.

– Chyba pora zrobić trochę hałasu – rzuciła Maja.

Jej ostatnie słowa utonęły w wyciu syreny, którą włączył Jörn. Przerażeni przechodnie odskakiwali na boki. Policyjne auto było wreszcie szybsze od nich.

Może uda im się dopaść Wuttego wcześniej, niż się spodziewali.

Jan opuścił przejście między domami po drugiej stronie kwartału. Pociągnął za sobą Fitz. Jako miejscowy znał te skróty. Na razie pozbyli się prześladowców. Wutte trzymał się ruchliwszych ulic, na których łatwiej mogli się ukryć. Pod jego prawym okiem wykwitła średniej wielkości śliwa. W wielu miejscach głowy i tułowia czuł bolesne pulsowanie. Miał nadzieję, że ciosy, które mu zadano, nie wywołały żadnych poważnych obrażeń.

– Pewnie w barze niedługo zjawi się policja – rzucił Fitz. – Ktoś powinien im powiedzieć o tych świrach.

– Jak chcesz, to opowiadaj, ja nie mam zamiaru – odparł Jan. – Nie zdziwiłbym się, gdyby oni wciąż obserwowali knajpę. – Nerwowo rozejrzał się dookoła.

Ani śladu faceta z kowadłem i reszty ekipy.

Zatrzymał się i uważnie zmierzył Fitz. Jego łysa głowa była usiana wybroczynami jak piegami. Jan wciągnął go w cień bramy najbliższego domu.

– Posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Dziś wieczorem byłem świadkiem potrójnego zabójstwa – zaczął. – Jedyнным świadkiem...

– Wow! Zaczekaj! Co ty gadasz?!

– To, co słyszysz. Gliny chciały mnie zwinąć jako podejrzanego. Uważają, że mam z tym coś wspólnego. Ale prawdziwymi sprawcami byli ci goście, którzy napadli nas w barze.

– Musisz jak najszybciej pogadać z policją!

– Żeby mnie zwinęli? Nie, dziękuję! Jedną z ofiar był podobno jakiś noblista.

– Czyli gliny mają nóż na gardle. Muszą szybko wykazać się sukcesem.

– No właśnie. Na przykład mną.

– Ale co ja mam z tym wspólnego?

– Jedna z ofiar tuż przed śmiercią wyjąkała twoje nazwisko i nazwę tamtego baru. Pojechałem tam na chybił trafił. I spotkałem ciebie.

Nawet w otaczającym ich mroku Jan dostrzegł, że Anglik pobladł.

– Byłem w nim umówiony ze starym przyjacielem – szepnął. – Ale nie przyszedł. Czy on... Kim była ofiara, która wymieniła moje nazwisko?

– Nie mam pojęcia. Facet mniej więcej w twoim wieku.

Fitzroy wyjął komórkę, dotknął palcem ekranu. Drżały mu dłonie. Pokazał Janowi zdjęcie przeciętnego przystojnego trzydziestolatka z przylizaną fryzurą z przedziałkiem z boku, w okularach, o osobliwie butno-nieśmiałym spojrzeniu.

– To on?

– Wisiał głową do dołu we wraku samochodu po dachowaniu. Pokaż.

Pod zdjęciem widniało nazwisko: Will Cantor.

Jan nie potrafiłby tego wyjaśnić, ale gdy spojrział na fotografię po raz drugi, twarz Willa Cantora przypomniła mu twarz małego chłopca: zdziwionego, zaskoczonego światem, ludźmi. Zarazem ciekawskiego i ostrożnego. Odwrócił zdjęcie do góry nogami.

– Stary przyjaciel?

Fitz przełknął głośno ślinę.

– Tak.

Jak mu to powiedzieć?

– Sorry – rzekł powoli Jan.

Deseru – kompozycji ptifurek i mikroskopijnych eklerek – Jeanne niemal nie tknęła. Elegancy kelnerzy serwowali napoje. Ona pozostała przy wodzie. Ze względu na figurę. I samokontrolę. Goście poszeptywali niecierpliwie. Chcieli się znaleźć w swoich hotelach lub willach. Część musiała się udać na nocne narady kryzysowe, które już się zaczęły przy Berliner Platz. Wszyscy jednak wciąż czekali na ostatniego mówcę wieczoru. W pewnej chwili do mikrofonu podszedł moderator, który wcześniej zapowiedział spóźnienie Thompsona.

– Szanowni państwo, z ogromną przykrością muszę państwa poinformować, że nasz trzeci mówca, pan Herbert Thompson, niestety nie wystąpi dzisiejszego wieczoru.

Przez salę przetoczył się szmer. Zaraz potem zaszurały pierwsze krzesła i obecni zaczęli podnosić się z miejsc. W gruncie rzeczy nikt nie był rozczarowany, że nie będzie jeszcze jednego przemówienia. Przy wielu stołach i tak brakowało już niejednej osoby.

Również przy stole Teda goście żegnali się z sąsiadkami i sąsiadami, po czym odchodzili pojedynczo lub w grupkach.

– Ustaliliście coś z Chińczykami? – Jeanne spytała Teda po cichu.

– Zobaczymy...

– Uroczą pani Dalli i jej towarzysz – przerwał im donośny baryton Ambrose’a Peela. – Słyszę, że Chińczycy jeszcze się certują.

– To tylko kwestia czasu – odparł cierpko Ted.

Jego spojrzenie spoczęło na wysokiej ascetycznej postaci, która zmierzała w ich kierunku. Walter Ferguson, szef zarządzający Solid State, jednej z najpoważniejszych instytucji w branży administrowania majątkiem na świecie. Urosła na funduszach inwestycyjnych ETF, w większości zwykłych i korzystnych, wiernie odwzorowujących wskazany indeks. Ta jedna z najpopularniejszych od kryzysu w 2008 roku form inwestowania, zapewniająca niesamowite stopy wzrostu, uczyniła Solid State, jak również Blackrock i Vanguard gigantami systemu finansowego.

– Walter – przywitał go Ted, po czym przedstawił Jeanne i Peela.

– Czy dobrze słyszę, że dyskutujecie o specjalnych działaniach ratunkowych? – spytał Ferguson, zniżając głos.

Ted przeszył go przenikliwym spojrzeniem. Ferguson wiedział. Mówił w tak zawoalowany sposób, ponieważ nie miał pewności, czy Peel jest poinformowany. Ted zorientował się od razu i na nieme pytanie odpowiedział:

– Dołączasz? Im nas więcej, tym lepiej.

To nie do końca było zgodne z prawdą. Im więcej zainteresowanych potencjalnymi ofertami, tym wyższe ich ceny i mniej atrakcyjne kąski.

– Dołączamy – odparł Walter jeszcze ciszej.

– Świetnie!

– Ale po innej stronie.

Bujne brwi Peela ściągnęły się odruchowo.

– Po... – zaczął Ted i nagle zrozumiał.

Jeanne nie widziała, aby Ted kiedykolwiek poblądł. Jednak w ułamku sekundy odzyskał kontrolę. Poznała to po jego oczach.

– Zawsze pan twierdził, że te rzeczy są bezpieczne – rzekł Peel, kierując surowe spojrzenie na Fergusona. – Tak to rozumiałem. W zasadzie kupuje się przecież udziały w swego rodzaju funduszu inwestycyjnym. A on z kolei posiada akcje tych firm, których indeks odwzorowuje. Oczywiście, jeśli kursy akcji spadają, spadają też kursy ETF-ów. Jeżeli z kolei akcje znowu zaczną rosnąć, a kiedyś tak się stanie, wzrosną też kursy ETF-ów. Choć rzecz jasna nie jestem ekspertem finansowym...

Jeanne zmierzyła Fergusona wzrokiem.

– Chodzi o syntetyczne, prawda?

Peel rzucił z niepokojem:

– Co to takiego?

– To, co pan przed chwilą opisał, to tak zwane fundusze wiernie odwzorowujące. Ale istnieją też inne, zwane syntetycznie odwzorowującymi.

– Na ile syntetycznie?

– Te fundusze niekoniecznie posiadają akcje indeksu, który odwzorowują.

– I co wtedy?

– Za pomocą innych papierów wartościowych, a także rozmaitych finansowych narzędzi, jak na przykład SWAP, udaje się im mimo wszystko odwzorować kurs danego indeksu. Często nawet lepiej, niż to się dzieje w przypadku wiernie odwzorowujących ETF-ów. Tyle że potrzebni są do tego partnerzy w branży finansowej, z którymi można

przeprowadzać te bardziej złożone i skomplikowane transakcje. Owi partnerzy chcą w zamian gwarancji. Dają je na ogół właśnie jakieś papiery wartościowe.

Ted przysłuchiwał się i kiwał zachęcająco głową. Jeanne udało się zapunktować.

– Obawiam się, że wiem, do czego to zmierza – jęknął Peel. – W normalnych warunkach wszystko działa. Ale w sytuacji, która nam właśnie grozi, depozyty być może dramatycznie stracą na wartości. Partnerzy handlowi sprzedawców ETF-ów chcą większych gwarancji, których jednak nie dostaną, ponieważ rynek jest kompletnie w dołku.

– Oprócz tego te gwarancje często są wypożyczane, wymieniane i tak dalej. W konsekwencji zarażone zostają także inne segmenty.

– Ale fundusze syntetyczne stanowią jedynie część rynku ETF-ów – wtrącił Ferguson. – A udział derywatów może wynosić też tylko dziesięć procent.

– Ale dla większości klientów, przynajmniej wśród drobnych inwestorów, nie stanowi to różnicy – zauważył Ted – i wszyscy oni, kierując się owczym pędem, będą sprzedawać ETF-y. Do tego właśnie zmierzała Jeanne. I ma rację. A taki proces jeszcze bardziej nakręci spiralę spadków.

– Boże – westchnął Peel – czyli to samo szambo co w dwa tysiące ósmym? Nikt dokładnie nie wie, gdzie czyha jakie ryzyko? A jeśli w najbliższych dniach rynki się zawalą, znowu nikt z was nie będzie ufał drugiemu i globalne strumienie pieniędzy wyschną, bo żaden bank nie pożyczycy już nic innemu bankowi?

– To bardzo uproszczony obraz – powiedział sztywno Ferguson – ale w sumie się zgadza. Tak.

Kolejna kostka domina.

– W sumie się zgadza? – syknął Peel, czerwieniejąc po nasadę włosów.

– Więc co zamierzacie robić?

– Modlić się – odparł Ted. – Za udane interesy.

Rozemocjonowani ludzie stali w grupkach przed Golden Barem. Niemal każdy gdzieś dzwonił albo wpatrywał się w komórkę. Prawdopodobnie wysyłano relacje i filmiki do mediów społecznościowych. Obok wejścia do lokalu zatrzymały się dwa radiowozy z migającymi niebieskimi światłami. Dwa inne sunęły uliczką w kierunku Mai i Jörna. Dwóch mundurowych wypychało resztę gości z baru, zapisując ich personalia. Jörn torował drogę Mai.

W lokalu pozostało już niewiele osób. Maja rozglądała się za Janem Wuttem. W przedniej części sali porzucone stoliki, krzesła i porozbijane szklanki leżały w mazi z piwa, wina i śmieci. Tylna część, na lewo od baru, wyglądała tak, jakby ktoś rąbał w niej drewno. Breję na podłodze urozmaicały czerwone plamy i smugi. Śmierdziało alkoholem i potem. Oparty o jedną ze ścian siedział na ziemi facet z wielkim brzuchem piwnym, twarz miał trupio bladą. Obok niego przykucnął kelner i nerwowo przyciskał mu do ramienia nasiąknięty krwią opatrunek. Nieco dalej siedzieli i leżeli trzej inni mężczyźni. Zajmował się nimi jeden z policjantów. Przy barze niektórzy opatrywali sobie nawzajem rany, pocieszani lub sztorcowani przez swoje przyjaciółki. Przy nich także znalazł się już funkcjonariusz. Maja ruszyła w tamtym kierunku.

– Dzień dobry. Gdzie jest właściciel albo właścicielka?

– Jestem kierownikiem zmiany – odezwał się facet za barem.

Maja przedstawiła się i zadała kilka pytań. Mężczyzna niewiele wiedział: nagle w tylnej części lokalu jakaś zgraja wzięła się za łby.

– Macie tu kamery monitoringu?

– Tylko przy wejściach.

– Potrzebujemy nagrań. – Przez sekundę Maja walczyła sama ze sobą. –

Zrobiłby mi pan drinka? Pisco sour?

– Na służbie? – spytał zdziwiony barman.

– Proszę pozostawić to mnie.

Podczas gdy on zajął się miksowaniem, Maja pokazała mu zdjęcie Jana Wuttego.

– Widział pan tego człowieka? Dzisiaj wieczorem?

– Tu były setki ludzi. Nie mam pojęcia. Ale chyba nie widziałem. Co nie znaczy, że go tutaj nie było.

– A tego?

Maja już wcześniej znalazła Fitzroya Peela w internecie. Większość wpisów wskazywała, że to profesjonalny gracz.

Barman podał jej szklanekę z żółtawym napojem.

– Też nie – odparł.

Wypiła od razu połowę drinka. Orzeźwiająca świeżość soku z limonki rozeszła się po całym ciele. Ze szklaneką w dłoni Maja zbliżyła się do rannych pod ścianą.

Piwny brzuch wyglądał nie najlepiej.

– Wezwaliście karetkę? – spytała kelnera klęczącego obok poszkodowanego.

– Oczywiście – odpowiedział nerwowo.

Maja dostrzegła, że między jego palcami przyciskającymi opatrunek przez gazę sączy się krew. Widocznie uszkodzeniu musiała ulec jakaś duża żyła.

– Musi pan mocniej uciskać – rzuciła Maja. – Nie ma pan więcej bandaża?

Kelner pokręcił głową.

Policjantka przykucnęła i odstawiła szklanekę.

– Może pan mówić? – spytała rannego.

– Kim... pani...? – wystękał mężczyzna.

– Komisarz Maja Paritta. Wie pan, co się tutaj wydarzyło?

Oderwała szeroki pas od T-shirtu grubasa.

– To przez... tamtego oszusta... – wybełkotał. – Założył się z nami... nabrał nas...

– Założył się? Chodziło o grę w karty?

– Nie. Monety... rzucanie...

Maja zwinęła kawałek materiału w niedużą kulkę i przycisnęła ją do rany. Mężczyzna jęknął głośno.

– Niech pan mocno trzyma – poleciła kelnerowi.

Rzucanie monetami? Sięgnęła po szklanekę.

– Oszukiwał? A pan nie chciał puścić mu tego płazem?

W odpowiedzi rozległo się tylko ciężkie sapnięcie.

– Kto pana tak urządził? – Maja wskazała na jego ramię.

– Nie wiem. Jakiś mięśniak cały na czarno, tak mi się wydaje... Aaa!

Zamknął oczy i oparł głowę o ścianę.

Maja delikatnie potrząsnęła jego zdrowym ramieniem.

– Proszę nie zasypiać! – Po czym szepnęła do kelnera: – Niech pan sprawdzi, czy nie przyjechał już lekarz. Ten człowiek potrzebuje pomocy jako pierwszy. – Przejęła opatrunek i przycisnęła go mocno.

Kelner, zadowolony, że uwolnił się od odpowiedzialności, zerwał się i pobiegł do wyjścia. Piwny brzuch uniósł powieki.

– Będzie dobrze – powiedziała Maja. Pilnowała, aby ranny nie stracił przytomności, a jednocześnie wykonywała swoją pracę. Pokazała mężczyźnie zdjęcie Jana Wuttego. – Czy widział pan tu dzisiaj tego człowieka?

Brzuchacz wpatrzył się w komórkę.

– Tak – wykrztusił wreszcie. – Grał z nami.

– Ale to nie on był oszustem?

Powolny przeczący ruch głową.

– A tego?

Z głębi klatki piersiowej rannego dobył się nieokreślony bulgot i mężczyzna gwałtownie się wyprostował.

– To on!

Nagły ruch mu nie posłużył. Grubas osunął się z powrotem na ścianę, głowa opadła mu na ramię. Maja szybko go podparła i sprawdziła puls.

– Dziękuję, proszę się już odsunąć – odezwał się ciepły, ale stanowczy kobiecy głos tuż obok. – Zajmiemy się nim.

Lekarze z ambulansu. Na liście świętych Mai zajmowali wysokie miejsce.

– Czyli nie pójdziesz na policję? – spytał Fitzroy.

Energicznym krokiem przemierzał wąskie uliczki Mitte, mijając zamknięte sklepy i otwarte knajpki. Jego młody towarzysz bez przerwy oglądał się za siebie. Peel też upewniał się nerwowo, czy nikt za nimi nie idzie.

– Na razie nie – odpowiedział Jan. – Bo dla nich jestem podejrzanym, a nie ma żadnych świadków, którzy zeznaliby na moją korzyść. – Raptem przylgnął do muru domu. – Kurde! Ja chromo! Robię wszystko, co trzeba: uczę się, mam robotę, dostaję za nią gówniane pieniądze, nawet nie stać mnie na wynajęcie przyzwoitego mieszkania, a emerytury też pewnie dostanę kiedyś tyle, co kot napłakał, ale okej, niech im będzie!

Przyjmuję ich pieprzone warunki i co z tego mam?! Teraz jeszcze to na dodatek! Podejrzenie o zabójstwo! Niech oni wszyscy pocałują mnie w dupę!

– W takim razie powinieneś zmienić warunki – rzucił Fitzroy ze wzruszeniem ramion.

– Na jakie? – prychnął Jan. – Na warunki tamtych skurwieli?

Trudno się dziwić, że po przeżyciach ostatnich godzin chłopak nie wytrzymał i wybuchnął. O ile to wszystko prawda. Ale po co zmyślałby coś takiego? A jeśli jednak fantazjuje? W Fitzroyu na krótko obudziła się nadzieja – może Will żyje. Może to tylko jakaś pułapka. Ogarnęły go wątpliwości. Stary nawyk gracza. Twarze mogą zwodzić.

A jeżeli nie? Jeżeli Will rzeczywiście nie żyje? Został zamordowany? Peel nie chciał podążać za tą myślą.

– Ale ty mógłbyś iść na policję – powiedział Jan, kiedy już się trochę uspokoił. – Z powodu tej bijatyki.

Fitzroy ostrożnie obmacał sobie twarz. Jęknął.

– Wtedy zatrzymają mnie na całą noc na komisariacie. A tłuścioch złoży na mnie doniesienie o nielegalny hazard. Nie ma mowy. Mam jeszcze dzisiaj spotkanie.

– Przecież tu chodzi o twojego zamordowanego kumpla...

– W jego sprawie policja potrzebuje przede wszystkim twojego zeznania, a nie mojego – odparował Peel.

– A kto dla ciebie dzisiaj jest jeszcze taki ważny? Swoją drogą, nie wyglądasz specjalnie atrakcyjnie.

– To nie randka. To poważna partia pokera. Chodzi o miliony.

Czy rzeczywiście zamierzał tam pójść? Po tym wszystkim, co się wydarzyło?

– O miliony? – wyjąkał Jan.

– Wokół takich wydarzeń jak ten szczyt zawsze znajdzie się kilka bardzo, bardzo bogatych osób, które nie odmówią udziału w grze o wysoką stawkę. I chętnie zmierzą się z takim profesjonalistą jak ja.

– I to jest legalne?

– Legalne.

– No tak, to dlatego musisz unikać oskarżenia o nielegalny hazard. I po takich spotkaniach wracasz do domu bogatszy o parę milionów?

– Czasami. A na policję mogę ewentualnie wpaść jutro.

– Czyli mam obok siebie milionera?

Fitzroy nie odpowiedział.

– To po cholere dajesz się okładać po pysku w takich podrzędnych knajpach?

– A nie było wesoło?! To świetna zabawa! Dopóki ktoś nie pokazał, że nie umie przegrywać.

– Ja mam inne wyobrażenie świetnej zabawy.

Nagle Jan chwycił go za rękę i wciągnął w bramę domu. Po chwili, wystawiwszy ostrożnie głowę zza węgła, rozejrzał się dookoła.

Uspokoił się.

– Przepraszam – powiedział. – Myślałem...

Wyszli z bezpiecznego cienia i pospieszyli dalej. Na ulicach kręciło się mnóstwo ludzi. Przed sobą mieli światła katedry, mijali muzea. Jakiś człowiek w łachmanach grzebał w pojemniku na śmieci.

– Tak naprawdę chciałem tylko zabić czas do spotkania z Willem. Pogawędziłem trochę z paroma facetami i nagle, nie wiadomo kiedy i jak, zaczęła się gra... Muszę wstąpić do hotelu, żeby się odświeżyć.

Przez kilkanaście sekund Jan szedł w milczeniu. Od czasu do czasu niebo jaśniało od dalekich błyskawic.

– U mnie w domu jak nic czeka policja – powiedział Jan. – Mógłbym skorzystać z twojej łazienki?

Chociaż znali się dopiero od godziny, chłopak nie wydawał się Peelowi ani trochę obcy. Błysnęło. Fitzroy policzył sekundy, które upłynęły do grzmotu. Burza była oddalona co najmniej o sześć kilometrów.

– Ale uprzedzam: nie uprawiam seksu na pierwszej randce.

– Bez obaw. Nie jesteś w moim typie. Daleko ten twój hotel?

– Jeszcze parę minut.

Niemal kłusem dotarli do alei Unter den Linden. Na szerokiej ulicy pełnej ludzi i samochodów Fitzroy czuł się bezpieczniej. Przed jakimś bankiem demonstranci rozstawili obozowisko. W świetle latarni prowadzili rozmowy między poszczególnymi namiotami. Na chodniku Unter den Linden!

– Co oni tu kombinują? – spytał Jan.

– Pewnie próbują zrobić powtórkę z Okupuj Wall Street – wyraził przypuszczenie Fitz.

– Co takiego?

– No tak, za młody jesteś, żeby to pamiętać. W reakcji na wielki kryzys po krachu w dwa tysiące ósmym protestujący na całym świecie zajmowali

miejsca i place przed bankami. Ale nie wytrzymali długo, bo byli źle zorganizowanymi bałaganiarzami pozbawionymi celu.

– I co to niby ma dać? – rzucił Jan, zerkając ostatni raz na ludzi przed bankiem, po czym spytał: – Po co umówiłeś się z Willem w Golden Barze?

– A po co człowiek się umawia ze starymi przyjaciółmi? Wiedział, że pewnie tu będę, i skontaktował się ze mną. Długo się nie widzieliśmy. – Zbyt długo.

Maja stała w zaduchu z drugim pisco sour w dłoni, próbując uporządkować strzępki opowieści brzuchacza. Jeżeli Jan Wutte zmyślił tę swoją historię, nasuwało się pytanie, po co to zrobił. I po co po wydarzeniach w Tiergarten przyjechał właśnie tutaj? Przecież mógł się spodziewać, że policja go wytropi.

Jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Fitzroy Peel? Który rzeczywiście istnieje. Między nimi dwoma mogło być jakieś wcześniejsze powiązanie. Które pewnie dałoby się ustalić. Gdyby miało się na to czas i ludzi do dyspozycji.

Odwróciła się w stronę kolegów. Właśnie zaczęli zbierać zeznania świadków.

– Spytajcie, czy ktoś nie filmował całego zajścia komórką. Jeśli tak, poproście o nagranie. Możliwe, że jakieś filmiki są już w internecie. Zabezpieczcie je.

Niektórzy z gości z własnej woli pokazali im to, co zarejestrowali. Większość nagrań była jednak zbyt ciemna i niewyraźna, by móc cokolwiek rozpoznać na pierwszy rzut oka. Ktoś będzie musiał je dokładniej przeanalizować, o ile znajdzie się na to czas. Możliwe, że na nią to spadnie. Potrzebowała wsparcia. Jörn niezbyt jej pomagał, dopóki traktował Jana Wuttego jako podejrzanego, a nie podchodził do niego obiektywnie. Poza tym brakowało mu kwalifikacji do prowadzenia dochodzeń w sprawie zabójstwa. A cała reszta była zajęta przy szczycie albo demonstracjach.

Maja zadzwoniła do centrali.

– Potrzebuję informacji o gościach zameldowanych w hotelach – powiedziała. Po ucieczce z miejsca zdarzenia Jan Wutte z pewnością nie popełni takiego błędu i nie pojawi się u siebie w domu. Pozostawała druga osoba dramatu, której nazwisko jest im znane. – Chodzi o niejakiego Fitzroya Peela. – Maja przeliterowała powoli.

Czas oczekiwania wypełniła sobie, sącząc resztkę drugiego pisco sour.

Fitzroy Peel zatrzymał się w hotelu The Dome. „Wow, faceta stać na jeden z najbardziej luksusowych hoteli w mieście. Musiał być dobry w te swoje gierki”.

Maja rozejrzała się za Jörnem.

Szybko przecięli Unter den Linden. Fitzroy nie mógł przestać myśleć o Willu. Przez lata wspólnych studiów i pracy mocno się ze sobą zaprzyjaźnili. A potem widywali się coraz rzadziej. Od czasu do czasu któryś zadzwonił albo wysłał e-mail. Może raz w roku udało się im spotkać.

– Mogę zrozumieć, że ciebie chcą usunąć jako świadka. – Peel przerwał milczenie. – Ale z jakiej racji mnie?

– Za to, że oszukujesz w grze?

– Wcale nie oszukuję. Tylko ludzie nie potrafią liczyć. Albo myśleć. Albo ani tego, ani tego. To nie moja wina.

– Tamci dwaj jednak to wyliczyli.

– Ale źle. Wyliczyli średnią wszystkich możliwych wyników, tak zwaną średnią układową. Jakby wyliczali przeciętną społeczeństwa. I nie uwzględnili przy tym, że ich wkład po każdym rzuceniu monetą będzie się zmieniał. Jakby decyzje i ich skutki nie odgrywały żadnej roli. Jakby dynamika rozwijająca się w czasie nie odgrywała żadnej roli. I jakby sam czas też nie odgrywał żadnej roli.

– Czyli jak powinni byli to wyliczyć?

– Chodzi o średnią czasową. To jest zasada znana każdemu ciułaczowi odsetek od odsetek. Baza twoich obliczeń zmienia się po każdym kolejnym przyroście. Odkładasz sto euro, dostajesz dwa procent odsetek...

– Gdzie, przepraszam, dostaję dwa procent odsetek?!

– Mówię tylko przykładowo...

– I tak zarabiam za mało, żeby coś odkładać. Prawdziwe pieniądze trafiają zawsze w ręce jakichś smarkaczy, banksterów i polityków!

– Po roku masz sto dwa euro. – Fitzroy zignorował jego wybuch. – I one są nową bazą dla dwóch procent w następnym roku, które wyniosą dwa euro i cztery centy. I tak dalej, rok za rokiem. Przy większych kwotach przez długi okres uzbiera się całkiem ładna suma.

Odbił w boczną ulicę.

– To dlaczego nam ciągle ubywało?

– Rany boskie! Bo to były inne liczby! W tym przypadku średnia czasowa jest negatywna. Może szybciej to zrozumiesz, jeśli weźmiesz pod

uwagę tylko dwie rundy. Jeżeli zaczynasz ze stoma punktami i przegrywasz w pierwszym rzucie, zostaje ci sześćdziesiąt punktów. Jeżeli po drugim rzucie wygrywasz, dostajesz pięćdziesiąt procent sześćdziesięciu punktów, czyli...?

– Trzydzieści punktów – odpowiedział Jan. – To jeszcze ogarniam.

– A to daje w sumie...

– Dziewięćdziesiąt.

– To znaczy, że po jednym przegranym i jednym wygranym rzucie straciłeś już dziesięć procent – podsumował Fitzroy.

– Czyli najpierw powinienem wygrać – rzekł Jan. – Bo wtedy po jednym rzucie ze stu punktów robi się sto pięćdziesiąt. I jeśli w kolejnym stracę z tego czterdzieści procent, to będzie... – Fitzroy czekał spokojnie, aby chłopak sam do tego doszedł – sześćdziesiąt punktów mniej! – obwieścił z dumą Jan. – To daje... Moment! Mam dziewięćdziesiąt punktów!

– Dokładnie. Przy tak określonym zakładzie w dłuższej perspektywie tracisz co runda przeciętnie pięć i jedną dziesiątą procenta.

– To znaczy, że średnia układowa – czy jak ona się nazywa – jest inna niż średnia czasowa? Ta sama wartość może mieć różne średnie?

– Tak. Matematycy mówią na to, że układ nie jest ergodyczny. Większość ludzi uważa, że średnia układowa i czasowa zawsze są takie same, czyli używając matematycznego języka: ergodyczne.

Gdy Fitzroy zauważył, że na ulicy jest mniej ludzi, zawrócił.

– Czyli jeśli chce się grać, trzeba wiedzieć takie rzeczy.

– Większość popełnia ten błąd, że gra, nie wiedząc. I właśnie dlatego prawie nikt nie potrafi właściwie obchodzić się z pieniędzmi, i nie tylko...

– Włączając mnie.

– ...i nie kapują nawet tego, że akcja, która traci dziesięć procent na wartości, musi potem wzrosnąć o *więcej* niż dziesięć procent, aby powrócić do takiego samego poziomu.

– Jak to?

„Czy ten chłopak jest kompletnie ograniczony?”

– Jeśli akcja o wartości stu euro traci dziesięć procent, jej wartość wynosi dziewięćdziesiąt euro – wyjaśniał niecierpliwie Fitzroy. – Dziesięć procent od dziewięćdziesięciu to dziewięć. Czyli wzrost o dziesięć procent daje...

– ...dziewięćdziesiąt dziewięć. O kurde. Nie sto.

– Otóż to. A więc wartość akcji powinna by wzrosnąć nie o dziesięć procent, ale o jedenaście przecinek jeden, aby dojść z powrotem do stu.

– I ty to wszystko obliczasz w głowie?

– Tak. Też byś mógł. Gdybyś chciał.

Jan przyjrzał mu się uważnie.

– Ale to nie wyjaśnia, dlaczego tamci faceci rzucili ci się do gardła.

Na samo wspomnienie napastnika z rozbitą butelką Fitzroyowi zrobiło się gorąco.

– No nie.

„Boże, co w ostatnich sekundach musiał czuć Will, kiedy się zorientował, jaki los go czeka!”

O ile wersja Jana jest prawdziwa.

Chłopak obejrzał się nerwowo za siebie.

– Mam na to właściwie tylko jedno wyjaśnienie – dodał Fitzroy. – Ci goście myślą, że przed śmiercią Will powiedział ci coś, czego nikt nie powinien się dowiedzieć, a ty przekazałeś to mnie.

– Ale nie powiedział.

„Według ciebie”.

– Daleko jeszcze?

Grupa Ela rozdzieliła się i spenetrowała samochodami i pieszo wszystkie ulice w pobliżu Golden Baru. El zadawał sobie pytanie, czy w tej okolicy zawsze tyle się dzieje, czy po prostu robotę utrudniają im demonstranci i turyści, którzy przyjechali do Berlina w związku ze szczytem. W bocznych uliczkach było trochę spokojniej. Na miejscu samarytanina i hazardzisty El też wmieszałyby się w tłum. To jak szukanie igły w stogu siana. Sprawdzali kolejne lokale bez specjalnej nadziei. Roba posłał na wszelki wypadek pod domowy adres Wuttego, już dawno dobił do nich Bell. Wutte jest stąd i jeśli ma przyjaciół w okolicy i u nich się zamelinował, nie będzie łatwo go znaleźć.

To zadanie wymagające czasu. Główne zlecenie wykonali. Jeśli jacyś wariaci puścili już w świat teorie spiskowe na temat wypadku limuzyny, to w najgorszym razie będą powtarzane w tradycyjnych mediach przez cały dzień, przez kilka godzin pokrążą w mediach społecznościowych, a potem znikną w niezmiernych przestrzeniach World Wide Waste, lecz nie dla garstki niepoprawnych fanów kłamstw.

Z tym El potrafił się pogodzić, to nie stanowiło problemu. Problemem był jego zleceniodawca. Rozkaz brzmiał „żadnych świadków”. W przeciwnym razie...

Poczuł, jak między łopatkami ciekną mu strużki zimnego potu.

W słuchawce w uchu odezwał się głos Jacka:

– Mam adres hotelu Peela.

Jan z trudem dotrzymywał kroku długonogiemu Fitzowi. Zmierzali w kierunku Gendarmenmarkt. Rzadko mijał ich ktoś z naprzeciwka. Puste ulice wzbudzały w nim niepokój, mimo że nie sądził, aby człowiek z brodą jak kowadło szedł za nimi.

– Ostatni raz widziałem się z Willem prawie rok temu – zaczął opowiadać Fitz. – Podczas konferencji w Los Angeles. Tak jak teraz. Od tamtej pory wymieniliśmy ze sobą tylko parę esemesów, co słyhać i tak dalej. A tydzień temu napisał mi dłuższą wiadomość, że pracuje nad jakąś ciekawą sprawą.

– Jaką?

– Tego nie zdradził.

– Czy to mogło mieć coś wspólnego z waszymi ostatnimi rozmowami w Los Angeles?

– Nie mam pojęcia. Wtedy akurat był opętany pewną formułą, kryterium Kelly’ego. Wiedział, że jako graczowi nie jest mi to obce.

– Kryterium Kelly’ego?

– Dzięki niemu możesz wyliczyć, czy powtarzanie zakładu ci się opłaca, czy nie. I jaką część swojego majątku musisz postawić, aby w dłuższej perspektywie wygrać maksymalnie dużo.

– Czy to znaczy, że dziś wieczorem ja też mogłem wygrać?

– Raczej nie. Kryterium Kelly’ego pokazałoby ci od razu, że ten konkretny zakład był nie do wygrania dla nikogo.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Uczyłeś się tego jako gracz?

– I jako matematyk, ewentualnie fizyk. Studiowałem te kierunki. Między innymi dwa lata w Heidelbergu...

– Dlatego tak dobrze mówisz po niemiecku.

– ...ale tytuł doktorski zrobiłem w Stanach.

– Jesteś doktorem matematyki? Wow!

– Fizyki. Z matematyki mam tylko magisterium.

– Tylko... Okej.

Obolałe miejsca na twarzy Jana piekły coraz mocniej. Chłopak instynktownie się obejrzał. Nadal nikt nie deptał im po piętach.

– Willa poznałem na studiach. A potem pracowaliśmy w tym samym banku inwestycyjnym w Nowym Jorku.

– Myślałem, że jesteś graczem.

– Na jedno wychodzi – roześmiał się Fitz. – Różnica jest tylko taka, że teraz gram na własne ryzyko, a nie ryzykuję pieniędzy innych. Tak czy siak, dosyć szybko zacząłem się nudzić u Goldmana.

– A dlaczego Willa interesowało to kryterium Kelly’ego? On też był graczem?

– Will? – Fitz uśmiechnął się drwiąco. – Nie, on został u Goldmana przez kilka lat, a potem przeszedł do butików...

– Z bankowca stał się sprzedawcą ciuchów?! – spytał z niedowierzaniem Jan.

– Butik to mniejsza, finezyjniejsza instytucja finansowa – wyjaśnił Fitz.

– Finezja i instytucja finansowa to sprzeczność sama w sobie...

– ...a stamtąd do funduszu hedgingowego Teda Holdena.

– Kim jest Ted Holden?

– Kim jest Ted Holden?! To jeden z najbogatszych ludzi na świecie!

– A, to ten! Przecież codziennie ich widzę u nas w łózkach, które stoją na korytarzu!

– Jeśli Will rzeczywiście siedział w samochodzie z jakimś noblistą – analizował głośno Fitz – to ten zamach był pewnie wymierzony w niego. Policjanci nie wymienili jego nazwiska?

– Habetomson czy jakoś tak.

Fitz, nie zatrzymując się, wstukał coś do telefonu. Szukał.

Jan skorzystał ze sposobności i sprawdził swoją komórkę. Nie zaglądał do niej od wydarzenia w Tiergarten.

– *Shit.*

– Co?

– Miliony nieodebranych połączeń od matki. Esemesy. E-maile. Mam się odezwać, policja była w domu. I połączenia z jakiegoś nieznanego numeru.

– Uspokój ją, że u ciebie wszystko w porządku – poradził Fitz, nie podnosząc wzroku znad wyświetlacza. – Inaczej umrze ze strachu o ciebie.

– Nie moja matka.

– Wszystkie matki są takie same. No, może prawie wszystkie.

– Ale u mnie wcale nie jest w porządku!

– Myślisz, że lepiej się poczuje, jeśli jej napiszesz, że cię skatowali, że jesteś podejrzany o zabójstwo i właśnie uciekasz przed bandytami?

Racja. Jan napisał: *Jest ok. Odezwę się później.*

– Herbert Thompson – powiedział w końcu Fitz i pokazał Janowi szereg zdjęć. – Czy to on był w samochodzie?

Chłopak przystanął, powiększył fotografie i przyjrzał się im dokładnie.

– Jestem w totalnej dupie – jęknął. – To on.

– Ale to nie twoja sprawka?

– Jasne, że nie!

– W takim razie pytanie brzmi: dlaczego oni zostali zabici akurat dzisiaj? I akurat tutaj?

Fitz znowu zajrzał do komórki.

– Thompson miał wygłosić mowę na otwarcie szczytu – odczytał po krótkim poszukiwaniu.

– Był laureatem Nagrody Nobla – wtrącił Jan. – Ktoś taki musi mieć chyba własne biuro, asystentów, współpracowników. Może ktoś tam by coś wiedział?

– I na pewno by nam powiedział – zadrwił Fitz, ruszając z miejsca.

– Blefowanie to twój zawód.

Fitz zatrzymał się ponownie i znowu zaczął szperać w internecie.

– Czy to nie może poczekać, aż znajdziemy się w hotelu? – spytał ze zniecierpliwieniem Jan.

– Hotel nie ucieknie.

– Informacje o Thompsonie też nie.

– Wykłada na Stanfordzie w Kalifornii, w London School of Economics i w Singapurze.

Dokładniejsze poszukiwanie dało efekt w postaci danych adresowych wszystkich trzech instytutów włącznie z numerami telefonów.

– O Singapurze możemy zapomnieć – stwierdził Fitz. – Tam jest sześć godzin później. Czyli środek nocy. W Londynie też już mamy wieczór. A w Kalifornii jest osiem godzin do tyłu, a więc dopiero przedpołudnie.

Fitz spróbował się połączyć ze Stanfordem. Zajęte. Jeszcze raz. Zajęte. Ale to znaczy, że ktoś jest.

– Zadzwoń później – powiedział i spojrzał przed siebie.

– Jesteśmy na miejscu.

Hotel znajdował się sto metrów przed nimi.

Jan chwycił Fitz za ramię. Na podjeździe zatrzymał się policyjny samochód. Właśnie wysiedli z niego wysoki policjant w mundurze

i kobieta. Po czterdziestce. Niska, krępa, mocna sylwetka. Dżinsy, kurtka podobna do kurtki Jana. Spod czapki z daszkiem wystawał koński ogon.

– Znam go! – szepnął Jan. – To on chciał mnie aresztować!

– Ale co oni robią pod moim hotelem? – rzucił Fitz.

Kobieta zdecydowanym krokiem ruszyła pierwsza, pokazała coś portierowi. Jej kolega szedł za nią.

– No to się odświeżyliśmy – westchnął Jan.

To, że przed hotelem pojawił się funkcjonariusz, który przepytывał Jana przy wraku, to nie mógł być przypadek. Fitzroy Peel na razie się nie pokazał. Wutte też gdzieś przepadł. El zastanawiał się, czy po wspólnej ucieczce w końcu się nie rozdzielili. Najwyraźniej policja przez Wuttego dotarła do Brytola. I to najbardziej mąciło obraz. Bo co on ma wspólnego ze sprawą?

– Dopóki radiowóz stoi na samym widoku przed hotelem, Peel na pewno się tutaj nie pokaże – stwierdził Jack.

– O ile jest razem z Wuttem – zauważył El. – Tak czy inaczej, obecność glin nie ułatwia nam zadania. Zastanówcie się! Gdzie moglibyśmy ich znaleźć?

– A może Wutte mimo wszystko pojedzie do domu?

– Gdzie jak gdzie, ale tam na pewno czeka na niego policja. I my. Nie. Wygląda na to, że Cantor coś mu zdradził. I dlatego odszukał Peela w Golden Barze.

– Niech to szlag – powiedział Jack. – Tak czy owak, nadal nie rozumiem, dlaczego Wutte w ogóle włączył się do gry w barze. Jeśli chciał tylko porozmawiać z Peelem, mógł to zrobić od razu. Albo poczekać, aż skończy grać.

– Ja też od początku zadaję sobie to pytanie – przyznał El. – I mam tylko jedno wyjaśnienie: Cantor posłał Wuttego do Peela, bo Peel coś wie.

– Gdyby tak było, Brytol szybciej zareagowałby na obecność Wuttego. Moim zdaniem on też nic nie wie. I w związku z tym obaj będą chcieli ustalić, dlaczego depczemy im po piętach.

– Niestety. A że to *my* im depczemy, zrozumieli po bójce w barze.

– Gdzie oni mogli się zamelinować? Dokąd byś poszedł?

Dobre pytanie.

El pomyślał o jednej możliwości.

Fitzroy zapatrzył się w nocne niebo. Stali ukryci w wejściu do kamienicy dwie ulice dalej. Na chodniku zawirował tuman kurzu wzbity gwałtownym podmuchem wiatru. Błyskawice i grzmoty się oddaliły. Za to znowu zaczęły terkotać helikoptery.

– Tak czy owak, trzeba by się gdzieś umyć – powiedział, spoglądając na Jana. – W takim stanie nigdzie cię nie wpuszczą. – Podał chłopakowi chustkę. – Przynajmniej wytrzymaj sobie twarz. A jak ja wyglądam?

– Trochę wody też by ci nie zaszkodziło.

Fitzroy napluł sobie w dłonie i przeciągnął nimi po włosach.

– Przynajmniej nie ma już śladów krwi – stwierdził Jan.

Anglik wyszedł na chodnik. Po obu stronach ulicy rozrzucone były lokale. Przed jednym z nich jakiś mężczyzna grzebał w kontenerze. Obok niego stało dziecko.

– Znowu oni – rzucił Fitz. – Zupełnie jak w Londynie czy Nowym Jorku.

– Teraz tutaj to już standard – odpowiedział Jan. – Powinieneś zajrzeć do innych dzielnic.

– Idziemy.

Jan zwilżył chusteczkę językiem.

– A jeżeli w tym zamachu chodziło o Willa? – zastanawiał się na głos, wycierając ostrożnie skórę dookoła oka i krzywiąc się z bólu. – Czy to możliwe, żeby wymyślił coś, co kosztowało go życie? Coś, co miało jakiś związek z waszą ostatnią rozmową?

– Z kryterium Kelly’ego? Wszyscy ekonomiści, włącznie z noblistami, drwili z tego. Ale praktykom z branży finansowej ta zasada służy głównie jako podstawa strategii inwestycyjnych. Bo w długiej perspektywie przynosi największy zysk. I jednocześnie uniemożliwia bankructwo. Przetrwać z maksymalnym zyskiem. Ale to przecież nie tajemnica.

Zajrzeli do pierwszej knajpy. Tłoczno, dość ciemno, żadnego bramkarza. Zwykła klientela, niezbyt elegancka. Nie powinni rzucać się w oczy w swoim stanie. Przynajmniej nie od razu.

– Wchodzimy.

Poszli prosto do łazienki. Nędzna lampa pod sufitem nieco złagodziła obraz, jaki przedstawiały ich twarze w poplamionym i popękany

lustrze. Ściana nad jedyną umywalką była wytapetowana wieloma warstwami plakatów zapowiadających różne imprezy. Mokre strzępy papierowych ręczników zaściełały posadzkę. W dozowniku nie było mydła.

– Cholera – wymamrotał Fitzroy, uważnie przyglądając się odbiciom ich twarzy w lustrze.

Przy lewym oku chłopaka wyrósł spory guz, na spuchniętej dolnej wardze zaschła krew. Resztę krwi Jan, podobnie jak Fitz, rozmazał po całej twarzy.

– Wyglądam jak po poparzeniu słonecznym.

Fitzroy umył twarz.

– Może Will wpadł na jakiś nowy superpomysł – powiedział Jan, podciągając ostrożnie T-shirt. Wzór z sinych plam widoczny na żebrach z lewej strony i na nadbrzuszu idealnie pasowałby do żyrafy.

– Jeśli nawet, to przecież nie powód, żeby kogoś mordować – odpowiedział Fitz z twarzą ociekającą wodą.

– Za mniejsze rzeczy podrzynano ludziom gardła... – Jan obmacywał sobie żebra, pojękując. – Fitzroy – powiedział z naciskiem. – Co to za imię?

– Mojej mamie wydawało się oryginalne – stwierdził Anglik. – Angielska arystokracja lubi takie rzeczy.

– Dla mnie jest za skomplikowane. Będę mówił do ciebie Fitz.

– Wolę nie.

– Już postanowione.

– A jeśli Will wymyślił dla Teda Holdena złotego osła? – zastanawiał się na głos Fitz, poprawiając kołnierzyk koszuli.

– Złotego osła?

– Tak nazywaliśmy z Willem efektywne strategie inwestycyjne.

Wyglądał dłońmi koszulę. Wyglądała prawie normalnie.

– Złoty osioł dla superbogaczy. Nie brzmi szczególnie sympatycznie.

– Może brzmieć mało poważnie, jednak Will uznał, że to interesujące wyzwanie. Pieniądze były dla niego mniej istotne.

– Ale pewnie mimo wszystko je wzięł.

– Apartamenty za miliony, domki w górach, jachty, narkotyki, podróże jetami, luksusowe kobiety, cały ten blichtr w ogóle go nie interesował. Will to typowy kwant – wyjaśnił Fitz, ścierając wilgotną chustką prawie niewidoczne ślady krwi ze swojej ciemnej kurtki. Pytające spojrzenie Jana

w lustrze sprawiło, że szybko dodał: – Analityk kwantytatywny. Superinteligentny, może lekko autystyczny, kto wie. Ludzie tacy jak on widzą wzory, porządek, procesy i systemy tam, gdzie dla innych panuje tylko chaos, *noise*. Spod palca, tak po prostu, wypiszą ci tyle formuł i algorytmów, ilu cała horda mniej uzdolnionych gości nie wymyśli przez całe swoje życie. Branża finansowa płaci za coś takiego niesamowite kokosy.

Fitzroy przerwał. Wpatrzył się w odbicie Jana, który właśnie mył sobie szyję. Już prawie przypominali ludzi.

– Coś mi się przypomniało... Po naszej ostatniej rozmowie nasunęły się pytania, na które nie umiałem odpowiedzieć. Na przykład według jakich kryteriów podejmują decyzje ekonomiści. Powiedziałem mu, że powinien o to spytać raczej ekonomistów.

– I spytał? – zainteresował się Jan.

– W firmie ich nie brakowało. Will wymienił nawet jakieś nazwisko. – Fitz zmarszczył czoło. – Jean. A może Jeanne. Tak, to była Jeanne Dalli.

Oślupiały Jan wpatrzył się w odbicie Fitz'a w lustrze.

– Szann Dalli. Will Cantor coś takiego wystękał! Myślałem, że chodzi mu o jakąś Chantal.

Jeanne Dalli – Chantal. Konając, połknął końcowe „i”.

Już sama gigantyczna kompozycja kwiatowa w hotelowym foyer kosztowała pewnie co najmniej dwie miesięczne pensje Mai. W lobby i przylegającym do niego barze kręcili się ludzie ze wszystkich stron świata o gangsterskich fizjonomiach, od których nie mogły odwrócić uwagi nawet nieprzyzwoicie drogie, za to rzadko świadczące o smaku markowe ciuchy. Obrobiwszy własne kraje i swoich współobywateli, zapewnili sobie wygodne życie w bezpieczniejszych rejonach. To byli imigranci, których rzeczywiście należałoby wyrzucić.

Maja poprosiła Jörna, aby został przy wejściu i czekał na jej sygnał. W recepcji nie bawiła się w ceregiele.

– Dobry wieczór. Maja Paritta. Jestem umówiona z Fitzroyem Peelem. Czy mogłaby pani go poinformować, że już jestem?

Recepcjonistka sprawdziła w komputerze, po czym sięgnęła po słuchawkę telefonu. Po kilku sygnałach odłożyła ją z powrotem.

– Przykro mi, nie odbiera.

– A czy jest w hotelu? – Maja nie dawała za wygraną.

Dzięki elektronicznemu systemowi otwierania drzwi kobieta mogła sprawdzić, kiedy ostatnio była używana karta zbliżeniowa do jego pokoju.

Recepcjonistka wahała się przez chwilę, czy może przekazać taką informację.

– Nie wygląda na to – powiedziała w końcu.

– Dziwne – rzekła Maja. – Nie ma sprawy. Spróbuję zadzwonić do niego na komórkę. Dziękuję.

Idąc do wyjścia, skontaktowała się z centralą.

– Potrzebuję zgody na zlokalizowanie telefonu.

Jan i Fitz wypatrzyli dwa wolne miejsca przy wysokim stoliku pod ścianą w głębi lokalu i zamówili po piwie. Gości nie ubywało, mimo to nie było zbyt hałaśliwie. Fitz wyglądał jak nowo narodzony, pomijając lekką opuchliznę pod jednym okiem. A zadrapania i nieduże limo na twarzy Jana mogły równie dobrze pochodzić od upadku na rowerze. Nie rzucali się w oczy. Peel szperał w komórce. Po chwili podsunął ją Janowi pod nos.

– Proszę, to jest Jeanne Dalli.

Zdecydowanie zbyt ładna aktorka gra odnoszącą sukcesy młodą adwokat albo finansistkę. Czy tacy ludzie naprawdę istnieją w rzeczywistym świecie?

– Pracowała w Syllabus Invest, w funduszu hedgingowym, w którym był też zatrudniony Will. Krótka notatka, że się przeniosła. W ramach imperium.

– Jakiego znowu imperium?

– Teda Holdena. Jeanne Dalli od siedmiu miesięcy pracuje w zespole osobistych asystentów Holdena. Biedna...

– Dlaczego? – Jan wyobrażał sobie, że jako asystentka multimiliardera dziewczyna musi zarabiać całkiem nieźle. A z takim wyglądem małżeństwo za jakiś czas też nie jest wykluczone.

– Bo to koszmar – powiedział Fitzroy. – Praca dwadzieścia cztery godziny na dobę. Poza tym Holden jest znany jako despotyczny choleryk.

– A kto mu zabroni?

– Możliwe, że Will rzeczywiście rozmawiał z nią o jakimś pomysle. Musimy spróbować się z nią skontaktować.

Znowu dotknął komórki.

– Ted Holden ma swoją centralę w San Francisco. Teraz jest tam przedpołudnie.

Wyglądało na to, że znalazł nawet numer telefonu.

– Dzień dobry. Mówi James Donahue, Templebridge-Capital, chciałbym rozmawiać z Jeanne Dalli. – Wyszczерzył się do Jana, który znał angielski na tyle, by zrozumieć, co powiedział Fitz.

– Ach tak. Naprawdę? W porządku, dziękuję. A jak mógłbym się z nią skontaktować?

Zmarszczenie czoła.

– Rozumiem. Oczywiście. Ale to naprawdę ogromnie ważne. Może zechciałaby pani podać mi chociaż nazwę hotelu. Zadzwońiłbym tam i zostawił wiadomość. A Jeanne sama by zdecydowała, czy się do mnie odezwie.

Wykrzywił twarz: „Czy kobieta da się nabrać?”.

Cholera!

– Mimo wszystko dziękuję. Do usłyszenia.

Rozłączył się i wymamrotał pod nosem coś, czego Jan nie zrozumiał i co nie brzmiało szczególnie sympatycznie.

– Dobra wiadomość – zwrócił się w końcu do Jana – jest taka, że Ted Holden przyjechał na szczyt do Berlina! I Jeanne Dalli razem z nim!

– Jak jest dobra wiadomość, to musi być i zła.

– Babsko nie chciało mi podać ani hotelu, ani numeru telefonu, pod którym mógłbym ją złapać.

– W tej sytuacji tym bardziej musimy ustalić, co Will chciał nam powiedzieć – upierał się Jan. – Co takiego wiedział, że musiał zginąć? Czy chodziło o jakąś superstrategię inwestycyjną? Czy o co?

– A może był tylko przypadkową ofiarą zamachu na Thompsona – wtrącił Fitzroy, marszcząc czoło. – Nie mogę się pozbyć wrażenia, że to jest sprawa za dużego kalibru jak na nas.

– Wiem, że się powtarzam, ale po co w takim razie posłałby mnie do ciebie? Co ty takiego wiesz?!

– Nie mam pojęcia! Zielonego pojęcia!

– A nie wspomniał ci przypadkiem, gdzie się zatrzyma?

– W hotelu Raal.

– Musimy się tam dostać. Może znajdziemy jakieś papiery. Cokolwiek.

– Ja nic nie muszę! Nie zamierzam się włamywać do hotelowego pokoju. Jedyne, co muszę, to stawić się za dwie godziny przy stoliku.

W miarę umyty i w świeżej koszuli.

– Nie obchodzi cię, kto zabił twojego przyjaciela? Jest ci to obojętne? I nie chcesz się dowiedzieć, kto próbował zrobić to samo z tobą? I może spróbuje znowu?

Fitz westchnął ciężko.

– Przemknęło mi to przez głowę... – wymamrotał.

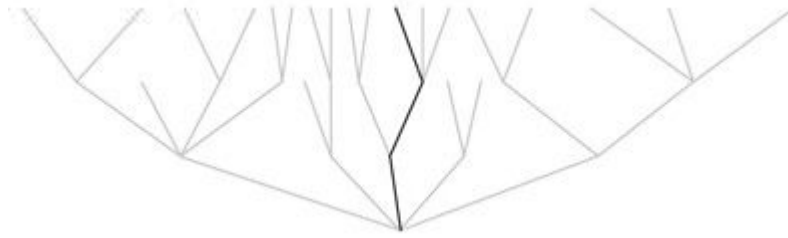
– Gdzie jest ten Raal? – spytał Jan.

Peel sprawdził w komórce.

– Niedaleko stąd.

– To damy radę jeszcze przed twoją partyjką. Może coś znajdziemy. I przy okazji będziesz mógł się umyć.

Decyzja trzecia



„W następnej fazie ewolucji komórki tworzą według tej matematycznej zasady kooperatywy”

Will Cantor

– I nad czym znowu ci państwo tak tam debatują? – powiedział z rozdrażnieniem Ambrose Peel, z którym Jeanne stała pod jednym z łuków z boku sali. – Kolejny raz chcą się ubrać w szaty zbawców świata, chociaż to oni są odpowiedzialni za cały ten rozgardiasz?

Ted zostawił ją w towarzystwie lekko podchmielonego Brytyjczyka. On sam zaś i wielu jego dzisiejszych rozmówców, od biznesmenów począwszy, na politykach z całego świata skończywszy, siedzieli wokół najbardziej oddalonego stołu i dyskutowali z ożywieniem. Agenci ochrony osobistej i asystenci mniej lub bardziej dyskretnie dbali o to, aby nikt z pozostałych gości im nie przeszkadzał.

Peel opróżnił kieliszek szampana i złowił kolejny z tacy przechodzącego obok kelnera.

– Dla pani?

Jeanne podziękowała. Konsekwentnie trzymała się wody.

Jej towarzysz roześmiał się krótko.

– Pani uwaga o przystosowanych była dosyć dowcipna – powiedział. – I bezczelna, przynajmniej w tym gronie. Co sprawiło, że tak inteligentna i dowcipna osoba jak pani trafiła do branży finansowej?

– Pieniądze? – odpowiedziała Jeanne bez wahania, odnotowując jednocześnie, że Peel nie pozwolił sobie na aluzję ani do jej wyglądu, ani do jej płci, jak uczyniłoby wielu w takiej sytuacji.

„Co sprawiło, że tak inteligentna, dowcipna i *piękna kobieta* jak pani trafiła do branży finansowej?”

– Oj, to teraz strasznie nudne – stwierdził z żalem Peel.

– Tylko wtedy, gdy zawsze się je miało – odparła Jeanne z uśmiechem.

Co nie dotyczyło jej, córki kierowcy autobusu i nauczycielki z Arizony.

– I jeszcze błyskotliwa – rzucił Anglik, ukazując zęby w uśmiechu i unosząc kieliszek w jej stronę.

– Czerpię z dobrych wzorców – odrzekła, przekrzywiając nieco głowę.

Jego sposób mówienia, mimika i cały sposób bycia świadczyły jednoznacznie o przynależności do brytyjskiej *upperclass*. Peel nie mógł ukryć swojego pochodzenia, prawdopodobnie z dużymi pieniędzmi w tle. I przypuszczałnie wcale nie chciał.

– A co sprawiło, że taki marsowy prowokator jak pan trafił do dyplomacji?

– A może to dopiero dyplomacja zrobiła ze mnie marsowego prowokatora?

– Wobec tego udało się jej znakomicie. – Jeanne się roześmiała.

– Przypomina mi pani mojego najmłodszego syna – powiedział Peel, a po chwili jego wzrok sposepniał. – Też jest błyskotliwy, ale niczego nie traktuje na serio. – Zamyślił się. – Może właśnie dlatego?

– To już jego musi pan o to spytać.

– Nie widzujemy się za często. – Peel zapatrzył się przed siebie. Potem na jego twarz znowu powrócił ujmujący uśmiech.

– Ratowanie świata zakończone – zauważył, wskazując głową stół w głębi.

Rozmówcy właśnie się podnosili. Ściskano sobie dłonie, poklepywano się po ramionach. Tego wieczoru chętnie poklepywano się po ramionach.

– Wobec tego: *cheers*.

Peel opróżnił kieliszek.

Will Cantor zatrzymał się w berlińskim wariacie luksusowego sieciowego hotelu niedaleko Friedrichstraße. Za dobę trzeba tu pewnie wybulić tyle, ile Jan zarabiał przez miesiąc. Skąd ci ludzie w eleganckich ciuchach wypełniający lobby i bar biorą takie pieniądze? Przecież nie mogą pracować dużo więcej od niego? W końcu dzień ma tylko dwadzieścia cztery godziny. A spać i srać muszą tak samo jak on. Dlaczego ich czas jest znacznie więcej wart niż jego?

Za dziesięciometrowym stołem recepcyjnym z lakierowanego czerwono-brunatnego drewna sześcioro pracowników w ciemnobrązowych uniformach czekało na gości lub już ich obsługiwało.

Jan i Peel ułożyli plan. Jego zaletą było to, że miał go zrealizować Fitz. Bo jest Anglikiem, a angielski Jana wystarczał tylko do oglądania seriali i filmów w oryginalnej wersji. Do takiej akcji się nie nadawał. Dlatego on będzie się trzymać w cieniu. Również z powodu swojej twarzy. Fitz natomiast po wizycie w łazience znowu mógł się pokazywać.

Podszedł śmiało do jednej z wolnych recepcjonistek, podczas gdy Jan ulokował się kilka metrów dalej, przy stelażu z prospektami turystycznymi i zaproszeniami na różnego rodzaju imprezy.

– Doobły wieeczół – przywitał się Fitzroy z amerykańskim akcentem. Za szczerą wolę mówienia po niemiecku otrzymał w zamian najserdeczniejszy fałszywy uśmiech. – Mam wieelko płośbe. Zaczekowaałem sia dopieło dzisiaaj po południu. *And now I forgot my room-card.* Czy moga dostać nowo kaałte?

Kobieta potwierdziła gorliwie:

– Oczywiście. Pański numer pokoju?

– Ou, to jest *next problem*. Ja *just arrived*. I jeszcze nie zapamiętał. *Threehundred and forty-five*, tak mi się wydaje. Cantor. Will Cantor.

Bond. James Bond. W tym momencie chyba już trochę przesadził. Ale poza tym wydawał się, według Jana, całkiem przekonujący. Oby kobieta była podobnego zdania.

– Mister Cantor, zgadza się. Ma pan pokój siedemset pięćdziesiąt sześć. Ostatnie piętro.

Fitz teatralnym gestem stuknął się w czoło.

– Oczywiście! Moja głowa! *Brain*. Wiedziałem, że coś z piątka. Dziękują!

– Ma pan bardzo blisko do tarasu na dachu z basenem.

– *Great!*

Jej smukłe palce szybko zatańczyły na klawiaturze, po czym z szuflady pod ladą recepcji kobieta wyjęła kartę. Nie chciała nawet zobaczyć paszportu.

– Jedną czy od razu dwie? – spytała jeszcze.

– Ou, lepiej dwie. Na wypadek, jeśli znowu zapomna!

„Nie przeginaj!”.

Z lekkim ukłonem wziął od niej dwa czarne plastikowe prostokąty, podziękował i zniknął w lobby, nie zaszczyciwszy Jana nawet przelotnym spojrzeniem.

Udane przedstawienie. Czyli gracze są też aktorami. Jan ruszył w kierunku wind, dokąd rozkołysanym krokiem zmierzał wysoki Fitz.

Jörn wściekał się na korki.

Maja doszła do wniosku, że sama z nim w żaden sposób nie dopadnie Jana Wuttego i Fitzroya Peela. Nie była to wielka tragedia, ponieważ zdjęcie chłopaka zostało już rozesłane do wszystkich jednostek policji. Ale może uda się trochę to przyspieszyć.

Zadzwoniła do starego przyjaciela w centrum koordynacyjnym powołanym w związku ze szczytem.

– Maja! Co mogę dla ciebie zrobić?

– A kto ci powiedział, że ja w ogóle czegoś chcę?

– Jasne.

Ze względu na swoją prośbę udała, że nie słyszy jego drwiącego tonu.

– A kiedy ostatnio zadzwoniłaś tak po prostu?

– Macie dziś w mieście tysiące oczu plus helikoptery, plus kamery, plus, plus...

Musi jak najszybciej się czegoś napić. Z trudem wzięła się w garść.

– Można tak powiedzieć.

– Niebiescy prowadzą pościg. Pewnie wam też przekazali informację. Ale może wy macie lepsze oko do takich rzeczy.

– Bo poza tym nie mamy przecież nic do roboty... Dawaj: nazwisko?

– Dwa. Jan Wutte, miejscowy. I Fitzroy Peel, obywatel brytyjski, aktualnie mieszka w The Dome. Zdjęcia pewnie dostaliście. Czy jednak

wam przysłać?

- Za kogo ty nas masz?
- Za geniuszy.
- No właśnie. Odezwę się, jak coś usłyszę.
- Dzięki.

Załatwione. Następny: Herbert Thompson. „I co ty jeszcze dzisiaj porabiałeś?”

W epoce mediów społecznościowych nie mogło to być szczególnie trudne. Nie brakowało próżnych pajaców, którzy przy takich okazjach chcieli zaistnieć. Fotka z dyktatorem z takiego czy innego kraju, inna z gwiazdą filmową (zaproszoną nie wiadomo z jakiej paki na szczyt polityczny) z jakimś tam *twentysomething* miliarderm online i jedna z laureatem Nagrody Nobla.

Na komórce znalazła parę informacji o planowanych przemówieniach. I nic o miejscu jego pobytu w ciągu minionych godzin.

- Jedźmy do hotelu Herberta Thompsona. Może na coś natrafimy.

Skoro Fitz załatwił kartę, Jan puścił go przodem. Anglik przybliżył plastikowy prostokąt do czytnika i zamek otworzył się z cichym kliknięciem. Peel nacisnął klamkę łokciem. Jan rozejrzał się dookoła. W przedpokoju parkiet na podłodze, po lewej garderoba, stojak na walizkę i szafa. Po prawej wejście do łazienki, biały marmur, armatura stylizowana na staroświecką, lustro do samej podłogi. Obszerna sypialnia miała jedną całkiem przeszkloną ścianę z widokiem na zielony dziedziniec w dole. Schody prowadziły do położonej o pół kondygnacji niżej części dziennej z kanapami, barem i biurkiem. Na górze w sypialni oprócz łóżka stały dwa głębokie fotele i mały stolik. Ten jeden pokój był tak duży jak całe mieszkanie Wuttów. Tylko zdecydowanie bardziej elegancki.

A czego się spodziewał po menedżerze funduszu hedgingowego?

- Skromnie – stwierdził Fitz. – Cały Will.

„Jeśli tu jest skromnie, to jak wygląda nieskromnie?!”

Ale Jan miał tylko przed oczami palącego się człowieka w samochodzie.

Czubkiem buta Fitz otworzył jedną z szafek i podał chłopakowi mały materiałowy woreczek.

– Włóż do niego rękę – polecił – i jeśli będziesz czegoś dotykać, to wyłącznie w ten sposób. – Wsunął dłoń do pustego worka na brudną bieliznę z hotelowym logo. – Odciski palców – wyjaśnił.

Na stoliku między fotelami leżały jakieś papiery i tekturowa teczka. Fitz zaczął je niezdarnie przeglądać, pomagając sobie kostkami gołej dłoni. Jan rzucił okiem na materiały. Wszystko po angielsku.

– Nic szczególnego – stwierdził Fitz. – Prospekty z zabytkami i ciekawostkami miasta.

– Zacznę od szafy – powiedział Jan. – A ty może zajmij się sypialnią.

– Okej.

Chociaż Jan wciąż trzymał rękę w worku przeznaczonym na przybory do czyszczenia butów, posługiwał się nią zaskakująco swobodnie. W szafie znalazł pięć szarych i stalowych garniturów, koszule, białe, niebieskie i w pastelowe prążki. Krawaty, paski. Podkolanówki, żadnych skarpet. Dwie pary wyglądających na drogie butów, wyczyszczonych na wysoki połysk, klasyczny model. Bielizna.

Wszystko bardzo porządnie poukładane. Pokojówka, domyślił się Jan. Mały sejf. Niezamknięty, drzwiczki lekko uchylone. Pusty.

Od czasu do czasu zerkał, co robi Fitz. Ten najpierw sprawdził nocną szafkę, na której leżała napoczęta paczka chusteczek higienicznych, potem zasłane łóżko. Odrzucił narzutę i kołdrę, uniósł poduszki. Postawił nawet na sztorc gruby materac.

Przeszli do części dziennej pół piętra niżej.

Na biurku duży notes z kartkami do wyrywania z nadrukiem hotelu i długopis. Obok teczka z regulaminem hotelowym. Karta z menu w ramach serwisu pokojowego. I teczka o neutralnym wyglądzie, niepasująca kolorystycznie do reszty.

Fitz ją otworzył. Jan rzucił okiem. Znowu wszystko po angielsku. Ale bez błyszczących zdjęć turystycznych atrakcji. Formularze, wydruki. Fitz zainteresował się niedużym eleganckim kartonikiem. Czytał.

– Imienne zaproszenie na oficjalne otwarcie szczytu jutro przed południem – powiedział zdziwiony. – Jak Will je zdobył?

– Mówiłeś, że pracował dla jednego z największych bogaczy na świecie. Może dlatego?

– Dla niego pracują setki tysięcy ludzi w tysiącach firm, jeśli wziąć pod uwagę udziały. Nie, musiał być jakiś inny powód.

El i jego team nie weszli do hotelu razem. Mimo że w swoich strojach akurat w tych dniach niespecjalnie się wyróżniali. Miasto było pełne nie tylko polityków i miliarderów, ale także pracowników ochrony. W porównaniu z niektórymi z nich Eldridge i jego ludzie wyglądali wręcz dystygowanie. Kto tak naprawdę wymyślił jednolity szaroczarny look uzupełniony okularami przeciwsłonecznymi? CIA? Rosjanie? Czy telewizja? Patrząc na większość tych typów, łatwo było się przychylić ku ostatniej opcji. Bo niemal każdy z nich zachowywał się tak, jakby chciał wygrać casting do serialu o agentach. Ciemne okulary, czapka z daszkiem i specjalny makijaż utrudniły przynajmniej programom rozpoznawania twarzy identyfikację Ela i jego kolegów. Podczas gdy on zmierzał do wind, Jack już wsiadał do jednej z nich, aby wjechać na siódme piętro. Sam został w lobby. Bell ruszył w pewnej odległości za Eldridge'em.

W kabinie stało oprócz Ela kilku seniorów; wyglądali na Amerykanów odbywających podróż po Europie. Dawno zaplanowaną. Narzekali na szczyt. Z jego powodu wiele ulic, muzeów i innych atrakcji turystycznych zostało zamkniętych. Wraz z każdą kondygnacją ubywało emerytów.

Na siódmym piętrze wysiadł już tylko El. Puste korytarze, tapety w jasnobezowe pasy, gruba granatowa wykładzina z żółtym szlakiem z esów-floresów na brzegach. Wytwornie. Z wierzchu. Bo pod spodem królowały kartongips i żelbet.

Jack już czekał. Inną windą wjechał Bell. Skręcili w prawo, w kierunku pokoju 756.

Karty zbliżeniowe mieli jeszcze ze swojej ostatniej wizyty sprzed kilku godzin. Gdy Cantor wyruszył na spotkanie ze starcem, oni oczyścili jego pokój ze wszystkiego, co ważne. Nie było tego wiele.

Wprawdzie nie taki był plan, ale teraz muszą dostać się do niego jeszcze raz. Rozsiądą się w nim wygodnie i poczekają na dwa ptaszki, aby same wpadły im w ręce.

El wyjął już kartę, gdy nagle zza drzwi dobiegły dwa głosy. Wystarczył jego krótki gest, by Jack i Bell zamarli. Nasłuchiwali. W środku znajdowali się dwaj mężczyźni. El nie rozumiał, o czym mówią. Ale sądząc po sposobie, w jaki rozmawiali, na pewno nie był to nikt z obsługi hotelowej. Włamywacze? Zachowywaliby się ciszej. Policja? Byłoby ich

więcej. I towarzyszyłby im ktoś z administracji hotelu. Pozostawała tylko jedna możliwość.

Czyli wszystko potoczyło się szybciej, niż oczekiwali. Na znak Ela cała trójka wycofała się pod przeciwległą ścianę na krótką naradę.

Fitzroy i Jan przetrząsnęli szuflady biurka, ale nie znaleźli niczego.

Podparłszy się pod boki, Fitz rozejrzał się dookoła.

„Co takiego wymyśliłeś, Will?”

Jan pochylił się nad biurkiem.

– Fitz.

Wutte uniósł blok z kartkami do notowania, obrócił go na wysokości oczu, w końcu ustawił w taki sposób, aby spojrzeć na jego powierzchnię pod jak najmniejszym kątem.

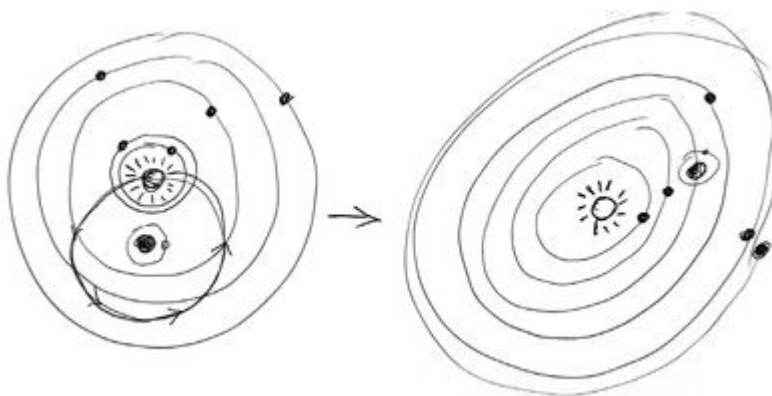
– Na kartce, która została oderwana, musiało być coś napisane. – Rozejrzał się po pokoju. – Ale nigdzie jej nie ma.

Fitzroy uważnie studiował pustą kartkę notesu.

– Coś mogło tu być.

Jan wysunął spod biurka nieduży kosz. Dotąd nie poświęcili uwagi znajdującym się w nim śmieciom. Wutte wyjął kilka zmiętych papierów. Rozłożył je, wygładził.

Na wszystkich trzech kartkach znajdowały się podobne szkice. Na dwóch były opatrzone wieloma poprawkami, prawie nie do odszyfrowania, ponieważ ich autor wszystkie poprzekreślał. Rysunki na trzeciej kartce wydawały się nieco czytelniejsze. Dwie grupy okręgów z małymi kropkami.



Ponizej ktoś nabazgrał niewyraźnym pismem: *Dogmat. Zmiana paradygmatu.*

– Co to może być? – Dobrze pytanie. – Kamienie rzucone w wodę? – zgadywał Jan.

– Will był matematykiem i fizykiem. To przypomina atomy, wokół których krążą elektrony. Jakby chodziło o rozwój od poziomu jeden do poziomu dwa...

– Ten po prawej wygląda trochę jak Układ Słoneczny – zauważył Jan. – Ale ten drugi?

Fitz odruchowo klepnął go w ramię.

– Masz rację! I teraz te słowa nabierają sensu! Rysunek po prawej to nasz Układ Słoneczny. Po lewej mamy szkic geocentrycznego modelu świata obowiązującego aż do wczesnej ery nowożytnej. W którym wszystkie planety i Słońce krążą wokół Ziemi. Faza przejściowa. Teoria epicykli Tychona Brahego z szesnastego wieku. Według niej Ziemia wciąż jest nieruchomym ciałem centralnym, wokół niej krąży Słońce, ale inne planety krążą już wokół niego. A niektóre także dookoła Ziemi.

– Trochę to skomplikowane.

– Kościół nie dopuszczał innego myślenia. Stary geocentryczny obraz świata stworzony przez Ptolemeusza obowiązywał jako dogmat i nie było od niego odstępstw, mimo że prostota i elegancja już od dawna przemawiały za obrazem heliocentrycznym.

– Pamiętam, że coś się o tym uczyłem, Galileo Galilei czy ktoś taki... „A jednak się kręci”.

– Ziemia, tak, dokładnie! Kopernik, Kepler, Galileusz położyli podwaliny pod jedną z najważniejszych zmian paradygmatu w dziejach: to był koniec bezwzględnej władzy Kościoła i narzucania przez niego swoich interpretacji społeczeństwu oraz początek oświecenia.

– Tylko dlaczego Will się tym interesował?

– Miał wszechstronne zainteresowania. Może jednak dopatrzymy się czegoś na tej kartce w bloku – powiedział Fitz, po czym, podobnie jak Jan przed chwilą, uniósł go tak, aby spojrzeć na papier pod światło. – Tu było coś jeszcze poza tymi rysunkami. Więcej tekstu.

Sięgnął po ołówek, przyłożył zaostrzony grafit płasko do kartki i zaczął zamazywać jej powierzchnię. Po chwili cała strona zrobiła się szara z wyjątkiem wgniecionych miejsc, w których odbił się zarys liter napisanych na oderwanej górnej kartce. Białe gryzmoły oblane szarością.

Jan odwrócił się gwałtownie.

– Ktoś jest za drzwiami.

Fitz chyba też usłyszał jakieś odgłosy. Ktoś próbował dostać się do środka!

El przytknął zhakowaną kartę zbliżeniową do zamka i od razu zapaliła się zielona kontrolka. Powoli i niemal bezszelestnie otworzył drzwi. Miał przed sobą wąską część apartamentu z garderobą i szafą po lewej stronie oraz z zamkniętą łazienką po prawej. Wślizgnął się do części sypialnej. Nikogo. Krótki rzut oka do części dziennej. Też nikogo. Obejrzał się. Jack delikatnie nacisnął klamkę w drzwiach łazienki. Nie otworzyły się. Skinął porozumiewawczo do Ela.

Sprzątaczką lub ktokolwiek inny z personelu na pewno nie zamykałby za sobą drzwi.

Jack już trzymał składany zestaw kieszonkowy wyposażony w różne narzędzia.

Na korytarzu czekał w gotowości Bell. Wszedł i po cichu zatrzęsął za sobą drzwi.

Jack przyłożył śrubokręt z zestawu do szczeliny w gałce drzwi łazienkowych. El i Bell ustawili się za nim.

Wszystko to działo się całkiem bezszelestnie. Nic nie zdradzało ich obecności. Długie lata treningu.

Jack delikatnie obracał śrubokręt, starając się robić to jak najciszej. Ale ktokolwiek znajdował się w łazience, musiał zauważyć powolny obrót gałki.

Gwałtownym ruchem Jack pchnął drzwi. Ponad jego ramieniem El dostrzegł dwie umywalki, po lewej stronie wannę z przezroczystą osłoną sięgającą sufitu, w głębi szklaną kabinę prysznicową i na wprost okno.

Otwarte.

Cholera! Niech to szlag! Jan zamierzał napić się piwa z kolegami! Albo pooglądać seriale, leżąc na kanapie! Albo pograć na PlayStation! A zamiast tego kurczowo trzymał się kamiennego gzymsu, czubkami palców u nóg szukając po omacku oparcia na drugim gzymsie. W wykonaniu Toma Cruise'a zawsze wyglądało to znacznie prościej!

– A jeśli to był ktoś z personelu? – szepnął do Fitz'a.

Mogliby zawrócić. Właściwie teraz już nie. Bo siedząc w pokoju, od biedy mogliby udawać hotelowych gości, ale wdrapując się do środka przez łazienkowe okno – raczej nie. Fitzroy był dwa kroki dalej,

przyklejony do fasady budynku od strony dziedzińca. Kartki z kosza i blok tkwiły pod jego koszulą.

– I wszedł bez pukania i pytania? I jeszcze tak cicho?

No tak.

– *Shit!* – rzucił Fitz szeptem, ale nie do Jana.

Z łazienkowego okna, z którego przed chwilą się wydostali, padł cień. Duży. Niecałe pięć metrów od nich.

– Do przodu – syknął Jan.

Około siedmiu metrów przed nimi fasada kończyła się narożnikiem. Wystawały z niego mniej więcej trzydziestocentymetrowe dekoracyjne kamienne bloczki oddzielone od siebie kilkucentymetrowymi szczelinami. Ciągnęły się wzdłuż narożnika piętnaście metrów w dół i dwa metry w górę, do tarasu na dachu. Musieli dotrzeć aż do tamtego miejsca.

Jan odkrył u siebie dotychczas mu nieznane umiejętności balansowania na gzymsie. Nie miał wyjścia. Cień z okna przesuwiał się po fasadzie w szybszym tempie niż oni dwaj. Nie mieli ani chwili do stracenia. Gdyby serce Jana biło jeszcze odrobinę mocniej, pewnie od samego jego pulsowania straciłby równowagę.

Fitz dotarł do narożnika. Zdecydowanym ruchem wcisnął stopę w jedną ze szczelin, chwycił się kamiennego bloku powyżej i podciągnął się. Musiał się spieszyć. Miejsca było tak mało, że nie mogli wspinać się jednocześnie – Jan musiał poczekać, aż Fitz znajdzie się dość wysoko. Docierało do nich pluskanie wody w basenie i głosy gości. W oddali nad miastem krążyły helikoptery, późnym wieczorem monitorując demonstracje. Człowiek, który ich ścigał, coś powiedział. Do kogo? Nie jest sam?! Był coraz bliżej. Jan miał wilgotne dłonie. Facet znajdował się jeszcze jakieś dwa metry za nim, gdy w końcu Jan też mógł zacząć się wspinać. Nie zastanawiając się ani sekundy, złapał się najbliższego kamienia, postawił prawą stopę na krawędzi i przyciskając się do muru, podciągnął się w górę. Kolejny chwyt, skurcz w palcach, następny krok. Jan dygotał i był zlany potem. Ale jego świadomość jakby oddzieliła się od ciała. Rozum od emocji. Podczas gdy napięte ciało jak maszyna wspinało się coraz wyżej, w którymś momencie jego myśli zaczęły galopować, a już w następnym patrzył na siebie chłodno, z boku, jak ktoś obcy, w najwyższym stopniu zdziwiony tą karkołomną akcją. Aktor w nieznanym filmie. Mężczyzna pod nim już prawie go doganiał. Przypominał tamtych: umięśniony, nabity, krótko ostrzyżony, ubrany na

czarno. Jan pamiętał jego twarz z Golden Baru. Ale na miejscu wypadku go nie widział. Czyli jest ich więcej! I dosłownie depczą mu po piętach.

Nagle podejrzany typ wyciągnął rękę, aby złapać Jana za nogę.

– Ci dwaj próbują uciec po murze na dach – wydyszał Jack w słuchawce Ela. – Dopadnę ich.

Bell i El stali przy windach i wyjściu na klatkę schodową.

– Sam! – rzucił El do czekającego w lobby kolegi – na dziedziniec!

– Lecę... Widzę ich. *Fuck!* Tutaj dotrą, tylko jeśli spadną.

– To by rozwiązało problem – wysapał El, pędząc z Bellem po schodach na ostatnie piętro.

Zwolniejszy kroku, przeszli korytarzem, spokojnie i obojętnie minęli pracownicę basenowego baru i dotarli na taras, na którym około czterdziestu gości popijało drinki i syciło oczy panoramą miasta. Tak było jeszcze przed chwilą, bo w tym momencie coraz więcej głów odwracało się ku brzegowi tarasu, gdzie Fitzroy Peel stał przegięty przez balustradę i wciągał Jana Wuttego. Już niemal wszyscy na nich patrzyli. Mężczyzna za barem sięgnął po telefon, dwóch innych pracowników ruszyło w kierunku nieoczekiwanych gości. Wśród narastającego zdenerwowania – „Włamywacze?”, „Terryści?” – Bell i El bez przeszkód torowali sobie drogę przez widownię. Zamigotały pierwsze błyski wyciągniętych wysoko telefonów komórkowych.

Jan Wutte z dłońmi opartymi na kolanach łapczywie chwycił powietrze, próbując dojść do siebie po wysiłku i szoku. Peel podpierał go, rozglądając się nerwowo. Nagle szarpnął chłopaka i gwałtownie pociągnął za sobą. Zobaczył ich.

Bell i El przyspieszyli kroku, starając się jednak nie wywoływać sensacji i nie rzucać się w oczy. W razie czego podadzą się za pracowników ochrony. W końcu to ich praca. Chociaż nie zatrudnia ich hotel. El polecił Jackowi, aby pozostał za balustradą, dopóki ludzie nie przestaną gapić się w tamtą stronę.

Peel i Wutte biegli wzdłuż balustrady w kierunku przeciwnym do nich, szukali wyjścia. Coraz więcej komórek filmowało zajście. Taras zamykała blisko dwumetrowa ściana sąsiedniego budynku. Pod metalowym daszkiem, służącym w ciągu dnia jako osłona przed słońcem, stało kilka stolików i krzeseł. Wutte chwycił w biegu jeden ze stolików. Peel wziął

krzesło. Błyskawicznie przystawili stolik do ściany, umieścili krzesło na blacie.

Część gości na wszelki wypadek się wycofała. Inni zaś, najwyraźniej uznawszy, że dwaj osobnicy chyba nie są niebezpieczni, przybliżyli się nieco, szukając jak najkorzystniejszej perspektywy do filmowania. Rozległy się pierwsze komentarze przeznaczone dla przyszłych widzów relacji lub nawet dla śledzących ją online. Nikt nie zwrócił uwagi na Jacka, który właśnie przełaził przez balustradę.

Wutte pierwszy wskoczył na krzesło, zwinnie jak kozica, po czym podciągnąwszy się na drążku podtrzymującym daszek, wdrapał się na sąsiedni dach. O tym, że samarytanin nie jest kompletnym mięczakiem, El i jego koledzy przekonali się już podczas bójki w knajpie. Peel okazał się równie sprawny, jego wysoki wzrost ułatwiał mu zadanie. Obaj zaczęli działać Ełowi na nerwy.

– Odwróć uwagę ludzi! – polecił Eldridge Jackowi.

– Broń! – rozległ się wrzask za ich plecami.

Jack. Przerażone twarze, spanikowane spojrzenia. Głowy i komórki zwróciły się znowu w stronę basenu. Wszyscy biegali w popłochu, kulili się, padali na ziemię. Jack zrobił to samo. Nikt nie wiedział, kto to krzyknął. Bell i El skorzystali z okazji. Dwoma susami Eldridge znalazł się na krześle, a zaraz potem na dachu. Bell tuż za nim.

Surrealizm. Fitzroy powinien był od razu pójść na policję. Gdyby to zrobił, nie musiałby teraz biegać po ciemnym dachu. Długim chyba na trzydzieści metrów, lekko skośnym po obu stronach kalenicy, a potem spadającym stromo w dół. Na drodze stały im kominy, ale jakoś zdołali się obok nich przecisnąć. W świetliku przed nimi paliło się światło. Nie sposób było dojrzeć, co jest za końcem dachu. Kawalek dalej na tle nocnego nieba malowała się blada poświata miasta. Nie mieli wyboru. Ścigały ich dwa cienie. Co najmniej dwa.

Fitzroy już na pewno mógł zapomnieć o swojej partii pokera.

Może powinni byli zostać na tarasie i poszukać schronienia wśród tłumu? Ale wtedy musieliby podejść na kilka metrów do swoich prześladowców. A przeciwko temu buntowała się każda komórka jego ciała. Przecież nie wiadomo, do czego zdolni są ci kolesie, nawet na oczach ludzi. Poza tym w takiej chwili człowiek nie myśli. Ucieka przed zagrożeniem. Pędzi. Wspina się. Skacze.

Terkotanie śmigłowców krążących nad demonstrantami stało się głośniejsze. Jan i Fitz dotarli do końca dachu. Huk był ogłuszający. Czy demonstracje są tak blisko? Nagle wokół nich zrobiło się jasno niemal jak w dzień.

Peel z przerażeniem spojrzał w górę, osłaniając oczy przed oślepiającym reflektorem.

Namierzył ich śmigłowiec! Snop jaskrawego światła o średnicy około dziesięciu metrów drżał ponad szarym metalem dachu. Czuć było wiatr od obracającego się śmigła.

Fitz – absurdalnie – niemal wybuchnął śmiechem. Reflektory helikoptera oświetliły dach budynku rozpościerający się przed nimi. Leżał metr niżej, długa powierzchnia z bitumenu, z której wyrastały wysokie kominy jak skamieniały las, otoczona murkiem do wysokości kolan. Jan obok niego również znieruchomiał na sekundę. Po początkowym szoku skoczyli w dół i puścili się pędem przed siebie. Prowadzeni przez stożek światła, tworzący z kominami przedziwną grę cieni.

Mniej więcej w połowie dachu Fitzroy się obejrzał. Policyjny szperacz oprócz tego, że oświetlał im drogę ucieczki, dawał jeszcze jedną korzyść. Ich prześladowcy wyraźnie unikali światła. Fitzroy zauważył, że za wszelką cenę starają się pozostać w cieniu kominów. Dopóki więc on i Jan będą oświetlani przez policję, tamci nie odważą się ich zaatakować! A może po prostu trzeba się zatrzymać i pomachać do góry? Dać do zrozumienia, że się poddają i czekają na policjantów. I w ten sposób zakończyć całą historię. Fitzroy nie miał nic wspólnego z tą sprawą, dopóki nie pojawił się Jan. To policja powinna wyjaśnić, dlaczego zginął Will. To jej robota. A on zdążyłby jeszcze na swojego pokera.

Nagle zapiekł go tyłek. Musiało go trafić coś ostrego. Z cegieł najbliższego kominu pryskały odłamki.

– Oni strzelają! – wrzasnął Jan i pociągnął Fitzza za komin.

Jadąc do hotelu noblisty w Berlin-Mitte, Maja przebiegła wzrokiem ogólnie dostępne informacje na temat bankietu w oranżerii. Miało być na nim obecnych co najmniej dziesięciu miliarderów z siedmiu krajów, co najmniej dwudziestu paru prawie miliarderów, różni politycy wysokiej i najwyższej rangi, a także czołowi przedstawiciele międzynarodowych organizacji. Oprócz nich mnóstwo innych osób, których Maja nie mogła w pośpiechu zidentyfikować. Niektórzy określani byli skromnie jako „biznesmeni”, inni jako lobbyści, dyplomaci, PR-owcy, inwestorzy, finansisci lub po prostu „mecenasi”.

Przerwał jej dzwonek telefonu. Znajomy z centrum koordynacyjnego skorzystał z funkcji wideo; jego twarz w mdłym blasku monitorów wyglądała jak biały duch.

Na wyświetlaczu Mai ukazała się najpierw czarnobrunatna ciemność, gdzieś przerywana błyskami lampek. Potem z kolei zrobiło się oślepiająco jasno. Jego kamera przybliżyła jakiś obraz. Ekran. Znajomy filmował jeden z monitorów w centrum i przesyłał Mai ujęcia live na jej telefon. Nie miało to wiele wspólnego z legalnością.

Biały stożek światła kołysał się nad jakimś budynkiem. Po chwili Maja rozpoznała kominy, okna w dachu. Obrazy musiały pochodzić z drona albo śmigłowca. Pośrodku jasnej tarczy biegły dwie postacie.

Maja słyszała głosy dochodzące z centrum koordynacyjnego. Zbliżenie. Ujęcia stały się nieostre.

– Mamy lepsze kadry – powiedział znajomy.

Jego kamera przeniosła się na inny monitor. Na nim widoczne były dwie nieruchome twarze. Też niezbyt ostre, prześwietlone. Twarze zdyszanych mężczyzn wpatrzonych w niebo. Od razu rozpoznała Jana Wuttego i Fitzroya Peela.

Mogła sobie darować dalszą jazdę.

– To oni! Co tam się dzieje?

– Jeszcze nie wiemy do końca. Parę minut temu dostaliśmy zgłoszenie z hotelu Raal w Mitte. Dwaj faceci wdrapali się po murze na taras na dachu i zaraz popędzili na następny dach, jakby kogoś gonili albo przed czymś uciekali.

– Lub przed kimś. Czy poza nimi chłopcy z helikoptera nikogo nie zauważyli?

– Nie zameldowali.

– A jak ten śmigłowiec się w ogóle znalazł w tamtym miejscu?

– Akurat leciał z głównej demonstracji w kierunku Kreuzbergu, więc go tam posłaliśmy. W tym hotelu zatrzymali się różni uczestnicy szczytu, co prawda drugiego czy trzeciego sortu. Ci dwaj są już prawie na końcu całego ciągu domów.

– Potrzebny mi dokładny adres. Możecie mieć ich jeszcze przez chwilę na oku?

– Wszystko zależy od rozwoju sytuacji w najważniejszych punktach zapalnych. Poza tym oni już nie bardzo mają gdzie uciekać. Został im tylko jeden dach.

Jan pędził prowadzony przez jaskrawy stożek światła, przeskakiwał przez murki, balansował na skośnych dachach, biegł slalomem między kominami, krył się przed ewentualnym ostrzałem. Świat poza oślepiającym kręgiem zniknął w jeszcze czarniejszej ciemności. „*Fuck!* Stałem się postacią z własnej gry!”. Ale dachówki i papa pod jego stopami były równie prawdziwe jak przepaść na skraju dachu, ciemna otchłań ulicy, huk śmigieł i wir powietrza, który wbijał mu kurz w oczy i zatykał oddech.

Na skos od niego długa sylwetka Fitza. Jego partner z gry przemykał zygzakiem. Ile dachów pokonali? Jan nie miał pojęcia. Ale w którymś momencie ciąg domów się skończy.

I co wtedy?

Wymachujące postacie pojawiły się zupełnie niespodziewanie. Jan biegł za Fitzem. Po co on się zatrzymał?! Stożek światła się poszerzył. Przybywało ludzi. Patrzyli w górę, na helikopter. Niektórzy wygrażali pięściami. Pokazywali środkowy palec. Inni machali do nich. Do nich? Do Jana i Fitza? Przywoływali?! Co oni robią na dachu? Jakiś transparent zwrócony w stronę śmigłowca.

Ten dom jest wyzwolony!

A niech to! Zamiast bandytów anarchiści. Z deszczu pod rynną!

Okej, jest pewna różnica. Przynajmniej w tym momencie.

Coraz więcej ludzi gromadziło się w świetle.

– *Fuck the cops!*

- Wredne psy!
- Spieprzać stąd!

Dach znajdował się o metr wyżej. Do Jana i Fitz'a wyciągnęły się pomocne dłonie.

- Tutaj!
- No, dawajcie!

Jan chwycił dwie ręce, czyjeś palce zacisnęły się mocno wokół jego nadgarstków. Dźwignęły go przez uskok muru.

- Czego oni od was chcą?
- Tu jesteście bezpieczni!

„Byłoby fajnie!”.

Jan, bez tchu, z dłońmi opartymi na kolanach, rozglądał się nerwowo dookoła.

Gdzie są tamci? Pewnie nie chcieli się dostać w światło reflektorów. Obok niego Fitz. Dyszał. Pokazał do tyłu.

- Możliwe, że zaraz się tu zjawią!

Czyjś głos:

- Którędy?

Fitz:

- Przez dach!

Czyjś głos:

- Niechby tylko spróbowali.

Roześmiał się.

Roześmiał się?

Ktoś się roześmiał! Facet nie miał o niczym pojęcia. Mimo to jego śmiech coś w Janie wyzwolił. Szczery śmiech pomaga. Zawsze.

Obcy ludzie wciągnęli ich między siebie. Były ich dziesiątki. Piwo. Kiełbaski. Co tu się dzieje?

Huk helikoptera nieco przycichł, światło stało się słabsze. Maszyna wzbijała się w górę. Policja nie miała tu już nic do roboty. Jan zerknął na dachy, po których przybiegli. Czy za kominami czają się jakieś cienie?

- Jak się stąd dostać na dół? – spytał kogoś stojącego najbliżej.

Słyszał panikę we własnym głosie. Usiłował się uspokoić.

- Dzięki! – powiedział Fitz obok niego.

Do gościa równie wysokiego jak on. Z brodą i czarnymi lokami opadającymi na policzki.

- Nie ma za co.

– Jestem Fitzroy.

– Fitzroy. A ja Christo. Dlaczego nie wyjdziecie po prostu drzwiami?

– To długa historia – odparł Fitz, spoglądając przez ramię.

Helikopter odleciał. Zgiełk głosów zastąpił terkotanie śmigieł. Światła miasta i blask ekranów komórek musiały wystarczyć jako oświetlenie.

Jan badał czujnym spojrzeniem sąsiedni dach. Nie odkrył na nim nikogo.

Christo zauważył jego wzrok.

– Bez obaw. W czasie szczytu policja nas nie zaatakuje. Zbyt drażliwa sprawa. Poza tym taka akcja wymagałaby zaangażowania za dużych sił. A jeśli nawet by spróbowali – uśmiechnął się drwiąco – mamy swoje sposoby, żeby ich przystopować.

„Policję być może. Ale tu nie o nią chodzi”.

Tego jednak Jan nie mógł powiedzieć.

– Policja się zmyła – rzucił El do słuchawki. – Sam, jak sytuacja na dole?

– Impreza. Transparenty w oknach. Zero policji. Dzicy lokatorzy.

Nie powinni stanowić przeszkody.

Chociaż lewicowi anarchiści uważają wojnę za kapitalistyczny, imperialistyczny i w ogóle kretyński wymysł, to zadziwiająco duża liczba tych weekendowych pseudorewolucjonistów nosi bojówki, wojskowe koszule i inne militarne ciuchy. Niektórzy z nich poruszają się jak goryle albo typ kinomana, który po filmie akcji idzie kołyszącym się krokiem, udając Jasona Stathama. Z mięśniami co najwyżej lekko rozgrzanymi po cross treningu nie stanowili dla Ela i jego ludzi żadnej konkurencji.

– Idziemy – powiedział El.

– Tam! Taaam!

Jan dostrzegł, jak z cienia sąsiedniego dachu wyłaniają się orkowie i pędzą prosto na nich. Zanim zdążył się ruszyć, ponad dwudziestu squattersów obojga płci utworzyło zwarty front na granicy dachu. Unieśli komórki. Wyświetlacze migotały w ciemności nocy.

– A wy to kto?

– Policja?

– Macie nakaz przeszukania?

Tamci się zatrzymali, zasłonili twarze rękami, odwrócili się.

– No, co jest?! – krzyknął ktoś po stronie Jana.

Latarki oświetlały ciemnoszare postacie. Co najmniej kilkanaście telefonów nagrywało filmiki. Robaczki świętojańskie.

Bandyci cofnęli się za kominy, znikając w ciemności.

– Co to za jedni? – spytał ze śmiechem Christo obok Jana. – Wampiry?

„Wow! – pomyślał Jan. – Komórki przeciwko pistoletom”. Byli górą.

Christo poklepał jego i Fitza po ramionach.

– Sami widzicie, nikt nieupoważniony nie ma tu wstępu.

– Słuchajcie! – Maja wrzasnęła do słuchawki. – Jeden z tych gości jest przez nas ścigany! Właśnie widziano go na Mitte! W okolicy hotelu Raal!

Jörn przyglądał się jej z boku.

Partner po drugiej stronie wyraził ubolewanie. Nie da się nic zrobić. Wszystkie siły potrzebne są gdzie indziej. *Bullshit!* Pewnie obok jej nazwiska w centrali pali się duża czerwona lampka: spławić!

Rozłączyła się wściekła i spojrzała na miasto przesuające się za oknem.

W radiu komentatorzy dyskutowali o możliwych konsekwencjach opuszczenia Unii przez Włochy: wyjście z Unii, ostry spadek wartości nowej waluty, upadki banków i firm, masowe bezrobocie. Ponadto efekt domina, który obejmie także Hiszpanię, Portugalię i Grecję. Odsetki od kredytów zaciągniętych przez te kraje i tak osiągnęły już rekordowy poziom. Pozostała część rynku euro w takiej sytuacji albo się załamie, albo jej wartość ogromnie wzrośnie. Katastrofa dla takich państw eksportowych jak Niemcy, które w wyniku wojny handlowej i tak się już

znalazły w kryzysie. Kto pomyślałby o czymś takim jeszcze rok temu? Kiedy gospodarka mruczała jak kot drapany za uchem. A teraz! Spadek eksportu jeszcze bardziej dotkliwy dla Niemiec i innych krajów. Bankructwa banków i firm, masowe bezrobocie. W krótkim czasie kryzys dotknie wszystkich. Maja wołała sobie nie wyobrażać, co się będzie wtedy działo na ulicach. Jeśli jeszcze więcej ludzi straci mieszkania i środki do życia. Według ostatnich sondaży najsilniejszymi partiami są już podobno AfD i Linke. Z irytacją wyłączyła radio.

Nie dostała jeszcze żadnych raportów z przesłuchań w Golden Barze. Zanim koledzy sporządzą swoje protokoły, szczyt dawno się skończy. Kto w czasach nowych mediów potrzebuje protokołów na piśmie?

Po raz kolejny sprawdziła YouTube'a, Instagrama i inne platformy, wstukując odpowiednie hasła. W pierwszej kolejności Golden Bar.

Voilà. Pokazały się pierwsze filmiki z zadymy. Przewinęła jeden po drugim, wypatrując twarzy Jana Wuttego i Fitzroya Peela. Na szóstym mignął jej przez ułamek sekundy Wutte. W samym środku kotłowania. Potem jeszcze raz. W kadrze widać było także co najmniej trzynastu innych mężczyzn. Niektórzy tylko się poszturchiwali, inni używali zaciśniętych pięści. A nawet butelek. Wutte bił się z dwoma typami niemal o głowę wyższymi i dwa razy potężniejszymi od niego. A raczej to oni solidnie go grzmocili. Maja zatrzymała wideo. Między dwoma pakerami mignął Peel. Czyli oni rzeczywiście byli tam razem. Przewinęła dalej. Jakies cienie w kadrze przesłoniły na kilka sekund dalszy rozwój akcji, kolejne ujęcia były rozchwiane. Ich autor skierował kamerę w inną stronę.

Jeszcze raz obejrzała ten fragment. Tak czy owak, Wutte nieźle oberwał. Maja nie chciała mieć tak pokiereszowanej twarzy. Ale jak on i Peel dostali się z Golden Baru na dach hotelu przy Rheinhardstraße? I po co?

– Co to jest?

– Główna kwatera na następne dwa dni – wyjaśnił Christo.

Obok niego stała niska, zgrabna brunetka; włosy: burza loków, oczy: latarnie.

– Kim.

Jan przełknął nerwowo.

Domek na dachu mieścił maszynownię windy. Spiralne schody wokół szybu windowego obsiedli ludzie z butelkami piwa i plastikowymi kubkami. Dyskutowali, flirtowali. Mało romantyczne jaskrawe światło lamp przemysłowych na gołych betonowych ścianach nikomu nie psuło nastroju.

Christo pozdrawiał wszystkich po drodze. Spytał o miejsce dla Fitz i Jana.

– Dobrze, że jesteś, Christo! – zawołała młoda kobieta mniej więcej w jego wieku, o ciemnej karnacji, w dzinsach i beżowej bluzce. Nabuzowana, z trudem panowała nad sobą. – Właśnie zamierzałam się z tobą skontaktować.

Jan już ją gdzieś widział.

– Kogo tu przywlokłeś?

– Przyczają się u nas na trochę – wyjaśnił Christo. – Amistad Solgado – przedstawił swoją znajomą.

– Super – powiedział Fitz, podając jej rękę. – Ekstra robota!

– Dziękuję.

Kobieta odciągnęła Christa na bok. Mówiła do niego szeptem, a on słuchał, kiwał głową, odpowiadał.

Na widok pytającego spojrzenia Jana Anglik przewrócił oczami.

– To jedna z najważniejszych aktywistek międzynarodowego ruchu obrony praw człowieka i sprawiedliwości – wyjaśnił. – Argentyńska przywódczyni chłopów, robotników i studentów.

– Co robi w Berlinie?

Fitz wydawał się zirytowany.

– Organizuje zmianę?

– A dlaczego nie w Argentynie?

– Bo ci tutaj tego nie potrafią? Poza tym tam też działa. – Peel pochylił się nieco w stronę Jana. – Jej rodzice byli biednymi chłopami. Oni i wszyscy mieszkańcy osady zostali wyrznięci przez morderców wynajętych przez wielkich posiadaczy ziemskich tylko dlatego, że chcieli się dostać do ich ziemi. Amistad była wtedy małą dziewczynką i jako jedyna przeżyła.

– A tamci nie zostali ukarani? – spytał Jan.

– O ile wiem, nie. Ale jak chcesz, możesz ją spytać.

– Może innym razem – bąknął Jan ponuro.

Amistad jeszcze raz spojrzała na nich z boku, kiwnęła głową i rzuciwszy „Na razie!”, oddaliła się.

Na pierwszym piętrze było kilka mieszkań przypominających pracownie komputerowe. Ludzie w bluzach z kapturami tkwili przed monitorami, szafami i wieżami serwerowymi, migotały lampki, kable wiły się jak w brzuchu rakiety kosmicznej w filmach z czasów, kiedy Jana nie było na świecie.

– To jedno z centrów IT i komunikacji – wyjaśnił Christo, widząc jego zdezorientowaną minę.

– Czyje centrum IT i komunikacji? – spytał chłopak, nie kryjąc zdziwienia.

– Nie jesteśmy stadem niezorganizowanych szaleńców – oznajmiła Kim. Jej pewność siebie irytowała Jana. I jednocześnie mu się podobała. – Na ulicach jest więcej niż milion ludzi. Oni wszyscy muszą się porozumiewać, koordynować, wymieniać. W ponad trzydziestu metropoliach na całym świecie odbywają się podobne demonstracje jak tutaj. Z nimi też musimy być w kontakcie, informować się nawzajem, uzgadniać komunikaty, przekazy, wspólnie się zastanawiać, jakie treści i obrazy jesteśmy w stanie produkować, wywoływać, żebyśmy nie musieli być zależni od tradycyjnych mediów i sieci.

– I na to wszystko wystarczy parę takich centrów? – spytał z niedowierzaniem Jan.

– Nie, one zapewniają tylko część infrastruktury. A całość odbywa się dzięki aplikacji opartej na blockchainie, którą każdy, kto chce, może sobie ściągnąć i dzięki niej robić najrozmaitsze rzeczy. Urządzać konferencje, głosowania. Każdy może się włączyć.

– I to się nie kończy jednym wielkim chaosem? – zainteresował się Fitz.

– „Nie ufamy żadnym instytucjom. Nawet naszym własnym”. To cytat z arabskiej wiosny – powiedział Christo.

– To przez nie efekty protestów często były krótkotrwałe – uzupełniła Kim. – Do działania długoterminowego potrzebne są instytucje. Dzięki prawidłowo skonstruowanej aplikacji blockchainowej można jakby zinstytucjonalizować zaufanie i w ten sposób pozyskać wszystkich, którzy chcą w tym uczestniczyć. Jak na razie to całkiem dobrze się sprawdza.

Christo puścił do nich oko.

– Poza tym mamy paru świetnych gości zdobywających dla nas informacje, do których normalnie tak łatwo się nie dociera. Plany

operacyjne policji i wojska, strategię PR...

Jan stwierdził z zafascynowaniem, że w sumie cztery pomieszczenia tworzą system nerwowy demonstracji.

– Powiedziałaś, że to jest *jedno* z centrów IT i komunikacji?

– Oczywiście, że mamy ich więcej – potwierdziła Kim. – Na wypadek, gdyby któreś przestało działać. Albo zostało wyłączone. Może wy, na przykład, jesteście tajniakami z policji? W razie czego robotę przejmą zespoły w innych miastach. Nie mówiąc już o aplikacji. Ona pracuje na blockchainie i dlatego jest trudna do wyłączenia albo zmanipulowania.

– Czyli dacie radę zdobyć informację, do której nie tak łatwo się dokopać? – spytał Fitz.

– Czego potrzebujesz?

– Chodzi tylko o jeden adres. I/albo numer telefonu.

Christo zwrócił się do jednego z zakapturzonych mężczyzn.

– Nazwisko? – rzucił tamten.

– Jeanne Dalli – powiedział Fitz i uzupełnił kilkoma dodatkowymi informacjami.

– Dajcie mi chwilę – rzekł chłopak w kapturze. – Znajdę was potem.

Fitzroy podziękował, a młody człowiek z powrotem wpatrzył się w monitor.

Po opuszczeniu centrum IT spotkali na korytarzu kuriera rowerowego. Fitz go zatrzymał.

– Wzięłyby pan dodatkowy kurs?

– To zależy.

Fitzroy wcisnął mu do ręki pięćdziesiąt euro.

„Pięćdziesiąt! Tak po prostu!”

– Nie ma pan przypadkiem przy sobie małej koperty? – spytał kuriera.

Mężczyzna zaczął szukać i znalazł złożone pudełko.

Fitz wyciągnął rękę do Jana.

– Komórka.

Wutte prychnął z irytacją.

– Mogła cię namierzyć policja – perswadował Anglik.

Jan nadal się ościagał.

– Dostaniesz ją z powrotem.

– Tylko coś sprawdzę.

– Matka?

– Tak. Człowieku, ale jest wpieniona!

Ponad dwadzieścia wiadomości. Co najmniej. Fitz zerknął na wyświetlacz z esemesami.

– Jak na moje oko raczej się o ciebie martwi. Przynajmniej parę z nich na to wskazuje.

Może.

– Napisz do niej jeszcze raz i oddaj komórkę.

Nic mi nie jest. Odezwę się.

Niechętnie wręczył telefon Fitzowi.

Anglik włożył aparaty do pudełka. Zamknął je.

– Mogę prosić o długopis? – zwrócił się do kuriera.

Niezmiennie grzeczny. Najwyraźniej dobrze wychowany.

Napisał na paczce adres swojego hotelu i numer pokoju.

– Proszę to dostarczyć pod ten adres. W ciągu nocy. Dziękuję.

– Oczywiście – odpowiedział tamten i zniknął.

– Teraz nie mamy się jak kontaktować – stwierdził Jan.

Z wewnętrznych kieszeni kurtki Fitz wyczarował dwa proste telefony komórkowe. Z klawiszami!

– A jednak. W moim zawodzie zawsze trzeba mieć parę burnerów.

– Burnerów? Jakiś dziwny zawód.

– Telefonów na kartę. Niezarejestrowanych na nazwisko. Z kartą prepaidową. Jeszcze można takie kupić, jeśli ktoś potrzebuje. Numer podajesz tylko tym, którzy rzeczywiście powinni go znać. Na przykład swoim pośrednikom.

– To legalne?

– Legalne. Nieważne.

Fitz podał mu jeden z aparatów.

– W razie nagłych przypadków. Mój numer jest już zapisany. Jako jedyny.

Nie wszyscy byli zmęczeni, gdy weszli do Estate. Prezes zarządu międzynarodowego koncernu budowlanego z ożywieniem opowiadał szefowi dużej organizacji pomocowej z siedzibą w Genewie o zeszłorocznej wyprawie motocyklowej do Azji Wschodniej. Na wyświetlaczu komórki pokazywał zdjęcia ochlapanej gliną maszyny i siebie w podróznym stroju. Mężczyźni śmiali się z outfitu tak odmiennego od smokingów, w które wszyscy byli ubrani. Szef organizacji pomocowej, Peruwianczyk, wyciągnął komórkę i oznajmił:

– Też sprawiłem sobie na pięćdziesiątkę.

Pokazał zdjęcia potężnego motocykla. Jego palce muskały mały ekran. Jeszcze głośniejszy wybuch śmiechu. Pokrewne dusze. Małe radości wielkich ludzi.

Jeanne nie obchodziły samochody ani motocykle. Zastanawiała się tylko, jak sobie radzą ci raczej mało wysportowani mężczyźni, gdy ich wypasione maszyny się przewracają.

Ted szeptał w kącie z Kempem Gellundem i jakimś czołowym menedżerem Banku Światowego, hiszpański minister gawędził z chińską bizneswoman – prawdopodobnie także miliarderką; z Chińczykami nigdy nie wiadomo – i z jej mężem. Jeanne trafiła na libańskiego biznesmena i jakiegoś gambijskiego artystę konceptualistę, traktowanego jak wschodząca gwiazda świata sztuki. Włoskiego ministra Maurizia Trittonego zabawiał George. Kręciło się wokół nich, mniej lub bardziej dyskretnie, z tuzin członków obstawy. Libańczyk i Gambijczyk zabiegali o uwagę Jeanne, ona zaś była bardziej zainteresowana rozmową Trittonego z George'em, której strzępy mogła wyłowić z ogólnego zgiełku.

– ...jako honorarium za doradztwo – usłyszała głos Włocha. – Dla firm utrzymywanych przez anonimowe spółki na jakiejś wyspie.

Libańczyk znowu zaczął coś paplać. Jeanne uśmiechnęła się grzecznie.

– ...z pewnością znajdziemy jakieś rozwiązanie – powiedział George, poklepując ministra po ramieniu. – Kilka lukratywnych posad w radach nadzorczych w powiązanych spółkach po pańskim rozstaniu z polityką...

Mężczyzna w czarnej liberii i białych rękawiczkach prowadził ich zrecznie obok pozostałych gości do na wpół odizolowanej części baru,

gdzie mogli nadal przebywać w ożywionej atmosferze, nie będąc przez nikogo widzianymi ani nagabywanymi.

– ...może sprzedamy panu parę nieruchomości, Frankfurt, Paryż, Londyn, po promocyjnej cenie, a pan sprzeda je po cenie rynkowej...

To brzmiało dosyć jednoznacznie. Niektórzy nazwaliby to gratyfikacją za przysługi świadczone przez Trittonego. Inni łapówką, korupcją i praniem pieniędzy. Czego George mógł chcieć od Włocha?

Jeanne poczuła dłoń Teda na swoich plecach, typowy męski gest mający wyrażać mieszaninę troski i wsparcia, a w gruncie rzeczy niebędący niczym innym, jak tylko manipulowaniem i zaznaczeniem kontroli. Dopóki dłoń nie ześlizgnęła się na dolną część pleców, w szarą strefę na granicy molestowania lub intymności. Jak teraz ręka Teda.

– ...albo papiery wartościowe – powiedział George.

– To chyba nie najlepszy moment – roześmiał się Trittone, po czym oddalili się jeszcze bardziej.

Jeanne przyłapała się na tym, że nie odebrała zachowania Teda jako naganne. Jej stosunek do niego nie był do końca określony. Kilka razy przespali się ze sobą. Dla niej nie oznaczało to nic wiążącego. Jej postawa, sposób, w jaki go prowokowała, wydawały się Tedowi sympatyczne. Uważał siebie za bajecznie atrakcyjną partię, za jednego z najbardziej pożądanych kawalerów na świecie. Kobieta, która nie uległa całkowicie jego urokowi? Przekonamy się.

Nie powstrzymała jego dłoni. Co było sygnałem, czym może się skończyć dzisiejszy wieczór. Może. Ale nie musi.

Pojawili się kelnerzy z tacami pełnymi kieliszków szampana. Ted cofnął rękę i sięgnął po dwa. Z uśmiechem podał jeden Jeanne. Potrafił się uśmiechać niezwykle ujmująco. Był jak na razie jej najzamoźniejszym wielbicielem. Bogaty mężczyzna nie może być brzydki – mówi chińskie przysłowie. Jeanne się z nim nie zgadzała. Wygląd był dla niej ważny, nigdy tego nie ukrywała. Ale nie decydujący. Ted nie wyglądał źle. Dbał o siebie, to istotne. Potrafił być zabawny i uważny. I zabiegał o nią. To wszystko wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Co jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, nie jest piękne. Albo nie tak piękne – głosi inna mądrość życiowa.

Maurizio Trittone wzniosł kieliszek.

– Za udaną konferencję – powiedział.

„Dla ciebie chyba już jest udana”, oceniła Jeanne, myśląc o usłyszanych przed chwilą strzępach rozmowy.

Christo posadził ich przy stole kuchennym w mieszkaniu na trzecim piętrze.

– Ja muszę znowu lecieć – powiedział – ale Kim zajmie się wami, dopóki się tu nie zaaklimatyzujecie albo nie zdecydujecie, że chcecie odejść.

Kim wskazała na twarze Wuttego i Peela.

– To dzieło policji?

– Tak – odparł bez wahania Fitz.

– Soki, piwo, kanapki – rzuciła, wyciągając rękę w kierunku lodówki. – Tylko się nie upijcie.

Jan z przyjemnością by się wstawił, ale musiał zachować jasny umysł.

– Spoko. Czym się tu zajmujesz? – spytał, nalewając sobie wody.

Obserwował ją kątem oka. Miała wydatny nos. Dodawał jej uroku.

– Pomagam w organizacji.

– A oprócz tego?

– Studiuję socjologię. W Heidelbergu.

Chętnie pytałby dalej, ale niestety nic nie wiedział o socjologii. Co to w ogóle jest? Nie chciał się zbłąźnić.

– Chcesz wody? – spytał tylko.

Uśmiechnęła się.

– Poproszę.

Fitz grzebał w komórce.

– No to po mojej partii – westchnął. – Już prawie północ.

– A wy? – zainteresowała się Kim.

– Ja odbywam praktykę jako pielęgniarz – odpowiedział Jan. – A Fitz...

– Fitzroy – poprawił Peel.

– ...to blagier. Studiował fizykę, pracował w banku inwestycyjnym, a teraz profesjonalnie gra w karty.

– Nie tylko w karty – bąknął Fitz.

– Osobliwa z was para – zauważyła Kim, obserwując Peela wciąż zajętego telefonem.

Opróżniła swoją szklanekę, wstała.

– Muszę zrobić małą rundkę. Na razie.

I poszła. Szczupła figura i ta burza loków, niemal afro. Swobodne, a mimo to zdecydowane ruchy. Super!

– Czy mógłbyś na chwilę skierować swoje spojrzenie na to? – rzucił drwiąco Fitz.

Rozłożył przed sobą blok z pokoju Willa i kartki z modelami Układu Słonecznego.

Zmiana paradygmatu.

Zaczął znowu zamazywać ołówkiem wierzchnią kartkę bloku.

– Czy to coś nam da? – spytał Jan.

– A masz lepszy pomysł? Przecież to ty zwróciłeś na niego uwagę.

– Okej, okej – wymamrotał Jan. Papiery! Obrócił w dłoni telefon, który dostał od Fitz. – Jak tu można wejść do internetu?

– Symbol myszki uruchamia przeglądarkę – odpowiedział Peel, nie podnosząc wzroku. W skupieniu zaciemniał górną część kartki.

Jan wstukał coś do wyszukiwarki.

– Zobacz – powiedział i położył aparat na papierze przed Fitzem.

„Z ostatniej chwili: auto laureata Nagrody Nobla z ekonomii, Herberta Thompsona, uległo wypadkowi w Berlinie”.

Na śmiesznie małym wyświetlaczu widoczny był płonący wrak. Wideo do sieci wrzucił prawdopodobnie jeden z gapiów. W suchej informacji pisano o wypadku. Tożsamość ofiar nie została jeszcze ustalona. Ale...

– Wygląda na to, że dobrze zrozumiałeś tamtych policjantów – stwierdził Fitz. Sięgnął po kartkę z układami słonecznymi. *Zmiana paradygmatu.* Przyjrzał się jej uważnie.

– Co miałeś wspólnego z noblistą z ekonomii? – szepnął.

Do kuchni weszli dwaj młodzi ludzie, ale od razu skierowali się do pokoju obok, nie zwracając na nich uwagi.

Jan schował telefon do kieszeni. Fitz szrafował dalej.

Na szarym tle w lewym górnym rogu ukazały się jakieś bazgroły.

Kolejna formacja kółek, tym razem pięciu w jednej linii.

Pierwsze było zwykłym okręgiem. Drugie – podzielone pionową linią. Trzecie – podzielone pionową i poziomą linią na ćwiartki. Czwarte – podzielone jeszcze jedną pionową linią, Janowi skojarzyło się z kulą do bowlingu. Piąty rysunek przypominał coś w rodzaju owocu jeżyny – kula składająca się z wielu mniejszych kulek.



- Dasz radę odczytać te gryzmoły obok? – spytał Fitz.
- *The...* – odgadywał Jan.
- Drugi wyraz to chyba *formula* – powiedział Fitzroy. – Formuła.
- *...of life* – Jan odszyfrował ostatnie dwa wyrazy. – Formuła życia?

Ze wszystkich domów przy Reinhardstraße ten najbardziej rzucał się w oczy – piękna, chociaż zrujnowana bogata kamienica z dziewiętnastego wieku. Z okien zwisały transparenty i flagi.

„Oni pozwalają sobie na wszystko, dopóki my im na wszystko pozwalamy!”.

„Nie jesteśmy przeciwko systemowi, to system jest przeciwko nam!”.

„Ten dom jest wolny!”.

W większości okien paliło się jeszcze światło. Na ulicy przed budynkiem ludzie rozmawiali w grupkach. Gdzieś rozbrzmiewała muzyka.

– Super – syknął Jörn. – Będzie niezła zabawa.

– W tym stroju tam nie wejdiesz – powiedziała Maja. – Nie dzisiejszej nocy.

– Na pewno nie pozwolę jakimś tam azylantom tworzyć w tym kraju przestrzeni wyjętych spod prawa. W końcu jestem z policji!

– Przecież nie urwałeś się z choinki. Zresztą nawet gdyby cię wpuścili, i tak nic byśmy nie znaleźli. Idę sama.

– To będzie trwało wieczność. Ty będziesz w jednym mieszkaniu, a nasz sprawca w tym czasie wymknie się klatką schodową.

– Sprawca? Ty wciąż swoje!?! Przecież ten chłopak jest w najlepszym razie świadkiem! A wyjęta spod prawa przestrzeń znajduje się chyba tylko w twojej głowie!

– Sprawca, podejrzany, świadek – wyrecytował zrzędlawie Jörn. – W tym momencie wsio ryba. Musimy dopaść tego typa.

„Bo ty pozwoliłeś mu uciec”.

– Co proponujesz? – spytała Maja, starając się zachować spokojny ton. Że też nawet wśród kolegów musiała się zmuszać do opanowania!

– Informacja jest sprzed pół godziny – powiedział Jörn. – Oni mogą być już Bóg wie gdzie.

– Ja na ich miejscu odsapnęłabym tu trochę. No chyba że pilnie musieli się dostać gdzie indziej. Tylko pomyśl: siedząc tutaj, nie muszą się przejmować policją. Nikt nie tknie palcem tych squattersów teraz, kiedy kilometr dalej setki tysięcy ludzi protestują, domagając się tanich mieszkań. Poza tym do takiej akcji byłyby potrzebne duże siły, a wszyscy pilnują demonstracji. Daję głowę, że oni tam są.

– No to muszę się przebrać – powiedział Jörn.

Nie dojechawszy do kamienicy, zatrzymał samochód, zawrócił i ruszył w kierunku Friedrichstadtpalast. – Mam sportowe ciuchy w bagażniku.

– Zamierzasz być trenerem fitnessu dla squattersów?



– Komórka – wymamrotał Fitz.

Obok pięciu kółek z tekstem *Formula of life* wyłoniło się nowe słowo: *cell*.

– Zapłodniona komórka jajowa, która zaczyna się dzielić – powiedziała Kim, pochylając się między nimi nad kartką.

Jan nie słyszał, kiedy weszła. Ślicznie pachniała!

– Podczas podziału komórka najpierw rozszczepia się pośrodku. Powstają dwie. W następnym kroku te dwie połówki dzielą się w poprzek, jak widać na obrazku. Z dwóch komórek robią się cztery. W kolejnej fazie cztery komórki dają osiem. I tak dalej, aż do osiągnięcia stadium moruli.

To nie był temat dla Jana. Niestety.

Fitz spojrzał na nią zaskoczony.

– Hej, ty możesz mieć rację!

– Mówiłaś, że co studiujesz? Biologię? – dopytał Jan.

– Socjologię.

– Morula...?

– Inaczej morwa – odparła Kim. – Bo skupisko komórek trochę przypomina ten owoc.

Gdyby powiedział, że to jeżyna, niewiele by się pomylił.

– W co wy się bawicie? – zainteresowała się Kim. – W podchody czy coś w tym rodzaju?

– Gdybyśmy to wiedzieli – odparł Fitz.

Jan pokazał jej kartkę ze schematami wszechświata.

– Dogmat – przeczytała na głos. – Zmiana paradygmatu.

– Czy te dwie kartki coś łączy? – zapytał Jan. – A jeśli tak, to co?

– To jakaś zagadka?

– Coś w tym stylu. Również dla nas.

– Kto to narysował?

– Jeden... – Pytające spojrzenie w kierunku Peela. – Kwant?

Fitz skinął głową.

– ...który miał coś wspólnego z noblistą z ekonomii – dokończył Jan.

– Kwant? – spytała Kim. – Analityk kwantytatywny?

Z każdą minutą wydawała się Janowi coraz bardziej niesamowita. Potwierdził ruchem głowy.

– Sprawdźmy, co się jeszcze pokaże – wtrącił Fitz z ołówkiem w ręce. – Dopiero zaczęliśmy.

Szło mu coraz sprawniej. Podczas krótkiej wymiany zdań zamazał połowę kartki A4. Ujawniło się więcej bazgrołów. Drobne pismo, wiersze gęsto jeden nad drugim.

– Co to za bohomyzy? – zirytował się Fitz. – Dla ludzi takich jak Will wymyślono klawiaturę...

Jan usiłował dopatrzeć się czegoś sensownego w odsłoniętych znakach.

– Nieczytelne – bąknęła Kim.

Gdy Fitz już niemal kończył, Jan rozpoznał jedno z pierwszych słów. *Picture*. Obraz. Cały tekst był po angielsku. Oczywiście.

Fitzroy odłożył ołówek.

Przyjrzał się swojemu dziełu.

– Okej, na razie to jeden wielki chaos. Dajcie mi parę minut.

– To szczyt wszystkiego, że muszę tu wchodzić w przebraniu – marudził Jörn. – Na dobrą sprawę to wbrew przepisom.

Był ubrany w czarne dresowe spodnie, ciemnozielony T-shirt i niebieską bluzę.

Spokojnie i bez pośpiechu podeszli do domu. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

– Ktoś, kto nosi spodnie dresowe, stracił kontrolę nad swoim życiem – zachichotała Maja. – Lagerfeld. Ale sam takie sprzedaje. W dresie będziesz wyglądać wiarygodnie, a to ci się tam na pewno przyda.

– Przydałby mi się wagon kajdanków. Kto to słyszał, żeby zajmować cudze domy.

– Trudno się dziwić przy takich czynszach.

– A może by tak pójść do pracy?

– Założę się, że większość z nich pracuje.

– Akurat. Ale jaja.

– Możesz przeprowadzić ankietę.

– Jasne.

– Ludzie mają po prostu dość, kiedy słyszą, jak dobrze im się powodzi, podczas gdy wielu z nich, mimo że harują czterdzieści godzin tygodniowo, musi prosić państwo o pomoc, bo ich pensja nie wystarcza na wszystko. Nie mogą znaleźć niedrogiego mieszkania, szkoły się rozpadają, brakuje nauczycieli, zamykają się baseny, bez prywatnego ubezpieczenia czekasz miesiącami na wizytę u lekarza...

– Nic dziwnego, skoro imigranci...

– Daj spokój, nie zaczynaj.

– Kiedy to prawda. Nie włożyli do systemu nic, a dostają miliardy...

Czy ona naprawdę będzie musiała z nim pracować całą noc?

– Według tej logiki nie należy dotować też żadnego niemieckiego dziecka. Przecież one także przez piętnaście do dwudziestu pięciu lat nie wpłacają do systemu ani jednego centa! A mimo to korzystają ze służby zdrowia, przedszkoli, edukacji...

– Bo rodzice...

– Nie wszyscy. Dzięki zwolnieniom podatkowym, zasiłkom na dzieci i innym udogodnieniom dostają więcej, niż płacą.

– Mimo to...

– Co?

– Nie da się z tobą dyskutować na ten temat.

– Bo mam rację?

Machnął ręką.

– Jak się tam dostaniemy?

Byli dziesięć metrów od wejścia. Przed domem stały mniejsze i większe grupki ludzi pochłoniętych rozmową.

– Po prostu wejdziemy. Jakbyśmy tam mieszkali.

– Już to widzę.

– Patrz i ucz się – odparła ze śmiechem Maja. – I nie pękaj.

– Ja nigdy nie pękam.

Atrakcyjny wysoki dwudziestoparolatek stał oparty o futrynę drzwi i na ich widok przywołał na twarz uśmiech drapieznika, być może działający na jego rówieśnice.

– Hej, jakoś nigdy was tutaj nie widziałem. A ciebie na pewno bym zauważył.

Ktoś tu za bardzo polega na swoim uroku.

Zmierzył wzrokiem Jörna.

– I wuefistę też.

„Tylko spokojnie, Jörn!”

– Sören – przedstawił się młodzik. – Do kogo idziecie?

– Jesteś tu stróżem czy co?

– Nie, czysta ciekawość.

Może on coś wie.

– Do Jana i Fitzroya.

– Fi... jak?

– Fitzroy. I Jan.

– Nie znam.

– Chyba nie sposób tu wszystkich znać, co? – rzuciła Maja i minęła go w drzwiach.

Jörn ruszył za nią.

Na parterze jeden korytarz prowadził w lewo, drugi w prawo, w każdym znajdowało się sześć, może osiem mieszkań, a na wprost była klatka schodowa. Wszędzie pełno ludzi – biegali, stali, gadali, popijali.

Maja wyjęła komórkę.

– Jaki masz numer?

Jörn podyktował jej i wyciągnął swoją. Maja zadzwoniła.

– Ty na lewo, ja na prawo. Będziemy w kontakcie. Na wypadek gdyby... Jedno z nas musi mieć cały czas klatkę schodową na oku. Dlatego będziemy zaglądać do mieszkań na zmianę.

– To zajmie nam wieczność.

– Nie marudź. Musimy ich znaleźć!

– Okej, okej – mamrotał Fitz pochylony nad szarą kartką z białymi hieroglifami.

– No i co? – niecierpliwił się Jan.

– Jeszcze nie skończyłem.

– Ale co to w ogóle jest? Czy to nam coś da?

– Hmm...

– Mów wreszcie!

– No dobra. Will napisał tu pół powieści – powiedział w końcu Fitz. – Tylko że hasłami. A w paru miejscach zanotował „obraz”.

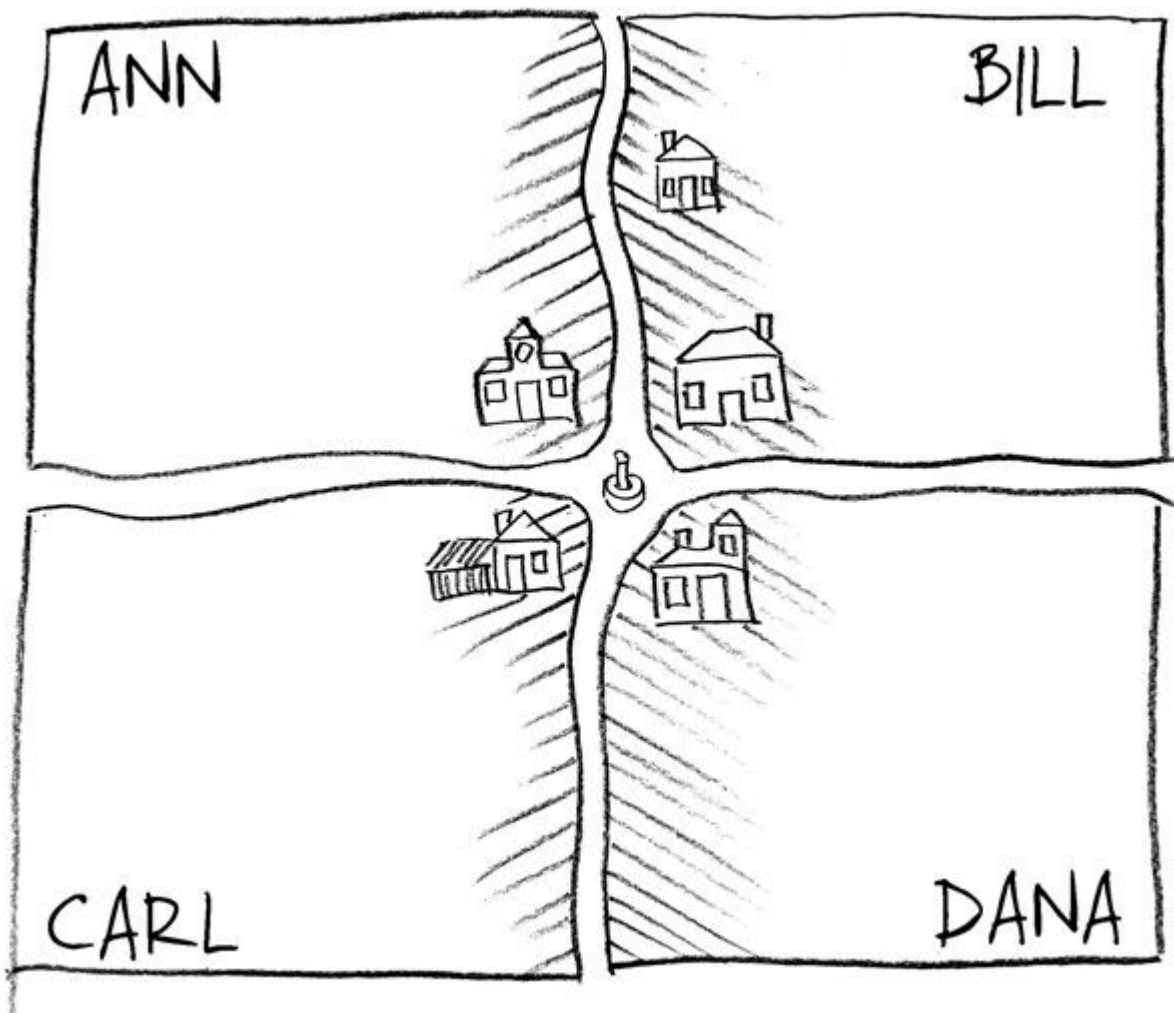
Sięgnął znowu po ołówek, oderwał szarą kartkę z bloku i zaczął coś szkicować na pustej stronie.

Prostokąt, podzielony na cztery równej wielkości pola. Rozdzielone czymś, co wyglądało jak ulica. W każdym polu jedno imię: Ann, Bill, Carl, Dana. I kilka domków.

– Co to jest? Wieś?

– Powiedzmy. Dwie chłopki, dwóch chłopów. Pola Ann i Carla leżą po zachodniej stronie, w dolnej części wsi. Warunki wzrostu na ich polach są jednakowe.

Pola Billa i Dany znajdują się po wschodniej stronie, na wzgórzach. Tam panują trochę inne warunki niż w dolnej wsi. Zboże na polach ich obojga ma identyczne warunki wzrostu, ale inne niż na polach Ann i Carla. Odpowiedzialne za to są takie czynniki jak nawodnienie, pogoda i występowanie szkodników.



– I to wszystko jest w tych bazgrołach? – spytał Jan.

– Jak wspomniałem: hasłowo. Will opisał tę czwórkę w taki sposób: Ann jest pracowita, porządna i oszczędna, zgodnie z mottem: Gdyby każdy tak gospodarował, wszystkim dobrze by się wiodło.

– Czyli typowa szwabska gospodyni domowa, jak powiedziałaoby się w Niemczech – wtrąciła Kim.

– No właśnie. Druga postać, Bill, to typ zawodnika. Zawsze chce być najlepszy. I wszędzie próbuje uzyskać coś korzystnego dla siebie. Jego motto: Jeśli każdy dba o siebie, to skorzystają na tym wszyscy.

– Bardzo sympatycznie – obruszyła się Kim.

– Ann i Bill oczywiście wysiewają miliony ziaren. Ale dla uproszczenia Will zaczyna przykład od Ann i jednego ziarna.

– Co to ma być? – spytał z irytacją Jan. – Wprowadzenie do jakiejś gry?

– Nie mam pojęcia, nie dałeś mi doczytać do końca – odparł Fitz. – No więc z ziarna Ann przy sprzyjającej pogodzie i na dobrym gruncie

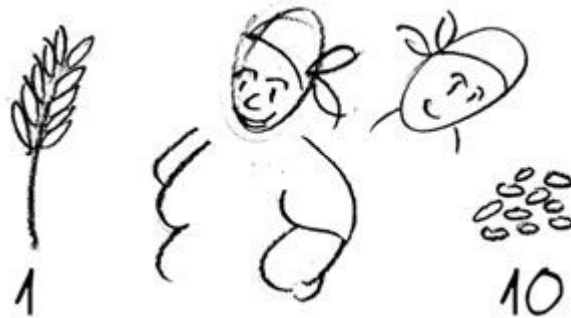
wyrasta jeden kłos. Jeden kłos, znowu upraszczając, z dziesięcioma nowymi ziarnami w środku.

Szybko narysował kłos, chłopkę i dziesięć ziaren.

– Ale z ciebie artysta. Chyba minąłeś się z powołaniem – zakpił Jan.

– Wiem. Wyliczenie nie powinno być skomplikowane, dlatego przyjmijmy, że Ann z zebranych plonów nie będzie nic jadła ani sprzedawała. Co znaczy, że w następnym roku będzie mogła zamiast jednego ziarna zasiać dziesięć. – Fitz zmarszczył czoło, próbując odszyfrować białe bazgroły. – Drugi rok jest kiepski. Późny wiosenny mróz niszczy trzy z dziesięciu kiełkujących roślin. Szkodniki zjadają dwie następne. A latem podczas suszy usychają jeszcze trzy kolejne.

– Czyli pozostają dwa – podsumowała Kim. – Co daje w sumie dwadzieścia ziaren.



– *Picture* – powiedział Jan. – Tutaj...

Fitz znowu naszkicował: martwe rośliny, chłopkę, dwadzieścia ziaren.

– Ale jej sytuacja wyjściowa na następny rok jest mimo wszystko lepsza niż w pierwszym roku – ciągnął. – Bo zamiast dziesięciu może zasiać dwadzieścia ziaren. I podobnie jest później, rok po roku trochę inaczej.

– Nadal nie rozumiem, o co w tym chodzi – prychnął Jan.






– Trochę cierpliwości – upomniała go Kim.

Jan się zaczerwienił. Miał nadzieję, że ona tego nie zauważyła.

– No dalej – zwróciła się do Fitz'a. – Tu są jeszcze jakieś liczby...

– Tak. Will zakłada, że na polu Ann przez cztery kolejne lata sytuacja będzie się rozwijać tak: w pierwszym roku z jednego kłosa powstaną dwa. W drugim – sześć. W trzecim też tylko sześć. W czwartym z sześciu zrobi się dwanaście.

Zapisał wszystko po kolei.

BAZA ANN	REZULTATY			
 1 KŁOS	 4 KŁOSY	 4 KŁOSY	 8 KŁOSÓW	 16 KŁOSÓW
ROK	1	2	3	4

– Czyli po czterech latach Ann z jednego kłosa uzyskała dwanaście – podsumowała Kim.

– Na polach Billa we wschodniej części wsi sytuacja przez lata wygląda inaczej – podjął Fitz. – W pierwszym roku z jednego kłosa rodzą się cztery. Zdecydowanie lepiej niż u Ann. Ale w drugim też ma tylko cztery, czyli tyle samo co rok wcześniej. Za to w trzecim roku jest już ich osiem, a w czwartym aż szesnaście.

Następny szkic.

Jan wepchnął pięści do kieszeni i powstrzymał się od komentarza. Po diabła ta zabawa w liczby?

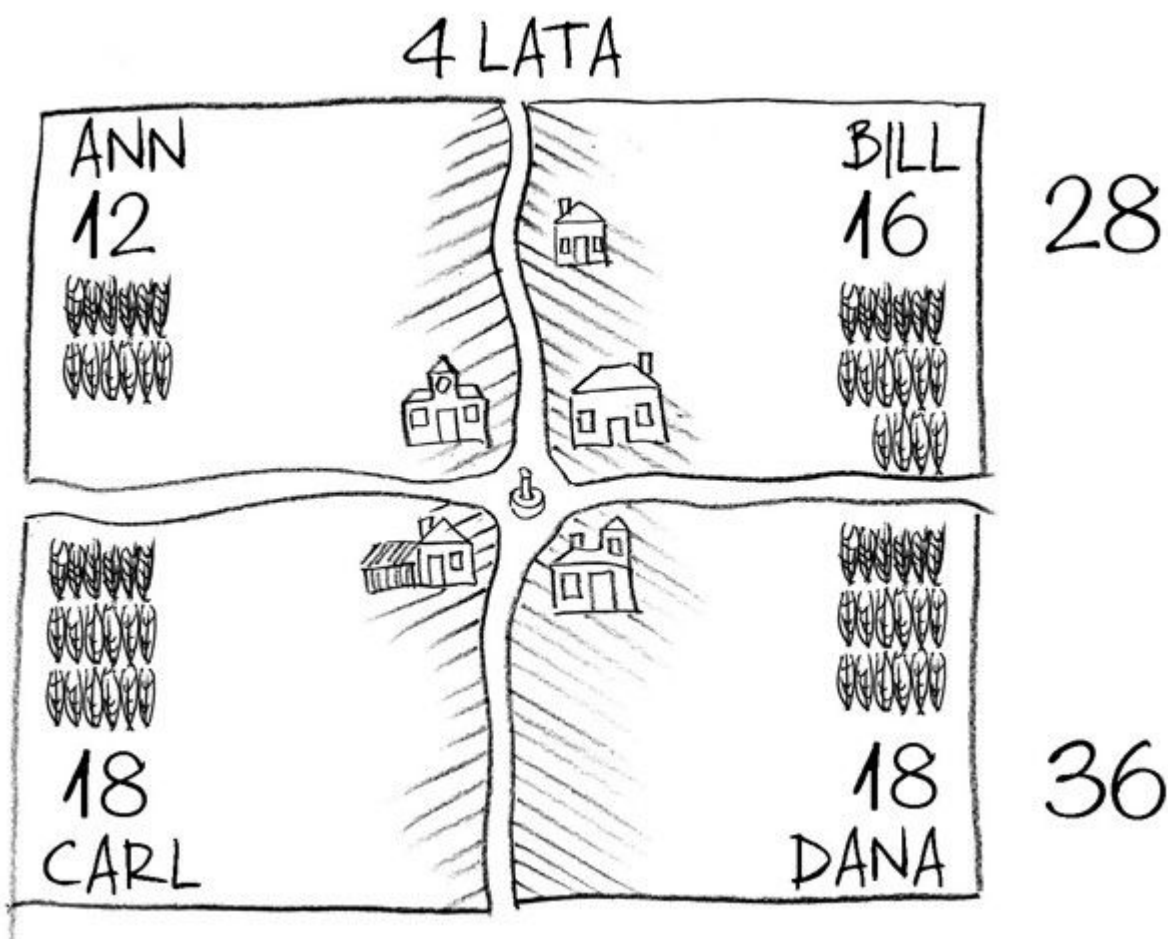
– Bill w ciągu czterech lat z jednego kłosa otrzymał aż szesnaście – ciągnął Fitz. – W niektórych latach więcej osiągnęła Ann, w niektórych Bill. W sumie oboje w ciągu czterech lat z dwóch kłosów uzyskali dwadzieścia osiem kłosów.

– I co teraz? – rzucił Jan. – Mamy jeszcze raz wyliczać to wszystko dla Carla i Dany? Przecież wiadomo, co wyjdzie.

Fitz nie zwracał na niego uwagi. Nosem niemal dotykał papieru.

– Zgadza się – powiedział. – Ale w ich przypadku liczby są inne. Gdy Ann po czterech latach miała dwanaście kłosów, Carl wyhodował ich osiemnaście! Po drugiej stronie wsi Bill po czterech latach zebrał szesnaście kłosów. Dana natomiast też doszła do osiemnastu. W sumie ona i Carl w tym samym czasie z dwóch kłosów uzyskali trzydzieści sześć! O wiele więcej niż Ann i Bill.

Fitz wpisał liczby na rysunku z czterema polami.



- Może oni mieli lepsze nawozy – wtrącił Jan. – Albo środki do zwalczania szkodników. Albo nasiona. Albo...
- Nie, Will explicite to wyklucza.
- Explicite – prychnął Jan.
- ...wszystkie warunki są jednakowe. Wszystkie. Jednoznacznie.
- Zrozumiałem.
- W takim razie jak tłumaczy lepsze plony Carla i Dany? – spytała Kim.
- Dobre pytanie – stwierdził Fitz i wskazał na dolną część kartki. – Tu, na końcu, jest jeszcze tylko krótki dialog między Billem a Daną. – Odczytał go na głos: – Bill: „Jak wy to robicie?”. Dana: „*Sprytnie* gospodarujemy. Przypomnij sobie: pięć lat temu moje plony były marne. Za to ty miałeś bardzo dobry rok”. Bill: „Tak to już jest. Są lata dobre i są lata złe”. Dana: „Wtedy cię spytałam, czy ty...” – Fitz podniósł głowę. Spojrzał na Jana przepaszająco.
- Koniec.
- Jak to koniec?

– Po prostu. Koniec. Na tym kończy się ta historia.

– I to wszystko? – spytał ochryplym głosem Jan.

– Wszystko – potwierdził Fitz.

– Chyba żartujesz? To po to, do jasnej cholery, prawie daliśmy się przerobić na krwawą miazgę? O mały włos nie spadliśmy z siódmego piętra i z dachu? Po to uciekamy przed policją? Dla jakiejś pokręconej hiostoryjki o ziarnach i kłosach?! Kurde. No nie wierzę. Po prostu nie wierzę!

– Jan. – Usłyszał jak przez watę głos Fitz. – Jan!

Anglik chwycił go za ramiona i potrząsnął. Jego twarz rozmyła się chłopakowi przed oczami. Dopiero w tym momencie Wutte się zorientował, że zerwał się z miejsca. Kim i jeszcze dwie nieznajome osoby, które właśnie weszły do środka, wpatrywały się w niego ze zdumieniem graniczącym z fascynacją.

Miał to gdzieś.

– Jan – powtórzył Fitz. – Musieliśmy spróbować. Lepiej coś zrobić, niż stać bezczynnie.

„Nie opowiadaj mi takich bzdur!”

– Dokładnie przez takie podejście wpakowałem się w całe to gówno! Mogłem po prostu jechać dalej i w ogóle się nie zatrzymywać! Teraz spałbym spokojnie we własnym łóżku!

– O czym wy mówicie? – zainteresowała się Kim i zmarszczyła czoło. Nie było jej z tym do twarzy.

– Nieważne – rzucił Fitz. – To był długi dzień. – Opadł na krzesło i wpatrzył się w pustkę.

W ciszy, która zaległa, Jan poczuł się nagle bardzo zmęczony. Pozostali spoglądali niepewnie to na niego, to na Peela. Jan zerknął na Kim i trochę zakłopotany przygryzł wargę. Usiadł.

– *Sorry* – powiedział.

– Nie musisz przeproszać – odparł Fitz. – Byłeś tylko szybszy. – Uśmiechnął się do Jana.

Ten jego chytry uśmieszek gracza. Nic dziwnego, że wygrywał. Albo był mistrzem w utrzymywaniu innych w przekonaniu, że jest do tego zdolny. Osiągał swój cel.

– No dobra, to jeszcze raz, delikatnie: co to ma być? – spytał Jan.

– Według mnie to rodzaj przypowieści – odparł Fitz. – O tematyce ekonomicznej. Z powodu Thompsona. Will lubił robić takie rzeczy. Zamierzał coś w ten sposób wyjaśnić. – Roześmiał się. – Tylko niestety brakuje rozwiązania!

– Ale kto napisał tę historyjkę? – wtrąciła Kim. – Nie możecie po prostu spytać jej autora?

Fitz milczał. Jan milczał.

– On nie żyje – powiedział w końcu Anglik.

– Och. – Skonsternowana Kim powiodła wzrokiem po nich obu. – Przyjaciel?

– Tak – potwierdził Fitzroy.

– Przykro mi.

Położyła dłonie na ich ramionach. Jana przeszył dreszcz. Przyjemny. Pierwsze miłe doznanie tego wieczoru.

Maja dotarła już na trzecie piętro, ale na razie nie znalazła żadnego z nich. Na każdej kondygnacji od klatki schodowej odchodził korytarz w lewo i w prawo. A w każdym znajdowało się wiele mieszkań. W niektórych brakowało drzwi wejściowych, zastępowały je zasłony. Nieliczne miały prowizoryczne drzwi. Maja domyślała się, że właściciel kamienicy usunął z niej wszystko, co czyniło z budynku miejsce nadające się do zamieszkania. Ciekawe, jak squattersi załatwili sobie prąd i wodę, ponieważ pod sufitami świeciły żarówki, a toalety zdawały się działać, chociaż większości najwyraźniej nikt ostatnio nie sprzątał.

Właśnie sprawdziła kolejne mieszkanie na piętrze, gdy w wejściu do następnego natrafiła na starego znajomego. Oparty o drzwi Sören był zajęty rozmową z atrakcyjną blondynką. Nie tracił czasu.

– Jak tam? – spytał. – Już znalazłaś, kogo szukałaś?

Maja zignorowała go i weszła do pomieszczenia za jego plecami. Ani w kuchni, ani w trzech pokojach nie wpadła na poszukiwanych. Większość osób tutaj już spała, na matach albo w śpiworach. Prawdopodobnie wielu z nich wcześniej wieczorem stało pod tym jasnym znakiem pokoju, patrzyło z podziwem i entuzjazmem w górę. A jutro pewnie wszyscy wybiorą się na wielką główną demonstrację. Na chwilę ogarnęła ją zazdrość. Zazdrościła tym młodym ludziom ich bezpretensjonalności. Ich pasji. I ich naiwności.

Kto w wieku dwudziestu lat nie jest komunistą, nie ma serca. Kto w wieku czterdziestu lat nadal nim jest, nie ma rozumu. A jeśli ma się i jedno, i drugie?

Na korytarzu też nie było już tak ruchliwie. Sören wciąż gadał z blondynką, ale oprócz niego i dwóch młodych kobiet – jednej z krótkimi lokami, drugiej z kruczoczną fryzurą na boba – które minęły Maję, nie było nikogo.

– Już – powiedziała, spoglądając w kierunku Jörna czekającego w korytarzu po drugiej stronie klatki schodowej. – Twoja kolej.

Jörn wszedł do pierwszego mieszkania, ona zaś zajęła pozycję przed kolejnym. Zostały im jeszcze trzy na tym piętrze. Pograżona w myślach, odprowadzała spojrzeniem obie kobiety, dopóki nie zniknęły w ostatnich drzwiach na końcu korytarza.

– To jest Nida. – Kim przedstawiła wysoką młodą kobietę o twarzy Królowy Śnieżki, czarnych włosach obciętych na boba i w ciemnych okularach, ubraną w bluzę, obcisłe dżinsy z dziurami na kolanach i sneakersy. – Nida jest ekonomistką. Może będzie umiała wam pomóc w rozszyfrowaniu historyjki.

„Co? Ekonomistka? Serio? Niby jak mogłaby nam pomóc?”. Jan pomyślał, że to miło ze strony Kim, ale biedna nie wie, że ich prawdziwym problemem nie są ekonomiczne gry liczbowe, tylko zgraja bandziorów i policja.

Nida skinęła głową na powitanie, Jan i Fitz przedstawili się. Potem Anglik wyjaśnił, o co chodzi, i pokazał rysunki.

– Hm. – To był jedyny komentarz dziewczyny.

– A, tutaj jesteście! – rozległo się od drzwi.

Christo. Z gościem w kapturze z centrum IT.

– Macie tu numery komórek Jeanne Dalli – powiedział ten drugi, podając Fitzowi kartkę. – Pierwszy to prywatny. Drugi i trzeci służbowe.

– Dzięki!

– Nie ma za co.

Zniknął, zanim Anglik zdążył cokolwiek dodać.

– Jesteście Jan i Fitzroy, tak? – spytał Christo.

– Zgadza się – odparł Fitz. Numery telefonów poprawiły mu humor.

– Korytarzowa poczta pantoflowa donosi, że jakaś laska i podejrzany typ krążą po domu i szukają niejakiego Jana i niejakiego Fitzroya.

W brzuchu Jana woda, którą wypił, zamieniła się w kwas.

– Myślałem, że tutaj nikt nie da rady wejść – rzucił ostro Fitzroy.

– Nikt w rodzaju tamtych gości z dachu. Ale ta parka wygląda podobno całkiem normalnie.

– Skąd to w ogóle wiecie?

– Mamy wewnętrzny system komunikacji – wyjaśnił Christo. – To, że tutaj *sporo* się dzieje, jeszcze nie znaczy, że nie ogarniamy, co się dzieje.

– A jeśli oni są z tej samej bandy? – szepnął Jan do Fitz.

– Kobieta i mężczyzna? – odpowiedział cicho Peel. – Stawiałbym raczej na tamtych dwoje sprzed mojego hotelu. Gliny.

– Skąd mieliby wiedzieć, że tu jesteśmy? – syknął Jan.

Z nerwów zaciskał i rozluźniał szczęki.

– A helikopter? – przypomniał mu ironicznie Fitz.

– Przeskrobaliście coś poważnego? – Kim wydawała się raczej zaintrygowana i rozbawiona niż zaniepokojona.

– Czy tak wyglądają mistrzowie gry? – Fitzroy odpowiedział jej pytaniem.

– Gdzie jest teraz ta kobieta? – spytał Jan.

Christo wyrżał na korytarz i poinformował:

– Już niedaleko. Jakies dziesięć metrów stąd.

– Nie mogą nas znaleźć! – krzyknął Jan.

– Zejdźcie drabinami przeciwpożarowymi na podwórze – zaproponował Christo. – Przez tamto okno...

Jan natychmiast ruszył we wskazanym kierunku. Sąsiednie pomieszczenie było czymś w rodzaju salonu, w którym pięć osób wylegiwało się na kanapach, gawędząc. Jana interesowało wyłącznie okno. Otworzył je i spojrzał w dół. Wyglądało na to, że rzeczywiście jest za nim drabina.

Lub coś, co z niej zostało.

Z pojedynczych okien na dziedziniec padało światło, oświetlając przy okazji przerdzewiałą i powyginaną konstrukcję, która na wysokości Jana tkwiła oddalona co najmniej pół metra od fasady; mocowanie było wyrwane z muru. Ale piętro niżej odstęp wynosił już metr, a niżej jeszcze więcej. Koniec drabiny nie był widoczny. Czy ten szkielet w ogóle sięga ziemi? Jan chwycił za szczebel, szarpnął. Skrzypiąc jak zardzewiały wiatrak, całość zakołysała się w ciemności. Czy to coś jest w stanie udźwignąć człowieka?

– Jan! – Fitz, stojąc tuż za nim, mocno go trzymał. – Jeżeli to jest policja... może powinniśmy z tym skończyć. Wszystko się wyjaśni.

– A jeśli to ten typ, który chciał mnie aresztować...

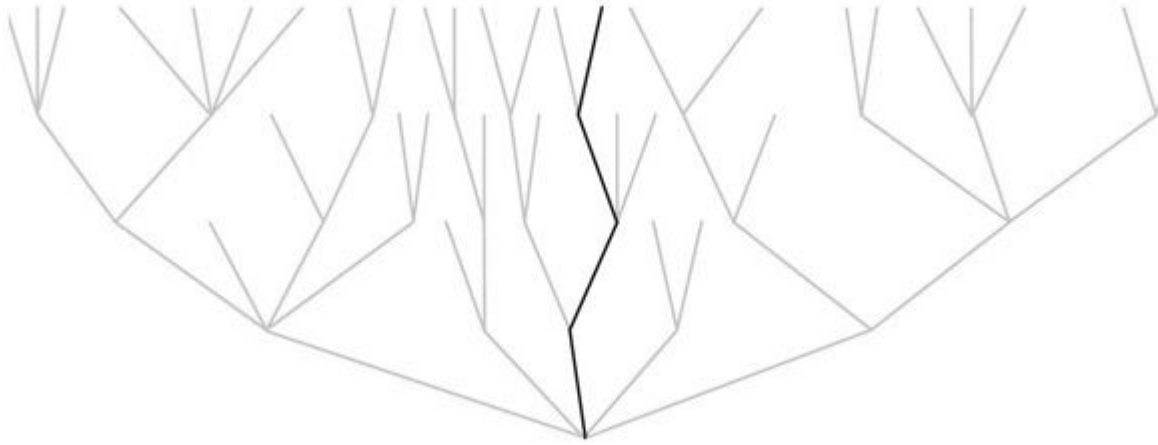
Chłopak wyrwał się gwałtownie. Przełożył nogę przez parapet i po omacku szukał stopą żelastwa.

W drzwiach prowadzących z kuchni stali Kim i Christo.

Za nimi wyłoniła się kobieta.

Kobieta sprzed hotelu Fitz.

Decyzja czwarta



„W końcu powstają wielokomórkowce i organizmy złożone – emanacją tej matematycznej zasady jest życie”

Will Cantor

Maja rozejrzała się po kuchni. Była w niej młoda czarnowłosa kobieta, którą wcześniej widziała na korytarzu. Stół, krzesła. Beładnie poodsuwane, jakby ktoś w pośpiechu zerwał się i uciekał. W drzwiach do sąsiedniego pomieszczenia stała jakaś para. Oboje spojrzeli na nią szeroko otwartymi oczami, nieco zdenerwowani.

Jakby na nią czekali.

Odwrócili wzrok w stronę pokoju za swoimi plecami.

Oni tam są!

Gracz. Bez dwóch zdań. A przy oknie, już prawie na zewnątrz, Jan Wutte!

Przycisnąwszy telefon do ucha, Maja powiedziała szeptem:

– Jörn, mam ich! Ostatnie mieszkanie po lewej!

– Kto ty jesteś? – spytał facet w drzwiach. – Czego tu szukasz?

– Przepraszam, nie przedstawiłam się. Maja. A ty?

– Christo.

– Czy Jan i Fitzroy są tutaj?

Christo nie odpowiedział.

– Chciałabym coś z nimi krótko omówić – oznajmiła. Wyciągnęła szyję, zerknęła ponad jego ramieniem. – O, widzę ich tam! Jan! Fitzroy! Macie chwilkę?

Zdezorientowany Christo obrócił się w ich stronę.

Fitzroy Peel stanął za nim. Powiedział mu coś do ucha.

Spojrzenie Christa stężało.

– Pani jest z policji?

Szlag! Reguły gry raptem uległy zmianie. Zanim Maja zdążyła cokolwiek wymyślić, facet spytał:

– Czy ma pani nakaz przeszukania?

– Jaja sobie robisz?! – wrzasnął z tyłu Jörn. – Zajmujecie nielegalnie dom i chcecie odmówić nam wstę...

– Jörn! – przerwała mu Maja.

– ...pu? Gdzie oni są? Przepuście nas!

– Pan też z policji? – upewniał się Christo.

Czarnowłosa dziewczyna filmowała całą scenę ze swojego miejsca przy stole kuchennym. Podobnie ta druga, z krótkimi lokami, która obchodziła

ich naokoło. Również z pomieszczenia za Christem wyłoniły się postacie z rozświetlonymi komórkami.

– Jörn. – Maja próbowała uspokoić kolegę. Wykonała niedwuznaczny ruch głową w kierunku telefonów. Powstrzymała go, gdy chciał odepchnąć Christa na bok. – Jesteś nagrywany – wycedziła przez zęby.

– Tak? – ryknął Jörn. – Mam to w dupie!

– Jörn... – Usiłowała odciągnąć go do tyłu. Na próżno.

– To jest utrudnianie pracy policji! Pomagacie zabójcy!

– Nie jestem żadnym zabójcą! – krzyknął z okna Wutte. – Wręcz przeciwnie! To ja wezwałem pomoc! Chcecie mnie zrobić!

– Typowe – syknął ktoś z obecnych.

– Pozamykam was wszystkich za pomoc w przestępstwie! – wrzasnął Jörn.

Pchnął Christa, tym razem dużo mocniej.

„To się zaczyna wymykać spod kontroli. Jörn, ty kretynie!”.

– Janie Wutte! – krzyknęła Maja. – Chcemy pana przesłuchać tylko jako świadka!

– Pani kolega przedstawia to całkiem inaczej – zawołał jeden z filmujących.

– A tak w ogóle to moglibyśmy zobaczyć wasze papiery? – spytała czarnowłosa kobieta.

Jörn spojrzał na nią osłupiały. Maja chwyciła go za ramię.

– Jörn!

– Mam dość! – warknął. – Jeszcze kontrola osobista! – Zaczął obmacywać swoją treningową kurtkę, potem spodnie.

Maja natychmiast się domyśliła. Kretyn do kwadratu! Zostawił dokumenty w mundurze! Niedopuszczalny blamaż. Podczas gdy Maja pokazywała swoją legitymację, on próbował pokryć kompromitację zdwojoną furią.

– Wasze dokumenty! – warknął. – No, szybciej! Wszyscy bez wyjątku!

Maja opuściła powieki i westchnęła. Nie cierpiała pracować z półgłówkami. Peel nie uciekał, a Christo wydawał się skłonny do negocjacji. Dopóki nie wtargnął Rambo Jörn.

– Najpierw niech pan pokaże swoje – odparował Christo. – Na razie widzieliśmy tylko legitymację pana koleżanki.

Mięśnie w szczęce Jörna pracowały nerwowo, ale pod wpływem spojrzenia Mai jakoś się opamiętał. Maja przeniosła wzrok za Christa.

Zobaczyła puste otwarte okno.

– Gdzie są Wutte i Peel?! – krzyknęła. – I dziewczyna?

Zniknęła ta z kręconymi włosami. Czarnowłosa też.

Maja rzuciła się do okna w kuchni. W ciemnej studni podwórza dyndały zardzewiałe resztki drabiny przeciwpożarowej. Po skrzypiącej rozchwianej konstrukcji schodziły dwie osoby.

„Cholera, życie im niemiłe czy co? Wolą uciekać po tym złomie, niż z nami porozmawiać? Chociaż po występie Jörna...”

Albo wcale nie są tacy niewinni, jak twierdzą. Nagły trzask – z góry zaczęły spadać wsporniki. Odbijały się z brzękiem od konstrukcji i znikwały w ciemnej czeluści.

Cała drabina osunęła się niżej.

– Boże!

Wskutek wstrząsu szczebel uciekł mu spod stóp. Jan kurczowo zacisnął palce, zardzewiałe żelazo wrzynało mu się w dłonie, nogi zwisały pozbawione oparcia. Brzęk metalu zagłuszał jego krzyk. Z góry spadały na nich stalowe elementy. Wirując, odbijały się od drabiny i od muru, lądowały z głuchym łoskotem na dziedzińcu. W niektórych oknach rozbłysło światło. Fitz również stracił równowagę – wisiał uczepiony tylko na jednej ręce, obracał się. Na szczęście po chwili chwycił się znowu oburącz.

Gwałtowne szarpnięcie i drabina przestała się osuwać. Jan po raz drugi niemal stracił oparcie. Złapał się w ostatniej chwili. Cała konstrukcja opuściła się mniej więcej o metr. Skrzypiała, zgrzytała, chwiała się, drżała.

„Trzeba się ewakuować!”

Światło z parteru padało na podwórze. To częściowe obsunięcie nawet im pomogło. Drabina zawisła teraz około czterech metrów nad ziemią. Jan zszedł na sam jej koniec; trzymał się ostatniego szczebla z nogami dyndającymi w powietrzu. Szybki rzut oka na ziemię – puścił się.

Wylądował twardo, przeturlał się na bok, pozbierał się. Spróbował wsłuchać się w swoje ciało. Kostki. Kolana. Nadgarstki. Przedramiona. Ramiona. Wszystko w porządku. Zerwał się na nogi.

Obok niego zeskoczył Fitz. Jan pomógł mu się podnieść.

– Ty durniu! – wydyszał Peel.

– Spadamy stąd, zanim to całe żelastwo się na nas zwali!

Jan pociągnął go na klatkę schodową.

Kim już tam na nich czekała. Z rozwianymi włosami i dzikim spojrzeniem. Za nią Nida.

– Szybko! – krzyknęła Kim. – Gliny zaraz tu będą!

Bell stał jakieś trzydzieści metrów na lewo od wejścia do kamienicy, El w takiej samej odległości na prawo. Sam czekał w bramie naprzeciwko, a Jack w roverze na ulicy na tyłach budynku.

Było już po północy.

Policjantka po cywilnemu i jej partner w komicznym przebraniu jeszcze nie wyszli z kamienicy. Ich pojawienie się dało całej tej historii nowy impuls. Najpierw El widział ich przy hotelu Peela, teraz są tutaj – to nie mógł być przypadek. Czyli oni też chcą dopaść tych dwóch. Rywalizacja, której El nie potrzebował.

Zazgrzytał zębami. Samarytanin i ten drugi mają niewiele możliwości. Zamierzają przeczekać i tu przenocować? Kiedyś i tak będą musieli stąd wyjść.

El ze swoimi ludźmi muszą się na to przygotować. Każdy z nich umiał czekać. Nocne warty w Afganistanie, Iraku, Sudanie czy w rejonach świata, o których nikt nie wiedział, że tam operują. Podczas tamtej służby taka akcja jak dzisiejsza byłaby niedzielnym spacerkiem.

W niektórych oknach wciąż paliło się światło.

– Chyba ich widzę – odezwał się głos Jacka w słuchawce. – Tak. Wychodzą z innego domu. Widocznie budynki są połączone. Nie są sami. W sumie cztery osoby.

– Idziemy. Informuj nas na bieżąco.

Czyli jednak nie nocują. Kto wie, czy to mimo wszystko nie byłoby rozsądniejsze.

Fitzroy gnał obok Kim w kierunku Freidrichstraße, tuż za nimi druga para. Od czasu do czasu spadały na nich duże krople z pomrukującego burzowego nieba.

– Mam nadzieję, że nie popełniamy błędu, pomagając wam – wysapała Kim.

– Na pewno nie – odparł Peel. – Nic nie zrobiliśmy. – „Poza tym, że się włamaliśmy do hotelu. Chociaż z technicznego punktu widzenia też nie. W końcu mieliśmy oryginalną kartę”. – Opowiem ci wszystko później. Dokąd teraz?

– Za mną.

Friedrichstraße. Jeszcze spory ruch o tej porze, głównie taksówki. Jan rozejrzał się nerwowo. Policjantki i jej kolegi nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Kim zatrzymała taksówkę machnięciem ręki. Ostatni rzut oka za siebie przed wejściem do pojazdu.

Fitzroy zamarł. Z Reinhardstraße wyłoniło się trzech potężnych mężczyzn. To nie byli policjanci.

– Szybko! – krzyknął i rzucił się do samochodu. – Niech pan jedzie!

– O co chodzi? – zdziwiła się Kim.

Wszyscy czworo wpakowali się do auta.

– Później wyjaśnię! – rzucił Peel. I do kierowcy: – Niech pan rusza!

Typki przystanąły, patrzyły za taksówką. Tuż obok nich zahamował ciemny samochód terenowy.

– Kurr... – syknął Fitzroy, odwracając głowę.

Jan też ich zobaczył.

Anglik podsunął taksówkarzowi pod nos dwie setki.

– Dostanie pan drugie tyle, jeśli pozbędzie się pan tego ciemnego rovera za nami.

– Co, u diabła... – wymamrotała Kim.

– Mam go zgubić? – upewnił się taksówkarz.

– Tak.

– Ścigać ścigałem nieraz. Ale żeby zgubić...

Nacisnął na gaz.

– Czekam na wyjaśnienie – zażądała Kim. – Już!

Fitzroy i Jan wymienili spojrzenia. Anglik kiwnął głową.

– Dziś wieczorem został zamordowany mój przyjaciel – zaczął. – Jan był tego świadkiem. Ale jak się zorientowaliście, to jego podejrzewa policja.

Kim patrzyła na niego z otwartymi ustami. Deszcz padał coraz mocniej. Kierowca włączył wycieraczki.

– *Sorry* – wymamrotał z zakłopotaniem Jan. – Przykro mi, że was w to wplątaliśmy.

– A ci za nami? – rzuciła Kim. – Przecież to nie policja!

Gdyby opowiedzieli więcej, Kim chyba wyszłaby z siebie. Akurat teraz nie było im to potrzebne.

– To całkiem inna historia – wyjaśnił Jan. – Jestem winien tym gościom pieniądze.

– Jesteście totalnie... – wyjąkała dziewczyna.

Lało jak z cebra. Wymijając sznur samochodów, kierowca skręcił na buspas. Chociaż czarny rover nie miał prawa po nim jechać, oczywiście też natychmiast się na nim znalazł. Dzięki temu mógł przyspieszyć.

– Są coraz bliżej! – zauważył Fitzroy, starając się zachować spokój.

– Widzę – odpowiedział taksówkarz. – Jeszcze chwila cierpliwości.

Przejechał skrzyżowanie na zielonym. Rover był tuż za nimi.

Nagle zamigotało niebieskie światło, rozległ się charakterystyczny dźwięk. Z bocznej ulicy wyskoczył radiowóz na sygnale i ruszył za SUV-em.

– Jeszcze do tego policja! – jęknął Jan. – To koniec.

– Skoro nic nie zrobiłeś... – zaczęła Kim, także się odwracając. Niebieskie światło przykleiło się do rovera.

– Przecież sama widziałaś tego typu – dodał Jan. – Jemu jest wszystko jedno, czy coś zrobiłem, czy nie. On już wydał wyrok.

– No to mamy ich z głowy – obwieścił radośnie kierowca.

Rover został z tyłu. Zatrzymał się w zatoczce na skraju jezdni. Radiowóz tuż obok niego.

– Nie może korzystać z buspasa – wyjaśnił. – Wiedziałem, że tam stoi policja. Bo niedawno tamtędy przejeżdżałem. Oni tylko czekają na takich delikwentów.

Odbił w bok.

– Dokąd mam jechać?

– Niech pan jeszcze przetnie parę przecznic – poprosił Fitzroy. – I zatrzyma się na najbliższym postoju taksówek.

Podał mu obiecane banknoty.

Kim spojrzała pytająco na Jana, który tylko wzruszył ramionami.

– On dobrze zarabia.

– To powinien oddać tamtym pieniądze.

Fitzroy uśmiechnął się z przekąsem. Podobała mu się ta rezolutna dziewczyna.

– Niech to szlag! – prychnęła Maja, znalazłszy się przed kamienicą. Rozglądała się po ulicy. – Uciekli! – Zrobiła parę kroków w jedną stronę, a potem w drugą. – Zachowałeś się kompletnie nieprofesjonalnie – naskoczyła na Jörna. Usiłowała sobie przypomnieć, czy zostawiła coś w samochodzie. – Wolę już nie mieć żadnego partnera niż kogoś takiego jak ty. Wracaj do domu. Dobranoc.

– No daj spokój!

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku hotelu, z którego uciekli Peel i Wutte; nawet się nie obejrzała. Nie zwracała uwagi na deszcz.

Taksówkarz zatrzymał się na najbliższym postoju. Kiedy wysiedli, oberwanie chmury się skończyło, teraz już tylko mżyło.

– Jadę do mojej babci – powiedziała Kim. – Kiedy jestem w Berlinie, zawsze u niej nocuję. Jak chcecie, możecie się ze mną zabrać. I spokojnie się zastanowić. Bo do hotelu czy do domu raczej nie powinniście dziś wracać.

– Mówisz serio? – spytał z niedowierzaniem Jan.

– Przecież nie mogę was zostawić na pastwę tego kretyńskiego gliny.

Jan, oszołomiony, przeczesał włosy palcami.

– No to chętnie, pewnie...

– Dziękuję – powiedział Fitz.

Mogliby poszukać jakiegoś hotelu. Ale ktoś musiałby wtedy pokazać dowód. Może lepiej nie ryzykować.

– Pojedziesz z nami? – zwróciła się Kim do Nidy. – Po tym wszystkim oczywiście zrozumieć, jeśli...

– Ta wasza zagadka... – zaczęła Nida – coś w niej jest. Chętnie obejrzałabym ją jeszcze raz, na spokojnie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Kim wzruszyła ramionami.

– Ja nie. Babcia pewnie też nie.

- Tylko jak później wrócę na Reinhardstraße?
- Taksówką – odparła Kim i wskazawszy na Fitzę, dodała: – On zapłaci.
- Uśmiechnęła się do niego. – I za kurs do babci też.
Fitz odpowiedział jej uśmiechem.
- W porządku.
- Wsiadli do taksówki, Kim podała adres.
- Dlaczego właściwie tak was interesuje ta historia? – spytała.
- To jest ostatnia z rzeczy mojego przyjaciela, którą znaleźliśmy po tym, jak zginął – wyjaśnił Fitz. – Mieliśmy nadzieję, że to jakaś wskazówka.
- Dotycząca jego zabójców? Zawarta w bajce?
- Chodziło o tę kartkę. Sama widziałaś. Nie wiedzieliśmy, co na niej jest.
- To prawda – przyznała. – Ale teraz już wiemy. I ja nie dostrzegam tam żadnych wskazówek.
- A jeśli jednak jakieś się kryją? To jest chyba tylko początek historii, która na razie wydaje się skomplikowana. Może jej zakończenie podsunie jakiś motyw.
- Motyw zbrodni?
- Kto wie?
- Prawdziwe wyzwanie. Masz pomysł, jakie mogłoby być rozwiązanie?
- zwróciła się Kim do Nidy.
Znowu zaczęło mocniej padać.
- Klasyczna byłaby teoria gier – powiedziała Nida.
- Chcecie teraz grać? – spytał z niedowierzaniem Jan.
- Teoria gier nie musi się wiązać z graniem w gry – odrzekła Nida. – Chodzi w niej o to, w jaki sposób podejmowane są decyzje, gdy występuje konflikt interesów. Ta teoria jest podstawą strategii we wszelkich możliwych procesach decyzyjnych i sytuacjach konfliktowych: od gospodarki, przez procesy społeczne, po niepokoje społeczne i wojny.
- To dlaczego coś takiego nazywa się teorią gier?
- Bo ma źródło w kwestiach dotyczących gier. I również dzisiaj nierzadko jest kształtowana za ich pośrednictwem. Ale w gruncie rzeczy chodzi o modele matematyczne.
- Znowu!
- Może słyszałeś kiedyś o dylemacie więźnia – powiedziała Nida. – To najbardziej znany przykład.

Jan pokręcił głową.

– Wyobraź sobie dwóch przestępców przesłuchiwanym przez policję. Obaj są w trudnym położeniu. Policja jest w stanie udowodnić im kradzież, ale podejrzewa ich także o napad rabunkowy z bronią w rękę. Jeśli nic nie powiedzą, każdy z nich pójdzie na dwa lata do więzienia za kradzież. Jeśli przyznają się do napadu, wylądują w nim na cztery lata. Jeżeli natomiast jeden potwierdzi napad, a drugi będzie milczał, ten, który się przyzna, jako świadek koronny trafi za kratki tylko na rok, a drugi dostanie najwyższy wymiar kary, sześć lat.

– Mogą się umówić? – spytał Jan.

– Bardzo istotne pytanie. Nie. Obaj przesłuchiwani są oddzielnie i jeden nie wie, co powie drugi. – Nida skrzyżowała ręce na piersiach, odchyliła się nieco do tyłu i powiodła wzrokiem po wszystkich po kolei. – Co byście zrobili?

Przez krótką chwilę panowała cisza, po czym Jan rzekł:

– Obaj mielibyśmy przesrane.

– Dlaczego? – spytała Nida.

– Jeśli nakabluję, pójdę do więzienia tylko na rok. Dla mnie osobiście to byłoby najlepsze. Tyle że niestety ten drugi myśli tak samo. Dlatego gadamy obaj. Czyli przyznajemy się i policja wsadza każdego z nas na cztery lata.

– Tak jest – rzekła Nida. – Więc która strategia byłaby dla obu najsensowniejsza?

– Trzymać język za zębami – powiedział Jan. – Wtedy każdy odsiaduje tylko po dwa lata za kradzież.

– W sumie cztery lata. Czyli...

– Ale to działa wyłącznie wtedy, gdy ten drugi też nie puści pary z ust! Bo jak zacznie kłapać, dostanie świadka koronnego! A ja sześć lat!

– Idealny przykład na to, że dwie jednostki chcące zmaksymalizować korzyść własną nie współpracują ze sobą.

– I zamiast tego wpadają w gówno – podsumował Jan.

– Ale sytuacja ulegnie zmianie, jeśli gra powtórzy się wielokrotnie – wtrącił Fitz.

– Znasz to?

– Trochę...

– Czyli: człowiek uczy się na błędach – zauważył Jan.

– Nie – zaprzeczyła Nida. – Raczej mamy tu do czynienia z zasadą, że jeśli ukarzesz tych, którzy psują zabawę, następnym razem będą przestrzegać reguł. O czym wiadomo co najmniej od czasu prac Roberta Axelroda z lat siedemdziesiątych, *Tit-for-Tat* i tak dalej.

– Ale jak to nam może pomóc w sprawie chłopów? – przerwał ze zniecierpliwieniem Jan. – I przede wszystkim dlaczego Carl i Dana mają po czterech latach *więcej*?

W hotelu Raal nie ucieszono się z jej wizyty. Kwestia dyskrecji. Po stwierdzeniu, że żadnemu z gości nic się nie stało, chciano najszybciej, jak to możliwe, wrócić do codzienności. Conocności.

Pięć gwiazdek. To zupełnie co innego niż squat, z którego Maja właśnie przyszła. Menedżer zaprowadził ją do pokoju 756.

– To z niego tamci dwaj musieli wydostać się na zewnątrz – wyjaśnił. – Inni goście hotelowi widzieli tych alpinistów amatorów z okien naprzeciwko i zgłosili to administracji. Okno w łazience zastaliśmy otwarte.

– Kto wynajmował ten pokój?

– Niejaki Will Cantor. Z paszportu wynika, że obywatel USA.

– Od kiedy?

– Obywatel USA czy gość naszego hotelu?

Maja była zbyt zmęczona na takie żarciki, co wyraziła spojrzeniem.

– Od dzisiaj – odparł menedżer.

– Na jak długo?

– Na dwie noce.

– Czyli na czas szczytu.

Zlustrowała pokój. Nie odkryła nic ciekawego. Interesujące było to, czego w nim nie znalazła: laptopa, tabletu, nawet ładowarek tkwiących w gniazdkach. Żadnych notatek.

– Nie udostępniacie swoim gościom papieru listowego, notesu i przyborów do pisania? – spytała menedżera.

– Cały zestaw powinien być na biurku. Może obsługa zapomniała go położyć.

Sprawdził w szufladach.

– Mógłby pan to wyjaśnić? – poprosiła Maja. Wszystko może być ważne. – Czy goście, o których pan wspomniał, jeszcze nie śpią?

– Raczej nie.

– Ilu alpinistów widzieli?

– Jeden mówił o dwóch. Według innych było ich trzech.

Okno w łazience wciąż było otwarte. Już samo spojrzenie w dół sprawiło, że Mai zakreśliło się w głowie. Czy to możliwe, żeby ktoś odważył się iść po murze? Na poziomie podłogi wzdłuż muru biegł

szeroki na dwadzieścia centymetrów, lekko pochyły gzyms. Elewacja wyłożona była bloczkami udającymi piaskowiec, oddzielonymi żłobieniami grubości palca, które być może nieco ułatwiały trzymanie się ściany. Ale żeby zdecydować się wyjść za okno, trzeba było mieć niemałe doświadczenie wspinaczkowe. Albo być bardzo, bardzo zdeterminowanym.

Następnie Maja poszła na taras na dachu i zadała parę pytań personelowi. Towarzyszył jej menedżer. Nieliczni goście, którzy jeszcze nie udali się do swoich pokoi, schronili się przed deszczem w zadaszonych miejscach.

Zamówiwszy sobie White Lady, spytała barmana:

– Ilu ich było?

– Dwóch przeszło przez balustradę. Czterech wspięło się na sąsiedni dach. Najpierw dwóch. I potem jeszcze dwóch. Nie wiem, czy to byli zawodowi wspinacze.

– Ochrona hotelowa? – spytała menedżera.

– Nikt z naszych pracowników. Może ktoś z osobistej ochrony gości.

– Biegaliby po czyichś pokojach?

– Może mister Cantor miał własną ochronę?

– Zgłosił ją?

– Nie. Ale to jeszcze nic nie znaczy.

Maja przyjrzała się narożnikowi, po którym podobno wdrapali się na górę dwaj mężczyźni. Musieli mieć palce chwytne jak gekony.

Już dawno minęła północ, na tarasie było znacznie mniej osób niż kilka godzin temu. Maja poprosiła, aby pokazano jej, gdzie znajduje się sprzęt nagłaśniający. Wyłączyła muzykę, sięgnęła po mikrofon.

– Dobry wieczór państwu. Jestem z policji. Jeśli ktoś z państwa był świadkiem wydarzenia, które rozegrało się tutaj mniej więcej dwie godziny temu, proszę o pomoc. Chciałabym wiedzieć, co państwo widzieli. Może ktoś nagrał tamto zdarzenie. Czekam przy barze. Dziękuję.

Ponownie włączyła muzykę.

Zatrzymali się w ciemnej ulicy przed budynkiem z lat pięćdziesiątych. Deszcz przestał padać.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył taksówkarz.

Jan nerwowo omiół spojrzeniem otoczenie i dopiero potem opuścił samochód. Jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie Kim i Nidy.

Rozdyskutowane studentki! Obie były tak pochłonięte roztrząsaniem wciąż tego samego tematu, że wysiadając, ani na sekundę nie przestały gadać. Fitz zapłacił bez mrugnięcia okiem.

– Może Carl i Dana nie rywalizują ze sobą – powiedziała Kim – tylko jakoś współpracują?

– Dając sobie nawzajem ziarno, jeśli mieli kiepskie plony? – podsunęła Nida. – Solidarność? Altruizm?

– Redystrybucja – wtrącił Fitzroy. – Bogaci dzielą się z biednymi. Sympatyczny odruch, ale nie wzbogaca *obu* stron. Tylko biednych.

– Powiedział człowiek, któremu nie brakuje pieniędzy... – zadrwiła Kim.

– I który właśnie zapłacił za taksówkę...

– On ma rację – stwierdziła Nida. – Na tym opiera się klasyczna ekonomia. Systemy gospodarcze dążą do równowagi, do *equilibrium*. Innymi słowy: nie możesz nikomu nic dać, nie zabierając komuś innemu.

– Dużo częściej dzieje się odwrotnie – oburzyła się Kim. – Redystrybucja od biednych dla bogatych. Dlatego nierówność majątkowa staje się coraz większa!

Jan skupił uwagę na prawie nieoświetlonej ulicy i ciemnym chodniku. O tej porze światło nie paliło się już w żadnym oknie.

– Podział na sprawiedliwszych zasadach zapewnia pokój społeczny – wtrąciła wciąż wzburzona Kim. – Poza tym współpraca zawsze przynosi coś dobrego. Są na to niezliczone dowody...

– Na przykład...? – spytał Fitz. – Wylicz.

– Jest ich mnóstwo – zezłościła się Kim. – Poczynając od spółdzielni, kończąc na... To ty umiesz liczyć.

– Ten system nazywał się komunizm i upadł.

– Mówię o czym innym!

– Zamiast życzeniowego myślenia i pseudointelektualnego bełkotu wolę modele matematyczne, które pokazują mi czarno na białym, czy ten twój spółdzielniany system będzie bardziej skuteczny – powiedział Fitz.

– Widać, że jesteś fizykiem...

– Ale tego rodzaju formuły w rzeczywistości nie istnieją – kontynuował Fitz. – Chociaż brzmi to radykalnie, do dzisiaj nikt tak naprawdę nie wie, jak przebiega wzrost. A już na pewno nie wiedzą tego filozofia i socjologia. Ani nawet biologia.

Doszli do drzwi wejściowych. Kim otworzyła.

– Oczywiście wszystko przez kapitalizm – parsknęła. – Tak?

– To taka sama ideologia jak marksizm i cała reszta – wtrąciła Nida. – Posłuchaj sobie jej najbardziej znanych reprezentantów w paru debatach na YouTube. Hayek, Friedman i inni – oni wszyscy mówią „sądzę”, same twierdzenia i pseudologika.

– Kapitalistyczne świece dymne! – rzuciła Kim i w końcu weszła do środka. – Ale w jednym punkcie muszę mimo wszystko przyznać Fitzowi rację...

– Dzięki!

– Te wasze teoretyczne spekulacje na bazie teorii gier tak czy inaczej nie pomogą w rozwiązaniu zagadki, dlaczego Carl i Dana produkują więcej niż Ann i Bill.

„A tym bardziej nie pomogą w pozbyciu się bandziorów, którzy nas ścigają”, pomyślał Jan. A przecież o to naprawdę chodzi w całych tych rozważaniach. Zanim wszedł do domu, rozejrzał się jeszcze raz. Ciemna ulica była pusta.

Winda zawiozła ich bezpośrednio do apartamentu Teda. Gdy rozsunęły się drzwi kabiny, przed Jeanne otworzyła się przestrzeń przypominająca loft. Przez jedną całkowicie przeszkloną ścianę widać było panoramę miasta.

Dochodziła północ. Jeanne postanowiła, że dopiero przekonawszy się, jak będą wyglądać najbliższe minuty, zdecyduje, co z dalszym ciągiem wieczoru.

Powiodła wzrokiem po wyposażeniu i drogich sprzętach w nazbyt, jak na jej gust, zbyt kownym stylu, dostosowanym do upodobań przeważającej większości zamożnych mieszkańców tego apartamentu z dawnych republik sowieckich, ze świata arabskiego, Chin i Azji Południowo-Wschodniej, a także do miliarderów z branży nieruchomości, gier hazardowych i branży telekomunikacyjnej ze Stanów i z Ameryki Łacińskiej. Wśród gości nie brakowało też afrykańskich tyranów. Zapotrzebowanie na tego rodzaju estetykę było niemałe.

– Ach – rzucił Ted za jej plecami.

Sięgnął po dużą grubą kopertę leżącą na gigantycznym kredensie. Przyjrzał się jej szybko i schował do szuflady. Następnie zajął się Jeanne. W dwóch różnych częściach pomieszczenia znajdowały się kanapy z fotelami. Na stoliku przy jednej z nich stał kubełek z lodem, w którym chłodziła się butelka szampana. Jakby Ted spodziewał się dzisiaj czyjejs wizyty.

– Masz jakiś powód do świętowania? – spytała Jeanne.

– To, że jesteś tutaj? – odpowiedział z uśmiechem. – Co mogę ci zaproponować?

– Kieliszek tego – odparła, wskazując na szampana.

Ted wprawnie otworzył butelkę bez głośnego wystrzału i napełnił dwa kieliszki do połowy. Podał jeden Jeanne i wzniósł toast.

– Dziękuję ci za uroczne towarzystwo dziś wieczór – rzekł.

Napili się.

– Otworzyć taras – wydał komendę i szklana ściana rozsunęła się na boki jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Taras zajmował całą szerokość ogromnego loftu. Dzięki przyćmionym smugom światła na jego krawędziach można się było po nim swobodnie

poruszać. Chłodne wieczorne powietrze wypełniło pomieszczenie. Deszcz odświeżył noc.

Wyszli na zewnątrz. Lekki wiatr igrał z włosami i delikatnym materiałem wieczorowej sukni Jeanne.

– Wyglądałaś dzisiaj olśniewająco – powiedział Ted.

– Dziękuję.

Poczuła, że mimo woli się zarumieniła. Ale w mroku na tarasie on nie mógł tego zauważyć.

Zatopił spojrzenie w jej oczach. Jego niebieskie tęczęwki wydawały się ciemnoszare. Był od niej wyższy tylko o kilka centymetrów, więc nie musiał się bardzo pochylać. Ich spojrzenia się spotkały, nie mogły się od siebie oderwać.

Jeśli coś miało z tego być, Jeanne nie wolno się zachowywać jak kobiecie polującej na skarb lub jak potencjalnej *trophy wife*. Ale nie może też być naiwna. Przypomniała sobie scenkę w oranżerii. Kopciuszek. „Nie jestem Kopciuszkiem”. Uśmiechnęła się do Teda. Jego usta dotknęły jej ust.

Kim ostrożnie przekręciła klucz w zamku. Wślizgnęła się cicho do środka i zapaliła światło. Z palcem na ustach dała znak pozostałym, aby weszli za nią, po czym zdjęła buty. Jak na ironię na dworze rozległ się grzmot. Jan, Fitz i Nida stanęli obok Kim w maleńkim przedpokoju. Wskazała na ich stopy. Ależ to będzie feeria zapachów! Dwie pary sneakersów i dwie pary stóp mających za sobą kilka długich ucieczek.

Tuż obok wejścia znajdowały się drzwi prowadzące do miniaturowej kuchni. Po lewej blat i wiszące szafki, niecały metr naprzeciwko nich – ściana. Na niej kalendarz ze zdjęciami kwiatów. W głębi, pod oknem, stół z dwoma krzesłami. We czwórkę na pewno się tu nie zmieszczą. Jan nie zauważył nawet zmywarki.

– Jeśli ktoś chce do toalety – szepnęła Kim – drzwi po drugiej stronie korytarza.

Fitz zniknął za nimi.

– Muszę koniecznie coś przekąsić – dodała Kim. – Ktoś jeszcze ma ochotę?

– Z przyjemnością – powiedział Jan.

Kim posmarowała kilka kromek chleba czymś, co wyjęła z lodówki, i napełniła cztery szklanki wodą z kranu.

Fitzroy wrócił z łazienki.

– I co teraz? – spytała Kim. – Długo nie dam rady. Jutro muszę wcześniej wstać.

– Normalnie też bym musiał – bąknął Jan. Łapczywie połknął kanapkę i opróżnił swoją szklankę.

– W takim razie niepotrzebnie z wami jechałam – stwierdziła Nida.

– Nie, nie – uspokoiła ją Kim. – Po tych przeżyciach muszę najpierw trochę ochłoniąć, żeby móc zasnąć. Ale sprężajmy się. Jakiś pomysł?

Fitzroy wyciągnął pomięte kartki z kieszeni, rozprostował je i położył na blacie kuchennym.

– Może jakiś wariant przewagi komparatywnej? – zasugerowała Nida.

– Raczej nie – odpowiedział Fitz. – Przecież mamy do czynienia z jednakowymi dobrami.

„O czym oni mówią?”

– Przewaga komparatywna? – spytała Kim.

„Och, dzięki, Kim. Nie tylko ja jestem zielony”.

– To główny argument wolnego handlu międzynarodowego.

– Ja znam wyłącznie jeden argument przemawiający za nim – rzekła Kim. – Swobodny handel sprzyja dobrobytowi. Tylko gdzie on jest, ten dobrobyt? Moja babcia z najniższą emeryturą go nie odczuwa. Ja też nie. A wy?

– Ja nie – przyznał Jan.

– Kapitalistyczny dogmat wyzyskiwaczy – stwierdziła Kim.

– Nie, prosty rachunek – odparła Nida. – Wyliczony przez brytyjskiego ekonomistę Davida Ricardo już w tysiąc osiemset siedemnastym roku. Wyobraźcie sobie dwa kraje, w których produkowane są określone towary. Ricardo posłużył się przykładem Anglii i Portugalii. Oba produkują tkaniny i wino.

– Angielskie wino? – zdziwiła się Kim. – Ueee!

– Wiem – odpowiedziała Nida. – Inne czasy. À propos, nie masz czegoś innego do picia?

– Jest tylko woda. I tani rum. Ale to skarb babci.

Nida zrobiła krzywą minę.

– I niech nim zostanie. W takim razie uwspółcześnijmy Ricarda i weźmy Chiny i Stany Zjednoczone oraz stal i software. Chiny produkują jedno i drugie korzystniej. Mimo to handel między krajami ma sens, jeśli każdy z nich skoncentruje się na wyrobie, który wytwarza *efektywniej*. Ktoś ma coś do pisania?

Kim znalazła długopis w szufladzie.

Nida odwróciła jeden z rysunków Fitz'a i zaczęła szkicować na pustej stronie kartki.

– W Chinach dziewięciu programistów wytwarza sto programów komputerowych, w USA potrzeba do tego dziesięciu. A zatem w Chinach jeden programista wytwarza jedenaście przecinek jedenaście programu, w Stanach – dziesięć. Czyli Chińczycy są bardziej produktywni. – Zapisała liczby na kartce.



CHINY

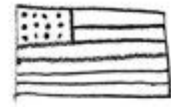
PROGRAMISTA

9

PO 11,11
PROGRAMU



100
PROGRAMÓW



USA

PROGRAMISTA

10

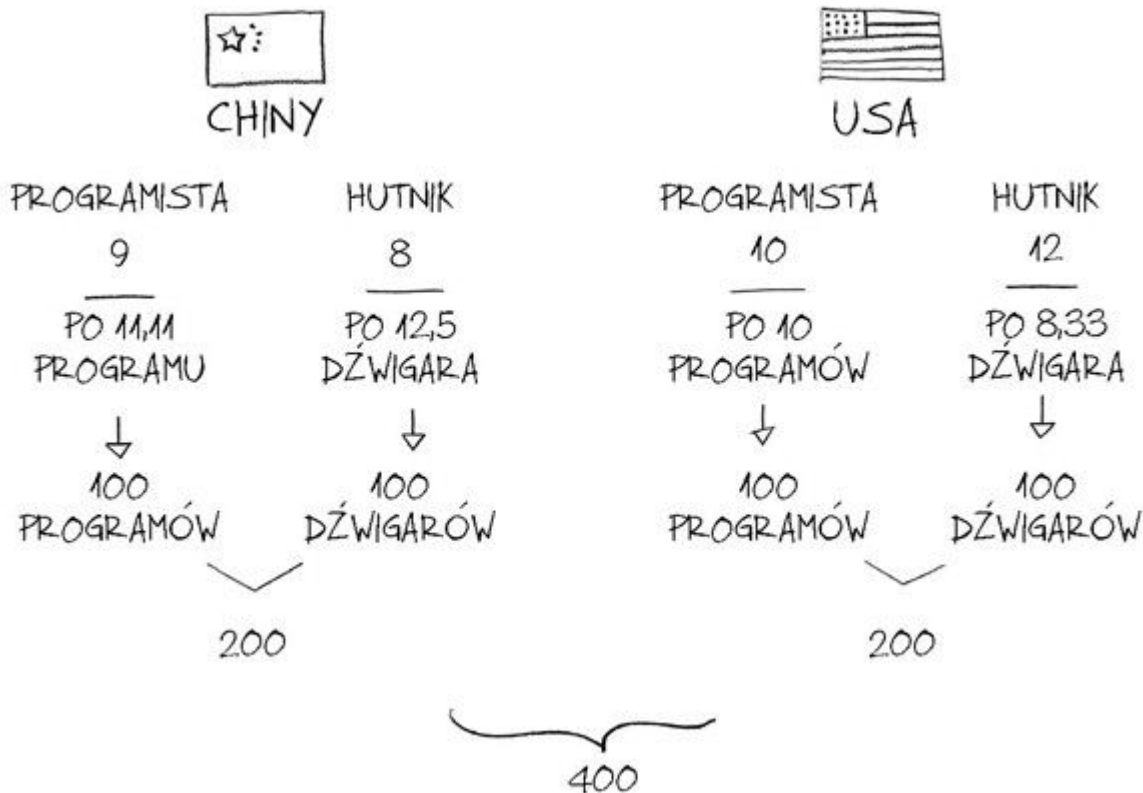
PO 10
PROGRAMÓW



100
PROGRAMÓW

– Ośmiu chińskich hutników produkuje sto dźwigarów stalowych, w Stanach do wytworzenia takiej liczby potrzeba dwunastu robotników. Innymi słowy, amerykański hutnik produkuje sto dzielone przez dwanaście, czyli osiem przecinek trzydzieści trzy dźwigara, a chiński robotnik odpowiednio dwanaście przecinek pięć. Znacznie więcej niż jankesi! W sumie oba kraje wytwarzają dwieście programów i dwieście dźwigarów stalowych.

– Zaraz, zaraz, chwila – przerwała jej Kim. – Muszę to przetrwać.



Jan wyłączył się już wcześniej. Zamiast na rysunki Nidy patrzył na Kim, obserwował, jak odgarnia włosy z twarzy i jak podczas słuchania wywodów Nidy między jej brwiami pojawia się mała zmarszczka.

– Co musisz przetrwać? – zaskrzeczał czyjś głos w drzwiach.

– Stanowczo za mało jesz! – powiedziała starsza kobieta.

Chociaż nie była wyższa od Kim, wypełniła sobą całe wejście do kuchni. Siwe włosy sterczały bezładnie we wszystkich kierunkach. Na nocną koszulę narzuciła trochę sfatygowany płaszcz kąpielowy, stopy tkwiły w przydeptanych bamboszach.

– Kim są ci ludzie?

– To moi przyjaciele, babciu. Nida, Jan, Fitz.

Starsza pani zmierzyła ich krytycznym wzrokiem.

– Ty i twoi przyjaciele. Wiecie, która jest godzina? Co tu robicie?

– Omawiamy sprawy. Możesz spokojnie dalej spać.

– Teraz już nie mogę. Przejdźcie do pokoju. Przecież tutaj jest za ciasno. No już! Poza tym muszę do ubikacji.

Kim dała resztkę do zrozumienia, że lepiej nie oponować, przenieśli się więc do pokoju. Nie był dużo większy od kuchni; prawie w całości

wypełniały go co najmniej trzydziestoletnia narożna kanapa i rustykalny stolik. Na ścianie wisiał rzecz jasna jelen na rykowisku i namalowany w komiksowym stylu sikający chłopiec o wielkich oczach. Tani ścienny zegar. W prostej witrynie naczynia i stosy gier planszowych.

Usiedli na kanapie i na nowo rozłożyli papiery. Nida właśnie miała mówić dalej, gdy babcia wróciła z toalety.

– Posuńcie się, chcę posłuchać.

– Babciu – odezwała się Kim, ale umilkła, zgromiona jednym spojrzeniem.

Fitzroy ustąpił starszej pani swoje miejsce.

– To dopiero dżentelmen!

Peel usiadł na podłodze.

– W porządku, teraz możecie zaczynać – zaskrzeczała kobieta.

– Panie i panowie – wtrąciła Kim – moja babcia, Sieglinde.

– Jak odmiana kartofli! – zachrypiała staruszka.

Nida chrząknęła nieco zirytowana, po czym podjęła wykład:

– No więc... na czym skończyliśmy? Na wydajności Chin. W produkcji stali jest wyższa niż w produkcji oprogramowania, dlatego kraj specjalizuje się w stali. Jeśli tych dziewięciu wolnych programistów...

– ...bezrobotnych programistów – weszła jej w słowo Kim.

– ...będzie jako hutnicy równie wydajnych jak pozostali hutnicy...

– Co to za bzdury? – przerwała jej babcia. – Jak programiści software'u mogą zostać hutnikami?

Jan stłumił śmiech.

– ...wówczas Chiny mogą wyprodukować dodatkowo sto dwanaście przecinek pięć dźwigarów – kontynuowała ze stoickim spokojem Nida. – Czyli zamiast stu programów i stu dźwigarów Chiny wytwarzają teraz dwieście dwanaście przecinek pięć dźwigara. A zatem więcej niż przedtem USA i Chiny razem wzięte. Część z tego wysyłają do Stanów. I to jest handel.



– A kto by chciał dźwigary wyprodukowane przez programistów? – wymamrotała babcia.

Nida nie dała się wyprowadzić z równowagi.

– Za to Stany Zjednoczone produkują tylko więcej software’u. I teraz dwunastu wolnych...

Kim:

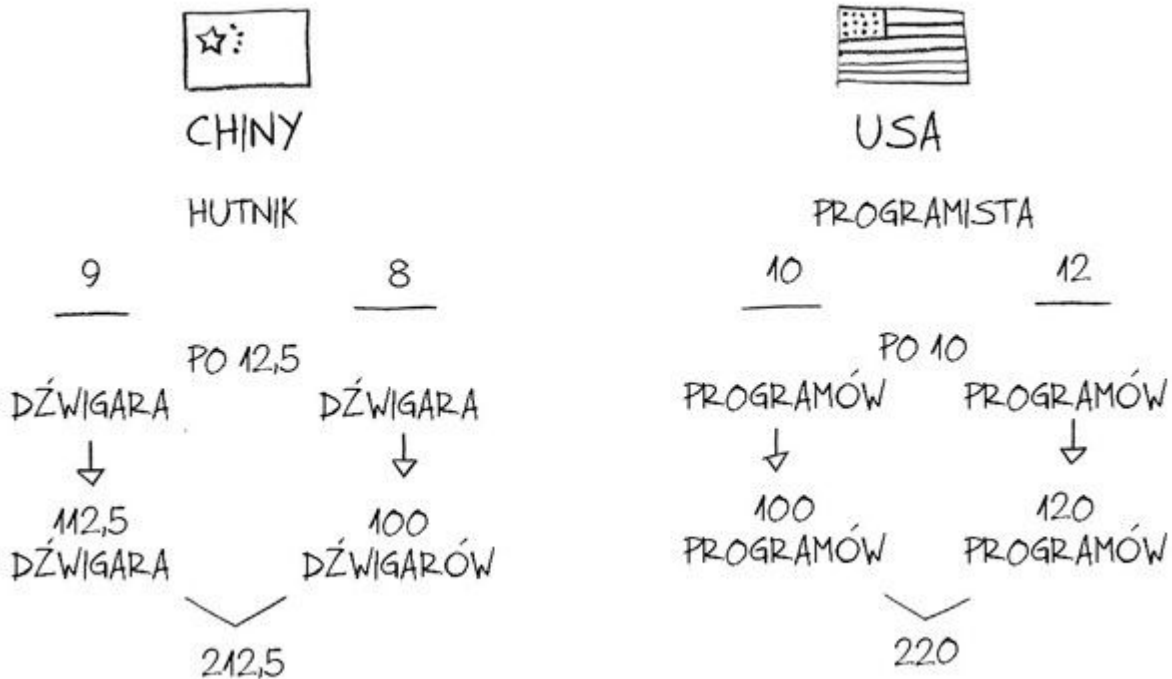
– ...bezrobotnych...

– ...hutników może napisać sto dwadzieścia programów.

– Hutnicy tworzący software! – Babcia zachichotała. – Coraz lepiej!

„Tylko się nie roześmiej, Jan! Broń Boże!”.

– Mówimy o modelu uproszczonym, który wyjaśnia zasadę – powiedziała spokojnie Nida. – Nikt nie twierdzi, że hutnicy mają się przez noc stać programistami. W nowoczesnej gospodarce, w której występuje całe mnóstwo różnych profesji, hutnik może się nauczyć całkiem innego zawodu.



– Niby kiedy? Po czterdziestu godzinach harówki tygodniowo, nie licząc zajmowania się dziećmi, opiekowania się rodzicami, zakupów...? – zagadnęła starsza pani.

– Oczywiście ma pani rację. Takie zmiany wymagają czasu. Dlatego ekonomista Karl Polanyi zaproponował spowolnienie procesów wielkiej transformacji.

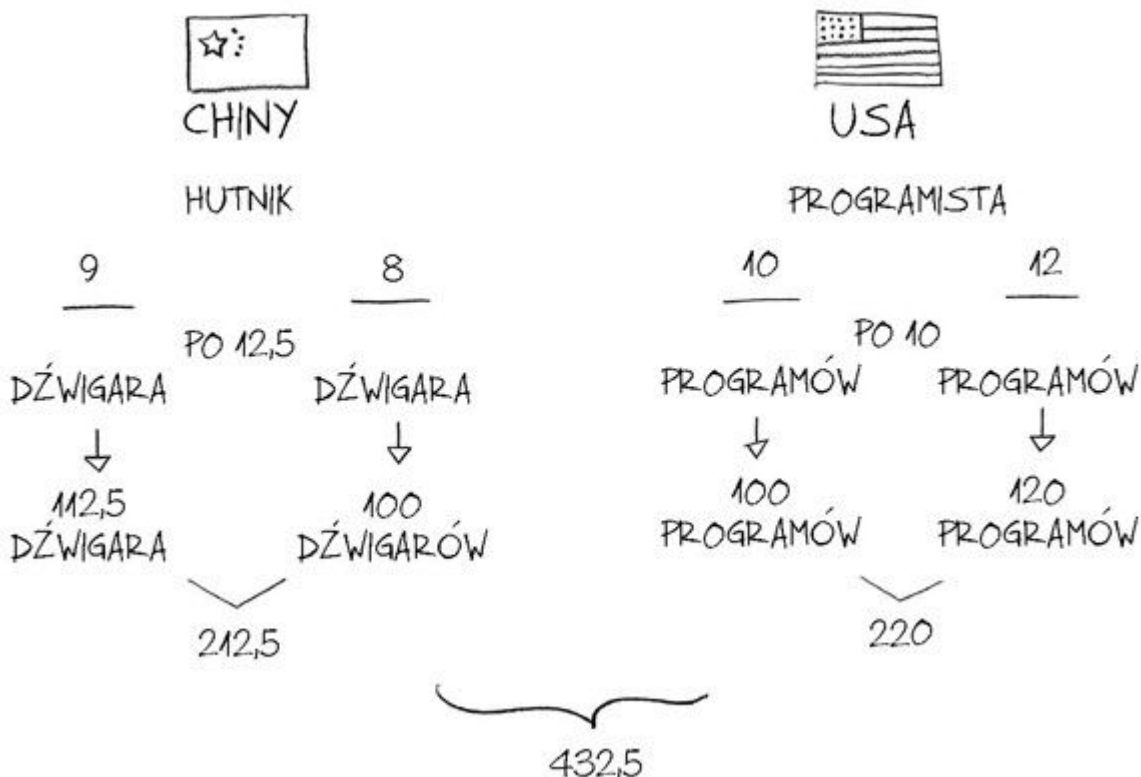
– Ale najwyraźniej nikt go nie posłuchał – odparowała starsza pani.

– Mimo wszystko to nie umniejsza zasadniczej użyteczności zasady przewagi komparatywnej – odparła Nida z westchnieniem. – Jak wspomniałam, mówimy o uproszczonym modelu. Stany nie wytwarzają już stu programów i stu dźwigarów, tylko dwieście dwadzieścia programów. Więcej niż wcześniej USA i Chiny razem. I znowu: część z nich trafia teraz do Chin.

– O ile Chińczycy już wcześniej ich nie skopiowali – wtrącił Jan.

Nida zignorowała jego uwagę.

– USA i Chiny dzięki handlowi zwiększają wspólnie swoją produkcję o dwieście programów i dwanaście przecinek pięć dźwigara. Ogólny dobrobyt wzrasta.



– Jeśli zniszczysz ten skutek, na przykład przez wojny handlowe, obniżysz stan dobrobytu po obu stronach – podsumowała Nida.

– Ale w takiej sytuacji trzeba znaleźć więcej klientów na tyle programów komputerowych i na tyle dźwigarów – uzupełniła uszczypliwie babcia. – Ja nie potrzebuję ani jednego, ani drugiego.

Jan już wcześniej zauważył, że kiedy Kim jest zła, jej oczy silnie błyszczą. Ile ona może mieć lat? Studentka. Czyli tyle co on albo dwadzieścia pięć, albo jakoś pośrodku. Czy we wszystko się tak angażuje i zawsze tak mocno się zapala jak do tej durnej historii o chłopach? Dlaczego słucha w takim skupieniu, podczas gdy w gruncie rzeczy to jego powinno to bardziej interesować? Przeniósł spojrzenie z powrotem na Nidę, której Kim właśnie bardzo uważnie się przyglądała.

– W praktyce jest to jak zwykle dużo bardziej złożone – mówiła Nida. – Bo na przykład już w latach trzydziestych i czterdziestych tacy ekonomiści jak Ohlin, Stolper i Samuelson zwrócili uwagę, że globalizacja powoduje, iż w bogatych krajach bogaci z reguły jeszcze bardziej się bogacą, a biedni biednieją. Czyli wiemy o tym już od kilkudziesięciu lat! Ale jednocześnie w biednych krajach ten sam proces może uczynić biednych bogatszymi. Co dało się zaobserwować w ostatnich

dziesięcioleciach w Indiach i Chinach. Jeśli jakieś społeczeństwa są zbyt głupie, aby przyzwolicie dystrybuować ten dodatkowy ogólny dobrobyt, przewaga komparatywna nic tu nie pomoże!

– Mój ojciec pracował w przemyśle samochodowym – powiedziała Kim – i został zastąpiony nie przez robotników w Chinach, ale przez roboty w Niemczech.

Wyjąwszy Nidzie długopis z ręki, w obu krajach przekreśliła robotników, a obok narysowała ramię robota.

– To ważny punkt – zgodziła się Nida. – Ostatnio zastępowani są także programiści. – Odebrała długopis i przekreśliła programistów. – A także lekarze i przedstawiciele innych wysoko specjalistycznych zawodów. Ale nie przez tańszych programistów czy lekarzy w innych krajach. Tylko przez sztuczną inteligencję. – Obok przekreślonych programistów naszkicowała głowę robota. – Tym samym, czym dla robotników były roboty, dla ludzi wykształconych będzie sztuczna inteligencja.

El najchętniej wyrwałby klamkę z drzwi.

Mimo to pokornie i ze zrozumieniem potakiwał policjantom, a nawet powiedział „dziękuję”, gdy Jack dostał z powrotem dokumenty samochodowe i prawo jazdy. Oraz mandat.

Papiery nie stanowiły problemu. Były zrobione perfekcyjnie.

Czy taksówkarz z premedytacją naprowadził ich na patrol? Prawdopodobnie. Mają jego numer rejestracyjny. Ale samarytanin i gracz nie są tacy głupi. Na pewno wysiedli gdzieś po drodze i wzięli inną taksówkę. I nią dojechali na miejsce. Jeśli rzeczywiście dokądś zmierzali.

Od godziny El i jego ludzie krążyli bez celu po mieście. Ich zleceniodawca, jakby coś przeczuwając, odezwał się w chwili, kiedy El zamierzał do niego zadzwonić.

– Załatwiony ten drobiazg? – spytał bez zbędnych wstępów.

– Przy wypadku osób docelowych był świadek – powiedział El. – Udało mu się uciec. Potem skontaktował się z drugą osobą. Deptaliśmy obu po piętach aż do pewnego squatu. Później straciliśmy ich z oczu.

Po drugiej stronie krótka chwila ciszy.

– Nawaliliście – oznajmił zleceniodawca. – Co ci dwaj wiedzą?

– Że to nie był wypadek. Potem dostali się pokoju hotelowego Willa Cantora.

– Czego tam chcieli?

– Nie wiemy.

– Zawodowcy?

– Nie.

– Tak jak i wy. Znacie ich tożsamość?

El się opanował. Podał ją.

– Doprowadźcie robotę do końca – powiedział zleceniodawca. – W przeciwnym razie możecie zapomnieć o drugiej transzy. Czekam na wiadomość.

Szczęka Ela intensywnie pracowała. Jak znaleźć dwóch ludzi w trzypółmilionowym mieście?

– Dureń! – syknął Fitz.

Nida i Jan wzdrygnęli się zaskoczeni. Fitzroy nerwowo szukał czegoś w kieszeni swojej kurtki, po czym triumfalnie pokazał Janowi kartkę.

– Numery telefonów Jeanne Dalli! W całym tym zamieszaniu kompletnie o nich zapomniałem.

Wyjął komórkę na kartę.

– Przecież jest środek nocy – zwrócił uwagę Jan.

– Ona na pewno jeszcze coś załatwia lub pisze sprawozdanie czy przygotowuje prezentację. Albo jest na bankiecie. *Work hard, party hard.* Znam ten typ. Sam taki byłem.

Numer nie był zajęty. Jeśli Jeanne Dalli nie spała, musiała widzieć na wyświetlaczu nieznany numer. W środku nocy. Na jej miejscu Fitzroy by nie odebrał.

I Jeanne Dalli zachowała się tak samo.

Proszę zostawić wiadomość.

Nie zostawił. Dzięki specom od IT ze squatu miał jeszcze do niej dwa numery.

Fitzroy pracował z ludźmi pokroju Jeanne Dalli. Młodymi, świetnie wykształconymi, ambitnymi, z branży finansowej.

Wiedział, jak działają. Wiedział, jak myślą.

Gdyby po nieudanej próbie dodzwonienia się na jego pierwszy numer służbowy ktoś nieznajomy usiłował połączyć się z drugim, zastanowiłby się. Bo dwóch swoich numerów na pewno nie dałby wielu osobom.

Ale mimo wszystko to jednak nieznany numer.

Proszę zostawić wiadomość.

Gdyby Fitzroy miał dwie komórki służbowe i jedną prywatną i ktoś w środku nocy czasu berlińskiego, a więc od południa do wieczora w USA, próbowałby złapać go po kolei pod trzema numerami, istniałyby tylko dwie możliwości. Pierwsza: usiłuje się do niego dodzwonić ktoś z garstki ludzi, którym dał wszystkie trzy, co znaczyłoby, że chodzi o coś ważnego i pilnego. Druga (lecz tej ewentualności Dalli prawdopodobnie w ogóle nie weźmie pod uwagę): jej firma ma problem z bezpieczeństwem.

Wyglądało na to, że Jeanne Dalli się tym nie przejmowała. Albo nie słyszała żadnego z telefonów. A na to nie ma zbyt wielu wyjaśnień.

Jeanne się obudziła. Było prawie całkiem ciemno. W półśnie stopniowo uświadomiła sobie, gdzie się znajduje. Obok niej spokojnie i miarowo oddychał Ted. Zamiast piżamy miała na sobie jego koszulę, która podjechała jej powyżej bioder. Wieczorowa suknia leżała gdzieś w salonie, podobnie bielizna, porozrzucana gdzie popadnie. Nie zdążyli dojść do sypialni. Nie za pierwszym razem. Zza dobrze izolujących okien odgłosy miasta docierały jak z zaświatów. Jeanne wsłuchiwała się w ciemność. Nie słyszała niczego konkretnego poza oddechem Teda i cichym biciem własnego serca. Zwinięta koszula uwierała ją w plecy. Obciągnęła ją i zamknęła oczy. Ponownie wsłuchiwała się w ciemność, a potem w swoje wnętrze. Zasnęła z uśmiechem na twarzy.

– To ślepa uliczka. – Jan ziewnął i pociągnął jeszcze jeden łyk rumu.

Fitz położył stówkę na kanapie starszej pani.

– Proszę kupić sobie nową butelkę.

– Chcesz zrobić ze mnie alkoholiczkę? – zawołała babcia. – Za takie pieniądze dostałabym dziesięć butelek.

Jan odpłynął myślami.

– Czy to prawda, co mówiłeś podczas gry w rzucanie monetą? To o podziale bogactwa? – zwrócił się po chwili do Fitz.

– Istnieje tak zwana zasada Pareto, od nazwiska włoskiego ekonomisty z przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Większość ludzi nie ma prawie nic, a nieliczni niemal wszystko. Tak było i jest w większości społeczeństw.

– My rzucaliśmy monetami. Podział w takiej grze to przypadek.

– Tak.

– Ale w rzeczywistym życiu dobrobyt nie zależy od przypadku. Tylko od pracowitości, wysiłku, umiejętności i wiedzy.

– Bzdura – zaprotestowała babcia. – W prawdziwym życiu zależy jedynie od tego, kim się urodziłeś i kogo znasz.

– O czym mówicie? – spytała Kim.

Fitz wyjął monetę i krótko wyjaśnił zasady gry.

Kim zabrała mu monetę i zaczęła ją podrzucać pogrążona w zadumie.

– Zgadza się – powiedziała w końcu. – Pracowitość, wysiłek, umiejętności i wiedza jako fundament powodzenia to ulubiony mit naszego tak zwanego społeczeństwa sukcesu. Ale przecież pracowitość, umiejętności, wysiłek i wiedza zależą w dużej mierze od przypadku. Jak wiadomo, inteligencja człowieka w pięćdziesięciu procentach albo więcej jest uwarunkowana genetycznie. Podobnie jest z wieloma innymi kompetencjami.

Znowu podrzuciła monetę. Złapała ją.

– Czyli przypadek. Ale jednocześnie nic ci nie pomoże najwyższy iloraz inteligencji, jeśli w dzisiejszych czasach urodzisz się na przykład jako dziecko biednej chłopki w południowym Sudanie.

– Albo jako córka pijaka, który nie umie czytać ani pisać – bąknęła babcia.

Podrzut monety.

– Wtedy masz małe szanse nawet na to, żeby przeżyć pierwsze lata. Twój sukces zależy także od tego, w jakiej urodzisz się rodzinie.

Metalowy krążek ponownie zawirował w powietrzu i wylądował na jej dłoni.

– Jeśli twoja rodzina nie przywiązuje wagi do wiedzy i wykształcenia, prawdopodobieństwo, że znajdziesz się wśród gorzej wykształconych i źle opłacanych członków społeczeństwa, jest dużo wyższe.

– Mówiąc ogólnie – potwierdziła cicho starsza pani.

Podrzut.

– Geny, rodzina, środowisko społeczne, miejsce, czas – to wszystko przypadek.

Kim złapała monetę i położyła ją sobie na przedramieniu. Rewers.

– Czyli niektórzy są przegrani już w momencie przyjścia na świat.

Babcia uśmiechnęła się gorzko.

– Chcesz mi powiedzieć, że sukces to czysty przypadek? – spytał Jan.

– Przypadek jest w każdym razie ważniejszy, niż jesteśmy skłonni to przyjąć i niż przyznaje to wielu ludzi sukcesu. Jest ważny do tego stopnia, że jeden z najbardziej wpływowych filozofów naszych czasów, John Rawls, oparł na tym przekonaniu swoją „teorię sprawiedliwości”. W jaki sposób ukształtowalibyśmy społeczeństwo, gdybyśmy nie wiedzieli, na jaką pozycję w tym społeczeństwie rzuci nas przypadek, którym jest fakt naszych narodzin.

– I do jakich wniosków doszedł? – spytał Fitz, po czym wypił łyk rumu.

– Wypełnił nimi całą książkę, noszącą tytuł właśnie *Teoria sprawiedliwości*. Bill Clinton spotykał się z nim regularnie na kolacjach.

– I niewiele mu to pomogło – wtrąciła starsza pani, po czym dźwignęła się z trudem z kanapy i poczłapała do witryny. Wróciła z jedną z gier w ręce. Monopol.

– Babciu, nie teraz! – zawołała Kim.

– No bo to, o czym tu mówicie, przypomina tę grę – powiedziała kobieta, wyjmując i rozkładając planszę. – Na koniec jedna osoba wygrywa wszystko. Czyli mamy ten podział dobrobytu. Jeśli grają w to ludzie mniej więcej jednakowo sprytni, to wtedy na ogół różne osoby będą wygrywać. – Rzuciła kostką, która przeturlała się w poprzek tablicy.

– O wszystkim decyduje to, czy kostka przeniesie cię szybko na dobre nieruchomości. Kwestia szczęścia i przypadku.

– Babcia wcale tak bardzo się nie myli – stwierdziła Kim, wiodąc wzrokiem po małym pokoiku. – W prawdziwym życiu niektórzy wcale nie muszą mozolnie skupować nieruchomości i budować domów, tylko już na starcie są posiadaczami najcenniejszego miasta.

– Masz na myśli to, że dziedziczą potężny majątek – wtrąciła Nida.

– Nie kiwnąwszy nawet palcem. A z kolei inni od samego początku nie mają najmniejszej szansy na nic.

– Kumulatywna dynamika przypadku! – wtrąciła Nida. – Marks nazywał to akumulacją i przypisywał winę kapitalizmowi. Ale przecież to jest zjawisko dużo starsze niż kapitalizm i znane od tysiącleci! Bogactwo pomnaża się silniej, właśnie za sprawą tej dynamiki. – Sięgnęła po kostkę i rzuciła ją po planszy w kierunku Fitz.

– Zgadza się – potwierdził Peel. – Zwłaszcza w przypadku najnowszych cyfrowych bestii, takich jak Amazon, Facebook, Google i spółka. To one pilnują źródła nowej ropy naftowej, czyli naszych danych osobowych. Nawet dziewiętnastowieczni amerykańscy baronowie szalbirki nie gromadzili majątku w tak zawrotnym tempie! – Pogrążony w myślach Fitz bawił się kostką.

– Jeszcze na długo przed kapitalizmem czasów nowożytnych zarówno Tora, jak i Biblia narzuciły wprowadzenie roku jubileuszowego – powiedziała Nida. – Stąd wywodzi się nasze określenie „jubileusz”. Oznaczało to, że co czterdzieści dziewięć albo co pięćdziesiąt lat należało darowywać wszelkie długi i uwalniać niewolników.

– Tę koncepcję znali już dawni Babilończycy – uzupełnił Fitz. – Jej celem było przywrócenie względnej równowagi w społeczeństwie.

– Nie wiadomo jednak, czy rzeczywiście wcielano ją w życie – zauważyła Nida. – Tak czy inaczej, były to pierwsze pomysły służące pohamowaniu tej dynamiki.

– Tym, co mają, będzie dodane – wtrąciła babcia. – Już Jezus to wiedział.

– Efekt świętego Mateusza – potwierdziła Nida.

Kostka, podobnie jak rozmowa, przeskakiwała z jednego pola na drugie. Przyszła kolej na Jana.

– Biednemu zawsze wiatr w oczy – powiedział.

– Nawet język ludowy to potwierdza. – Nida się roześmiała.

Fitz obrócił kostkę między palcami. Potem potoczył ją po planszy.

– Również jeden z wielkich orędowników wolnego rynku, ekonomista August von Hayek, przyznał, że gra rynkowa nie jest fair.

Kostka zatrzymała się z dwoma oczkami na wierzchu.

– Sieglinde, pani jest genialna! – wykrzyknęła Nida. – Czy pani wie, że Monopol został pierwotnie wymyślony właśnie po to?

– Na początku dwudziestego wieku amerykańska stenotypistka Elizabeth Magie wymyśliła The Landlord's Game. Była zwolenniczką poglądów ówczesnego reformatora społecznego Henry'ego George'a i chciała pokazać, jak niepoparty własną pracą dochód z posiadania ziemi prowadzi do nierównego podziału bogactwa.

– To jest jednak inna gra – zauważyła starsza pani.

– W znacznej mierze zapomniano jednak, że Elizabeth Magie przewidziała poszerzenie tej gry o coś w rodzaju proponowanego przez Henry'ego George'a *single tax* w odniesieniu do posiadania ziemi. Ten dodatek całkowicie zmienia przebieg gry! Nie wygrywa już jedna osoba, tylko większość graczy staje się coraz bardziej zamożna!

Fitz, który już na wpół leżał na kanapie, nagle się wyprostował.

– Jak mówisz?!

– To brzmi trochę podobnie jak w przypadku naszych chłopów – spostrzegł Jan.

– Muszę przyrzeć się dokładniej – wymamrotał Fitz.

– Ale ten drugi wariant pewnie dzisiaj nie jest stosowany? – spytał Jan.

– Obecnie gramy już tylko w tę wersję, w której rządzi przypadek, a nie rozsądek.

Kim w zadumie rzuciła kostką.

– Gra mająca wielu zwycięzców słabo pasuje do naszego świata.

„A gdzie komentarze babci?”

Starsza pani siedziała z opuszczoną głową. Jej pomarszczone dłonie spoczywały ciężko na płaszczu kąpielowym, pod którym rysowały się cienkie uda.

– Babciu! Babciu!

Głowa uniosła się natychmiast, staruszka rozejrzała się zdezorientowana.

– Kto... co...?!

– Idź spać, babciu – powiedziała Kim, po czym podała jej rękę, aby pomóc się podnieść.

Fitzroy ziewnął i bez skrupowania się przeciągnął.

– Chyba pora na nas wszystkich.

Pozostali byli tego samego zdania.

– Zaprowadzę babcię do łóżka, a potem pokażę wam, gdzie możecie się położyć – rzekła Kim.

– Życzę państwu dobrej nocy! – pożegnała się starsza pani.

Dobranoc.

„Tworzą razem miły dla oka obrazek”, stwierdził Jan, patrząc na plecy obu kobiet w drzwiach obok witryny – babcia powłóczyła nogami, a Kim ostrożnie ją wspierała.

Znalazłszy się przed hotelem, Maja jeszcze raz spytała w centrali o wsparcie.

Nie ma szans. Również Oskar, partner Jörna, wrócił do akcji.

Wciąż nie było żadnych danych od techników i patologów, żadnych informacji o tożsamości ofiar ze spalonego samochodu.

Ani protokołów z przesłuchań w Golden Barze.

Ani sygnałów o lokalizacji Wuttego czy Peela.

Maja postanowiła pójść parę kroków piechotą, a potem zatrzymać pierwszą taksówkę.

Na ulicach zrobiło się spokojniej. Chłodne powietrze zapowiadało zbliżającą się jesień.

Zawibrowała komórka. Przyszedł e-mail. Z tematu wynikało, że to wideo. Nadawcą był jeden z dwóch naocznych świadków, którzy zgłosili się na tarasie na dachu.

Nieostre, rozchwiane nagranie. Głośna muzyka, okrzyki w tle. Za widocznymi na pierwszym planie ludźmi dwie osoby przemknęły w kierunku sąsiedniego dachu. Duże, ciemne cienie. Zbyt potężne na Wuttego i Peela. To musieli być ci dwaj inni. Szybko zniknęli z pola widzenia. Maja jeszcze raz odtworzyła ten fragment. Wszystko rozgrywało się za daleko, trwało zbyt krótko, było rozmyte. Trudno cokolwiek rozpoznać. Ale mogło to wynikać też z jej zmęczenia. Minęła druga w nocy. Od osiemnastu godzin była na nogach. Po trzech godzinach snu. Po kilku drinkach. I jeszcze paru.

Nadjeżdżało żółte auto ze świecącą tabliczką na dachu. Maja machnęła ręką.

Opadła na tylne siedzenie taksówki. Podała adres we Friedrichshain. Opuściła powieki. Nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła.

Odrzutowiec wzbił się z rykiem ku granatowemu porannemu niebu. Na pasie startowym za nim przesuwiał się długi łańcuch świateł innych maszyn, od learjeta po 747.

Uzbrojona w mikrofon Melanie Amado zajęła pozycję na zewnętrznym tarasie widokowym. Wiatr targał jej włosy, huk silników tworzył dramatyczne tło.

– Mniej więcej co minuta z lotniska w Berlinie startują prywatne odrzutowce superbogatych uczestników szczytu, których większość przybyła tu dopiero wczoraj. Jak się dowiadujemy, niektórzy z nich bezpośrednio stąd udają się do swoich ufortyfikowanych rezydencji w Nowej Zelandii. Ostatnie komentarze ministra gospodarki Włoch...

Na monitorze pojawiła się twarz Maurizia Trittonego.

– W razie potrzeby zajmiemy się włoskimi przedsiębiorcami i pracodawcami. Jednak taka firma jak General Motors nie powinna oczekiwać od nas żadnego wsparcia...

Amado:

– ...wywołały natychmiast spekulacje na temat ewentualnej niewypłacalności koncernu samochodowego, zdementowanej zarówno przez samą firmę, jak i gabinet USA. Mimo to dziś rano na azjatyckich giełdach dominowała czerwień, głównie jeśli chodzi o akcje koncernów motoryzacyjnych i ich dostawców, zwłaszcza w obliczu słów Trittonego...

Trittone:

– ...że Włochy opuszczą i strefę euro, i Unię, jeśli...

– Czy oni wszyscy potracili rozum? – rzuciła Jeanne.

Opadłszy ciężko na kanapę w ciemnym salonie, wpatrzyła się w ogromny ekran telewizora. Ted pisał i sprawdzał coś w komórce. Miał na sobie tylko szorty, ona zaś nadal była w jego koszuli.

– Chodź z powrotem do łóżka – powiedziała. Która jest właściwie godzina? Dopiero kilka minut po piątej rano, jak wynikało z obrazu w telewizorze.

– Tam wszystko wrze – mruknął.

Jeanne wyjęła telefony ze swojej torebki. Ktoś próbował się dodzwonić do niej w nocy.

– Trittone powinien zdawać sobie sprawę, co w ten sposób wywoła.

– On dobrze to wie...

I to na wszystkie trzy numery. Jeanne podała je tylko garstce osób. Dźwięk w każdym aparacie był wyciszony.

– Niechący słyszałam wczoraj jego rozmowę z George'em – powiedziała. – Na moje ucho brzmiała tak, jakby George obiecywał Trittonemu pieniądze i stołki w zamian za przysługi. Może na przykład za kilka prostych wypowiedzi we właściwym momencie?

Osoba próbująca się dodzwonić nie zostawiła żadnej wiadomości. Czyli to nic ważnego. Otworzyła aplikację giełdową.

W Azji rzeź. To samo zaraz stanie się w Europie i na pozostałych rynkach. Jeśli będzie tak dalej, w najbliższych tygodniach i miesiącach wiele firm wprowadzi brutalne środki oszczędnościowe albo zbankrutuje, miliony ludzi stracą pracę, nie będą w stanie spłacać kredytów ani płacić czynszu. I z każdym dniem będzie narastać wściekłość.

– Z ludźmi takimi jak Maurizio robi się dobre interesy. – Ted uśmiechnął się nieznacznie, z twarzą oblaną niebieskawą poświatą z telewizora. – Które niewiele kosztują.

– Ty też...?

Ted spojrział na nią.

– Co?

– Robiłeś interesy z Mauriziem?

– Nie zwykłem robić interesów z osobami pokroju Maurizia. Do tego nadają się tacy jak George.

– Przecież on pracuje dla ciebie.

– George pracuje nie dla mnie, tylko dla siebie. Chce zarobić, jak każdy z nas. Jeśli rozwiązuje za mnie problemy, zarabia dużo pieniędzy. Podobnie gdy pomaga zachować niezbędny oficjalny dystans między mną a różnymi Mauriziami tego świata, harmonijnie zarządzając wspólnym interesem nas wszystkich, którym jest zarabianie pieniędzy. Jak on to robi, nie chcę nawet wiedzieć.

– Nie musisz mi wyjaśniać koncepcji wiarygodnego zaprzeczania. – Czy on ją ma za idiotkę? – Czy to znaczy, że George załatwił za ciebie „jakiś problem”?

Ted wybuchnął śmiechem.

– Nie. Każda inna odpowiedź na twoje pytanie nie byłaby wiarygodnym zaprzeczaniem.

Przytuliła się do niego.

- Nie jestem ani dziennikarką, ani prokuratorem.
- Za to jesteś dosyć ciekawska.
- Jeśli dzieli się z kimś łóżko, to może należałoby też dzielić się z nim swoimi myślami?

Ted spoważniał.

Jeanne odniosła wrażenie, że w jego spojrzeniu pojawiła się wręcz troska.

– A nie przyszło ci do głowy – zwrócił się do niej – że w ten sposób cię chronię? W razie sytuacji kryzysowej nikt nie będzie mógł zarzucić ci tego, czego nie wiesz.

Wzruszona troską po chwili z irytacją stwierdziła, że w nią nie wierzy.

– Spójrz, jak lecą na łeb na szyję kursy GM i innych producentów samochodów – powiedział, przekręcając w jej stronę ekran telewizora.

To tyle w kwestii zaprzeczania. I troski. Dobrze byłoby wiedzieć, na jakim fundamencie opierałaby się ewentualna poważniejsza relacja z Tedem. Ale czy ona rzeczywiście spodziewała się czegoś innego?

– Które wczoraj sprzedałeś krótko i które bez komentarza Trittonego prawdopodobnie nie straciłyby tak mocno na wartości...

„Dzisiejszej nocy powstaną fortuny”.

Gdyby się założył i postawił na spadające kursy, niewątpliwie zarobiłby małą fortunę. Małą jak dla niego.

– Czyli miałem nosa – rzekł. – A jeśli George istotnie obiecał coś Trittonemu, to był to dobrze ulokowany kapitał.

– Można tak powiedzieć. Postawiłeś też na włoskie i inne europejskie obligacje państwowe? Także krajów nowo uprzemysłowionych?

Znowu ten charakterystyczny uśmiech.

– I kiedy kursy będą już całkiem pikować, wtedy ty, Kemp Gellund i inni wystąpicie jako wybawcy i uratujecie ich z opałów?

– Tych i owych – odpowiedział Ted. – Nie możemy ocalić całego świata.

Jeanne zrozumiała.

– Oczekacie, aż firmy i państwa ogłoszą bankructwo, i wyłowicie najlepsze kąski z masy upadłościowej i *bad banks*, banków powołanych do likwidacji „złych” aktywów.

„Dzisiejszej nocy powstaną fortuny”.

Ogromne fortuny. Nawet w pojęciu Teda.

Wyprostował się na kanapie, zwracając głowę w kierunku przeszklonej ściany, za którą ostatnie gwiazdy ustępowały miejsca pierwszym smugom brzasku. Wkrótce wszędzie słońce.

– Rynki rosną, rynki upadają.

– A wraz z nimi znikają firmy i miliony miejsc pracy.

– Po raz pierwszy słyszę z twoich ust taki ton – zauważył Ted. – Raz na wozie, raz pod wozem, jak to w życiu. Po burzy odświeżającej powietrze wychodzi słońce.

– Prawdziwa burza dopiero przyjdzie – powiedziała Jeanne. – I będzie gorsza od tej z dwa tysiące ósmego roku. Ty też lecisz na Nową Zelandię?

Podobnie jak wielu jego kolegów miliarderów Ted kilka lat temu sprawił sobie, wraz z nowozelandzkim obywatelstwem, rozległą, w pełni chronioną posiadłość z bunkrami, lądowiskiem, zapasami żywności na lata, obsługą będącą do dyspozycji w każdej chwili i wszelkimi innymi udogodnieniami niezbędnymi na czas armagedonu. Największym zmartwieniem właścicieli tych luksusowych bunkrów było to, czy w razie końca świata będą mogli zaufać swojemu personelowi.

– A ty nie wybierzesz się ze mną? – Roześmiał się. – Żartowałem! Nie sądzę, żeby to było konieczne. Najwyżej na wakacje.

Fitzroy odnosił wrażenie, że ma pod powiekami tony piasku. Jan spał niespokojnie na drugiej części kanapy w kształcie litery L. W saloniku babci Kim. Na niskim stoliku obok leżała plansza Monopolu i stała pusta butelka po rumie. Starsza pani spała w swojej sypialni, Kim i Nida w sąsiednim pokoiku. Fitzroy z trudem doprowadził do pionu swoje zesztywniałe ciało. Po nocnych burzach niebo się wypogodziło, przez korony drzew za oknem przeświecał poranny błękit. Fitz przetarł oczy i wszedł do miniaturowej łazienki bez okna.

Dziesięć minut później, odświeżony po prysznicu, stał w kuchni i rozglądał się za ekspresem do kawy. Znalazł staromodny uchwyt na filtr i kawę. Nastawił wodę. Włączywszy komórkę, zaczął szukać w sieci nowych informacji o Thompsonie i Willu. Nie było jeszcze szóstej, czyli spał najwyżej trzy godziny. Śmierć Thompsona nie ulegała już wątpliwości, mimo że wciąż brakowało ostatecznego potwierdzenia ze strony policji. Nadal nie powiedziano nic o tożsamości drugiego pasażera.

Potem spróbował zadzwonić do Singapuru. Tam było już prawie południe. Kiedy w słuchawce odezwał się kobiecy głos, w pierwszej chwili Fitz wydobył z siebie jedynie nieokreślony charkot – pod wpływem zmęczenia i zaskoczenia. Szybko odchrząknął i zebrał się w sobie.

– Ashton Cooper. Jestem dziennikarzem „Wall Street Journal”. – W tym momencie drzwi kuchni minęła potargana Nida i rzuciła w jego stronę pytające spojrzenie, nie kryjąc zdziwienia tym, co usłyszała, po czym zniknęła w łazience. – Chciałbym prosić o stanowisko w związku ze śmiercią Herberta Thompsona.

– Stanowisko naszej uczelni znajdzie pan na stronie internetowej uniwersytetu – odparła chłodno jego rozmówczyni.

– Ponieważ profesor nie wygłosi już swojego przemówienia na szczycie, czy jego treść jest gdzieś dostępna?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Proszę powtórzyć, z kim mam przyjemność.

Fitzroy nie dał się tak łatwo wytrącić z równowagi.

– Ashton Cooper, „Wall Street Journal”.

– Chwileczkę.

W tle słyszał stukot klawiatury.

– Nie znajduję nikogo o takim nazwisku na stronach redakcji.
– Jestem wolnym strzelcem – wyjaśnił. – Współpracownicy nie zawsze są wymieniani.

Kobieta zawahała się, po czym powiedziała:

– Łączę pana z instytutem.

Po kilku sygnałach po drugiej stronie rozbrzmiał inny kobiecy głos. Fitzroy powtórzył prośbę.

– Przykro mi, nic mi w tej sprawie nie wiadomo. A nawet gdybym wiedziała, nie mogłabym udzielić panu informacji.

– Czyli jednak coś pani wiadomo?

– Nie. Profesor Thompson bywał u nas tylko kilka dni w miesiącu. A do wygłoszenia przemówienia został zaproszony dopiero tydzień temu.

– Czy nie orientuje się pani, czego miało dotyczyć?

– Niestety nie. Po otrzymaniu zaproszenia profesor już u nas nie był.

– Ale jest pani pewna, że zaproponowano mu wygłoszenie tego odczytu?

– Pisano o tym w naszym instytutowym newsletterze.

– Więc kto może mieć dostęp do treści...

– Proszę pana, rozumiem, że taki ma pan zawód, ale nie mam panu nic więcej do powiedzenia. My niczym tutaj nie dysponujemy. Do widzenia.

Ciągły sygnał.

Mógł jej uwierzyć. Albo nie. Przyglądał się kropelkom kawy skapującym do dzbanka.

Nida wyszła z łazienki, już rozbudzona i uczesana, ubrana w dzinsy i T-shirt.

– Dziennikarz z „Wall Street Journal”? – spytała z krzywym uśmiechem. – Myślałam, że jesteś byłym bankowcem, a teraz graczem.

– Mam złożoną osobowość.

– Albo rozszczepioną. Starczy kawy i dla mnie?

Ted dzwonił bez przerwy już niemal od godziny. Ze strzępów zdań Jeanne mogła się jedynie domyślać, czego dotyczą jego rozmowy. Chodziło o analizy sytuacji przedsiębiorstw i analizy ryzyka, które musiały zostać przeprowadzone przez wiele zespołów w głównej siedzibie Syllabusa. Jeanne miała już rozeznanie. Dla kolegów w firmie był co prawda późny wieczór, ale wszyscy już dawno przywykli do takich sytuacji. *Living the fast life.*

Pomiędzy wydawaniem dyspozycji: telefony do George'a, miliarderów, inwestorów, bankierów, menedżerów funduszy hedgingowych, z którymi Ted planował wspólne przejęcie firm. W najbliższych godzinach wydarzenia będą bardzo szybko następować po sobie, dlatego musieli być przygotowani. Szefowie zarządów gigantycznych koncernów będą składać hojne oferty nabycia udziałów. Ale za ich wspaniałomyślnymi gestami czuć będzie strach, a ich podniosłe słowa nie będą w istocie niczym innym jak usilnie skrywanym pokornym żebraniem o ratunek. W większości wypadków jednak nie ze względu na los firm i milionów zatrudnionych w nich robotników i pracowników, ale ze względu na zachowanie dominującego statusu supermenedżerów w elitarnym kręgu kolegów. Przedstawiciele banków emisyjnych i politycy będą proponować rozwiązania, nie zapominając przy tym, że ich partner w negocjacjach jest ewentualnym przyszłym pracodawcą.

Telewizor wciąż był włączony, mimo że żadne z nich już nie śledziło wiadomości. Tokio, Szanghaj, Hongkong wielokrotnie wstrzymywały obrót akcjami, ponieważ kursy większości z nich zbyt nisko spadły. Obligacje włoskie były już bliskie wartości makulatury. Jeśli włoski rząd się nie opamięta, kraj pod koniec dnia stanie się niewypłacalny. Niezależnie od tego, czy pozostanie w strefie euro, czy z niej wyjdzie. Przestanie się wypłacać pensje i emerytury, emeryci zaczną szukać jedzenia w śmietnikach albo odbierać sobie życie, banki poupadają, konta bankowe zostaną zablokowane i wprowadzi się ściśle kontrolowany przepływ kapitału, tak by można było podejmować jedynie małe kwoty, podczas gdy szalejąca inflacja pożre skromne oszczędności. Stopa bezrobocia poszybkuje w górę. Zawali się system opieki zdrowotnej, bliscy pacjentów będą musieli przynosić im do szpitali lekarstwa i żywność. Jak w Grecji albo jakimś kraju rozwijającym się. Ten sam proces obejmie po kolei inne kraje europejskie.

Ted cisnął jedną ze swoich komórek na kanapę.

– Muszę się trochę poruszać! – zawołał. – Normalnie o tej porze biegam.

– Ja też – powiedziała Jeanne.

– To dlaczego nie mielibyśmy pobiegać razem? – zasugerował Ted. – Ubiore się. Za dziesięć minut możemy wyjść.

Zniknął w sypialni, do której przylegała garderoba. Jeanne szybko włożyła swoją suknię wieczorową, chwyciła bieliznę w jedną rękę,

a torebkę w drugą i już zamierzała opuścić pokój, gdy na komodzie pod ścianą zauważyła otwartą dużą kopertę, z której wystawały jakieś papiery. Przypomniała sobie. Gdy wczoraj wieczorem przyszedli do apartamentu, Ted znalazł ją tutaj i zaraz schował do szuflady. Jeanne zawahała się, w końcu jednak ciekawość zwyciężyła. Na kopercie nie widniał ani nadawca, ani adresat. Była gruba na dwa palce, ciężka. Ted rzadko posługiwał się papierowymi materiałami, co najwyżej gdy chodziło o kontrakty. Ale to musiało być coś znacznie obszerniejszego niż umowa. Czubkami dwóch palców Jeanne wysunęła o kilka centymetrów kartki z wierzchu pliku. Były z grubego papieru. Litery miały co najmniej centymetr wysokości, na kartce mieściło się tylko sześć linijek:

„Szanowne panie, szanowni panowie...”. Dalej następowała lista najrozmaitszych tytułów, takich jak prezydenci, ekscelencje, ministrowie i tak dalej, ciągnąca się przez kolejne dwie kartki, zakończona powitaniem i słowami „dziś wieczór”. Jeanne nie słyszała, aby tego lub któregoś następnego wieczoru Ted miał wygłosić mowę. Zwykle unikał tego rodzaju wystąpień, jeśli nie chodziło o prezentację nowego przedsięwzięcia lub wskaźników biznesowych. Wysunęła kolejną kartkę.

„Zbyt długo szliśmy drogą, która zaprowadziła nas tam, gdzie jesteśmy obecnie. Ja sam całymi latami pracowałem nad jej rozwojem, chwaliłem ją, z przekonaniem popierałem i broniłem, za co wielokrotnie byłem wyróżniany, w tym nawet Nagrodą Nobla. My...”.

Nagrodą Nobla?

Jeanne nagle zrozumiała, co ma w rękach.

Tylko w jaki sposób notatki Herberta Thompsona do mowy inauguracyjnej znalazły się na komodzie w apartamencie Teda?

Gorączkowo wysunęła z niej resztę zawartości. Pod luźnymi sztywnymi arkusikami formatu A5 znajdował się zbindowany plik co najmniej stu kartek A4.

Wealth Economics. By Herbert Thompson and Will Cantor.

Will Cantor?! Jeszcze kilka miesięcy temu współpracowała w Syllabus Invest z Willem Cantorem. Zadawał jej dziwne pytania z ekonomii. Później twierdził, że pracuje z kimś znanym. Z Thompsonem?! Szperała dalej. W końcu znalazła jeszcze jedną luźną kartkę A4, z hotelowego bloku, pokrytą drobnym, prawie nieczytelnym pismem i paroma bazgrołami. Z miernym skutkiem próbowała je odszyfrować. Coś o chłopach.

Z sypialni dobiegł głos Teda, który znowu rozmawiał przez telefon i chyba zbliżał się do drzwi.

Jeanne błyskawicznie wsunęła materiały do koperty i położyła ją na miejscu. Następnie obróciła się energicznie, próbując stworzyć wrażenie, że właśnie wychodzi.

– Jeszcze jesteś? – zdziwił się Ted, już przebrany w strój joggingowy, z telefonem w dłoni.

Jeanne uniosła wysoko swoją bieliznę.

– Musiałam to pozbierać – wyjaśniła z dwuznacznym uśmiechem. – Mam nadzieję, że znalazłam wszystko.

Nie umknęło jej uwadze, że Ted zerknął kontrolnie w stronę komody i koperty. Następnie podszedł do Jeanne, pocałował ją przelotnie i podniósł kopertę.

– To na razie.

Gdy odchylił obraz wiszący nad komodą, jej oczom ukazał się nieduży sejf.

– Chyba nie mam jeszcze fig – powiedziała Jeanne i cofnęła się w głąb pokoju.

Nie przejmując się jej obecnością, Ted wstukał kod, włożył kopertę do skrytki, zamknął drzwiczki i umieścił obraz na miejscu.

– Mam! – zawołała Jeanne. – Za pięć minut będę na dole.

Jan zerwał się na równe nogi! Jest ścigany przez czarne mięśniaki! Schwytali go!

Coś wyrwało go ze snu. Jego organizm natychmiast przełączył się na tryb alarmowy. Wszystko było inne niż zwykle! Zapach, światło, powietrze. Serce waliło, krew pulsowała mu w skroniach. Do jego nozdrzy dotarł aromat świeżej kawy.

Fitz. Siedział na swojej części kanapy. Janowi zakręciło się w głowie. Zamrugał powiekami. Obok Fitzroya była Nida. Powoli wracała mu świadomość. Wypadki minionej nocy. Potem zapadł w końcu w głęboki sen. Puls stopniowo się uspokajał.

Kiedy Nida przyszła z pokoiku? Jan w ogóle nie słyszał. Siedziała razem z Peelem pochylona nad jakąś kartką. Jak to możliwe, że oni już nie śpią? Co prawda Fitz jako gracz musiał być nocnym markiem. Ale Nida?

Wiedział, że już nie zaśnie. Na niskim stoliku przed kanapą z rozłożoną planszą Monopolu leżały ich notatki i hotelowy blok, a na samym wierzchu zamazana na szaro kartka. Tuż obok stały dwie filiżanki z parującą kawą. Jan przetarł twarz dłońmi, aby się dobudzić.

Nie podnosząc na niego wzroku, Fitzroy wskazał na jedną z filiżanek.

– W kuchni jest jeszcze kawa.

W łazience Jan przyjrzał się w lustrze swoim sińcom. Uznał, że mimo wszystko nie wygląda już tak tragicznie. Parę zadrapań nadawało mu nawet chojracki wygląd. Wziął prysznic, a potem z filiżanką kawy wrócił do pokoju. Z sypialni babci i małego pokoiku nie dochodziły żadne odgłosy. Kim musiała jeszcze spać.

Jan podszedł do okna. Zza ciężkiej zasłony wyjrzał dyskretnie na ulicę. Mokry asfalt błyszczał jeszcze po nocnym deszczu. Burza strąciła na chodnik trochę liści i gałęzi. Nigdzie żywej duszy. Ani śladu bandziorów. Trudno jednak się spodziewać, żeby stali pośrodku ulicy.

– Stary, wy chyba zwariowaliście, to jest kompletny odjazd – szepnął Jan. Najchętniej omówiłby z Fitzem dalsze kroki, ale w obecności Nidy nie chciał rozmawiać o brutalnym morderstwie.

Fitzroy napił się kawy i głowił się dalej nad kartką.

– Jedna komórka, dwie komórki, cztery komórki, osiem komórek, wiele komórek – powiedział Jan. – To przypomina bajkę o ziarnach ryżu na szachownicy.

Fitz spojrzał na niego po raz pierwszy tego ranka.

– To wcale nie jest takie głupie – wymamrotał po chwili.

– Co?

– Komórka. Ziarna ryżu. W obu przypadkach zaczyna się od jednej rzeczy. Potem ich liczba rośnie do dwóch. Do czterech. Do ośmiu. I z każdym krokiem się podwaja. Wzrost wykładniczy.

Nawet Jan wiedział, co to jest.

– Tylko dlaczego to ma być parabola życia? – spytał.

– Wzrost wykładniczy... nie linearny – bąknął Fitz. – Bardzo możliwe. Wtedy liczy się inaczej.

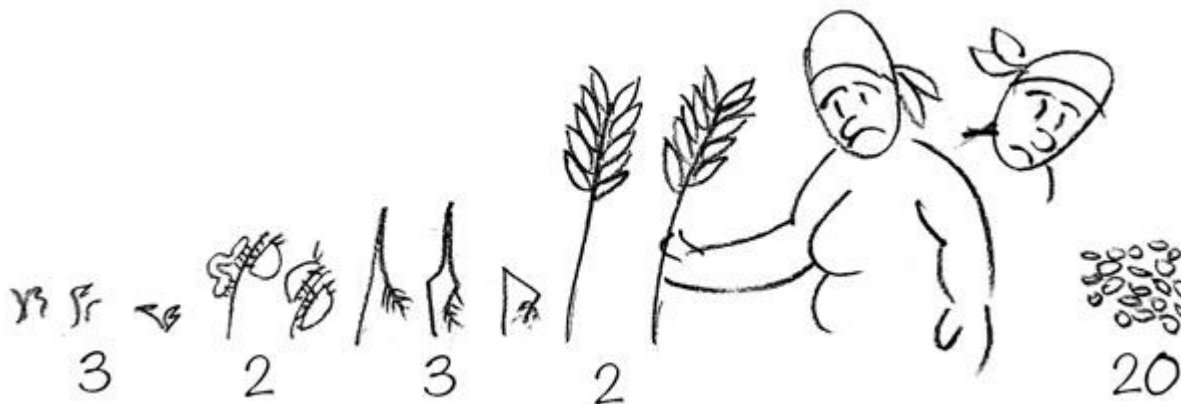
– Czy dla was, matematyków, każdy problem sprowadza się do rachunku? Jak w grze z młotkiem i gwoździem!

– Przy wzroście liniowym dodajesz wciąż jednakowe składniki. W przypadku naszych komórek wyglądałoby to tak, że jedna komórka plus jedna dałyby dwie. Plus jeszcze jedna dałyby trzy. A tymczasem mamy cztery. Czyli trzeba pomnożyć. Przyjmując jako stałą dwa. To jest jak... Może łatwiej to będzie wyjaśnić na przykładzie naszych chłopów. I wtedy dojdziemy, jak wyglądała ich sytuacja.

Sięgnął po drugą kartkę z historyjką o ziarnach.

– Piekielnie interesujące – wtrącił Jan. – Jestem głodny.

– Nic nowego. Spójrzmy na historię Ann. W drugim roku wysiewa dziesięć ziaren. Z powodu mrozu, szkodników i suszy zostają jej tylko dwa kłosa, co daje dwadzieścia ziaren.



– Chyba zaraz zjem te twoje ziarna z papieru!

– Z wysianych pierwotnie dziesięciu ziaren zrobiło się dwadzieścia. Jak bardzo zatem zwiększył się w tym roku jej dobrobyt?

– Bez odpowiedniej ilości cukru w organizmie nie potrafię liczyć.

– Podwoił się – powiedział Fitz, po czym z talerzyka, którego Jan nie zauważył, wziął dwie kostki cukru i wrzucił mu do filiżanki.

– Nie! Nie znoszę...

– Czyli jej czynnik wzrostu w tym roku wyniósł dwa. Dziesięć razy dwa daje dwadzieścia ziaren, tak?

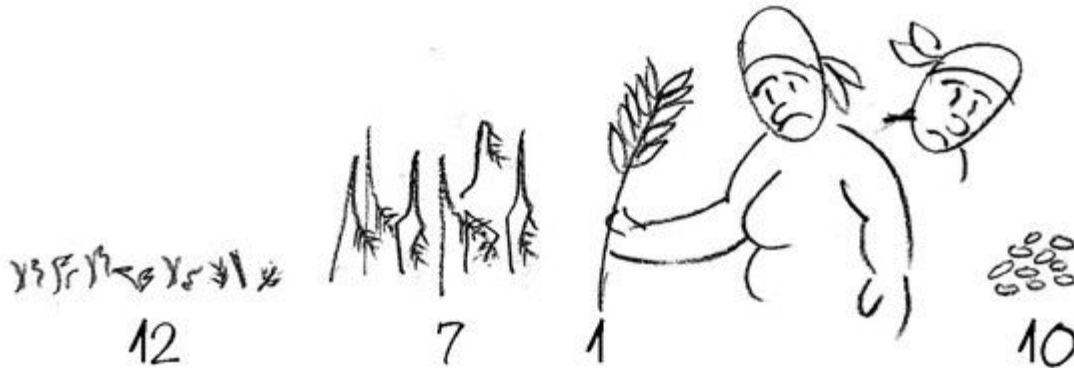
– Nie zamierzam niczego liczyć.

– Historię Willa na razie zostawmy.

– I na przykład zadajmy sobie pytanie: co zjemy?

Fascynacja Fitz'a liczbami z jednej strony irytowała Jana, a z drugiej mu imponowała. Rzadko spotykał ludzi, którzy kompletnie się w czymś zatracali. Pomijając grających w gry komputerowe. I dzieci, które też mają taką właściwość.

– W trzecim roku w wyniku mrozu i suszy Ann zostaje z dwudziestu ziaren tylko jeden jedyny kłos. – Wyglądało na to, że Fitz nawet nie usłyszał jego pytania. – Dziesięć ziaren.



– Czyli o ile wzrósł jej dobrobyt w tym roku?

– Wcale. Skurczył się. Tak jak mój żołądek!

– Ile wyniosła stopa wzrostu? Przez ile trzeba pomnożyć dwadzieścia ziaren, aby otrzymać dziesięć ziaren?

– To umiem nawet ja: przez pół. Albo zero przecinek pięć.

– Matematyczny geniusz!

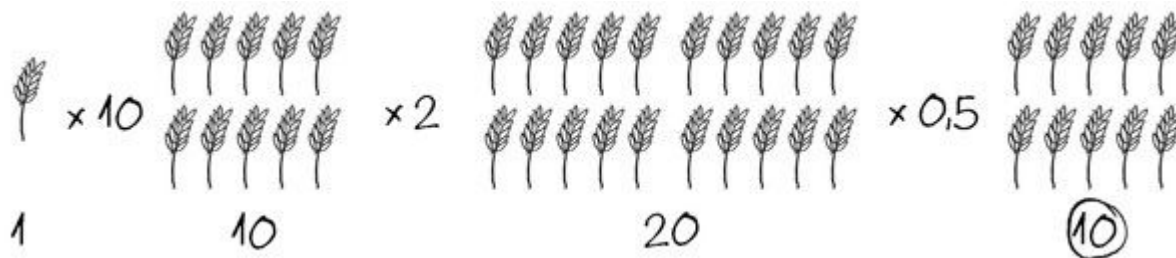
– Politycy lubią to nazywać wzrostem negatywnym – zauważyła Nida.

– Pieprzenie! – prychnął Jan. – To jak używanie określenia „redukcja” zamiast „zwolnienie”.

– A jak to wyliczysz w okresie dwóch lat? – spytał Fitz.

Pomrukując coś pod nosem, Jan wziął długopis do ręki. Fitz zachowywał się jak nauczyciel.

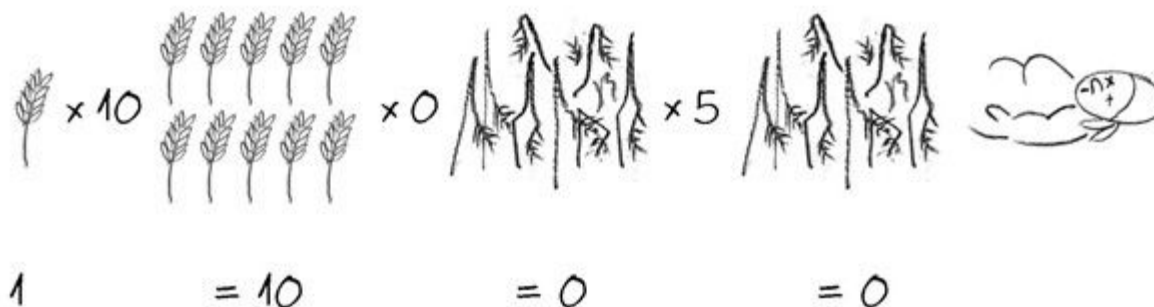
– Dziesięć razy dwa razy zero przecinek pięć daje dziesięć. Proszę.



– Czyli jednak się da! Oczywiście jest to wersja mocno uproszczona, ale wyjaśnia podstawową zasadę: wzrost bez pomocy z zewnątrz *pomnaża* to, co już się posiada. Większość ludzi popełnia ten błąd, że oblicza wzrost jako sumę, wynik *dobawania*.

Jan zauważył, że również Nida zaczęła przysłuchiwać się z zainteresowaniem.

– Że jest to nieprawidłowe podejście, widać od razu, kiedy Ann traci wszystkie rośliny. Nawet jeśli jej pole dałoby jakiś wzrost, to zero ziaren może urodzić jedynie zero kłosów. Mnożenie przez zero zawsze daje zero. Nic nie może rosnąć samo z siebie. Ann umiera z głodu.



– Ja też zaraz padnę – bąknął Jan.

– Gdyby teraz – pomyłkowo – coś dodano, Ann miałyby nagle znowu dziesięć ziaren. Tylko skąd one miałyby się wziąć? Przecież nie spadłyby z nieba.

– Z kuchni. Idę sprawdzić, co da się znaleźć. – Jan wstał z kanapy.

– Może Bill, Carl czy Dana dadzą jej trochę – powiedziała Nida.

– To byłby wtedy wzrost sumaryczny. Jak wygrana na loterii.

– Okej – wtrącił Jan. – Wystarczy mi kawałek chleba.

Fitz i Nida poszli za nim.

– Czyli to, co jestem w stanie wyprodukować własnymi siłami, zależy od tego, co miałem do tej pory – powiedział Jan. – Właściwie to całkiem logiczne. Kiepsko tylko, jeśli nie mam nic. To mi przypomina twoją historię o średniej czasowej, tę z akcjami i odsetkami od odsetek. One też rosną multiplikacyjnie?

– Właśnie tak! Widzę, że naprawdę to zrozumiałeś! – rzekł Fitzroy, podczas gdy Nida zniknęła w łazience.

Ale teraz, kiedy zostali sami, musiał jeszcze odpowiedzieć Janowi na najważniejsze pytanie: czy ten multiplikacyjny wzrost pomoże im dotrzeć do zabójców Willa.

Fitzroy zapłacił za bułki i marmoladę, po czym wyszedł z piekarni, do której posłała go Kim. Idąc ulicą, wybrał jeden z numerów Jeanne Dalli.

– Jeanne Dalli – odezwał się kobiecy głos.

Rześkie poranne powietrze raptem okazało się wcale nie takie zimne. Fitz nie do końca przemyślał, co ma powiedzieć.

– Nazywam się Fitzroy Peel, byłem przyjacielem pani dawnego kolegi Willa Cantora. – Po drugiej stronie słyszał tylko oddech, trochę przyspieszony. Bieżnia. Albo park. – Will nie żyje – poinformował, aby nie zdążyła się rozłączyć.

– Will? Will nie...? Nie widziałam go od... Skąd ma pan ten numer?

– Gdyby sprawa nie była ważna, nie niepokoilibym pani o tej porze – rzekł. – Will zginął wczoraj wieczorem w wypadku samochodowym. Tu, w Berlinie.

– Rany boskie! – wykrzyknęła. – Ale dlaczego dzwoni pan...

– Przed śmiercią wypowiedział kilka słów. Między innymi pani nazwisko.

– Boże drogi! To druga znana mi osoba, która dzisiejszej nocy zginęła w wypadku.

Teraz pora na Fitzroya, aby wyraził zaskoczenie. Udawane.

– Druga? A kim była pierwsza?

– Herbert Thompson, laureat Nagrody Nobla z ekonomii.

Jej oddech stał się głośniejszy. Wyglądało na to, że się nie zatrzymała. Może nawet biegła jeszcze szybciej. Fitzroy postanowił na razie zachować dla siebie wiedzę o powiązaniu między tymi dwoma przypadkami. Może później mu się przyda.

– Ogromnie mi przykro – powiedział. – Czy dobrze znała pani Thompsona?

– Tylko zawodowo. Spotkałam go kilka razy.

– A kiedy widziała pani ostatnio Willa?

– Nie miałam pojęcia, że on w ogóle jest w mieście. Skąd pan to wszystko wie?

– Byłem z nim umówiony. Ale się nie pojawił.

Skręcił w ulicę, przy której mieszkała babcia Kim. Mimo woli rozejrzał się dookoła, aby sprawdzić, czy nigdzie nie widać ich wczorajszych

prześladowców. Nie zauważył żadnego z nich.

– Pan jest Brytyjczykiem – rzuciła.

Fitzroy potwierdził.

– A dlaczego Will wymienił moje nazwisko?

– Właśnie to jest pytanie.

– Czy to ważne?

– Chyba tak. Bo to nie był wypadek. Will został zamordowany.

Jeanne przestała biec, ale niemal zaraz ruszyła znowu, nieco wolniej. *Wealth Economics. By Herbert Thompson and Will Cantor!* Całe szczęście, że po długim sprincie była już tak zgrzana, że jej towarzysze mogli nie zauważyć uderzenia gorąca, które odbiło się na jej twarzy. To na pewno tylko przypadek! Ted dostosował do niej swoje tempo. Mitch biegnący z tyłu niemal na nich wpadł.

– Słucham?!

– To nie był wypadek. Całe zdarzenie miało tylko tak wyglądać. A ja muszę się dowiedzieć dlaczego.

– Czemu nie pójdzie pan z tym na policję?

Ted rzucił w jej stronę pytające spojrzenie.

– Policja w to nie wierzy – odparł Peel.

– A dlaczego ja mam uwierzyć?

– Razem z Herbertem Thompsonem spłonęła w aucie niezidentyfikowana dotychczas osoba. Tą osobą...

– ...był Will? – Jeanne znowu wypadła z rytmu. Przystanąła. Ted i Mitch też stanęli, nie kryjąc irytacji. – Will Cantor?

„Zaraz, zaraz”.

– Gdyby powiedział pan wszystko policji, to na pewno już by go zidentyfikowano.

– To bardziej skomplikowane – odparł tamten. – Zresztą teraz być może zostało to już ustalone. Oficjalne potwierdzenie to tylko kwestia czasu. Mimo to policja nie wierzy w zabójstwo.

– Oficjalnie mowa jest o wypadku.

– No widzi pani.

– Nadal nie rozumiem, co ja mam z tym wspólnego. Dlaczego Will wymienił akurat moje nazwisko? Czy powiedział coś jeszcze?

– Moje nazwisko i miejsce, gdzie mógł mnie znaleźć jedyny świadek. I znalazł.

– To pan nie był obecny przy tym rzekomym zabójstwie?

Na dźwięk słowa „zabójstwo” Ted spochmurniał. Jeanne obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i wzruszyła ramionami.

– Przecież nic takiego nie twierdziłem – odparł mężczyzna.

– Powiedział pan, że policja panu nie wierzy.

– Powiedziałem, że policja nie wierzy w zabójstwo.

– Sama nie wiem, co mam o tym myśleć.

– Powtarzam jeszcze raz: tuż przed śmiercią Will wymienił dwa nazwiska. Moje i pani. Przypuszczam, że chciał nam w ten sposób coś przekazać.

Ted się odwrócił i gdzieś zadzwonił.

– Ale ja pana w ogóle nie znam – powiedziała Jeanne.

– Ja pani też nie. I to czyni całą sprawę tym bardziej intrygującą: co my dwoje możemy mieć wspólnego?

– Oprócz tego, że znaleźliśmy Willa?

– Kiedy widziałem się z nim dziewięć miesięcy temu, miał do mnie kilka pytań dotyczących hazardu, ale też strategii inwestycyjnych, między innymi zasady Kelly’ego. Na niektóre z nich mogłem mu odpowiedzieć, ale nie na te, które odnosiły się do kwestii ekonomicznych. Usłyszałem od niego, że nic nie szkodzi i że w Syllabus Invest nie brakuje ekonomistów. Wymienił pani nazwisko.

Jeanne zaczęła znowu biec. Ruch pozwalał jej odgrodzić się od szokujących wiadomości. O ile były prawdziwe.

– To musiało być osiem miesięcy temu albo jeszcze więcej – powiedziała, próbując przypomnieć sobie swoje ostatnie spotkanie z Willem.

– O czym rozmawialiście? – spytał mężczyzna.

Jak on się nazywa? Fitzroy Peel? Wydało się jej, że Will kiedyś o nim wspomniał. Razem studiowali albo pracowali czy coś w tym rodzaju. Czy Peel to często spotykane nazwisko? Przyszedł jej na myśl Ambrose, którego poznała poprzedniego wieczoru.

– Odniosłam wtedy wrażenie, że mnie podrywa. W dosyć nieudolny sposób. Jak w szkole. „Może odrobilibyśmy razem pracę domową?”. No wie pan.

– A jaką pracę domową chciał z panią odrabiać?

– Chciał się dowiedzieć więcej na temat strategii i metod decyzyjnych w ekonomii. Plótł trzy po trzy. Dałam mu kilka wskazówek, żeby mógł się

zapoznać z literaturą. O teorii decyzji, teorii gier, heurystyce, funkcji użyteczności. Co prawda w większości tych zagadnień miał jako takie rozeznanie, czemu trudno się dziwić, biorąc pod uwagę jego drogę zawodową.

– Więcej się z panią nie kontaktował?

– Potem próbował jeszcze kilka razy. Wciąż opowiadał coś nowego. A to, że coś przeczytał. A to, że odkrył jakieś naukowe materiały. I że powinnam je zobaczyć.

Jeanne ogarnęły wyrzuty sumienia. Will był co prawda dosyć dziwny, ale w gruncie rzeczy sympatyczny i interesujący. Mimo to nie traktowała go poważnie. A teraz podobno nie żyje. A nawet został zamordowany.

O ile to był Will. Dopóki nie ma oficjalnego potwierdzenia, każdy czytający wiadomości mógł twierdzić, że tajemniczy nieznajomy to nie wiadomo kto. Na przykład Will Cantor. Dotychczas poinformowano jedynie o zidentyfikowaniu Thompsona.

– Coś mi się przypomniało. Kilka miesięcy później, kiedy nie pracowałam już w Syllabusie, spotkałam Willa jeszcze raz. Opowiedział mi wtedy, że współpracuje z kimś „z samej góry”.

– Według pani to mógł być Thompson?

– Nie mam pojęcia.

– Może coś jeszcze się pani przypomni. To bardzo ważne. Czy nie moglibyśmy się spotkać?

– Naprawdę nie mam czasu...

– Wystarczy kilka minut. Może szybkie śniadanie? Miałaby pani jeszcze czas na zastanowienie pod prysznicem.

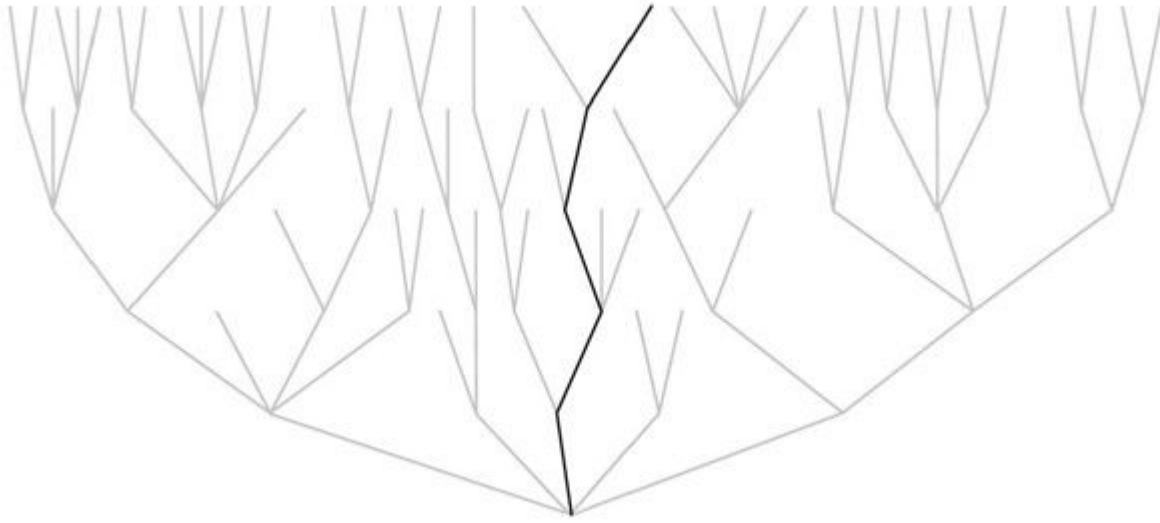
Jeanne nie odpowiedziała od razu. Peel kontynuował:

– Proszę posłuchać: jeżeli Will został zabity, to znaczy, że także Herbert Thompson jest ofiarą zabójstwa. Noblista. Czy według pani to nie zasługuje chociaż na kilka minut rozmowy?

Jeanne stawiała stopę przed stopą, czuła asfalt pod podeszwami, zimne powietrze wpływało przez usta i krtani do płuc, wracało cieplejsze, w uszach czuła szum pulsu, rytmiczny ruch pomagał zaprowadzić w myślach porządek. *Wealth Economics. By Herbert Thompson and Will Cantor.*

– O ósmej w hotelu The Estate. Jeden ze stolików w lobby będzie zarezerwowany na moje nazwisko. Proszę przyjść punktualnie, nie będę czekać.

Decyzja piąta



„Na każdym poziomie hierarchii pojawiają się jednostki, które wykorzystują zasadę kosztem innych”

Will Cantor

– Teoria decyzji, teoria gier, heurystyka – powtórzył Jan, popiwszy kęs bułki kawą. – Funkcja użyteczności...

Siedzieli wszyscy w pokoju, jedząc śniadanie rozstawione na małym stoliku przed kanapą.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie mam pojęcia, dlaczego to dla was takie ważne, ale teoria decyzji, jak sama nazwa wskazuje, analizuje decyzje jednostek – wyjaśniała Kim.

– W przeciwieństwie do teorii gier odnoszącej się do decyzji grupowych, o których mówiliśmy wczoraj w nocy. Upraszczając, bada ona z jednej strony, jak podejmuje się decyzje, a z drugiej, jak należałoby je podejmować.

– To nie takie trudne – wtrąciła starsza pani. – Decydujesz się na najlepsze rozwiązanie.

– Słusznie, babciu. Często jednak mamy do czynienia z niejasnościami albo nieznanymi czynnikami. I wtedy wchodzi do gry rachunek prawdopodobieństwa.

– Znowu liczenie – jęknął Jan między kęsami.

Jadł z takim apetytem, jakby od trzech dni nie miał nic w ustach.

– Albo decydujesz się po prostu na wariant przyzwoity – dodała babcia, po czym z lubością wbiła zęby w kanapkę z dżemem.

– To jedna z możliwości – powiedziała Kim. – Na co dzień często skracamy sobie drogę. Jeśli się spieszymy, stosujemy na przykład tak zwaną heurystykę. Decyzja być może nie jest wtedy doskonała, ale w danej chwili wystarczająca.

– Pi razy oko... – wtrącił Jan.

– No właśnie. Reguły moralne, o których wspomniała babcia, można częściowo także traktować jako heurystykę. Bywa też, że w ogóle się nie zastanawiamy i podejmujemy decyzję...

– ...z marszu – dopowiedział Jan.

– ...czyli intuicyjnie albo instynktownie. Takie podejście może się sprawdzić, ale może też piekielnie zawieść.

– Intuicja to zawsze dobry kompas – zauważyła babcia, z zadowoleniem przeżuając bułeczkę.

– O ile poruszasz się po znanym ci terenie – dodała Kim. – Bo intuicja opiera się na wiedzy wynikającej z doświadczenia. Intuicja mieszkańca dużego miasta raczej nie pomoże mu na pustyni czy w dżungli. Być może wręcz zaszkodzi. Podobnie byłoby z intuicją mieszkańca lasu pierwotnego w wielkiej metropolii.

– W miejskiej dżungli – wtrąciła babcia, nadal przezuwając – powinni by się jednak odnaleźć.

– To jednak inna dżungla – odparła Kim, nie tracąc cierpliwości.

– Przecież wiem – bąknęła starsza pani.

– A instynkt to w ogóle coś dosyć zwierzęcego i w tak złożonym społeczeństwie, jakie tworzą współcześni ludzie, może nas wywieść na manowce. Dlatego, podobnie jak intuicja, nierzadko płata nam figła, gdy próbujemy podjąć prawidłowe decyzje. Do teorii decyzji należy także ustalenie, jakie czynniki psychologiczne powstrzymują nas przed podjęciem rozsądnej decyzji. Są wśród nich uprzedzenia albo znany błąd confirmacji...

– Błąd czego? – spytał Jan. Z przyjemnością przysłuchiwał się Kim, mimo że strasznie się wymądrzała.

– Ludzie sądzą, że obserwują fakty i na ich podstawie wyrabiają sobie jakiś pogląd. Tymczasem najczęściej działają odwrotnie: wyszukują informacje, które potwierdzają ich opinię.

– A jeśli takich nie znajdują, to nawet je tworzą i nazywają je faktami alternatywnymi – wtrąciła Nida.

– Masz rację. – Kim się roześmiała. – A fakty, które przeczą ich przekonaniom, ich poglądom, ignorują.

– Albo określają fake newsami – dodał Fitz. – Ale ja mam prawdziwego newsa: za niecałą godzinę spotkam się z Jeanne Dalli w hotelu The Estate. Jan, pójdziesz ze mną.

– A gdzie jest ten hotel?

Fitzroy pokazał mu mapę w komórce.

– Unter den Linden. Najlepiej będzie wziąć taksówkę.

– My też wybieramy się w tamtym kierunku – wtrąciła Nida. – Na demonstrację w Tiergarten. Możemy się z wami zabrać?

– A ja? – rzuciła babcia.

– Ty? – spytała Kim.

– No a co w tym takiego dziwnego? Przecież oni chcą mi jeszcze obniżyć moją mizerną emeryturę! – wykrzyknęła starsza pani. – Żeby

zarządy banków mogły uratować swoje niebotyczne pensje. Mam tego dość!

– Okej – odpowiedziała Kim, uśmiechając się wymownie. – Witamy w klubie!

– Szczerze mówiąc, brzmi to trochę dziwnie – wydyszał Ted, gdy Jeanne powtórzyła mu, czego się przed chwilą dowiedziała.

Skończywszy rozmawiać przez telefon, dołączył do niej. Teraz dał znak Mitchowi, który bez wysiłku truchtał kilka metrów z tyłu, aby podbiegł.

– Opowiedz mi wszystko – polecił jej Ted.

Oddychał głęboko i równomiernie, był doświadczonym biegaczem. Jego czoło błyszczało, ale na razie nie spływało potem.

Jeanne zdała szefowi ochrony krótkie sprawozdanie.

– Czy ten Peel powiedział, gdzie jest? – spytał Mitch.

– Jest w mieście.

– Ale gdzie dokładnie?

– Nie spytałam.

– A masz numer, z którego dzwonił?

Komórka tkwiła w kieszeni jej spodni joggingowych. Jeanne wyjęła ją, nie zatrzymując się ani na sekundę.

– Niezidentyfikowany – poinformowała Mitcha.

– Co o tym myślisz? – spytał go Ted.

– Sam nie wiem. Brzmi dosyć niesamowicie. Według oficjalnej wersji to był wypadek. Nie sądzę, aby ta historia była prawdziwa, ale gwoli bezpieczeństwa sprawdzimy.

– À propos bezpieczeństwa... Mam się spotkać z tym gościem? – spytała Jeanne.

Mitch wymienił spojrzenie z Tedem.

– Jeśli o mnie chodzi, nie widzę przeszkód – rzekł po chwili. – Lobby hotelowe to bezpieczne miejsce. Zatroszczymy się o to.

– Uważam, że to dobry pomysł – wtrącił Ted. – Może oni rzeczywiście coś wiedzą.

– Czy nie powinniśmy od razu zadzwonić na policję? – spytała Jeanne.

– Na to zawsze będzie czas – odparł Mitch.

Przebiegli kilkadziesiąt metrów. Jeanne myślała o Willu, gdy Mitch zwrócił się do nich z pytaniem:

– A co wy na to, żebyśmy przysłuchiwali się tej rozmowie?

– Chcecie tam ze mną pójść? – rzuciła Jeanne.

– Nie – zaprzeczył Mitch. – Można by pod stołem czy gdzieś w pobliżu umieścić mikrofon. Albo na jednej ze swoich komórek uruchomisz program umożliwiający śledzenie rozmowy.

– Chyba żartujesz! – Jeanne się roześmiała.

Nie bardzo wiedziała, czy Mitch mówił poważnie.

– Wobec tego pozostaniemy przy mikrofonie – stwierdził.

– No nie wiem – rzekła Jeanne. – Obawiam się, że będę czuła się nieswojo i nie będę mogła zachowywać się swobodnie. Nie, wołałabym być nieskrępowana – oznajmiła po kilku krokach.

– Jak chcesz. Wobec tego będziemy się dyskretnie kręcić w pobliżu.

– Możemy ewentualnie umówić się na jakieś znaki – zaproponowała Jeanne. – W razie gdybym potrzebowała pomocy. Albo gdyby trzeba było zadzwonić na policję.

– To dobry pomysł – stwierdził Ted.

– Jeżeli jednocześnie złapię się za oba uszy, to znaczy, że potrzebuję pomocy. Jeśli dwa razy po kolei dotknę nosa, macie wezwać policję.

– Uszy: pomoc, nos: policja – powtórzył Mitch. – Ustalone.

Wracali do hotelu. Jeanne narzuciła szybsze tempo.

– Pracowałaś z tym Willem Cantorem w Syllabusie? – spytał Ted. – Co to był za człowiek?

– Kwant – odpowiedziała Jeanne.

– Mądre głowy.

Potem już nie rozmawiali. Musieli oszczędzać oddech na finisz. Gdy podłoże pod ich stopami stało się twardsze, Jeanne na krótko wyłączyła myślenie i całkowicie skoncentrowała się na swoim ciele.

W głowie Mai grzmiały dzwonki, dzwoneczki i melodie we wszelkich możliwych tonacjach. Zaciśnęła mocniej powieki, mając nadzieję, że wyprze z mózgu ten nieznośny hałas.

Ale on pochodził z zewnątrz.

Obok łóżka wibrował telefon. Ktoś dobijał się też przez domofon. Desperackim ruchem sięgnęła po omacku po komórkę leżącą na nocnej szafce. Usiadła. Nie знаła numeru. Kto się tak gorączkuje? Która w ogóle jest godzina? Z trudem zwlokła się z łóżka, odrzuciła połączenie i w piżamie ruszyła do przedpokoju.

– Kto tam?! – krzyknęła do domofonu.

– Dzień dobry! To ja, Jörn!

Jego głos dochodził z bardzo bliska. Ktoś zapukał głośno do drzwi. Dopiero w tym momencie Maja uprzytomniła sobie, że odgłos dzwonka, który słyszała, pochodził nie z domofonu, tylko rozlegał się przy drzwiach jej mieszkania. Spojrzenie przez judasza potwierdziło najgorsze obawy. Przed zniekształconą przez wizjer gębą Jörn trzymał jakąś papierową torbę.

– Wpuść mnie. Przyniosłem śniadanie!

On chyba zwariował.

Maja założyła łańcuch i uchyliła drzwi.

– Co ty tutaj robisz?

Torba. I dwa kartonowe kubki z kawą.

– Śniadanie.

– To nie jest odpowiedź.

– Przesłał mnie Köstritz. Po twoim wczorajszym występie w hotelu przyszły skargi. Mam trzymać cię w ryzach przy prowadzeniu naszego dochodzenia.

– Ty?! Mnie?! *Naszego* dochodzenia?! Czy jemu odbiło?!

To nie mogła być prawda.

W głowie miała jedną wielką kotłowaną myśl. Zamknęła oczy.

Nie ma rady.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. Zdjęła łańcuch i ponownie lekko uchyliła drzwi.

– Poczekaj minutę, a potem wejdź i idź prosto do kuchni, z przedpokoju na prawo – powiedziała, po czym zniknęła w łazience.

Odbicie w lustrze nie napawało radością. Zacisnąwszy zęby, Maja wzięła zimny prysznic. Kilka minut później weszła do kuchni. Jörn nakrył już do śniadania na małym stoliku. Niezbyt się jej podobało, że w tym celu szperał w kuchennych szafkach. A jeszcze mniej zaufania budziła jego osobliwa pokojowa propozycja.

Z małego starego telewizora dochodził głos komentatorki relacjonującej wydarzenia ostatniej nocy. Z wyjątkiem kilku miejsc na Kreuzbergu i w pobliżu Bellevue demonstracje przebiegły pokojowo. Instalacje świetlne stworzone za pomocą dronów i komórek demonstrantów pojawiły się nie tylko w Berlinie, lecz także w wielu innych miastach na całym świecie. Wypowiedź włoskiego ministra gospodarki Maurizio Trittonego strąciła kursy akcji na azjatyckich giełdach podczas porannych notowań poniżej wszelkich najbardziej pesymistycznych oczekiwań. Na europejskich rynkach eksperci spodziewali się jeszcze gorszych zjawisk. Napływały kolejne złe wiadomości. Chińskie okręty liniowe zatopiły indonezyjski kuter rybacki, w odpowiedzi na co Indonezja, Japonia i Korea Południowa postawiły swoje oddziały w stan najwyższej gotowości. Rosja jak zawsze w cieniu większych kryzysów zaczęła gromadzić wojska w pobliżu granic państw nadbałtyckich i Ukrainy. Arabia Saudyjska otwarcie groziła aneksją Katarowi, podczas gdy ukrytym celem Saudyjczyków był – jak wyjaśniała komentatorka – skarbiec tego superbogatego minipaństwa. Świat zwariował. Na szczęście Maja słyszała to wszystko jak przez watę.

– Ani słowa o naszej sprawie – stwierdził Jörn.

– No i dobrze! – powiedziała, siadając z ponurą miną na krześle.

Mogli nadal działać niezauważeni.

– To nie ja wybrałem sobie to zadanie – odezwał się Jörn. – Postarajmy się wykonać je jak najlepiej.

„Tak jak wczoraj wieczorem?”.

Komórka uratowała ją przed odpowiedzią. Buczała natrętnie w kieszeni spodni.

Horst Becker, szef grupy zabezpieczającej ślady.

– Nie śpisz już? – spytał.

– Dzwonisz z powodu spalonych zwłok?

– Powinnaś je jak najszybciej zobaczyć.

W dużej taksówce wszyscy zmieścili się na dwóch kanapach z tyłu. Obok Jana usiadła Kim, której włosy pachniały świeżym szamponem; Jan czuł jej udo dotykające jego nogi.

– Nido – zwrócił się Fitz do ekonomistki – czy mogłabyś mi przypomnieć funkcję użyteczności?

– Jan na pewno się ucieszy. Bo to znowu matematyka.

Wutte przewrócił oczami.

– No cóż, matematyka jest wszędzie – zauważył Fitz.

– W moim życiu na szczęście nie – wymamrotał Jan.

– To jest dopiero dziwna rzecz: matematyka to chyba jedyny taki przedmiot, że im ludzie są z niej głupszy, tym bardziej są z siebie dumni – podsumował Fitzroy.

– Lepiej zostawmy matematykę na boku – przerwała potyczkę Nida. – Jest zbyt skomplikowana. Funkcje użyteczności pomagają w podejmowaniu wielu decyzji. Zasadniczo opisują, jaki mamy pożytek z danego dobra czy usługi. Jeśli na przykład ktoś biedny dostanie sto euro, te pieniądze mają dla niego o wiele większą wartość niż dla milionera. Albo inaczej: im więcej mamy pieniędzy, tym mniej dodatkowych korzyści daje nam każde nowe euro.

– Czy to prawda, powiem ci dopiero wtedy, kiedy będę miał ich aż tyle – wtrącił Jan.

– Możesz to usłyszeć od tych, którzy mają ich bardzo dużo – odpowiedziała Nida.

– Jasne, że bym przypadkiem nie wpadł na pomysł i czegoś od nich nie chciał.

– Naukowcy podobno ustalili – włączyła się Kim – że u amerykańskich obywateli o dochodach powyżej siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów rocznie każdy kolejny dolar wcale nie powoduje przyrostu poczucia szczęścia.

– To dlaczego milionerzy zawsze chcą mieć jeszcze więcej? – wtrąciła babcia.

– Dobre pytanie – zastanowiła się Kim.

– Ponieważ chcą zwiększyć swoje korzyści – odpowiedziała Nida. – I zgodnie z tą teorią skutek jest taki, że parę euro już im nie wystarczy.

Dla osiągnięcia odczuwalnego wzrostu korzyści potrzebują od razu milionów. Albo miliardów.

– Czyli jednak mimo wszystko chcą pomnażać swoje bogactwo! – podsumowała starsza pani. – Można oczywiście nazywać to oględniej, korzyść nie brzmi tak chciwie.

– Ale nie wszyscy są jednakowi – dodała Nida. – Według tej teorii każdy człowiek ma swoją funkcję użyteczności. Niektórzy z nas są skłonni ponieść większe ryzyko, aby coś zyskać, inni mniejsze.

– Bzdura! – zaprotestowała babcia. – Niektórym łatwiej jest ryzykować, bo więcej posiadają. I wtedy nie muszą stawiać wszystkiego na jedną kartę. A ten, kto ma mniej, musi bardziej uważać.

– Jak nasza chłopka – myślał na głos Jan – której nie wolno zejść do zera...

– O czym on mówi?

– A przy jakich decyzjach ma to niby pomagać? – spytał.

– Na przykład w co masz ulokować swoje pieniądze. Twój bank zada ci pytanie, czy chcesz mieć większe szanse na zyski w zamian za większe ryzyko, czy też wolisz unikać ryzyka i godzisz się na mniejsze zyski.

– Przecież do banku idzie się właśnie po to, żeby to on powiedział, jak najlepiej pomnożyć pieniądze. Poza tym ja i tak ich nie mam. Więc może macie jakiś bardziej życiowy przykład na pożytek tej funkcji użyteczności? – spytał Jan.

– Choćby w kwestii, czy powinieneś więcej pracować, żeby więcej zarabiać – stwierdziła Nida, nie tracąc cierpliwości. – Czy pieniądze, które zarabiasz, więcej pracując, czynią cię na tyle szczęśliwszym, że ta wzmożona praca się opłaca.

– I tak nigdy nie mógłbym pracować o tyle więcej, żeby zarobić wystarczająco dużo – odparł Jan. – Do bogactwa dochodzi się w inny sposób, sami wyjaśniliście to wcześniej. Przypadek, pomnażanie wzrostu, Monopol, tym, którzy mają, będzie dodane... Ta wasza funkcja użyteczności na nic mi się nie przyda w podjęciu decyzji, jak dojść do siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów rocznie.

– Ta koncepcja pomaga firmom w określaniu cen – powiedziała Nida. – Im więcej jakiegoś dobra, tym mniejsza jest tak zwana użyteczność krańcowa. Jeśli sto osób zabiega o jedną bułkę, jej cena rośnie. Jeśli do dyspozycji jest sto bułek, wtedy tanieją.

– Sorry, ale w tym przykładzie też coś się nie zgadza – zaprotestował gorączkowo Jan. – W Niemczech brakuje dziesiątek tysięcy pielęgniarzy. Czyli możemy przyjąć, że jestem tą jedną bułką dla stu osób. A mimo to dostaję głównie nie pieniądze. Natomiast miejsca w zarządach zajęte są co do jednego, tam nie ma żadnych braków, a wszyscy ci goście zarabiają majątek. Wyjaśnij mi w takim razie, gdzie tu jest ta twoja użyteczność krańcowa.

– Niewiele brakuje, a jeszcze staniesz się nam komunistą! – Kim się roześmiała.

– Trudno się dziwić przy tak idiotycznych wyjaśnieniach!

Dotarli właśnie w pobliże Potsdamer Platz. Przybyło samochodów, niektóre ulice były zamknięte.

– Kto chce na demonstrację, musi wysiąść tutaj – oznajmił kierowca – i dalej iść na piechotę. Zaraz będę musiał odbić do Estate.

– W porządku – powiedziała Kim.

Gdy taksówka się zatrzymała, Kim i Nida uścisnęły Fitzę i Jana – według tego ostatniego za krótko – a starsza pani potrząsnęła ich dłońmi. Wsiadając, Kim machnęła jeszcze komórką.

– Macie nasze numery, więc odezwiście się, jak już będziecie gotowi. Bardzo chciałabym wiedzieć, jak się skończy ta zwariowana historia! Na razie!

„Na razie!”.

Taksówka ruszyła w kierunku Unter den Linden, zatoczywszy duży łuk na wschód.

– Muszę pojechać inną trasą – wyjaśnił kierowca. – Przez blokady inaczej nie dojedziemy.

Dotarłszy w pobliże alei, skierował się ku Bramie Brandenburskiej. Jan i Fitz biegli tędy wczorajszej nocy. Teraz minęli małe zgromadzenie protestujących przed bankiem. Oblegali tylko wejście. Wielu z nich nie wyglądało jednak na demonstrantów – byli w garniturach.

– Co tam się dzieje? – spytał Jan.

– Pod bankiem? – odezwał się taksówkarz. – Podobne sytuacje widziałem dziś pod paroma innymi. Ludzie chcą podjąć swoje pieniądze. Wystraszyli się po porannych wiadomościach, że niedługo nie dostaną ani centa. Jak w Grecji czy na Cyprze kilka lat temu. Albo że państwo w ogóle im je capnie.

– Szturm na bank? – rzucił ze zdziwieniem Fitz. Po chwili parsknął śmiechem, chociaż to wcale nie wydawało się śmieszne. – Jeszcze wczoraj byli przeciwko bankom, a dzisiaj chcą się do nich dostać.

Taksówkarz zwolnił.

– Estate jest tam, na wprost.

W zimnym świetle hali wrak nie miał już wiele wspólnego z rzeźbą. Przypominał padlinę, w której technicy niczym białe czerwce szukali czegokolwiek przydatnego. Dookoła leżały niezliczone przejrzyste foliowe torebki wypełnione odłamkami i innymi elementami. Na dwóch długich stołach pod ścianą Maja dostrzegła więcej torebek i narzędzia. Podeszła blisko zimnego szarego szkieletu. Jörn trzymał się jej jak rzep psiego ogona.

– Niezła rozpierducha – powiedziała.

– Możliwe, że wśród ofiar jest noblista – poinformował Horst Becker, kierujący grupą.

– To nie jest jeszcze potwierdzone – odparła Maja. Właśnie przed chwilą byli u kolegów od identyfikacji zwłok. – Szkoda, że nie mogę mieć tylu ludzi co ty tutaj.

– My pracujemy w ukryciu, a ty na widoku, dlatego masz ich mniej – rzekł Horst, nie podnosząc na nią wzroku.

– Czy ta praca w ukryciu doprowadziła już do jakichś ustaleń?

– Wiemy, że nic nie wiemy.

– Taka sentencja przydaje mądrości jedynie filozofowi. W ustach policjanta brzmi dosyć głupawo.

Kiedy Horst się wyprostował, był wyższy od Mai o głowę.

– Na razie nie udało nam się jeszcze ustalić źródła ognia – oświadczył. Zrobiwszy kilka kroków, znalazł się przy porozkładanych torebkach. – Odłamki szkła pochodzą częściowo z samochodu, a częściowo z butelek.

– Koktajle Mołotowa? – spytał Jörn.

– W przypadku tych, które leżały w płomieniach, nie sposób już tego ustalić. A jeśli chodzi o te spoza strefy ognia, to zwykle śmieci rzucone tam wcześniej przez jakieś męty.

– Odciski palców? Ślady DNA?

– Pobraliśmy. Odciski palców nie przyniosły żadnych rezultatów, a ustalenie DNA wymaga czasu, sama wiesz.

Zatrzymał się przy torebce zawierającej nierówny czarny trójkąt wielkości małego talerzyka.

– To jest ciekawe – powiedział i podniósłszy torebkę, ruszył z nią do wraku.

Przyłożył odłamek do zniszczonej części, która wcześniej musiała być zderzakiem. Pasował jak element puzzla.

– W czasie zderzenia odłamały się kawałki zderzaka – wyjaśniał. Do torebki było przypięte zdjęcie. Przedstawiało miejsce znalezienia tego kawałka. – W przeciwieństwie do innych części ta leżała poza strefą ognia. – Ostrożnie wyjął z folii krzywy trójkąt. Jeden z jego wierzchołków pokrywała cienka warstwa czegoś zaschniętego.

– Czy to krew? – spytała Maja.

– Tak. Próbki są już w analizie.

– Skąd ona się tam wzięła? Nie może pochodzić od pasażerów. – Zwróciła się do Jörna: – Czy ten Jan Wutte przypadkiem nie mówił, że jednemu z rzekomych zabójców wbił w dłoń coś ostrego, co akurat wpadło mu w rękę?

– On dużo mówił.

– Ale ta krew mogłaby to potwierdzać – wtrącił Horst.

Jörn odwrócił się niezadowolony.

El był tak wytrenowany w czujnym spaniu, że na pierwszy sygnał w słuchawce zerwał się niemal na baczność. Drzemał w roverze na siedzeniu pasażera. Na fotelu kierowcy kimał Jack. Automatyczny asystent poinformował, kto dzwoni: zleceniodawca.

– Tak?

– Złapaliście Wuttego i Peela?

– Jeszcze nie.

– Macie więcej szczęścia niż rozumu. Dowiedzieliśmy się, że o ósmej będą w hotelu The Estate. Lobby.

– A gdzie są teraz?

– Nie wiem.

– Zrozumiałem.

Koniec rozmowy.

Eldrige obudził Jacka, jednocześnie szukając w smartfonie adresu hotelu Estate.

Unter den Linden, niedaleko Pariser Platz i Bramy Brandenburskiej.

Przekazał Jackowi nowinę i wyświetlił mapę.

– Nie wiemy, z której strony przyjdą – powiedział Jack. – Za dużo jest dojść, żeby wszystkie zabezpieczyć.

– Trzeba obserwować najważniejsze – powiedział El.

- W pobliżu hotelu nie da się wiele zdziałać – zauważył Jack.
 - Ale przynajmniej będziemy mieli ich na oku.
 - Dojazd do Estate zajmie nam do pół godziny. Musimy ruszać.
- El polecił Samowi i Bellowi wrócić do samochodu.

The Estate to jedna z tych budowli, która chciałaby być szacownym pałacem, a tymczasem jest jedynie topornym kłocem ze stali i z betonu. Na rozległym podjeździe automatyczna barierka zatrzymywała nieproszonych gości. Obok sięgające piersi stalowe barykady. Pasażerowie musieli wysiąść i przejść przez kontrolę bezpieczeństwa jak na lotnisku.

Może szkoda, że Fitz nie ustalił innego miejsca spotkania. Ze ściśniętym gardłem Jan stanął w kolejce. Widział, jak dwie osoby przed nim oddały torby do prześwietlenia, a same przeszły przez urządzenie skanujące. Paszportów nie sprawdzano. Co wcale go nie uspokoiło. Przed nim Fitzroy opróżnił kieszenie, przeszedł przez skaner, a gdy potem zbierał swoje rzeczy, Jan stanął w bramce.

Wreszcie po wszystkim.

Przy wejściu tkwiło trzech gotowych do interwencji facetów w cylindrach i szamerowanych złotem frakach. Dwaj z nich byli czarni. Jak na starych filmach. Czy to jest jeszcze zgodne z duchem czasów? *Poprawne politycznie?* Do lobby prowadziły drzwi obrotowe, dzięki czemu żaden z lokajów nie musiał ich otwierać gościom.

W środku przywitał ich taki sam świat jak w hotelu Willa Cantora. Tylko chyba jeszcze bogatszy. Nie żeby wszyscy nosili tutaj garnitury szyte na miarę (zresztą Jan i tak nie zauważyłby różnicy); niektórzy byli nawet ubrani tak jak on i Fitz, mimo to goście hotelowi wydawali się inni niż zwykli ludzie. Inaczej się poruszali. Inaczej się zachowywali. Z pewnością siebie i swobodą, które może zapewnić jedynie odpowiednie wychowanie od najmłodszych lat. Albo nadzwyczajny sukces. Przynależność do określonej warstwy. Dla Jana wszyscy oni byli bogaci. A zgodnie z teorią Kim – szczęśliwi. Nie wszyscy sprawiali takie wrażenie.

Może niektórzy są mniej bogaci? Jan wyobrażał to sobie tak: jeśli jesteś otoczony samymi biedakami i masz milion, czujesz się bogaty. Natomiast wśród miliardarów jesteś z tym swoim milionem totalnym nieudacznikiem. Kim i Nida z pewnością znają jakieś matematyczne formułki i na taką sytuację.

Ale to przecież zwykli ludzie. Nawet jeśli mają kupę hajsu, mogą zachorować. Śmiertelnie zachorować. Starzeją się. Albo są nieszczęśliwi

w związkach. Lub beznadziejnie zakochani? Kto wie?

Choć Jan miał zdrowe poczucie własnej wartości, poczuł się w tym miejscu nieswojo. Przypomniał sobie wyjaśnienie Kim. Dorastał w innym świecie. Tutaj jego intuicja mogłaby go zawieść. Tymczasem Fitzroy poruszał się tu jak ryba w wodzie. Bez chwili wahania zwrócił się do kobiety za stolikiem z tabliczką „Concierge”. Miła dziewczyna uśmiechnęła się do nich, po mistrzowsku udając, że nie zauważa ich outfitu.

– Missis Jeanne Dalli czeka na nas – powiedział Fitz.

Kobieta rzuciła okiem na monitor przed sobą, następnie wskazała prawą część lobby. Między marmurowymi filarami stały stoliki z ciemnego drewna wyglądającego na egzotyczne, a wokół nich wygodne fotele obite niebieskim aksamitem.

Zanim konsjerżka zdążyła powiedzieć „stolik panów jest tam”, Jan zauważył osobę, której twarz znał ze zdjęć w internecie.

„Nie fair” – to pierwsze, co przyszło mu do głowy. Mimo woli pomyślał o dyskusjach sprzed kilku godzin. Przypadek narodzin rzucił tę istotę na złoty talerz życia. Kobieta wyglądała jak z okładki magazynu. Wiedział, że jest ogromnie inteligentna i odnosi sukcesy. Prawdopodobnie zdążyła już zarobić wielokrotność tego, co on uzbiera do końca swoich dni. Pracowała z jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Spotykała innych, trochę mniej bogatych. Nie fair.

Była ubrana w kostium składający się z kolorowego zakietu i wąskiej spódnicy nad kolana. Uśmiech Jeanne Dalli na powitanie po prostu zwałił go z nóg. „I gdzie tu sprawiedliwość?”.

Ledwie usiedli, podszedł do nich jeden z kelnerów w białej marynarce i muszce. Jeanne zamówiła wodę bez gazu. Fitzroy Peel poprosił o herbatę, chłopak – o kawę.

– Fitzroy Peel – powiedziała Jeanne do wysokiego Brytyjczyka o łysej czaszce. Z podstarzałym dyplomatą z poprzedniego wieczoru łączyła go oprócz wzrostu granicząca z beczelnością pewność siebie. – Wczoraj poznałam niejakiego Ambrose’a Peela, brytyjskiego dyplomatę. Czy pan...

– To mój ojciec – przerwał jej Fitzroy. – Mogłem się spodziewać, że jest tutaj. Nie przyniósł wstydu? – spytał drwiąco.

– To dżentelmen – odparła Jeanne, zaskoczona, że młody Peel tak bezceremonialnie przyznaje się do rodzinnego konfliktu. Jego ton zdradzał jednak, że woli nie zgłębiać tematu. – Ale chciał pan, zdaje się, mówić o Willu. – Spojrzawszy na swój mały i bardzo drogi zegarek, dodała: – Mam dziesięć minut, potem muszę jechać na szczyt.

– Okej – rzekł Peel. – Tak więc w skrócie: znałem Willa ze studiów i z naszej pierwszej pracy u Goldmana. Potem spotykaliśmy się od czasu do czasu. Ostatnio widzieliśmy się chyba dziewięć miesięcy temu. Wczoraj wieczorem nasz młody przyjaciel Jan widział, jak Herbert Thompson, Will Cantor i kierowca limuzyny bezpośrednio po wypadku zostali żywcem podpaleni przez zgraję bandziorów. Tuż przedtem Will podobno wymienił jeszcze moje i pani nazwisko. Więc Jan znalazł mnie w barze, gdzie napadli na nas tamci gangsterzy. Uciekliśmy, a potem zostaliśmy przez nich zaatakowani w hotelu Willa. Razem z Janem szukaliśmy w jego pokoju jakichkolwiek wskazówek, ale natrafiliśmy jedynie na trochę notatek, które nic nam nie dały. To tyle w wielkim skrócie.

„Kpisz czy o drogę pytasz?! Ja mam uwierzyć w tę historię?”.

Chyba zdradziła ją mimika.

– Na pani miejscu też nie uwierzyłbym w ani jedno słowo – powiedział Peel. Bezdenna głębia w oczach, dołki w kącikach ust. A jednak syn swego ojca.

– Powiedziałam panu wszystko przez telefon – odezwała się Jeanne z ociąganiem. – Nie przypominam sobie nic szczególnego z moich ostatnich rozmów z Willem. Zastanawiałam się nad zasadą Kelly’ego, ale ona raczej nie jest kompatybilna ze współczesnymi naukami ekonomicznymi. Odesłaliśmy ją do lamusa już w latach sześćdziesiątych.

– To ciekawe – powiedział Fitzroy – bo ja stosuję Kelly’ego z dobrym skutkiem codziennie przy pokerze i liczeniu kart w blackjacku. Czyli zarabiam pieniądze dzięki teorii, która według nauk ekonomicznych nie powinna funkcjonować?

Jeanne mimo woli musiała się roześmiać.

– Kiedyś bardzo podobnie mówił Will. Widać, że byliście zaprzyjaźnieni.

– *Great minds think alike* – stwierdził nie bez sentymentu Fitzroy. Wzruszył ramionami. – Ale w końcu moja praca polega na zarabianiu pieniędzy, a nie na kwestionowaniu naukowych teorii gospodarczych.

– Will najwyraźniej uczynił z tego swój cel. O ile wiem, mnóstwo czytał na ten temat, znajdował naukowe opracowania jakichś matematyków czy fizyków i przedstawiał potem zagmatwane koncepcje. Jeden z Bernoullich się pomylił...

– To rodzina wybitnych matematyków i fizyków z osiemnastego wieku – szepnął Peel do młodego Niemca, który najwyraźniej rozumiał ich konwersację prowadzoną po angielsku.

– Który z nich? – spytał Fitzroy. – I w czym się pomylił?

– Daniel – odpowiedziała Jeanne. – W kwestii funkcji użyteczności. To jeden z filarów teorii mikroekonomii. Według Willa, albo opracowań, które wymieniał, od prawie czterystu lat liczymy nieprawidłowo. Jak już mówiłam, brałam jego zachowanie za nieporadne podrywanie...

– Czego bynajmniej nie można wykluczyć. Will nie był mistrzem w kontaktach z kobietami. Czy wie pani coś o jego znajomości z Thompsonem?

Jeanne pokręciła głową, choć pomyślała o maszynopisie ukrytym w sejfie Teda. Jednak na razie wolała zachować ostrożność wobec obcych mężczyzn.

Peel rozłożył przed nią kilka kartek. Tekst, jakieś rysunki. Coś w rodzaju wsi. Zboże, kobieta.

– Czy coś to pani mówi?

– Co to jest?

– Notatki Willa – wyjaśnił Peel. – Uporządkowane przeze mnie.

Jeanne ogarnęła wzrokiem pierwszą stronę.

„Wyobraź sobie dwie chłopki i dwóch chłopów”.

Oblała ją fala gorąca. Zaledwie kilka godzin temu czytała o chłopach na zabazgranej kartce w apartamencie Teda.

– Ma pan oryginał? – spytała, z trudem panując nad emocjami.

Peel zawahał się, ale po chwili namysłu wyciągnął z kieszeni kolejną kartkę. Zakreskowaną na szaro, z białym odcisniętym tekstem. W górnym rogu mały rysunek.

– Oryginał musiał leżeć na tej kartce i to, co na nim było, odcisnęło się pod spodem.

Jeanne natychmiast rozpoznała drobny rysunek z kuleczkami.

Wypiła łyk wody, aby zyskać czas na zastanowienie.

– Dziękuję – odezwała się i odsunęła papier na bok. – Dlaczego mi pan po prostu nie powie w skrócie, o co chodzi w tej komicznej historii?

Maja stała oparta o ścianę przed halą techników. Zamknawszy oczy, próbowała przepędzić ból głowy.

Na próżno.

Wyciągnęła z kieszeni papierosy, podsunęła paczkę Jörnowi, który odmówił, więc zapaliła sama. Lepiej!

W jej kieszeni zabrzęczała komórka. Centrala.

– Paritta.

– Mamy informację z hotelu The Estate. Podobno widziano tam gości, których pani szuka.

Maja oderwała się od ściany. Ze względu na Thompsona sprawdzano także wszystkie hotele goszczące uczestników szczytu. Nigdy nie wiadomo.

– W Estate? – To najwyższa półka. Niemożliwe. – Kiedy?

– Parę minut temu.

– Gdzie są teraz?

– W hotelu.

– W hotelu?! I co tam robią?

– Piją kawę.

– Słucham?! Już jadę!

Przez małą słuchawkę w uchu El mógł mimo lekkich szumów śledzić rozmowę. Ujęcie z kamery monitoringu miał na ekranie smartfona. Sądząc po perspektywie, kamera musiała się znajdować gdzieś niedaleko, na galerii. Peel opowiadał kobiecie, której nazwiska zleceniodawca mu nie zdradził, jakąś historyjkę o chłopach i ich polach, pokazując jednocześnie kilka rysunków rozłożonych przed nią na stoliku.

El siedział na galerii i aby móc zobaczyć ów stolik nie tylko w telefonie, ale i w rzeczywistości, musiał nieco wychylić się na krześle. Dopóki nie wstał, nie mógł zostać dostrzeżony przez nikogo z grupki skupionej na rozmowie na dole.

Podniósł głowę znad smartfona i ponownie powiódł wzrokiem w poszukiwaniu kamery. Najnowsze urządzenia tego typu są tak małe, że niełatwo je odkryć, zwłaszcza jeśli są umiejętnie zamontowane. Zainstalowanie kamery nie należało do jego zadań, streamem zarówno obrazu, jak i dźwięku zajął się jego zleceniodawca – El nie miał pojęcia, w jaki sposób go zorganizował. Mała pluskwa pod stołem? Albo zhakowano komórkę tej kobiety? Tyle że nigdzie nie było widać jej telefonu. A jakoś dźwięku jest zbyt dobra, aby mógł on pochodzić z aparatu leżącego w torebce.

Kobieta znowu oglądała papiery.

Głos zleceniodawcy w uchu Ela brzmiał ochryple.

– Co to jest?

– Nie widzę – powiedział El. – Nie można jeszcze przybliżyć?

– Bardziej się nie da.

Kobieta odłożyła kartki i spojrzała na Fitzroya Peela.

– I co dalej? – spytała.

– Rozważaliśmy przeróżne scenariusze – stwierdził Fitz, opowiedziawszy bajkę o chłopach do końca – ale nie dotarliśmy do żadnej konkluzji.

– Ja też jej nie widzę – rzuciła Jeanne, zerkając na zegarek. Spotkanie się przeciągało. – I nie mam pojęcia, gdzie można by ją znaleźć.

A jednak się domyślała. I to coraz wyraźniej. W żołądku ścisnęło ją tak mocno jak kiedyś, w czasach młodości.

– Muszę już iść – rzuciła.

Wciąż jednak walczyła ze sobą. Jej zawód od lat zmuszał ją do podejmowania szybkich i twardych decyzji.

Ale w tym przypadku to zupełnie co innego.

Ewentualne konsekwencje...

Nie, nie wolno jej stracić panowania nad sobą, nie powinna się nerwowo rozglądać!

Nie czuła się pewnie. Nie znosiła tego. „Spokojnie!”.

Mitch i dwóch jego ludzi pilnie ją obserwują. Czy chwyci się za uszy, czy dotknie nosa.

Wypiła jeszcze łyk wody.

Zawiedziony Fitzroy złożył kartki z bajką o chłopach i wsunął je z powrotem do kieszeni. Jak mógł sądzić, że ta kobieta albo ta idiotyczna historyjka pomogą im w czymkolwiek? Zagalopował się. Wszystkie zwariowane zdarzenia minionej nocy i do tego brak snu zrobiły swoje. Koniec. Teraz wróci do hotelu, weźmie prysznic, wyśpi się, zadzwoni na policję albo zrobi to samo w innej kolejności, i będzie czekał na rozwój sytuacji. Więcej nie jest w stanie dla Willa zrobić. Wcześniej czy później policja uwierzy też w niewinność Wuttego.

Co się działo z tym chłopakiem?

Jego twarz była bielsza od kartek, nad którymi jeszcze przed chwilą się pochylali, pełne paniki spojrzenie błędziło dookoła. Nagle Jan chwycił Fitzroya za ramię desperackim gestem tonącego.

– Tylko nie patrz w tamtą stronę – szepnął, starając się nad sobą zapanować. – W głębi lobby stoi jeden z typów z Golden Baru i hotelu Willa. Patrzy w naszą stronę.

Fitzroy siedział zwrócony plecami do lobby. Tyłem do jednego z bandziorów, jeśli Jan się nie mylił.

Nie myśl o różowym słoniu.

Nie odwracaj się do swojego niedoszłego zabójcy.

Starając się zachować stoicki spokój, Peel zapanował nad odruchem.

Jeanne zauważyła ich dziwne zachowanie.

– O co chodzi? – spytała, gotowa się już pożegnać. Stała w połowie zwrócona w kierunku lobby.

Fitzroy podniósł się z miejsca i powiedział szeptem:

– Proszę zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Jan mówi, że niedaleko nas jest jeden z zabójców Willa.

Sądząc po tym, jak znieruchomiła, musiała się poczuć podobnie jak Fitzroy, gdy usłyszał nowinę od Wuttego.

– Kto? – rzuciła. – Gdzie?

Jan również wstał z miejsca.

– Gdzie? – spytał go Fitz.

– Przy ostatnim filarze, całkiem z tyłu – odpowiedział cicho Jan.

Jeanne huczało w głowie. Gwar głosów, turkot walizek, dzwonki telefonów, brzęk naczyń, szelest gazet i płaszczy.

Odrętwiało ciało.

Temu chłopakowi musiało się coś ubzdurać.

– Jak on tu nas znalazł? – spytał Jan. Pod wpływem paniki jego angielski brzmiał jeszcze toporniej niż zwykle. – Skąd wiedział, że tu jesteśmy?

Zmierzył Jeanne wzrokiem.

– Kto wiedział o naszym spotkaniu? – rzucił.

Jeanne z trudem powstrzymała się przed wybuchem.

– Chyba pan nie sądzi, że... – syknęła.

– Nigdy nie uwierzę, że to przypadek – odparł Jan. – Mówiła pani komuś, że jesteśmy tu umówieni?

– Pańskie insynuacje są absurdalne – odrzekła Jeanne chłodno, a jednocześnie gorączkowo myślała.

Komu o tym powiedziała? Tedowi i Mitchowi. A tamtego mężczyzny nie zna. Nie należał do ekipy dbającej o bezpieczeństwo Teda.

– Nie znam go – oznajmiła.

– Wcale nie twierdziłem, że go pani zna. Tylko zadałem pytanie – odparował Jan.

– Zachowajmy spokój – odezwał się Peel. – Zaraz dyskretnie tam spojrzę.

Odwrócił się i przekręcił głowę, jakby szukał kelnera. Gdy jeden z mężczyzn w białej marynarce go dostrzegł, Fitz dyskretnie do niego machnął. Kelner pospieszył w jego stronę.

– Poproszę o rachunek – rzekł Peel.

Mężczyzna oddalił się, Anglik zaś zwrócił się do Jeanne:

– Jan ma rację. – Na jego czole pojawiły się kropelki potu. – Poznaje go. W ciągu ostatniej nocy ten człowiek dwa razy próbował nas zabić. Potem udało się nam go zgubić. Jak to możliwe, że znowu się pojawił?

„Potem udało się nam go zgubić”.

Jeanne nie mogła się zdecydować.

– Wspomniałam o waszych podejrzeniach Tedowi Holdenowi – przyznała w końcu. – I szefowi jego ochrony. W końcu Herbert Thompson

był doradcą i jego dobrym znajomym, a Will Cantor pracownikiem.

– Jeszcze komuś?

Jeanne nie podobał się ton chłopaka. Był inkwizytorski. Dosyć tego.

– Nikomu – rzuciła ostro.

– W takim razie są dwie możliwości – wtrącił Peel. – Albo to przypadek, co jest mało prawdopodobne, albo ktoś poinformował bandziorów. A to mogła zrobić tylko pani, Ted Holden lub szef jego ochrony.

– Chyba pan zwariował! Nie mam z tym nic wspólnego. Nikt z nas nie ma z tym nic wspólnego.

Wciąż jednak nie dawała jej spokoju dręcząca myśl. Ale przecież Thompson był doradcą Teda, Will współpracownikiem. Może jeden z nich po prostu dał mu ten maszynopis albo go przysłał.

W jej torebce zabrzęczała komórka.

Ted.

– Czas na nas – oznajmił. – Jestem w garażu na dole. Przyjdiesz?

Krótkie spojrzenie na Fitzroya i Jana. Zerknęła też dyskretnie na rzekomego zabójcę. Następnie Jeanne poszukała wzrokiem Mitcha i jego dwóch ludzi. Nie było ich. Usiadła z powrotem, sięgnęła do swojego buta.

– Jedź na razie sam – odpowiedziała. – Popsuł mi się obcas, więc jeszcze muszę wpaść do pokoju i zmienić szpilki. No i oczywiście całą resztę, żeby wszystko pasowało. Wiesz, jak to jest... Dojadę niedługo taksówką.

– Okej. Jak rozmowa? – spytał.

– Strata czasu.

– Tak myślałem. Na razie.

– Co oni teraz robią? – rozległ się głos zleceniodawcy w słuchawce.

– Żegnają się. Podają sobie ręce. Kobieta odchodzi.

– Dokąd?

– Chyba w kierunku wind.

– A tamci dwaj?

– Jeszcze stoją. Czekają.

– O czym mówią?

– Słyszę tylko to, co dociera przez udostępniony przez pana stream – powiedział El. – A w tym momencie nie dociera nic. Widocznie stojąc, znajdują się za daleko od mikrofonu i szumy są zbyt silne.

– Gdzie jest ona?

– Właśnie wsiada do windy.

El widział na monitorze, że Wutte i Peel wciąż stoją przy stoliku. Po chwili wrócił kelner, podał im rachunek. Peel zamienił z nim kilka słów, zapłacił. El dostrzegał ruchy warg, ale słyszał jedynie odgłosy z lobby – gwar, szum.

– Okej – odezwał się zleceniodawca – ktoś jest blisko nich?

Kelner się oddalił. Ale ruszył w kierunku recepcji, a nie restauracji po drugiej stronie, z której przyszedł.

Samarytanin i hazardzista ponownie usiedli i nic nie mówiąc, odprowadzali kelnera wzrokiem.

– Jeszcze nie wychodzą – relacjonował El. – Ale w razie czego jesteśmy gotowi.

– Tak jak było ustalone: nie podejmować żadnych działań, dopóki są w hotelu. Jasne? – powiedział głos w słuchawce. – Dopiero na zewnątrz, co najmniej kilometr od hotelu.

– Tak jest – potwierdził El.

– I już żadnych błędów. W przeciwnym razie poniesie pan konsekwencje. Czekam na dalsze informacje.

El zgrzytnął zębami. „W przeciwnym razie poniesie pan konsekwencje”. Ten facet mu groził! Jeśli sądził, że w ten sposób go zastraszy, to się grubo mylił. Bo wcale go nie zastraszył, tylko rozwścieczył.

Wutte i Peel siedzieli na dole, jakby byli gośćmi czekającymi na kolejną kawę. W milczeniu. Rozglądali się dookoła znudzonym wzrokiem.

Stłumiony głos Jacka w słuchawce:

– W moją stronę idzie pięciu facetów. Jeden wygląda na menedżera hotelu, reszta na typów z ochrony.

– Idą prosto do ciebie? – spytał nerwowo El.

– Na razie nie mogę... tak.

– Wycofaj się!

– Za późno.

El usłyszał w tle obcy głos:

– Dzień dobry, nazywam się Kreuzer, jestem menedżerem hotelu. Jeden z gości twierdzi, że widział, jak manipuluje pan przy broni. Pozwoli pan, że spytam...

Niech to szlag! El wstał z krzesła i najdyskretniej, jak potrafił, ruszył w kierunku schodów, podczas gdy obcy głos w słuchawce mówił dalej:

– Z tyłu przy pańskim pasku widzę wypukłość. Czy moglibyśmy...?

El patrzył teraz na Jacka z galerii – stał otoczony przez ochroniarzy, których dłonie spoczywały dyskretnie, ale niedwuznacznie na rękojeściach pistoletów. Krótkie spojrzenie na smartfona uspokoiło go, że Wutte i Peel wciąż siedzą przy stoliku. Jack nie miał wyboru – uniósł kurtkę i pokazał broń tkwiącą w kaburze przy pasku.

– Ja wolno nosić broń – wyjaśnił Jack łamanym niemieckim. – Bodyguard. Niejedyny tutaj, no tak?

– Regulamin naszego hotelu wymaga, aby każdy, kto nosi broń, wcześniej nam to zgłosił – wyjaśnił menedżer. – Dlatego proszę, aby zechciał pan to teraz zrobić w recepcji.

– To bardzo dziwna – odpowiedział Jack – ale jak pan chce.

Błyskawicznie poszukał oczami Ela, dostrzegł go u szczytu schodów, spytał wzrokiem, co robić. El bezgłośnie ułożył wargi w jedno słowo: *Leave* – zjeżdżaj, i nieznacznym ruchem głowy w bok dał mu znak, że ma spadać z hotelu i nie dopuścić do kontroli. Teraz El będzie musiał sam zająć się hazardzistą i samarytaninem. Obaj nadal siedzieli przy stoliku.

Jack, wciąż otoczony przez ochroniarzy, ruszył w kierunku recepcji, ale po chwili przystanął i skierował się do wyjścia.

– Proszę stać! – zawołał menedżer. – Dokąd pan idzie?

Ochroniarze szli za nim, ale go nie zatrzymywali. Mięczaki!

– Jak niemile widziany, idę – odpowiedział Jack.

Menedżer i jego ludzie wciąż go nie odstępowali.

– Prosiłem pana, aby się pan...

– Poinformuję mój pracodawca – oznajmił Jack. – Ważna osoba. Nie będzie mieszkać w wasz hotel.

I już był na zewnątrz.

Pięciu mężczyzn przystanąło przed drzwiami i patrzyło za nim. El nie mógł usłyszeć, co mówią. Zerknął kontrolnie na ekran telefonu.

Stolik, przy którym siedzieli Wutte i Peel, był pusty.

– Na siódme piętro – wydyszał Jan. – Po schodach!

Mieli dopiero dwa za sobą. Na zimnej klatce schodowej ich kroki odbijały się donośnym echem. „Pewnie nikt nigdy tędy nie chodzi – pomyślał Wutte – chyba że jest alarm przeciwpożarowy”.

– Jesteś młody, powinieneś być w lepszej formie – powiedział Fitz, wyprzedzając chłopaka.

– Może bym był, ale nie po takiej nocy – jęknął tamten.

Drzwi prowadzące na schody znajdowały się w tylnej części lobby. Zmierzając do nich, Jan i Fitz co chwila się upewniali, czy nikt ich nie śledzi. Bo prawdopodobnie oprócz tego jednego bandziora, którego zauważyli, było ich więcej w pobliżu. Pewnie dwóch albo trzech kręciło się w środku, a inni czekali przy wyjściach, w garażu i może nawet wmieszali się między personel. Znalazłszy się na klatce schodowej, starali się iść jak najciszej, aby usłyszeć, gdyby na którejś kondygnacji otworzyły się drzwi.

Czwarte piętro. Ruszyli wyżej.

Gdzieś nad nimi rzeczywiście otworzyły się drzwi.

Czyjeś kroki.

Jan przystanął i zamarł. Idący przed nim Fitz odwrócił się do niego. Najciszej, jak potrafili, zeszli na czwarte piętro. Jan uchylił drzwi na hotelowy korytarz i wyjrzał ostrożnie. Dał znak Janowi, aby poszedł za nim.

Znajdowali się na końcu długiego korytarza z ciemnobrązowym parkietem i granatowymi ścianami poprzecinanymi wejściami do pokojów. Nigdzie żywego ducha.

Jan nasłuchiwał przy drzwiach. Kroki na schodach były coraz wyraźniejsze. Wyglądało na to, że idąca po nich osoba nie stara się być ani cicha, ani ostrożna, nawet gwizdała pod nosem jakąś melodię. Jan odczekał, aż odgłos kroków i pogwizdywanie się oddalą i wreszcie całkiem ucichną na dole, po czym zerknąwszy szybko na Fitz, uchylił drzwi klatki schodowej, wsłuchał się w ciszę, następnie wślizgnął się za nie.

– Ciesz się, że mogłeś trochę odsapnąć – szepnął Fitzroy, który ponownie wyprzedził Jana, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Na siódmym piętrze wstępu na korytarz broniły drzwi z zamkiem elektronicznym. Była to kondygnacja z apartamentami VIP-owskimi.

Jan wyjął kartę, którą Jeanne Dalli dyskretnie wcisnęła mu do ręki podczas pożegnania.

Ciche kliknięcie i drzwi się otworzyły.

Korytarz przypominał ten na czwartym piętrze, tylko tu ściany były ciemnozielone.

Fitz szybko ruszył przed siebie, Jan tuż za nim, spoglądając raz po raz przez ramię, czy ktoś przypadkiem nie idzie.

Zatrzymali się przed pokojem 723.

– A jeśli to pułapka? – spytał Jan. – I w środku czekają na nas tamte typy?

Jeanne stała przed sejfem i wbijała cyfry w kolejności, którą zapamiętała przy okazji „szukania fig”.

Miała nadzieję, że się nie pomyliła.

Ciężkie metalowe drzwiczki otworzyły się z lekkim kliknięciem.

Koperta leżała na środkowej półce. Jeanne wyjęła ją i zamknęła skrytkę, stosując tę samą kombinację cyfr. Następnie windą dla VIP-ów zjechała dwa piętra niżej i pobiegła do swojego pokoju. Zapukała.

Brak reakcji.

Zapukała ponownie.

Dalej cisza.

– Peel? To ja, Jeanne Dalli – powiedziała cicho. – Mam kopertę. Wpuśćcie mnie.

– Jesteśmy! – usłyszała z tyłu.

Odwróciła się gwałtownie – za jej plecami stali Peel i chłopak.

– A niech was, ale mnie przestraszyliście! – syknęła. – Co się stało?

Fitz przyłożył kartę do elektronicznego czytnika i otworzył drzwi.

– Środki ostrożności – powiedział, po czym wślizgnął się do apartamentu typu junior suite jako pierwszy, krokiem kota na łowach. Poruszał się szybko, cicho i czujnie.

Jeanne weszła za nim przez część dzienną do sypialnianej, zajrzała też do łazienki. Młody Niemiec wciąż stał przed drzwiami.

– Możesz wejść! – zawołał do niego Peel, sprawdzwszy nieduży apartament.

Jeanne położyła kopertę na biurku.

– Co takiego ważnego jest w środku?

– To są chyba notatki Thompsona do mowy, którą miał wygłosić wczoraj wieczorem. I wspólny maszynopis jego i Willa.

Fitz jednym ruchem wyjął wszystko z koperty i podzielił zawartość na trzy części. Pierwsza składała się z niewielkich sztywnych kartek pokrytych dużym pismem.

– To wygląda właśnie na notatki do przemówienia – powiedziała Jeanne.

Drugą stanowił zbindowany plik gęsto zadrukowanych stron A4. Na wierzchniej widniał tytuł: *Wealth Economics. By Herbert Thompson and Will*

Cantor.

– Maszynopis.

Trzeci element to pojedyncza kartka gęsto pokryta nieczytelnym, bardzo drobnym pismem.

– Zdążyłam tylko przebiec ją wzrokiem i odszyfrowałam zaledwie kilka pierwszych słów na początku...

Fitzroy pospiesznie sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął zacięniowaną kartkę z białymi bazgrołami, po czym położył ją obok strony wyjętej z koperty.

– Yin i yang.

– Will był w Berlinie od wczoraj – powiedział Fitz. – Umawialiśmy się e-mailowo, więc wiem to od niego. Notatki są wykonane na hotelowym bloku, czyli zrobił je dopiero po przyjeździe. Nieco później jechał razem z Thompsonem, którego czekało wygłoszenie wykładu. Czyli prawdopodobnie miał je przy sobie.

Było coś, co Janowi nie dawało spokoju. Te luźne kartki przypominały mu...

– Albo razem z notatkami i maszynopisem włożył je do koperty i posłał swojemu pracodawcy – zasugerowała Jeanne.

Jan zauważył, że jej twarz jest o co najmniej dwa odcienie bledsza niż wcześniej.

– Można to sprawdzić – powiedział Fitz.

Podczas gdy Jeanne przeglądała notatki Thompsona, on wstukał jakiś numer w swojej komórce.

– Dzień dobry – odezwał się po chwili. – Dzwonię z Estate, Unter den Linden. Czekam na przesyłkę od gościa państwa hotelu, Willa Cantora z pokoju siedemset pięćdziesiąt sześć. Czy wczoraj po południu nie przekazał koperty do wysłania?

Fitz ledwie słyszał osobę po drugiej stronie. Chyba powiedziała coś w rodzaju „Chwileczkę, sprawdzę”. Przekartkował maszynopis. Dużo tekstu. Diagramy. Wykresy. Wzory. Chodziło o gospodarkę, tyle zrozumiał na pierwszy rzut oka. I nic ponadto. Ostatnie strony wypełnione drobnym drukiem. Nazwiska, tytuły artykułów i książek, numery stron, roczniki. Domyślił się, że to wykaz źródeł.

– Dziękuję – rzekł Fitzroy, po czym schował komórkę. – Will nie wysyłał wczoraj niczego za pośrednictwem hotelu.

– W mieście nie brakuje firm kurierskich – zauważyła Jeanne, nie podnosząc spojrzenia znad notatek.

Przekładała kartki z jednej kupki na drugą w tempie, które pozwalało najwyżej na pobieżne rzucenie okiem na każdą, a nie na dokładne przeczytanie. W pewnej odległości nad nimi trzymała komórkę. Filmowała je. Zostały dwie ostatnie.

„Dziękuję państwu za uwagę”.

Odłożywszy telefon, zaczęła układać je z powrotem w pierwotnym porządku, wciąż nie podnosząc znad nich głowy.

– Czy będąc w obcym mieście, zleciłabyś takie zadanie firmie kurierskiej czy raczej komuś z hotelu? – spytał Fitz.

Jeanne skończyła. Wyprostowała się. Miała stężałą twarz. I jeszcze bledszą.

– Komuś z hotelu.

– No właśnie. Każdy by tak zrobił.

Jan prawdopodobnie dostarczyłby kopertę sam. Przejechał dłonią po guzie, który nagle go zabolął. I raptem przypomniał sobie, gdzie widział te papiery.

Limuzyna na dachu.

Facet ze szczęką jak kowadło sięga po otwartą teczkę. A potem zapach benzyny i ręce, które chciały go wciągnąć prosto w ogień...

Dwieście metrów przed The Estate nie pomagały ani sygnały świetlne, ani dźwiękowe. Tłumy zmierzające na demonstrację wypełniały całą jezdnię. Jörn zatrzymał radiowóz i wraz z Mają pokonali ostatnie metry pieszo. Próbowali biec, ale okazało się to niemożliwe – przepychali się, miejscami zaś potok ludzi porywał ich w innym kierunku, niż zmierzali. Przed hotelem musieli przejść przez kordon bezpieczeństwa. Rzuciwszy okiem na mundur Jörna, kobieta w uniformie firmy ochroniarskiej dała im znak, aby się nie zatrzymywali.

Recepcjonistka w lobby obejrzała legitymację Mai, po czym zadzwoniła po menedżera. Czekaając na niego, Maja omiotła wzrokiem część lobby widoczną z miejsca, w którym stała. Hotelowi goście szli na śniadanie, wracali z porannego joggingu lub opuszczali budynek, aby w swobodnych strojach i dobrych humorach zwiedzać miasto albo, w garniturach czy kostiumach, udać się na któreś ze spotkań na szczycie.

– Pani komisarz – zagadnął ją elegancko ubrany pan w średnim wieku. Bawarczyk albo Austriak. – Edwin Kreuzer, menedżer. – Towarzyszył mu nieco młodszy mężczyzna o dynamicznej fryzurze i zdecydowanie zbyt szerokich ramionach jak na marynarkę. – To jeden z pracowników odpowiadających za bezpieczeństwo – wyjaśnił Kreuzer.

– Gdzie są ci dwaj? – spytała Maja.

– Poszli kilka minut temu.

– I oczywiście nie wiecie dokąd – jęknęła Maja.

– Przykro mi.

– Przypuszczam, że nie wstąpili tu sobie tak po prostu, żeby napić się kawy?

– Byli umówieni.

– Z kim?

– Nie umiem powiedzieć. – Kreuzer próbował się wymigać od odpowiedzi.

– Nie umie pan czy pan nie chce?

Kiepsko kłamał.

– Dobrze pan wie, kto to był – rzekła Maja. – Gość waszego hotelu.

Menedżer dalej unikał odpowiedzi.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę, że jeśli wszczynamy za kimś pościg, to nie robimy tego lekkomyślnie i z powodu błahostek. Za utrudnianie pracy policji mogę zaprosić pana na komisariat, jeśli pan woli.

Kreuzer rozważał propozycję.

– Nie mam czasu na takie gierki – fuknęła Maja. – Muszę wiedzieć, z kim spotkali się tamci dwaj i dokąd poszli!

Sądząc po zachowaniu menedżera, chętnie byłby przemysłowcem albo bankierem. Jednak ani zaczesane do tyłu włosy, ani jakość jego garnituru nie dorównywały choćby w przybliżeniu jego upragnionym wzorcom.

– A skąd mam to niby wiedzieć? – rzucił opryskliwie.

– Z kim się spotkali?

– Przykro mi – odparł Kreuzer. – Bez oficjalnego nakazu nie mogę spełnić pani prośby. W naszym hotelu zatrzymują się największe osobistości. Dyskrecja jest dla nas najważniejsza.

– Maju – wtrącił się Jörn – skoro dyrektor hotelu to mówi...

– Możliwe, że mamy do czynienia z dwoma podejrzanymi o zabójstwo, którzy właśnie krążą po pańskim hotelu – przerwała mu Maja. Jörn na razie nie sprawdzał się jako jej „anioł stróż”. – Jak pan wyjaśni tym

swoim największym osobistościom, jeśli nagle któraś z nich wyciągnie kopyta? Powtarzam zatem pytanie: z kim spotkali się tamci dwaj? Dokąd poszli? Czy macie tu monitoring?

Zaciskając usta, Kreuzer uciekł przed jej spojrzeniem.

– W ten sposób tylko napytam sobie biedy – powiedział.

Fitz wziął maszynopis z rąk Jana i zaczął go przeglądać. Jeanne, stojąc obok niego, czytała razem z nim. Najpierw przebiegli wzrokiem spis treści. *Znaczenie czasu w teorii decyzji. Emocjonalność jest racjonalna. Formuła wzrostu. Przykład: koniunktura okresu od lat pięćdziesiątych do siedemdziesiątych.*

Co najmniej siedemdziesiąt rozdziałów!

Skutki dla teorii przedsiębiorstwa... dla branży ubezpieczeniowej... dla systemu emerytalnego... dla systemu finansowego.

– Strasznie się rozdrabniają – powiedziała ze zdziwieniem Jeanne.

...dla stóp procentowych banków centralnych... dla rozpoznania oszustwa... dla rozwiązywania konfliktów... dla sztucznej inteligencji.

– Rzeczywiście! – potwierdził Fitz i przeszedł do podsumowania.

Streszczenie na wstępie pracy było napisane zrozumiałym językiem; Jeanne przeczytała je pobieżnie w dwie minuty.

– Wow – bąknął Peel obok niej.

W rzeczy samej. Thompson i Will poszli bardzo mocno pod prąd. Wyglądało na to, że pisząc to, oparli się na matematycznych pracach fizyków skupionych w London Mathematical Laboratory, którzy odkryli podobno błąd rachunkowy w podstawach współczesnych teorii gospodarczych, powielany od trzystu pięćdziesięciu lat.

– Czy to możliwe? – spytał Fitz, zatrzymując palec na odnośnym akapicie.

– Nie mam pojęcia – przyznała szczerze Jeanne.

Londyńczycy wykonali matematyczną pracę u podstaw w niektórych dyscyplinach, a Thompson i Will przełożyli ją na szczegółową teorię i pierwsze polityczne rekomendacje.

Policy brief.

– Trzeba przyznać, że nie zyskaliby dzięki temu wielu przyjaciół – wymamrotał Fitzroy, gdy doczytał abstrakt do końca. – Zwłaszcza wśród dotychczasowych fanów Thompsona. Takich jak Ted Holden. – Spojrzał na Jeanne z ukosa.

– Więc o co w tym chodzi? – zniecierpliwiał się Jan.

– O wszystko. – Jeanne odpowiedziała bardziej sobie niż jemu. – O nasz wizerunek człowieka. O prawidłowe decydowanie. O organizację

społeczeństwa. Sensowny podział dobrobytu. O egoizm, zarządzanie przedsiębiorstwami, rozwiązywanie konfliktów...

– Jeśli oni mają rację, to zachwieje w posadach obowiązujące koncepcje społeczne i gospodarcze – uzupełnił Fitz. – Zdaje się, że poczciwy Thompson chciał na stare lata zostać rewolucjonistą...

Jeanne szybko przerzuciła kilka kolejnych kartek. Aż do ilustracji przedstawiającej coś w rodzaju drzewa, rozdzielającej się linii.

Modele decyzyjne i funkcja użyteczności.

Pospiesznie przebiegała wzrokiem odpowiedni tekst, to samo robił stojący obok niej Fitzroy, który po chwili spytał:

– Czy wy, ekonomiści, rzeczywiście tak liczycie?

– O ile dobrze pamiętam, tak – odpowiedziała Jeanne. Zamierzała odnieść te papiery z powrotem na miejsce i pojechać na konferencję, ale była zbyt ciekawa. Dała sobie jeszcze kilka minut. – Jak dla mnie trochę za dużo tu matematyki. A tobie to coś mówi?

– Wszystko jest jasne jak słońce – mruknął Fitz.

– A ja nic nie rozumiem – wtrącił Jan swoim niemiecko brzmiącym angielskim.

Jeanne prawie całkiem o nim zapomniała.

– Chodzi o modele podejmowania decyzji – zaczął wyjaśniać Peel. – Mówiliśmy dzisiaj o korzyściach oczekiwanych. W matematycznym podejściu ekonomiści niejako sumują wszystkie możliwe wyniki danej decyzji i wyliczają średnią, a w bardziej zaawansowanych teoriach nie są to już średnie wyników, ale prawdopodobieństw czy wręcz pochodnych prawdopodobieństw. To dosyć skomplikowane.

– I dokładnie tak brzmi. Ta średnia wszystkich możliwych wyników to mniej więcej to samo co średnia układowa w twojej wczorajszej grze w rzucanie monetą?

„O czym ci dwaj mówią?”

– Właśnie! Choć to oczywiście kompletna bzdura. Bo to mniej więcej tak, jakbyś stał na skrzyżowaniu i mógł równocześnie pójść każdą drogą. Albo jakąś średnią tych dróg, jakkolwiek by ona miała wyglądać. Co rzecz jasna jest niemożliwe. – Fitz pokręcił głową z powątpiewaniem. – Dlatego spytałem Jeanne, czy ekonomiści tacy jak ona rzeczywiście tak to wyliczają. Drugi model decyzyjny, nad którym pracowali Thompson i Will, opiera się na założeniu, że ludzie zyskują na średniej czasowej.

– To też już przerabialiśmy – przypomniał sobie Jan. – Czyli trzeba się zdecydować na jedną drogę. I na następnym skrzyżowaniu znowu. I tak dalej...

– Widzę, że zrozumiałeś. Całe życie to *następstwo* decyzji, które można podejmować wyłącznie na podstawie poprzednich.

Najwyraźniej dumny z tego, że załapał, Jan spróbował jeszcze raz podsumować:

– I średnia czasowa może dać całkiem inny wynik niż średnia układowa... Rozumiem!

Fitzroy zwrócił się do Jeanne:

– Wszystko jasne? Matematyka wydaje się tu kluczowa.

– Możliwe, że oni mieli rację – powiedziała Jeanne, która tymczasem przeszła do strony przedstawiającej ilustrację krzywej wieży w Pizie. – Thompson i Will twierdzą, że obecnie wykorzystywane modele ekonomiczne są jak krzywa wieża w Pizie. Ta budowla przechyliła się na jedną stronę z powodu wadliwego fundamentu już podczas budowy. Budowniczości próbowali ją wyprostować, wznosząc wyższe kondygnacje bardziej pionowo. Dosłownie dodawali błąd do błędu, aby naprawić nieprawidłową podstawę. Dlatego wieża jest krzywa.

– I to samo przytrafiło się ekonomii w przypadku funkcji użyteczności i równowagi ogólnej, jak twierdzą Thompson i Will – powiedział Fitz.

– To, co dla pojedynczej wieży nie jest tragedią – wtrąciła Jeanne – w odniesieniu do filarów nowoczesnej ekonomii i pewnych teorii politycznych stanowi dramat. – Podniosła wzrok znad maszynopisu. – Zdaje się, że Thompson i Will wyrzucili sporą część powszechnie obowiązujących teorii ekonomicznych po prostu na śmietnik. Mówiąc obrazowo: zburzyli krzywą wieżę i zaczęli wznosić nową budowlę.

– Najwyższa pora – stwierdził Jan. – W końcu ta stara wieża do niczego się nie nadawała. Ani nie pomogła przepowiedzieć ostatnich kryzysów, ani zapobiec rosnącej nierówności.

– Wielu ludziom to się nie spodoba – zauważyła Jeanne. – Klasyczni ekonomiści to niezwykle ortodoksyjne środowisko. Większość z nich wierzy w swoje święte pisma i słowo przodków jak kreacjoniści w Biblię.

– Ale czy to wystarczający powód, żeby zamordować Thompsona i Cantora? – spytał Jan.

– Dla ekonomistów nie – odpowiedział w zadumie Fitz. – Ale być może dla tych, którzy mają największe profity z panującego systemu. I których

modele można teraz, według Thompsona i Cantora, obalić matematycznie.

– Jeanne Dalli – odpowiedział młody mężczyzna za kontuarem recepcji po sprawdzeniu w komputerze. – Ona zarezerwowała stolik.

– Jest waszym gościem?

Pytające spojrzenie w kierunku Kreuzera. Kiwnięcie głową.

– Tak.

– Znajduje się w hotelu? Proszę sprawdzić, kiedy ostatni raz używała swojej karty.

Pytające spojrzenie w kierunku Kreuzera. Kiwnięcie głową.

– Przed kilkanaście minutami – oświadczył mężczyzna. – Trzykrotnie. Najpierw na górze posłużyła się kartą do apartamentu Teda Holdena, potem kartą do swojego pokoju, żeby z klatki schodowej dostać się do zamkniętej części z apartamentami VIP-owskimi.

– Zaraz, zaraz, to ona ma dwie karty?

– Tak – odparł recepcjonista po kolejnym kontrolnym spojrzeniu w stronę Kreuzera. – Jedna jest do naszego największego apartamentu na ostatnim piętrze. Główną kartę do niego ma pan Holden, ale jego współpracownicy otrzymali dodatkowe. Karta posiadana przez panią Dalli została użyta mniej więcej dwadzieścia minut temu do otwarcia tego apartamentu. Trzy minuty później karta do jej własnego pokoju otworzyła drzwi klatki schodowej prowadzącej do wydzielonej części z ekskluzywnymi apartamentami...

– Macie wydzieloną część z...

– ...z apartamentami, do której nie wszyscy mają dostęp – wyjaśnił Kreuzer. – Cieszy się powodzeniem na przykład wśród naszych arabskich gości przybywających z dużymi rodzinami. Na czas szczytu wynajął ją Ted Holden.

– ...a dwie minuty później otworzyła junior suite – dokończył recepcjonista.

– Ale dlaczego weszła przez klatkę schodową? – zainteresowała się Maja. – Winda nie działa?

– Działa, jak najbardziej – odparł Kreuzer.

– Numer pokoju – zażądała Maja. – Chcę zobaczyć tę kobietę, o ile jeszcze tam jest. Pójdzie pan ze mną! – poleciała menedżerowi. – Gdzie są kamery?

- Przy wejściach, w lobby, w windach – wyliczył udręczony Kreuzer.
- Proszę kazać swoim ludziom, aby sprawdzili nagrania z ostatniej półgodziny i ustalili, gdzie poszli tamci dwaj. Idziemy!

– To interesujący aspekt tej historii – wymamrotał Fitz po przeczytaniu kolejnego fragmentu. – W tym modelu w ogóle nie istnieją idiosynkrazje. *Ignorowanie prawdopodobieństwa, Irracjonalne postawy w przypadku awersji do straty, Hyperbolic Discounting...*

– Idiosynkrazje? – rzucił z irytacją Jan. – Ludzie, czy to nas w ogóle dokądkolwiek zaprowadzi?

– Uprzedzenie, irracjonalność – kontynuował Fitz. – Na przykład ignorowanie prawdopodobieństwa...

– Kto wymyśla takie określenia?

– Tak się mówi, kiedy prawdopodobieństwo wielkiej katastrofy jest absolutnie znikome, a mimo to ludzie poświęcają mu więcej uwagi niż znacznie częstszym drobnym nieszczęściom.

– Z żądy sensacji? – zasugerował nadal poirytowany Jan.

– Nie. Obiegowe wyjaśnienie jest takie, że ludzie źle oceniają prawdopodobieństwo, czyli nie są racjonalni – Fitz niewzruszenie tłumaczył dalej. – Jeżeli tak jak w zwykłym modelu decyzyjnym wyliczasz średnią układową, wówczas ryzyko śmierci jest tylko jednym z wielu ryzyk. Na przykład katastrofa samolotowa. Dlatego należałoby się nią zajmować mniej niż innymi zagrożeniami, które występują znacznie częściej, na co dzień, począwszy od oparzenia palca o kuchenną płytę, na utracie portfela w wyniku kradzieży skończywszy. Natomiast w przypadku średniej czasowej nie wolno ci zejść do zera. Przypomnij sobie naszą chłopkę. Jeśli nie ma nic, nie jest w stanie własnymi siłami się odbić i umiera z głodu. Dlatego mimo że ryzyko śmierci występuje rzadko, poświęcanie dużym ryzykom większej uwagi niż mniejszym jest całkiem naturalne i bynajmniej nie irracjonalne.

– Bo kiedy duże ryzyko się zrealizuje, już się nie podniosę – zrozumiał Jan. – Jeśli samolot runie na ziemię, zginę. A pęcherz po oparzeniu po paru dniach zniknie.

– Proszę – powiedziała Jeanne, wskazując wstęp do rozdziału.

„Jeśli stosujemy błędny model racjonalności, wówczas różne, w gruncie rzeczy racjonalne działania wydają się irracjonalne, stronicze lub emocjonalne”.

– To wszystko na pewno jest szalenie interesujące – powiedział Jan, nie kryjąc zniecierpliwienia.

Ciarki przechodziły mu po plecach na samą myśl o tym, że bandyci znaleźli ich w hotelu. Nawet jeśli na chwilę udało się im pozbyć tego balastu, to na pewno znów się zjawią, skoro zawsze się zjawiali. A skoro ustalili, gdzie on i Fitzroy się znajdują, to znaczy, że pokój Jeanne jest pułapką.

– Czy moglibyśmy w końcu skupić się na tym, co to wszystko ma wspólnego z zabójstwem? – naciskał.

Ale podekscytowany Fitz kartkował dalej. Zatrzymał się na stronie pełnej skomplikowanych wzorów i wykresów.

Przejrzał je.

– To jest to! – oznajmił. – Właśnie to Will chciał zilustrować swoją opowiastką o chłopach! – Przeczytał kilka zdań i wykrztusił: – Wreszcie rozumiem dlaczego... To jest... super!

– Policja jest w hotelu – poinformował swoich ludzi El. – Ta sama dwójka, którą widzieliśmy wczoraj wieczorem przed hotelem Peela.

Gdy Jacka zmuszono do opuszczenia lobby, Eldridge został w budynku sam. Jack zajął pozycję naprzeciwko Estate, pozostali zaś monitorowali resztę wyjść. Peel i Wutte nie pojawili się przy żadnym z nich, czyli wciąż musieli być w środku.

Policjantka w cywilu weszła do windy, podczas gdy jej kolega w mundurze czekał w lobby.

W słuchawce Ela odezwał się sygnał połączenia. Zleceniodawca.

– Zmiana zadania – oświadczył głos. – Niech pan zwoła swoich ludzi. Proszę czekać w samochodzie w garażu na dalsze dyspozycje.

W garażu?

– Zrozumiałem.

Koniec połączenia.

Jan zerkał na włosy Jeanne, na jej ucho, kość policzkową. Ona zaś gapiła się na strony pełne wzorów.

– Przykro mi, ale ja też tego nie rozumiem – powiedziała.

„Też? Tak jak on? Czy to miała na myśli?”

– To dlatego Will tak się interesował pracami Kelly’ego – oznajmił Fitz, nadal studiując wyliczenia i omiatając wzrokiem linijki tekstu. – One

stanowią czubek góry lodowej, której nie dostrzegali nieprzychylnie nastawieni ekonomiści w latach sześćdziesiątych – wyjaśniał ze swadą. – Will i Thompson opierali się przecież na pracach fizyków i matematyków London Mathematical Laboratory. Kelly to tylko jeden z wyrazicieli zasady ergodyczności, odwołującej się do prac słynnego austriackiego fizyka Ludwiga Boltzmanna z lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku oraz prac von Gibbsa i Maxwella.

– Teraz wychodzi z niego fizyk – szepnęła Jeanne.

Zapamiętanie Fitz'a nieoczekiwanie zafascynowało Jana do tego stopnia, że niemal zapomniał o strachu.

– Ergodyczność? – rzucił. – Czy nie chodziło o różne średnie przy grze w rzucanie monetą?

– Tak, masz rację. – Zaskoczony Fitzroy podniósł wzrok na Jana. – Dobrze zapamiętałeś. Albo nieergodyczność. Ta zasada nie tylko pomaga, jak u Kelly'ego, optymalizować zakłady – wymamrotał, znowu wczytując się w maszynopis – ale prowadzi do całkowicie nowej teorii gospodarczej. Londyńczycy też napisali coś na ten temat, a Thompson i Will się na tym oparli. „Ewolucyjna przewaga współpracy”. Zaraz wam to wyjaśnię za pomocą przypowieści o chłopach.

Komórką zrobił zdjęcia stron maszynopisu, a następnie sięgnął po blok do notowania leżący na biurku.

– To, co oni tutaj serwują, to jest *matematyczny dowód* fundamentalnej zasady. Zasady, której istnienie wielu ludzi od tysięcy lat zakładało, ba, intuicyjnie *wiedziało*, że ona istnieje, ale której nie potwierdzał dotychczas żaden matematyczny dowód. To przewaga kooperacji nad brakiem kooperacji albo nad konkurencją, rywalizacją, nazywaj to sobie, jak chcesz. Sięgając po tę bajkę o chłopach, Will chciał wytłumaczyć sens owej prawidłowości również laikom.

Peel wyjął swoje wcześniejsze rysunki i rozłożył je na biurku.

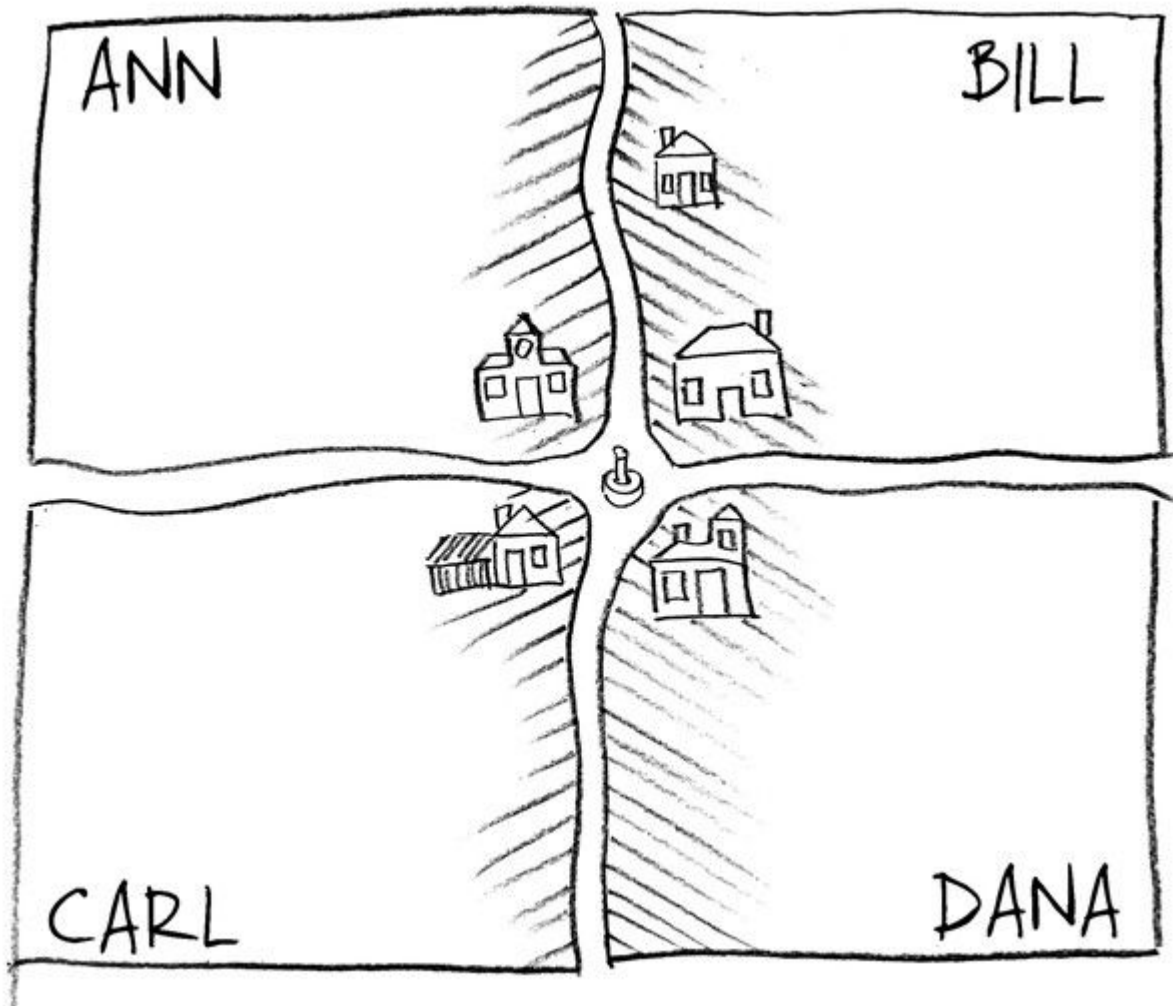
– Fitz – przerwał mu Jan.

– Fitzroy.

– ...może... zostawmy to na potem?

– Dlaczego? – spytał Fitz ze spokojem. – Przecież tu jesteśmy bezpieczni. Kto by się nas spodziewał w pokoju Jeanne Dalli? – Oparł palec na rysunku. – To w tym momencie bardzo ważne. Przynajmniej dla mnie.

– Fitzroy wzbudził moją ciekawość – poparła go Jeanne. – Też chciałabym się dowiedzieć, o co w tym chodzi.



– No więc: mamy Ann, Carla, Billa i Danę – przystąpił do wyjaśniania Fitz. – Wszyscy zaczęli od jednego kłosa. W pierwszym roku Ann i Carl w zachodniej części wsi otrzymują z jednego kłosa dwa. A we wschodniej części Bill i Dana pomnażają jeden kłos do czterech.

ROK	ANN	CARL	DANA	BILL
	0	0	0	0
1	x2	x2	x4	x4
	00	00	0000	0000

– Czyli razem Carl i Dana wyprodukowali sześć kłosów. Gdyby je połączyli i podzielili po równo między siebie...

– Czy oni są komunistami? – spytała Jeanne.

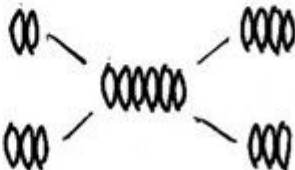
– Nie – odparł Fitz – cierpliwości.

– To jest klasyczna redystrybucja – upierała się Jeanne. – Zabierasz coś bogatszej Danie i dajesz biedniejszemu Carlowi. To miło z twojej strony, bardzo solidarnie, przynajmniej z punktu widzenia Carla, ale dlaczego Dana miałaby w to wchodzić? Z miłości bliźniego?

– Ponieważ jest sprytna i nawet sama o to zabiega. Ponieważ wie, że w dalszej perspektywie i ona, i on odniosą z tego korzyści. W ten sposób oboje zmniejszają ryzyko, że w razie nieurodzajnego roku zyskają mniej, a zwiększają szansę na lepsze plony w roku urodzajnym. Z matematycznego punktu widzenia obniżają swoją fluktuację, co sprzyja wzrostowi. Tylko popatrz! – Fitz zwrócił się do Jeanne. – Chłopi, którzy kooperują... to brzmi prawie jak idee Friedricha Raiffeisena. Chociaż przesłanki są zupełnie inne...

– A to znowu co za jeden? – spytał Jan.

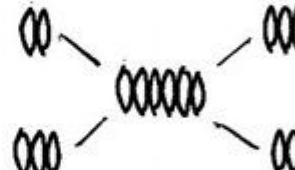

– Czego wy się uczycie w szkole? – zdziwił się Peel. – Nieważne. Idźmy dalej. Tak więc dodajemy dwa kłosa Carla i cztery kłosa Dany z pierwszego roku, co daje w sumie sześć, a po równym podziale każde z nich ma po trzy.

ROK	ANN	CARL	DANA	BILL
	0	0	0	0
1	x2	x2	x4	x4
	00		0000	0000

- W kolejnym roku na polach Ann i Carla w zachodniej części wsi plony są trzy razy większe. I tak Ann ze swoich dwóch kłosów otrzymuje sześć, ale Carl, mając przecież lepszy punkt wyjścia, bo dysponując trzema kłosami, potraja ich liczbę do dziewięciu!

Fitz przyłożył długopis do kartki.

- Czyli mógł wyprodukować więcej niż Ann, która nie weszła w kooperację.

ROK	ANN	CARL	DANA	BILL
	0	0	0	0
1	x2	x2	x4	x4
	00		0000	0000
2	x3	x3		
	000000			

Rysował dalej.

– Natomiast na wschodzie Bill i Dana mają zły rok. Mogą zebrać z pola tylko tyle, ile wysiali. W ich przypadku czynnik wzrostu wynosi jeden.

ROK	ANN	CARL	DANA	BILL
0	0	0	0	0
1	x2 00	x2 00	x4 0000	x4 0000
2	x3 00000	x3 00000	x1 000	x1 000

– Cztery kłosa Billa dadzą znowu cztery. Trzy kłosa Dany dadzą znowu trzy.

– Poczekaj, poczekaj! – zawołał Jan. – Nie tak szybko. Muszę się temu spokojnie przyjrzeć.

Powoli powiódł wzrokiem po szkicu, jeszcze raz obliczył wszystko po kolei, zaczynając od kłosów z pierwszego roku, sumując je i dzieląc w drugim roku.

– Faktycznie! – stwierdził. – Carl i Dana dochodzą razem do dwunastu kłosów! A Ann i Bill mają w drugim roku w sumie tylko dziesięć!

– Ale Dana ma teraz zaledwie trzy kłosa – zwróciła uwagę Jeanne. – A mogłaby mieć cztery.

– Nie szkodzi. Bo przecież ona i Carl znowu połączą swoje plony i równo je podzielą. Pardon, redystrybuują – powiedział Fitz, spoglądając ironicznie na Jeanne. – I wtedy oboje będą mieli po sześć kłosów.

Dorysował je na kartce.

ROK	ANN	CARL	DANA	BILL
	0	0	0	0
1	x2	x2	x4	x4
	00	00	0000	0000
		0000	0000	
2	x3	x3	x1	x1
	00000	00000	0000	0000
		00000	00000	
		00000	00000	

– Czyli Dana ma więcej niż trzy, które miała wcześniej, i więcej niż cztery, które w tym samym czasie wyprodukował Bill.

Jan starał się nadażyć. Wpatrywał się uważnie w rysunki, liczył wszystko po swojemu. Niesamowite!

Wyglądało na to, że Jeanne też była zaskoczona.

– To jest... Liczmy dalej! – rzuciła podekscytowana.

Fitz rysował teraz równie szybko, jak poprzedniego wieczoru w barze podsumowywał i zapisywał punkty.

– Trzeba zsumować coroczne plony i równo je podzielić – mamrotał pod nosem.

ROK	ANN	CARL	DANA	BILL
0	0	0	0	0
1	x2 00	x2 00	x4 0000	x4 0000
2	x3 0000	x3 0000	x1 0000	x1 0000
3	x1 0000	x1 0000	x2 0000	x2 0000
4	x2 0000	x2 0000	x2 0000	x2 0000

– W trzecim roku zarówno Carl, jak i Dana mają po dziewięć kłósów – kontynuowała Jeanne. – Czyli więcej niż sześć Ann i osiem Billa w tym samym roku.

– Po czterech latach Carl i Dana uzyskują po osiemnaście kłósów, o których Will mówi na początku swojej historyjki – powiedział Fitz, kończąc wyliczanie. – Ni mniej, ni więcej!

Wszyscy wpatrywali się w kartkę.

– Fascynujące – stwierdziła Jeanne. – Nie podnosząc swojej indywidualnej rocznej stopy wzrostu, dzięki kooperacji mimo wszystko zwiększają ogólny wzrost. I dzięki temu osiągają więcej niż Ann i Bill.

– Super – wtrącił Jan. – I co dalej?

– To musi się najpierw ugruntować ze wszystkimi konsekwencjami – powiedziała cicho Jeanne. – Według klasycznej ekonomii powszechny wzrost i przyrost dobrobytu są możliwe wtedy, gdy każdy jeszcze bardziej potęguje swoje wysiłki. Albo gdy nowe technologie zwiększają produktywność. Albo gdy następuje przyrost ludności. Czy akumulacja kapitału.

Jan z niecierpliwością machnął ręką. W gruncie rzeczy wcale nie chciał tego wiedzieć.

– Opowiastka o chłopach pokazuje, że ogólny wzrost może być większy również przy *jednakowym* wysiłku, bez wsparcia nowych technologii i innych klasycznych czynników, pod warunkiem że lepiej dystrybuujemy zasoby i zyski.

– Albo musimy mniej pracować, aby uzyskać to samo, jak robili to Ann i Bill – powiedział Fitz.

– Ekonomiści od zawsze dostrzegali związek między podziałem dobrobytu a wzrostem. To jest matematyka potwierdzająca tę tezę – wtrąciła Jeanne.

I zamilkła. Milczał też Fitz. Milczał Jan. Liczył.

– Teraz rozumiem, dlaczego ktoś chciał zamordować Willa i Thompsona – szepnęła po chwili Jeanne. – To zmienia wszystko!

Maja z niecierpliwością wpatrywała się w panel ze zmieniającymi się numerami pięter. Jedna z ekspresowych wind przeznaczonych wyłącznie dla mieszkańców apartamentów dla VIP-ów zmierzała do nich na dół. Wydawało się, że trwa to całą wieczność. Jörn czekał w lobby przy pozostałych windach, na wypadek gdyby pojawili się tam Jeanne Dalli, Jan Wutte czy Fitzroy Peel. Albo gdyby ochrona odkryła coś na nagraniach z kamer monitoringu.

– Kim jest ten Ted Holden? – spytała cicho menedżera.

– To amerykański inwestor – odpowiedział jej jeszcze ciszej. – Miliarder, nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat.

– A Jeanne Dalli?

– Należy do jego zespołu. Wynajęli apartament prezydencki na samej górze, a oprócz tego jednaście apartamentów typu junior suite oraz pokoje.

Czyli w luksusowych hotelach wynajmuje się całe luksusowe piętra. Maja miała niesamowitą frajdę, że trochę im namiesza. Może dobrze, że Köstritz przydzielił jej Jörna jako anioła stróża.

W końcu kabina dotarła na parter.

– Co to zmienia? – spytał Jan.

– Od czego by tu zacząć? – zastanowiła się Jeanne. – Po prostu wszystko. To burzy podwaliny kluczowych koncepcji naszego nowoczesnego społeczeństwa! To rewolucja!

Jan nie podejrzewał tej kobiety o zdolność do takiego patosu.

– To jest przede wszystkim matematyczny dowód na przewagę współpracy nad brakiem współpracy czy konkurencją – powtórzył chłodno Fitz.

– Do tej pory go nie było? – spytał naiwnie Jan.

– Czy wtedy słyszelibyśmy bez przerwy, że konkurencja to najlepsza droga prowadząca do wzrostu i dobrobytu?

– Przecież mówi się, że całość to coś więcej niż tylko suma części – odpowiedział Wutte.

– To frazes, nic ponadto – mruknął Fitz i stuknąwszy palcem w maszynopis, dodał: – A tutaj mamy dowód matematyczny.

– Aha.

– Społeczeństwa zachodniej demokracji opierają się na koncepcji Ann i Billa – wyjaśniła Jeanne. Wydawała się teraz równie zaangażowana jak Fitz. Wszystko poza tym tematem przestało dla niej istnieć. – Każdy troszczy się o siebie tak, jak tylko jest w stanie. Jedynie wtedy, gdy ktoś tego nie potrafi, pomagają mu inni. Albo nie. Do współpracy dochodzi wyłącznie wówczas, gdy coś wspólnie się tworzy. Ale i to nie zawsze. Jeśli sama nie daję rady, pomagają mi rodzina lub przyjaciele. A jeżeli oni nie potrafią czegoś rozwiązać, wchodzi gmina; jeśli przekracza to możliwości gminy, do koordynacji przystępuje kraj związkowy, a jeżeli kraje związkowe nie mogą sprostać zadaniu, robi to państwo. W Europie jest jeszcze ponad tymi strukturami Unia Europejska, a globalnie ONZ. Albo nie. I to się nazywa zasada subsydiarności.

– Wy i te wasze wyrazy obce – prychnął Jan. – I to jeszcze w angielskim sosie.

– Taką zasadę przyjęliśmy jako podstawę naszego systemu społecznego – kontynuowała Jeanne. – Określa ona, co jako społeczeństwo mamy robić i jak mamy to robić.

– Mówiąc krótko: każdy dla siebie, chyba że... – podsumował Fitz.

Jeanne wskazała na szkice.

– A formuła opracowana przez londyńczyków, a także ten przykład pokazują, że sensowniej by było przyjąć za punkt wyjścia przeciwieństwo tej zasady: wszyscy wspólnie, chyba że...

– Chyba że co?

– To właśnie opisują Thompson i Cantor. – Fitz gorączkowo kartkował maszynopis. – To dosyć oczywiste: chyba że ktoś nie chce współpracować. Współpraca jest dobrowolna. Chyba że ktoś chce pozostałych nabić w butelkę i wzbogacić się ich kosztem. Albo mniej współuczestniczy, na przykład „optymalizując” podatki czy uchylając się od ich płacenia. Lub stwarza korzystne modele podatkowe dla niektórych.

– Dla bogatych – dopowiedział Jan.

Wszyscy troje przyglądali się w zadumie rysunkom Fitz'a.

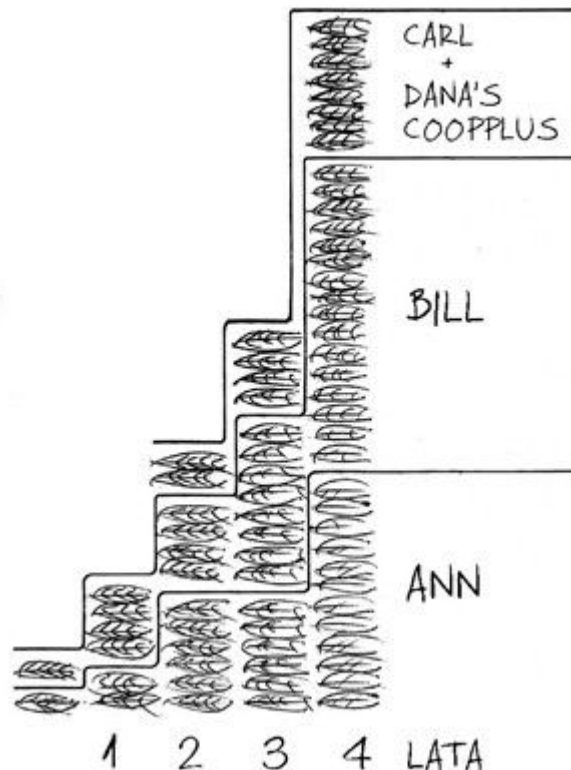
– Dominujący paradygmat ekonomiczny równowagi w gospodarce, ekwilibrium, nagle wygląda w tym kontekście przestarzałe – doszła do wniosku Jeanne.

– Dzisiejszej nocy mieliśmy na ten temat dyskusję – przypomniał sobie Jan. Chyba nawet on zaraził się entuzjazmem Jeanne. – Nie można nikomu nic dać, nie zabierając czegoś komuś innemu.

– W uproszczeniu tak. Ale tutaj mamy do czynienia z dowodem na coś przeciwnego – odpowiedziała Jeanne. – Łączenie i dzielenie daje na koniec więcej dla wszystkich niż egoistyczne działanie Ann i Billa. Mamy tu do czynienia nie z dążeniem do równowagi, ale z trwałą dynamiką.

– Zmiana paradygmatu – przypomniał sobie Jan. – To było w notatkach Willa. Rysunek obrazów świata, przejście od Ziemi w centrum Układu do Słońca jako punktu centralnego.

– Właśnie to miał na myśli Will. Te prace oznaczają zmianę paradygmatu w odniesieniu do obrazu człowieka i społeczeństwa – powiedziała Jeanne, a Fitz w tym czasie błyskawicznie narysował szkic jeszcze wyraźniej ilustrujący zysk Carla i Dany wynikający ze współpracy.



– A najpiękniejsze jest to – wtrącił Fitzroy – że Carl i Dana dla osiągnięcia lepszego rezultatu nie muszą wcale dużo więcej pracować!

– Dużo więcej? – zdziwił się Jan. – Ani trochę więcej.

– Odrobinę – poprawił go Fitz. – Bo muszą koordynować proces podziału. I zapewnić sobie współpracę długoterminową.

– Powstają koszty transakcyjne – wyjaśniła Jeanne. – Zwłaszcza przy współpracy więcej niż czworga rolników, w złożonych społecznościach, w państwach, w globalnej gospodarce.

– W tym celu ludzie stworzyli instytucje i funkcje – dodał Fitz – które powinny się zajmować dystrybucją. Rynki, polityka, menedżerowie w firmach.

– Ale te instytucje chyba jednak nie najlepiej działają – zauważył Jan. – Bo tak się składa, że to właśnie ci „rozdzielacze”, czyli banki, handlowcy, menedżerowie, zawsze mają większość ziaren, podczas gdy tak naprawdę powinny one trafiać do chłopów, którzy mogliby wyprodukować z nich nowe ziarna.

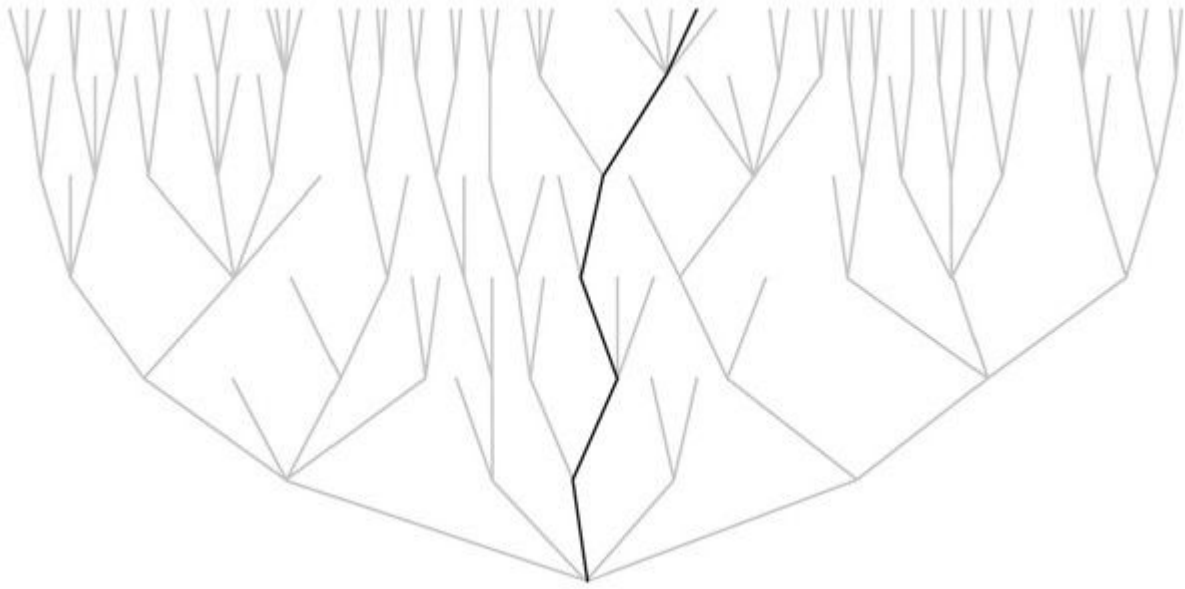
– Tu masz rację... – odpowiedział z krzywym uśmiechem Fitz. – To jednak nie podważa zasadniczej przewagi zasady współpracy. Należałoby ją tylko inaczej zorganizować niż obec...

Z przerażeniem odwrócił się w stronę drzwi, do których właśnie ktoś zapukał.

Janowi serce podeszło do gardła. Ale przecież bandyci nie pukaliby, tylko...

– Jeanne Dalli? – Na korytarzu odezwał się kobiecy głos. – Policja! Chcielibyśmy zamienić z panią kilka słów. *Can we talk to you for a moment, please?*

Decyzja szósta



„Pod pewnymi warunkami zasada dopuszcza, aby nawet małe jednostki niszczyły złożone struktury”

Will Cantor

Maja zapukała jeszcze raz.

– Pani Dalli? Jest tam pani? – powtórzyła po angielsku.

– *Hold on a sec!* – odpowiedział kobiecie głos ze środka.

Rozległ się stukot wysokich obcasów.

Drzwi otworzyła fotomodelka w wieku dwudziestu ośmiu, dwudziestu dziewięciu lat. Ubrana w elegancki kostium. Delikatna woń drogich perfum owionęła Maję.

– Policja? – spytała Dalli po angielsku z cieniem irytacji. – Czym mogę państwu służyć?

– Ogromnie panią przepraszam – zaczął menedżer – ale ci państwo z policji...

– Otrzymaliśmy informację, że niedawno spotkała się pani w lobby z dwoma mężczyznami, których poszukujemy – przerwała mu Maja. – Chodzi o Fitzroya Peela i Jana Wuttego.

– Ja... ach tak... – odpowiedziała zaskoczona. – Czemu ich szukacie?

– Chcielibyśmy spytać, dlaczego pani się z nimi spotkała i czy wie pani, gdzie oni teraz się znajdują.

– Rozumiem... proszę wejść – rzekła Dalli, odsuwając się na bok. Pewna siebie, swobodna. Coś w jej sposobie bycia mówiło Mai, że ta kobieta jest z twardszego materiału, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka po jej atrakcyjnym wyglądzie.

Junior suite, podzielony na część sypialną i dzienną, był niemal tak duży jak całe mieszkanie Mai. Na łóżku leżały rozłożone dwie bluzki i blezer, szafa z ubraniami była otwarta. Poza tym w pokoju panował nieskazitelny porządek, jakby nikt z niego nie korzystał. Za przeszkloną ścianą rozciągał się rozległy hotelowy ogród.

– Spieszę się na szczyt – powiedziała Dalli. – Czy mogę zaproponować państwu coś do picia?

– Dziękuję – odrzekła Maja. – Zaraz wychodzimy.

Z tą kobietą nie musiała bawić się w kotka i myszkę.

– Peel i Wutte – odezwała się Dalli. – Rzeczywiście piłam z nimi kawę w lobby. Peel skontaktował się ze mną dzisiaj rano, ponieważ chciał porozmawiać o wspólnym znajomym.

– O co konkretnie chodziło?

– O rozmowy, które odbyłam z tym starym znajomym. Przed kilkoma miesiącami. Na tematy zawodowe. – Machnęła lekceważąco ręką. – Nic interesującego. Finanse i gospodarka. – Zerknęła na swój drogi zegarek.

Maja nie dała się wyprowadzić z równowagi.

– Finanse i gospodarka – powtórzyła. – Ciekawe. A czy nie rozmawiała pani przypadkiem o Herbercie Thompsonie?

Chyba ją zaskoczyła. Czy jednak nie?

– O tym nobliście? Który być może zginął dzisiejszej nocy?

– Być może?

– A policja potwierdziła już oficjalnie jego śmierć?

– Nie.

– Dlaczego mielibyśmy o nim rozmawiać?

– Tylko pytałam.

Znowu zerknięcie na zegarek.

– A co łączyło Wuttego ze wspólnym znajomym pani i Peela? – rzuciła Maja.

Coś jej w tej kobiecie przeszkadzało. Wydawała się zbyt gładka. Zbyt profesjonalna. Zbyt przygotowana. Ale może to wymóg w zespole asystentów multimiliardera.

– Nie pytałam o to. Jeśli dobrze pamiętam, on w ogóle się nie odzywał. Może tylko towarzyszył Peelowi?

– A kim jest ten wspólny znajomy?

– To Will Cantor.

To do jego pokoju włamali się poprzedniego wieczoru Peel i Wutte. Jeśli chcesz kogoś okłamać, trzymaj się jak najbliżej prawdy. Maja znała tę zasadę. Być może Jeanne Dalli również.

– Will Cantor także jest albo był w Berlinie – wtrąciła. – Wiedziała pani o tym?

– Dopiero Peel mi o tym powiedział. Nie widziałam Willa od miesiący.

– Czy orientuje się pani, gdzie ci dwaj mogą teraz być?

– Nie mam pojęcia. Opuściłam lobby przed nimi. Dlaczego ich szukacie?

Trzeba wstrząsnąć tą kobietą.

– Z powodu zabójstwa.

A jednak coś drgnęło w jej twarzy.

– Zabójstwa?! Na kim?

Maja postanowiła spróbować.

– Chodzi o zabójstwo Herberta Thompsona.
– Myślałam, że to był wypadek!
– Tak podają media – rzekła Maja.
– Ale przecież gdyby oni mieli z tym coś wspólnego, to nie przyszliby w biały dzień do najdroższego hotelu w samym centrum miasta.

Na wszystko znajdowała odpowiedź. Na razie nie dało się z niej nic wyciągnąć. Maja podała jej wizytówkę.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani czas. Gdyby coś się pani przypomniało albo gdyby się pani czegoś dowiedziała czy też gdyby tamci dwaj odezwali się do pani znowu, proszę do mnie zadzwonić.

– Drugi raz nie namówicie mnie na coś takiego! – syknęła Jeanne, odczekawszy dwie minuty z uchem przyłożonym do drzwi prowadzących na korytarz.

Jan i Fitz stali w wejściu do łazienki, Anglik z plikiem kartek pod pachą.

– Dziękuję – powtórzył.

– Powinnam była przekazać jej i was, i te papiery i wszystko opowiedzieć.

– A co by to dało? – odparł Fitzroy. – Nic! Możemy jedynie twierdzić, że one pochodzą z sejfu Teda Holdena, ale dowodów na to nie mamy. Podobnie jak na to, że były tam notatki Willa. A to jest jedyne powiązanie.

– Potencjalne powiązanie – skorygowała Jeanne. – Mam dość. Naprawdę powinienam już iść. A wcześniej muszę odnieść kopertę do sejfu Teda. Inaczej nabierze podejrzeń.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale.

Zabrała Fitzowi plik spod pachy, jego rysunki odłożyła na bok, a resztę wsunęła do koperty.

– Już dawno powinienam być na szczycie – rzuciła. – Ted pewnie się zdziwi.

– Tak czy inaczej się zdziwi, kiedy ta praca ujrzy światło dzienne – rzekł Fitz.

– Wychodzę – oświadczyła Jeanne, wyciągając otwartą dłoń w kierunku Anglika. – Proszę o kartę.

Podał jej.

– Na wypadek, gdyby ktoś jeszcze czaił się na zewnątrz, zostańcie tu z dziesięć minut po moim wyjściu, a potem się wynieście.

Nareszcie! Jan nie mógł się już doczekać, kiedy się stąd wydostanie.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – rzucił Fitz, gdy Jeanne ruszyła do drzwi.

Nie odwracając się ani nie zatrzymując, wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

– Nie mam pojęcia.

Maja i Jörn weszli z menedżerem do pomieszczenia za recepcją. Za ciągiem monitorów siedzieli dwaj mężczyźni i wpatrywali się w dwadzieścia ekranów umieszczonych w dwóch wygiętych w łuk rzędach – po dziesięć w dolnym i górnym.

– Znaleźliście coś? – spytał Kreuzer.

– Są tutaj – powiedział młodszy, wskazując monitor przed sobą. – W lobby, siedzą z panią Dalli przy stoliku.

Przewinął nagranie na podglądzie, trzy sfilmowane osoby nerwowo poruszały się na ekranie – zawołały kelnera, rozmawiały, Peel i Wutte pożegnali się z Jeanne Dalli, zostali na miejscu, zapłacili, zamienili parę zdań z kelnerem i wstali.

– Idą w głąb lobby – wyjaśnił pracownik ochrony, pokazując odpowiednie ujęcia – i znikają na klatce schodowej.

– Cholera jasna! – zaklęła Maja. – Nie macie tam kamer?

– Nie.

– A w korytarzu przed pokojem Jeanne Dalli?

– Tylko w zwykłych windach. Dalej to już sfera prywatna naszych gości.

– Ale w części dla VIP-ów sfera prywatna obejmuje także windy – uzupełnił Kreuzer.

– Macie osobne windy do apartamentów? – spytał z niedowierzaniem Jörn.

– Tylko w części dla VIP-ów – wyjaśnił z dumą Kreuzer.

– Musimy jeszcze raz dostać się do pokoju Dalli – oznajmiła Maja. – I do apartamentu Teda Holdena.

– Dlaczego akurat tam? – spytał zszokowany Kreuzer.

– Bo była w nim Dalli. Możliwe, że Wutte i Peel wciąż tam są.

– Powinniśmy się zachowywać dyskretnie – przypomniał jej Jörn.

– Tak dyskretnie jak ty wczoraj w squacie? Szybciej, idziemy! – zwróciła się Maja do Kreuzera.

– Przecież ja nie mogę wpuścić was tak po prostu do naszych apartamentów! – zaprotestował menedżer.

– A potencjalnych zabójców pan może? – rzuciła ostro Maja.

– Chcecie zobaczyć też tego drugiego? – wtrącił jeden z mężczyzn sprzed monitorów.

„O czym on mówi?”.

– Jakiego drugiego? – spytała szorstko Maja.

Jeanne położyła kopertę w sejfie dokładnie w tym samym miejscu, z którego ją wzięła. Wciąż nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. W jaki sposób maszynopis Thompsona i Willa znalazł się w posiadaniu Teda? Thompson był jego długoletnim doradcą, być może niektórzy nazwaliby go nawet przyjacielem. Dlaczego miałby nie dać tych materiałów Tedowi? Jeanne łamała sobie też głowę nad tą jedną zabazgraną i pomiętą kartką, której odcisniętą kopię Fitzroy i Jan znaleźli podobno w pokoju hotelowym Willa. Anglik zadał całkiem uzasadnione pytanie: jak ta kartka trafiła w ręce Teda, i do tego razem z notatkami do przemówienia i manuskryptem autorstwa dwóch mężczyzn, którzy poprzedniego wieczoru stracili życie – jeśli wierzyć Fitzroyowi i Janowi – w wyniku zabójstwa?

Jednak na poparcie tej wersji wydarzeń obaj mieli równie mało dowodów jak na pozostałą część historii. Inne wyjaśnienia były wcale nie mniej prawdopodobne.

Zapisana ręcznie kartka to jedyny nowy element. Fitzroy znalazł w maszynopisie miejsce, do którego przypuszczalnie odnosiła się owa obrazowa przypowieść o chłopach. Autorzy obu tekstów mogli mieć ze sobą coś wspólnego. Może ten świstek rzeczywiście pochodził od Willa. Tylko skąd wiadomo, w jaki sposób zdobyli ją Fitzroy i Jan? Will był starym znajomym Fitzroya. Być może nie tylko zamierzali się spotkać, ale faktycznie się spotkali. Może Peel odwiedził Willa w jego pokoju i przypadkiem odkrył kartkę. Uzmysłował sobie znaczenie koncepcji i zaczął sam szukać oryginału? A potem wymyślił historyjkę o bandytach i uwikłaniu Teda w zabójstwo, żeby dotrzeć do materiałów? Naprawdę nie miała pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. Nie mogąc się uwolnić od gonitwy myśli, podeszła szybkim krokiem do ekspresowej windy. Gdy w zadumie nacisnęła guzik, drzwi kabiny rozsunęły się bezszelestnie.

– Hej, Jeanne – powiedział miękko mężczyzna stojący w środku.

Jeanne poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

– Co ty tutaj robisz?

Przyłożył palec do ust.

„Pssst. Nic nie mów”.

– I co teraz? – spytał Jan. – Co robimy?

Fitz przyglądał się swoim rysunkom.

– Poczekamy jeszcze parę minut, tak jak radziła Jeanne – odpowiedział i skupił się znowu na papierach.

– Ten przykład przeczy też osławionej wypowiedzi naszej równie osławionej byłej premier Margaret Thatcher – odezwał się Fitzroy po chwili. – *There is no such thing as society*. Coś takiego jak społeczeństwo nie istnieje.

– W każdym razie jeśli dalej będziesz się tak zachowywał, na pewno uwolnisz się od mojego towarzystwa – burknął Jan. – Chcę się w końcu stąd wynieść. Te szpargały w ogóle mnie nie obchodzą!

– A powinny – odpowiedział Fitz dosyć nieuważnie, znowu sięgając po ołówkę. – O rany, ona zupełnie nie miała racji!

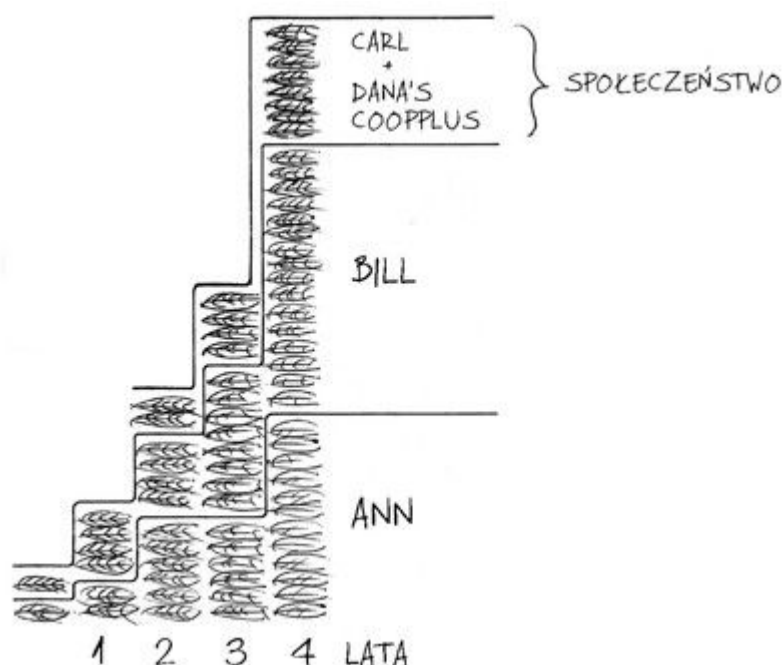
„Nie wierzę!”, pomyślał Jan i uznał, że jeśli ten dziwny Angol chce tkwić w swoim komicznym świecie matmy, to proszę bardzo, ale on musi wracać do rzeczywistości. Powiódł wzrokiem po pokoju. Na kanapie leżała komórka.

– Jeanne zapomniała telefonu – rzucił.

Fitz nie odpowiedział; narysował kłamrę obok *Carl + Dana's Coop Plus* i napisał dwa słowa:

Society. Społeczeństwo.

– Ono jest tutaj! Społeczeństwo! Dodatkowy dobrobyt, który powstaje przez współpracę. Który jest możliwy wyłącznie dzięki kooperacji! Dzięki społeczeństwu.



– No to może my dwaj też powinniśmy zacząć współpracować! – prychnął Jan. – Co dalej? Co robimy?

– Przecież współpracujemy od wczorajszego wieczoru – odezwał się Fitz – i to moim zdaniem całkiem nieźle. Tylko spójrz, co wymyśliliśmy!

– Ty masz jednak nierówno pod sufitem! Czy ciebie nie obchodzi już nic innego poza tymi formułkami? Przecież przed chwilą znowu szukała nas policja z powodu zabójstwa! I...

– Wyluzuj! Tamta policjantka chciała tylko sprowokować Jeanne. A to... to jest wielka rzecz! – Sfotografował rysunki i zaczął wystukiwać coś w komórce. – Wyślę to wszystko Nidzie i Kim. Dla nich to też będzie interesujące.

„Podejrzewam, że to raczej ty interesujesz się Nidą”.

– To jest dopiero paradoks! – Peel ożywił się jeszcze bardziej. – Współczesna ekonomia wychodzi od obrazu człowieka jako egoistycznego pomnażacza maksymalnych korzyści, homo oeconomicus. To...

– Fitz!

– Fitzroy... To oznacza: człowiek robi wszystko, aby zwiększać swoje indywidualne korzyści. Kapitalizm jest napędzany interesem własnym, chciwością.

– Mnie nie napędza chciwość, tylko jestem ogromnie zainteresowany tym, żeby nie dać się zapuszkować glinom! – krzyknął Jan.

– Czyli chciwość wolności – podsumował Fitz.

– A co z bandziorami? Myślisz, że oni będą siedzieć bezczynnie i kręcić młynka palcami?

– Tutaj jesteśmy bezpieczni, kto by nas tu szukał! – odpowiedział Fitz i znowu wpatrzył się w swoje rysunki. – W przykładzie Willa chciwość kieruje Ann i Billem. Każde z nich myśli jedynie o sobie. Ale ludzie nie są tacy. A przynajmniej nie tylko tacy. Ludzie są też altruistyczni, bezinteresowni, empatyczni, pomagają innym...

– Dokładnie jak nasi ubrani na czarno przyjaciele – zadrwił Jan.

– Przypowieść o chłopach pokazuje nam, że kierując się chciwością, należy łączyć i dzielić! – wykrzyknął Fitz. – Chciwość jest dobra! – recytował. – Chciwość jest słuszna! Pamiętasz? Kultowy film lat osiemdziesiątych, *Wall Street*.

– Stary! – zachichotał Jan. – Wtedy nie było mnie jeszcze na świecie.

– Gordon Gecko raczej nie tak to sobie wyobrażał! – Fitz parsknął śmiechem i zaczął zbierać kartki. – Kto chce osiągnąć więcej w długiej perspektywie, nie powinien próbować oszukiwać innych ani zabierać im, ile się da! Kto jest chciwy w prawidłowy sposób, musi innym coś dać! Solidarność, altruizm czy pomyślność to nie są romantyczne idee. Całkowicie pozbawiona sentymentów, racjonalna matematyka dowodzi, że w dalszej perspektywie są lepszym dealem dla wszystkich!

– Zrobiłbyś najlepszy deal, gdybyś dał się przekonać, że trzeba stąd spadać.

– Proszę założyć ręce za głowę i się nie ruszać!

W Janie cała wezbrana złość eksplodowała jak lawa.

W połowie odległości między drzwiami a nimi stał wysoki, atletyczny mężczyzna w ciemnym garniturze i krawacie, z krótko przystrzyżonymi włosami, o ostrych rysach i z niemal niewidoczną słuchawką w uchu. W prawej ręce miał pistolet. W którego lufę spoglądał Jan. W drugiej ręce trzymał na mniej więcej tej samej wysokości telefon komórkowy. Stanowił cywilizowaną wersję osobników, przed którymi Jan i Fitz uciekali od wczorajszego wieczoru. Za nim dwaj inni w podobnym stylu.

„Kurwa!”.

„Kurwa, kurwa, kurwa!!!”.

Fitz upuścił telefon i założył ręce za głowę.

Jan zrobił to samo.

Do środka weszli jeszcze dwaj uzbrojeni faceci w garniturach. Otoczyli ich.

– Tylko nie próbujcie żadnych głupstw – ostrzegł dowódca. – Założymy wam kajdanki i prześlemy policji.

Dwóch chwyciło Jana za nadgarstki i zręcznie wykręciło mu ręce za plecy.

„Przynajmniej to nie tamte bandziory”.

– Ale z jakiego powodu? – spytał Fitz. – Nic nie zrobiliśmy!

– Masz okazję wytłumaczyć mi swoją teorię kooperacji – zadrwił Jan.

– Może go przekona, żeby był dla nas miłszy. – A ciszej syknął: – Dlaczego mnie nie słuchałeś? Już dawno nie powinno nas tu być. Masz swoje bezpieczeństwo!

Poczuł na nadgarstkach wąską obręcz, która po ściągnięciu wpiła mu się w skórę.

– Zostawcie mnie! – krzyknął. – Pomo... – Nie zdążył dokończyć, tylko przeciągle zawył, gdy jeden z facetów chwycił go za krocze i ścisnął tak mocno, że ostry ból przeszył podbrzusze i brzuch i sięgnął aż do gardła.

Niewiele brakowało, by Jan zwymiotował. Po powtórным ściśnięciu jego ciało przeniknęła druga fala bólu.

– Żadnych. Głupstw – powtórzył padalec.

Jan potulnie skinął głową, zgięty w pół, głowa o mało mu nie pękła.

Założyli mu na ręce drugą obręcz.

– Opaski zaciskowe – powiedział ich dowódca. – Dobrze trzymają.

Fitza potraktowali podobnie. Oprócz tego zabrali mu komórkę.

– Należymy do ochrony osobistej pana Holdena i przyłapaliśmy was na włamaniu. Zatrzymamy was do chwili wydania policji. Idziemy!

– My się wcale nie włą...

– A gdzie jest karta, którą otworzyliście drzwi?

– Ona... – zaczął Jan.

„Niech to szlag!”. Kartę zabrała Jeanne. Ból wciąż jeszcze ścisnął mu podbrzusze.

Mężczyźni popchnęli ich do wyjścia. Tam czekało jeszcze dwóch.

– I bardzo dobrze! – odezwał się Fitz. – Policja będzie miała całkiem sporo do ustalenia. Na przykład jak to się stało, że notatki do przemówienia Herberta Thompsona i maszynopis z dosyć interesującymi nowymi koncepcjami z zakresu ekonomii i polityki społecznej autorstwa Thompsona i jego partnera znalazły się w sejfie Teda Holdena. I to zaledwie kilka godzin po tym, gdy tamci dwaj zginęli w rzekomym wypadku. A te koncepcje niekoniecznie spodobałyby się Tedowi Holdenowi.

Jan słyszał to jak przez mgłę. Do pulsującego klucia w tułowi dołączył strach.

– Nie sądzę, żeby policja interesowała się koncepcjami politycznymi czy ekonomicznymi. Zwłaszcza że – o ile w ogóle zechce lub będzie mogła zajrzeć do sejfu, co raczej jest wykluczone – nic w nim nie znajdzie.

– W takim razie znajdzie gdzie indziej. W komputerach Thompsona i Cantora, w notesach...

– Na pana miejscu nie robiłbym sobie nadziei, że policja uwierzy w jakieś bajeczki, na które nie ma żadnych dowodów.

Fitz i Jan wymienili spojrzenia. Jan miał wrażenie, że dostrzegł w oczach Anglika to samo pytanie, które właśnie przebiegło mu przez głowę: „Gdzie jest Jeanne?”.

– A to co znowu?

Na ekranie widać było Kreuzera z czterema pracownikami rozmawiającego w lobby z ubranym na czarno facetem. Wielkim, ogolonym na łyso, w ciemnych okularach.

– Wygląda na ochroniarza – zauważył Jörn.

– Tak się przedstawił – odpowiedział menedżer. – Wutte i Peel poinformowali kelnera, że ten człowiek ma broń. Musieliśmy go sprawdzić.

Grupka na monitorze w przyspieszonym tempie podreptała komicznie do głównego wejścia, przez które ponury mięśniak opuścił hotel.

– Nie dał się wylegitymować, odegrał obrażonego i poszedł.

– Puścił go pan? – spytał Jörn.

– Nic nie zrobił – bronił się Kreuzer.

– Rzeczywiście miał broń?

– Pistolet. W kaburze przy pasku.

– Czyli mógł być z ochrony – wtrącił Jörn.

– Wrócimy do niego później – zdecydowała Maja. – Na razie ważniejsi są Holden i Dalli.

– Nie mogę na to poz...

– Jeśli pan woli, wrócę tu z nakazem rewizji i stuosobowym oddziałem policji – przerwała mu łagodnie Maja. – Jak zareagowaliby na to pana wysoko postawieni goście?

Jörn zamierzał coś powiedzieć, ale Maja powstrzymała go groźnym spojrzeniem. W roli psa wartowniczego był równie nieprzydatny jak w roli dochodzeniowca.

Utkwiła wzrok w menedżerze hotelu.

– Przecież nie możemy... – bronił się Kreuzer.

– Powtarzam: stuosobowy oddział.

– Ale jak mam to...

– Na pewno coś pan wymyśli.

– Idziemy! – rozkazał ochroniarz Holdena, wciskając lufę pistoletu między żebra Fitzroya. – Tylko bez żadnych numerów!

– Dokąd? – spytał Anglik. – Mieliście nas przekazać policji.

– I przekazemy.

Mężczyźni wyprowadzili ich na korytarz, ale dowódca został z tyłu i gdzieś dzwonił. Fitzroy nie mógł dosłyszeć jego słów.

– Dlaczego nie możemy poczekać tutaj? – protestował.

Coś mu tu śmierdziało.

Winda już na nich czekała. Zostali wepchnięci do środka, za nimi wcisnęli się wszyscy ochroniarze. Wprawdzie kabina była przeznaczona dla dziesięciu osób, jednak każdy z goryli był wielki i napakowany i zrobiło się bardzo ciasno.

Nikt się nie odzywał. Jan stał blady, opierając się o ścianę, wciąż jeszcze czuł skutki kuracji wstrząsowej w okolicy krocza. Fitzroy utkwiał wzrok w panelu z numerami pięter nad ich głowami. 2, 1, P. Winda minęła parter, na którym znajdowały się recepcja i główne wyjście, i jechała do podziemi.

– Policja przejmie nas w garażu? – spytał zaniepokojony.

– Wolałby pan być tak eskortowany przez lobby? – rzucił przywódca.

Kabina się zatrzymała, otworzyły się drzwi.

Na zewnątrz czekała Jeanne.

– Potrzebuję kopii nagrań, gdzie widać tych dwóch – powiedziała Maja, wjeżdżając na górę. – Oprócz tego chcę ujęcia z tym dziwnym ochroniarzem.

– Może chociaż załatwmy to jakoś oficjalnie? – spytał zimno menedżer.

Jörn został na dole przed ekranami monitoringu. Na wszelki wypadek.

Dotarli na piętro z apartamentami. Drzwi się nie otwierały. Kreuzer nacisnął guzik obok nich.

– Serwis pokojowy – powiedział do niewidocznego mikrofonu.

Czekał z pochylonymi plecami i przekrzywioną na bok głową.

Gdy nie padła żadna odpowiedź, powtórnie nacisnął guzik.

– Nikogo nie ma! – rzuciła niecierpliwie Maja. – Niech pan w końcu otworzy!

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki drzwi się rozsunęły.

– Elegancko – stwierdziła sucho Maja.

Tiergarten, Brama Brandenburska, pełny zestaw atrakcji rozpościerał się u ich stóp za panoramiczną szklaną ścianą salonu. W Tiergarten było już czarno od ludzi. Nieustannie krążyły nad nimi co najmniej trzy śmigłowce. Nawet przez maksymalnie dźwiękochłonne szyby

apartamentu do środka wdzierał się przytłumiony warkot helikopterów i wycie policyjnych syren. Z prawej strony dobiegał trzeszczący dźwięk.

Maja szybko przecięła wielkie pomieszczenie i dotarłszy do szklanych drzwi, odkryła za nimi obszerne biuro, w którym młody mężczyzna w ciemnym garniturze wsuwał plik papierów do głośnej maszyny. Zauważył ją w ostatnim momencie i zanim zdążył zareagować, ona wyciągnęła legitymację.

– Policja! – krzyknęła.

Mężczyzna zawahał się, ale zaraz wyraźnie się odprężył.

– Nie słyszałem pani – wyjaśnił, wskazując pracującą niszczarkę.

Maja dostrzegła mikroskopijną słuchawkę w jego uchu. Miał atletyczną sylwetkę i charakterystyczne wybrzuszenie pod marynarką w miejscu, gdzie zwykle ukryta jest kabura pistoletu. Ochrona. Maja schowała legitymację. Maszyna ucichła, mężczyzna wyrwał kilka stron z pliku zbindowanych kartek leżącego na kopercie. Maja dostrzegła na nich z daleka tekst i coś, co wyglądało na wzory matematyczne i wykresy.

– Jest pan tutaj sam?

– Reszta jest na szczycie – odparł mężczyzna i wrócił do przerwanej głośnej czynności.

Przez szklane drzwi Maja rzuciła okiem do sąsiedniej małej salki konferencyjnej. Nie było w niej nikogo.

– Przepraszam za najście i że pana niepokoiłem – powiedział Kreuzer.

– Nie szkodzi, wykonuje pan tylko swoje obowiązki – odpowiedział mężczyzna, wsuwając kolejny plik papierów do niszczarki.

W salce za recepcją hotelu Estate Jörn obserwował, jak jeden z dwóch operatorów obsługujących wideomonitoring przewija na podglądzie nagrania z ostatnich godzin. Ubrany na czarno gość wycofywał się do wyjścia, otoczony przez Kreuzera i czterech towarzyszących mu mężczyzn; menedżer i jego pracownicy, idąc w odwrotnym kierunku, zniknęli z pola widzenia, czarna postać natomiast stała jeszcze trochę, aż w końcu również ona zniknęła z monitora. Według licznika czasu tkwiła w jednym miejscu pół godziny.

Operator odszukał ujęcie początkowe z odpowiedniej kamery. Widać było na nim tego samego faceta, jak wchodzi głównym wejściem, rozgląda się i zajmuje pozycję. Na prośbę Jörna operator jeszcze raz odtworzył ten fragment.

– Na kogo on tam czekał? – rzucił retoryczne pytanie Jörn. – Albo kogo obserwował?

Operator zatrzymał obraz, puścił dalej. Znowu zatrzymał. Wyglądało na to, że mięśniak widoczny na wideo mówi coś do siebie. Albo porozumiewa się z kimś przez headset. Nagle wyraźnie się skupił. Przez dobrą minutę nie spuszczał z czegoś oczu.

– Na co on patrzy? – spytał Jörn.

– Możliwe, że na stolik, przy którym pani Dalli piła kawę z tymi waszymi dwoma gościami – powiedział operator. – Kierunek się zgadza.

– Co się dzieje? – rzucił jego kolega wpatrzony w swój szereg monitorów.

Gdy Jörn i pierwszy operator obrócili się w jego stronę, zobaczyli, co miał na myśli. Dwa ekrany zrobiły się całkiem ciemne.

– Gdzie to jest? – spytał operator stojący obok Jörna.

– Przed garażami dla VIP-ów – odpowiedział drugi. Wcisnął kilka klawiszy, ale na próżno.

– No tak, za długo wszystko działało, jak trzeba. W końcu coś musiało paść – stwierdził ten blisko Jörna.

– Poczekam jeszcze chwilę – rzekł jego kolega. – Pewnie obraz zaraz wróci. – Sięgnął po telefon. – Ale na wszelki wypadek zadzwonię na dół. Żeby parkingowy wiedział.

– W mordę – jęknął Jan na widok Jeanne. – Wiedziałem, że to była pułapka.

Kobieta nic nie powiedziała. Stała przed windami w korytarzu wyłożonym czerwonym dywanem, mierząc wzrokiem nowo przybyłych. Miała ręce założone na plecy, co dodatkowo podkreślało jej zgrabną figurę, czego mimo sytuacji Fitzroy nie omieszkał zauważyć.

– Ani słowa! – zakomenderował szef ochrony.

Czyjeś brutalne dłonie wypchnęły Anglika z windy tuż obok Jeanne. Jan był obok niego. Eleganckie przejście do garażu.

Fitzroy obejrzał się za siebie. Jeanne szła za nimi ze swoimi aniołami stróżami.

– Patrzeć przed siebie – rozkazał szef ochrony, wzmacniając przekaz brutalnym uderzeniem w ucho.

Jan syknął niezrozumiale coś, co nie brzmiało przyjaźnie.

Weszli do osobliwej szklanej klatki, która przypominała Fitzroyowi narożną restaurację ze słynnego obrazu *Nocne marki* Edwarda Hoppera. Przed nią znajdował się oddzielony ścianą od reszty garażu pas z zatoczką parkingową, do której prowadziło kilka metrów czerwonego dywanu. Po jego obu stronach stały donice z palmami wysokości człowieka, które przywodziły na myśl okaleczonych żołnierzy gwardii jakiejś bananowej republiki. Obok dużego szklanego boksu znajdował się mniejszy – z biurkiem, telefonem i komputerem. Prawdopodobnie dla parkingowego. Był pusty. To musiało być coś w rodzaju miejsca do wsiadania dla VIP-ów.

Przed czerwonym dywanem nie czekał żaden policyjny samochód, tylko stały dwa czarne SUV-y mercedesy.

– Gdzie jest policja? – spytał Fitzroy, nie kryjąc zdenerwowania.

– Zawieziemy was do niej – wyjaśnił szef ochrony.

Fitzroy zaparł się, próbując stawić opór dwóm trzymającym go mężczyznom.

– Nie ma mowy!

– A jednak.

– Nie – oświadczył stanowczo Fitz i całym ciężarem swojego niemałego ciała odchylił się do tyłu, co jednak nie zrobiło najmniejszego wrażenia

na jego opiekunach – pchnęli go w stronę szklanej ściany, która rozsunęła się bezszelestnie.

Gdzie jest parkingowy?!

– Krzyk też nic nie pomoże – powiedział szef ochrony, widząc, że Fitzroy otwiera usta i nabiera powietrza. – Nikt tu pana nie usłyszy. A poza tym... – Sięgnął ręką między nogi Anglika i ścisnął, tak dla ostrzeżenia.

Peel rozejrzał się dookoła z desperacją w oczach. Czy nie ma tu żadnych kamer monitoringu? Nikt tego nie widzi? Gdzie jest ochrona hotelowa?

Dwaj mężczyźni otworzyli tylne drzwi SUV-ów.

Nagły ryk silnika i pisk opon spowodowały, że wszyscy znieruchomieli. Reflektory rozpędzonego samochodu oblały całą grupę oślepiającym światłem. Przez dłuższą chwilę Fitzroy widział jedynie tańczące jasne punkty w ciemności. Jeszcze zanim auto zatrzymało się na podjeździe obok mercedesów, wyskoczyły z niego wrzeszczące cienie.

– Na ziemię! Nie ruszać broni!

W goryli Holdena wymierzono pistolety maszynowe.

– Na ziemię!

Mężczyźni w garniturach mieli przewagę liczebną, jednak ich pistolety znajdowały się w niewłaściwych miejscach – w kaburach pod pachami. Bez wątplenia byli dobrze wyszkoleni, ale nie chcieli jeszcze żegnać się z życiem. Posłusznie zrobili to, co im kazano. Fitzroy klęknął na jednym kolanie. Ze skutymi na plecach ramionami wykonanie polecenia było trudne i sprawiało ból.

– Ty nie! – rozkazał jeden z cieni.

Oczy Peela stopniowo przyzwyczajały się do nowych warunków.

W ciemnoszarych kominiarkach, dostosowanych kolorem do bojówek i koszul, stało przed nimi pięciu pakerów o byczych karkach. Fitz rozpoznał ich sylwetki. Zrobiło mu się jeszcze bardziej niedobrze.

– Ty też nie! – ryknął inny do Jeanne, która stała wciąż w takiej samej pozycji, w jakiej Anglik zastał ją po wyjściu z windy.

– Ręce na plecy! – To polecenie było skierowane do leżących na ziemi ochroniarzy.

– A wy troje do samochodu! – rozkazał jeden z cieni Fitzroyowi, Janowi i Jeanne.

Dla wzmocnienia siły przekonywania wbił każdemu z nich po kolei lufę swojej broni maszynowej między zębra. Jeanne mimo woli krzyknęła z bólu, co osiłek skwitował warknięciem „Zamknij się!” i jeszcze mocniejszym ciosem. Dalli z jękiem stłumiła krzyk i obróciła się w stronę Fitzy, który dopiero teraz zobaczył, dlaczego ona cały czas trzymała ręce z tyłu.

Miała je skute tak samo jak on i Jan.

Pozostali nieznajomi w kominiarkach błyskawicznie skrepowali taśmą leżących na podłodze ochroniarzy.

„Przynajmniej nie jesteśmy jedyni”.

– Do bagażnika! – rozkazał mężczyzna, który popychając wszystkich troje pistoletem maszynowym, skierował ich do samochodu. Do czarnego range rovera.

– Przecież on jest za mały... – zaprotestował Jan.

– Morda w kubeł! Włazić!

– Nie zmieścimy się wszyscy...

Polemika podjęta przez Jana skończyła się tym, że dostał gnatem w głowę, wskutek czego jego tułów opadł do bagażnika i legł w nim bezwładnie.

– Jeszcze ktoś? – warknął mięśniak.

Czterej inni uporali się już z ochroną Holdena i teraz jeden z nich wcisnął Jana w całości do bagażnika, pozostali zaś chwycili Fitzroya i Jeanne pod pachy i dorzucili ich do niego jak kukły. Upchnąwszy wszystkich troje, zamknęli nad nimi dwie kłapy tworzące poniżej szyby jedną poziomą powierzchnię. Potem zatrzasnęli tylne drzwi. W ciasnej klatce zrobiło się ciemno i duszno. Fitzroy nie mógł się ruszyć, brakowało mu powietrza. Usłyszał odgłos zamykanych drzwi rovera.

Samochód ruszył z miejsca.

– Jan – syknął Fitzroy. – Jan! Nic ci nie jest?

– Ratunku! – wysapała Jeanne za jego plecami. – Nie mogę oddychać!

– Tym lepiej – odezwał się głos z przodu. – Może szybciej się zamkniesz!

Fitzroy słyszał, jak Jeanne próbuje łapać powietrze. On również się dusił.

– Zdechniemy tutaj! – krzyknął.

– Zdechniecie tak czy inaczej – odpowiedział głos. – Więc jak zaraz kojfniecie, to tylko lepiej dla was.

Jeanne dyszała jak na mecie dwustumetrowego biegu.

– Przyciśnij usta do czegoś miękkiego – wyszeptał Fitzroy. – Do mojego ubrania – zasugerował. – I oddychaj przez materiał.

Jej oddech stał się przytłumiony, ale wciąż był gorączkowy. Rover przystanął, prawdopodobnie zatrzymał się przy szlabanie w wyjeździe z garażu. Jeanne oddychała ciszej i spokojniej.

Auto znowu ruszyło.

– Lepiej? – szepnął Fitzroy.

Brak odpowiedzi.

– Jeanne?

W bagażniku panowała cisza.

– Pani Dalli, jest tam pani?

Maja zapukała jeszcze raz do drzwi junior suite z numerem 723.

Nikt nie odpowiadał.

– Pani Dalli?!

– Proszę otworzyć – poprosił Kreuzer i jęknął do policjantki: – Nie rozumiem, czego tu jeszcze szukacie.

– Wutte i Peel prosto z lobby udali się na klatkę schodową. Kilka minut później ktoś kartą zbliżeniową Dalli otworzył z klatki schodowej drzwi do części z apartamentami. Możliwe, że Dalli dała im podczas rozmowy swoją kartę.

– Po co miałyby to robić?

– Właśnie chętnie zadałabym jej to pytanie.

– Ale ona mogła przecież zejść z piętra wyżej, gdzie znajduje się apartament Holdena, który kilka minut wcześniej został otwarty również jej kartą.

– A potem zbiegła na szpilkach po schodach? – powiedziała drwiąco Maja, po czym westchnęła demonstracyjnie: – Faceci! – i poleciała: – Niech pan otwiera.

Zgrzytając zębami, menedżer wykonał polecenie.

Apartament był pusty.

Maja sprawdziła każde pomieszczenie, szukając śladów obecności ściganej dwójki.

Nie znalazła niczego.

Zignorowała pełne triumfu spojrzenie Kreuzera, gdy opuszczali apartament.

– Proszę zadzwonić do centrum monitorowania. Dalli wybierała się na szczyt. Czy już opuściła hotel?

Tym razem menedżer się nie przeciwstawił. Zadzwonił od razu, a kiedy szli do windy, czekał na odpowiedź.

– Nie przez lobby – poinformował w końcu.

– Przez garaż? Są tam kamery?

– Wyłącznie poza strefą VIP – oznajmił Kreuzer, wywracając oczami, jakby miał do czynienia z nierozgarniętym dzieckiem.

– Chcę zobaczyć nagrania – powiedziała Maja.

- Właśnie mieliśmy małą awarię.
- Słucham?!

– Jan? – Chłopak usłyszał szept tuż przy swoim uchu.

Otaczała go ciemność, leżał skulony na boku, ściśnięty, zakleszczony i zdrętwiały, z rękami na plecach, było mu gorąco i zbierało mu się na wymioty; ledwie oddychał. Puls walił jak młot kowalski i przywoływał w mózgu różne obrazy.

- Jan!
- Tak? – szepnął chrapliwie.
- Bogu dzięki!

Czuł oddech Fitz'a tuż przy swoim uchu. Czuł w ogóle całego Fitz'a zaraz za sobą. Musieli leżeć stłoczeni jak śledzie.

– Cicho!

Jan nie wiedział, dlaczego jest tak ciemno. Szept Fitz'a tonął w niezbyt głośnym szumie silnika. Raczej nie mógł go nikt usłyszeć poza nim.

- Co się dzieje? Gdzie jesteśmy?
- W pieprzonym czarnym roverze.

Młot kowalski w głowie Jana wysłał swojego bliźniaczego brata prosto do żołądka.

- Gdzie Jeanne?
- Za mną.

Odezwały się też stłuczenia i sińce po bijatyce z poprzedniego dnia.

- Dokąd oni nas wiozą?
- Nie mam pojęcia. Ale wolałbym chyba tam nie dotrzeć.
„Żeby tylko nie puścić pawia!”

Niech to szlag! W filmach akcji bohaterowie zawsze uczą się podczas swoich przygód całkiem przydatnych rzeczy, dzięki którym ratują się z najgorszych opałów! A on od wczorajszego wieczoru nasłuchiwał się mnóstwo o średnich, funkcjach użyteczności, ekonomii, matematyce, decyzjach i kooperacji. I co mu to dało? Nic!

- Możemy spróbować tylko jednego – szeptał Fitz.

Ledwie winda otworzyła się na poziomie garaży, Maja, nie czekając na Kreuzera, wyszła z kabiny na pusty korytarz wyłożony czerwonym dywanem i ruszyła przed siebie.

Znalazła się w czymś w rodzaju poczekalni, która miała chyba przypominać salon dla VIP-ów na małym egzotycznym lotnisku. Mimo designerskich dekoracji wyglądała trochę zbyt barokowo i pretensjonalnie. Za szklaną ścianą krótki czerwony dywan między palmami prowadził do zatoczki, w której zatrzymywały się samochody. Była pusta. Podobnie jak salon.

Kreuzer dogonił ją po chwili i rozejrzał się dookoła.

– Gdzie jest valet? – sam zadał sobie pytanie.

– Kto to taki?

– Pracownik, który przyprowadza i odprowadza auta.

– Właśnie chyba się pojawił.

I rzeczywiście: wąskim przejściem obok pasa dla samochodów zmierzał w kierunku czerwonego dywanu mężczyzna w białej marynarce.

Maja natychmiast znalazła się przy nim.

– Gdzie się pan podziewał? – rzuciła.

– Odprowadzałem samochód.

– Jak długo pana nie było?

– Około dziesięciu minut. Musiałem zjechać na najniższy poziom.

Maja obliczyła szybko. Czyli mniej więcej tyle, ile zajęło im wjechanie do apartamentu, wejście do niego i zjechanie na dół. Wystarczająco dużo czasu, aby niezauważenie opuścić garaż.

– Musimy sprawdzić nagrania – oznajmiła Kreuzerowi.

– Niewiele to pani pomoże – rzekł parkingowy, machając komórką. – Właśnie dzwoniła ochrona, że mieli małą awarię kamer.

– Wiem. Akurat w tym czasie?

Samochód, w którym tkwili, raz jechał wolniej, raz szybciej, ale nie pędził; czasami się też zatrzymywał. Czyli poruszali się po mieście. Jan czuł ciało Fitz'a przyciśnięte do siebie od tyłu. Barki chłopaka były na wysokości obojczyków Peela, plecy dotykały jego klatki piersiowej i brzucha, siedzenie – krocza, tylna część ud – przedniej części ud. W nadgarstki wpijały mu się opaski zaciskowe, dłonie miał spuchnięte z powodu utrudnionego krążenia krwi, stracił już czucie w czubkach palców. Poruszył nimi na próbę. Pewnie niechcący dotknął podbrzusza Fitz'a albo sięgnął jeszcze niżej.

– W całej tej gorączce bandziory zwinęły tylko moją komórkę – szepnął Fitz. – Powinieneś mieć swoją.

Jan rzeczywiście wymacał płaski przedmiot w tylnej kieszeni spodni.

– Wyciągnij ją – syknął Fitz.

– Dowcipniś!

– Spróbuj!

Jan skupił się i w końcu mu się udało. Tylko teraz nie wypuścić aparatu ze zdrtwiałych palców. Chociaż... dzięki temu, że leżeli tak ściśnięci, można się było spodziewać, że telefon nie spadłby na dno bagażnika. Najtrudniejsza część dopiero ich czekała.

– Musisz się postarać tak go przysunąć do mojej twarzy, żebym mógł do niego mówić – wyszeptał Fitz. – Ale wcześniej musisz wybrać numer.

– Jaki?

– Alarmowy, rzecz jasna.

Na szczęście prepaid Jana należał do staroświeckich modeli z tradycyjnymi klawiszami. Jan zaczął unosić spętane dłonie między tułowiem swoim a Peela. Do pokonania pierwszego odcinka wystarczyło zgiąć łokcie. Potem przyszła kolej na ramiona. Niezbyt przyjemne. Klatka piersiowa Fitz'a posłużyła jako podpórka. Jednak im wyżej jego dłonie wędrowały wzdłuż pleców, tym bardziej Jan czuł, że zaraz wywichnie sobie ramiona. Do tego jeszcze odzywał się ból w głowie i podbrzuszu, Jan czuł wszystkie siniaki i stłuczenia na całym ciele.

– Dalej nie dam rady – jęknął.

Aparat znajdował się chyba gdzieś między piersią a szyją Fitz'a. Za nisko. Bo co prawda on mógłby mówić, ale nie rozumiałby rozmówcy.

– Musimy spróbować – szepnął Fitzroy. – Drugi przycisk od góry po lewej to jedynek. Piąty od góry pośrodku – zero. Naciśnij dwa razy jedynek, raz zero.

Jan po omacku przesuwiał zdrtwiałe palce po klawiszach.

1 – 1 – 0

Chyba.

Czekał. Nic nie słyszał.

– Niemożliwe – szepnął Fitz.

– Co jest?

– Zajęte. Numer alarmowy zajęty!

– Pieprzony szczyt!

– Niech pan przewinie do tyłu – poprosiła Maja.

Na monitorze widoczny był obraz z kamery ukazujący fragment podziemnego garażu przed salonikiem dla VIP-ów. Najpierw zajechała ciemna limuzyna, z której wysiadł jeden mężczyzna. Garnitur, krawat – typ biznesmena. Oddał kluczyki parkingowemu, który natychmiast do niego wybiegł, po czym wszedł do saloniku. Valet zniknął z pola widzenia wraz z autem. Zaraz potem nagranie się skończyło i monitor zrobił się czarny.

– Dziwne – stwierdziła Maja.

– To prawda – potwierdził operator. Odtworzył nagranie kadr po kadrze. – Wygląda tak, jakby ktoś zakrył czymś obiektyw.

Następnie puścił film z drugiej zaciemnionej kamery.

– Neeee, chyba jednak nie – powiedział. – Ale nie mam pewności.

– Czy kamery często wysiadają? – spytała Maja.

– Rzadko.

– Osobliwy zbieg okoliczności – stwierdziła.

– Po niecałych dziesięciu minutach działały znowu – dodał operator.

– Niech mi pan pokaże inne ujęcia z garażu z tej godziny – poprosiła Maja. – Zwłaszcza te sprzed wjazdu i wyjazdu dla VIP-ów.

Mężczyzna odtworzył je na sąsiednich monitorach. Nadjechał czarny rover, ale ominął szlaban i skierował się do ogólnodostępnej części garażu. Potem pokazała się limuzyna, którą parkingowy odprowadził na najniższy poziom. Po chwili do strefy dla VIP-ów wjechały dwa mercedesy SUV-y. Po kolejnych trzech minutach znowu pokazał się czarny rover.

– To ten sam co wcześniej – rozpoznała go Maja. – Numer rejestracyjny.

Tym razem zatrzymał się przed szlabanem; z okna od strony kierowcy wysunęła się ręka, wstukała kod i szlaban się otworzył. Samochód przejechał i zniknął w strefie VIP. Cztery minuty potem pokazał się na monitorze obejmującym wyjazd z garażu.

Dopiero kilka minut później garaż opuściły mercedesy. Przyciemnione szyby uniemożliwiały rozpoznanie pasażerów, podobnie zresztą jak wcześniej w roverze.

– Czy to samochody gości hotelowych? – spytała Maja.

Operator wstukał numery rejestracyjne.

– Nie zostały zgłoszone.

– Ale mimo to mogły należeć do jednego z gości.

Po upływie minuty awaria obu kamer ustąpiła niemal równocześnie.

– Nie wierzę w takie przypadki – stwierdziła Maja.

Wyjęła komórkę i nacisnęła jeden z klawiszy szybkiego wybierania.

– Potrzebuję dane właścicieli trzech pojazdów.

– Znowu zajęte – szepnął Fitzroy do ucha Janowi.

– To niemożliwe – jęknął Wutte.

Z kabiny nie dochodziły żadne odgłosy. Piątka bandytów, którzy porwali ich z garażu, nie była szczególnie rozmowna, dlatego Fitzroy i Jan musieli się zachowywać wyjątkowo cicho.

Samochód jechał po nierównej nawierzchni. Peel miał nadzieję, że komórka nie wyslizgnie się Janowi z rąk.

– No to spróbujmy inaczej – szepnął i podał Wuttemu odpowiednią kombinację klawiszy.

Czuł jego palce na swojej klatce piersiowej. Za chwilę się okaże, czy aparat jest wystarczająco blisko, aby usłyszeć głos po drugiej stronie.

Dłoń Jana przestała się poruszać.

Sygnał. Całkiem cichy.

Auto znowu trochę zwolniło. Dokąd oni jadą?

Fitzroy usłyszał przytłumiony głos dobiegający z telefonu.

– Tu Kim, kto...?

– Halo? Kim? Słyszysz mnie? Tu Fitzroy – wyszeptał.

– Fitzroy? To... ty?

Musiał mówić bardzo cicho. To była jedyna, niepowtarzalna szansa.

– Tak, to ja. Skup się, proszę. Jan, Jeanne i ja jesteśmy zamknięci w bagażniku czarnego range rovera. – Wymienił numer rejestracyjny.

„Dziękuję ci, Boże, albo moim genom czy czemukolwiek innemu za moją pamięć do liczb!”

– Jaja sobie ze mnie ro...?

– Zapamiętaj numer i zawiadom policję. Powiedz im, żeby przekazali go śledczym, którzy zajmują się śmiercią Herberta Thompsona i Willa Cantora. Uprawdzili nas ich zabójcy. – Jeszcze raz powtórzył numer rejestracyjny.

– Mam... się zwrócić do... policji?

– Tak, do jasnej cholery!

– Jaki Will?

– Cantor. Zapamiętałaś numer?

– Co się tam dzieje?! – ryknął ostry głos nad głową Fitzroya.

Ktoś ściągnął przykrycie i nagle zrobiło się jasno.

Jan zachłysnął się powietrzem i spróbował się wyprostować.

– Zaraz się tutaj uduszę!

Fitzroy poczuł, że komórka ześlizgnęła się na dno bagażnika.

– Zamknąć się! – wrzasnął mężczyzna, przycisnął Jana i zasunął z powrotem przykrycie.

Samochód stał na jakimś skrzyżowaniu, jak kątem oka zdążył dostrzec Fitz, zanim dłoń w ciemnoszarej rękawiczce brutalnym ruchem odcięła ich ponownie od świata.

– Jaja sobie ze mnie robicie? – powiedziała Maja przez komórkę. – Chcę to usłyszeć jeszcze raz!

Koleżanka z centrali powtórnie odtworzyła nagraną rozmowę.

Głos kobiety: Numer alarmowy. Co mogę...

Głos drugiej kobiety, wyższy, młodszy: Mam przekazać tę wiadomość śledczym prowadzącym sprawę Herberta Thompsona i Willa Cantora.

„Will Cantor... Na razie nie podawaliśmy tego nazwiska publicznie”.

– Fitzroy Peel, Jan Wutte i Jeanne Dalli twierdzą, że zostali porwani przez zabójców Thompsona i Cantora. Czarnym range roverem. – Wymieniła numer rejestracyjny.

Maja poczuła się tak, jakby ktoś przyłożył jej prosto w żołądek. Zasłoniwszy dłonią telefon, szeptem poprosiła operatora o pokazanie kadru z roverem i jednocześnie przysłuchiwała się nagraniu.

Głos numer 1: Pani...?

Głos numer 2: Przecież wiem, że nagrywacie tę rozmowę. Macie wszystkie informacje. Róbcie, co do was należy.

Koniec.

Na ekranie przed jej oczami pokazał się tył rovera.

Ten sam numer rejestracyjny co podany w zgłoszeniu!

– Wszczynamy pościg! – krzyknęła Maja. – Natychmiast!

– Maju – odezwała się funkcjonariuszka po drugiej stronie. – To wyglądało na zgłoszenie jakichś dowcipinisiów. Poinformowałam cię tylko tak na wszelki wypadek...

– Bardzo prawdopodobne, że to wcale nie są dowcipnisie – odpowiedziała chłodno Maja. – Mają informacje, które jeszcze nie były przekazane opinii publicznej. Przypuszczalnie to wiedzą i dlatego o nich wspomnieli. Powtarzam: ogłaszamy pościg. Trzeba znaleźć rovera i go zatrzymać!

Usłyszała w słuchawce jakiś hałas, a potem męski głos. Zastępca szefa policji Köstritz. A ten skąd się tam wziął? Maja posłała zabójcze spojrzenie Jörnowi. Czyżby nakablował o niej i jej zachowaniu w hotelu?

– Czy pani nie wie, co się dzieje w mieście?! – szczeękła słuchawka. – Co najmniej milion demonstrantów zalewa miasto! Wszyscy nasi ludzie ochraniają szczyt!

– Jesteście po to, żeby chronić obywateli! – odparowała Maja. – Herbert Thompson miał wygłosić mowę inauguracyjną. – Na Köstritz trzeba było użyć ostrzejszej broni. – Kto wie, co jeszcze knują sprawcy!

– Czy chce pani przez to powiedzieć...?

– Po prostu przekażcie numer rejestracyjny do systemu. Rany boskie, czy to takie trudne?!

Znowu trzask.

– W porządku – westchnęła kobieta po drugiej stronie. Maja domyśliła się, że wściekły Köstritz stoi tuż przy niej. – Jeśli uważasz...

– Ja nic nie uważam, tylko mówię: do roboty! I ustalcie mi, kto to dzwonił!

Jochen Fürst nienawidził tej akcji. Zgodnie z rozkazem został przerzucony z Bawarii do Berlina, aby obsługiwać szczyt, podobnie jak tysiące policjantów z różnych regionów kraju. W większości miast i wsi republiki na posterunkach policji pozostały załogi w skrajnie okrojonym składzie. Tylko dlatego, że paru polityków i miliarderów bawiło się w światową politykę. A paru innych gości demonstrowało. Jochen nie miał o nich najlepszego zdania. Z przyjemnością wybiłby im z głowy te ich komicznie patetyczne rewolucyjne śpiewy i kretyńskie hasła. Sprowadzono nawet dodatkowe oddziały z sąsiednich krajów. W dzielnicy Mitte grała muzyka. Tam się działo.

Ale nie tutaj, gdzie był on. Z pięcioma kolegami z Bawarii i dwoma berlińczykami siedzieli w radiowozie w dawnej zachodniej części miasta, przy Kantstraße, w pobliżu terenu targów. Na czterech pasach jezdni rozdzielonych pasem zieleni nie działo się nic. Jedynie od czasu do czasu przejechało jakieś auto, jakby nawet ruch samochodów przeniósł się gdzie indziej. Dlaczego musieli tkwić akurat tutaj, nie miał pojęcia. Taki rozkaz. Podobno część protestujących mogła zabłąkać się właśnie w te rejony. Jakim cudem? Przecież według ostatnich informacji demonstracja odbywa się siedem kilometrów stąd. Co najmniej.

Policjanci wymieniali się doświadczeniami z wcześniejszych akcji, przechwalali się rzekomymi bohaterskimi czynami i legendarnymi sukcesami w relacjach damsko-męskich. Nie było wśród nich ani jednej kobiety. I właściwie tak powinno być.

Z krótkofalówki dochodziły przerywane trzaskami komunikaty albo ciągły sygnał.

– GPK dwadzieścia siedem, zgłoś się.

Te durne kody specjalne wymyślone w związku ze szczytem.

GPK 27 to oni.

Ich dowódca, żylasty facet z fryzurą na jeża, odpowiedział, a potem usłyszeli:

– Szukamy czarnego range rovera. – Podyktowano numer rejestracyjny.

– Jak wynika z monitoringu, jedzie Kantstraße w waszym kierunku, jest jakieś trzysta metrów od was.

Dowódca powtórzył dane, spytał o dalsze instrukcje.

– Zatrzymać, przeprowadzić kontrolę dokumentów.

Trzysta metrów, czyli w tym momencie pewnie już mniej. Przejechało kilka małych samochodów osobowych, SUV-ów i furgonetek. A potem w oddali pojawiła się czarna terenówka.

Kierowca radiowozu włączył niebieskie światło, wyjechał z miejsca postoju na jezdnię i ustawił się w poprzek niej, blokując oba pasy aż po pas zieleni pośrodku. Jochen i reszta wyskoczyli z samochodu i stanęli przy nim. Czterech ruszyło po obu stronach jezdni naprzeciw rovera i znalazło się za nim, kiedy ten jeszcze jechał.

Rover zahamował gwałtownie i zatrzymał się przed radiowozem. Jochen dostrzegł w środku pięciu ubranych na ciemno mężczyzn o krótko ostrzyżonych włosach i z mocno przylegającymi do twarzy okularami przeciwsłonecznymi. Wyglądali na gości z ochrony.

Żaden nie ruszył się z miejsca. Kierowca trzymał dłonie na kierownicy. Mimo to Jochen nie zdjął ręki z broni.

Dowódca wraz z miejscowym policjantem podeszli do drzwi kierowcy. Szyba opuściła się bezszelestnie, mężczyzna za kółkiem spojrzał na nich i spytał z sympatycznym uśmiechem:

– O co chodzi, panowie?

El jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Czterech funkcjonariuszy z przodu, czterech z tyłu. Siedmiu z nich z rękami na broni. Jeden pobiegł do tyłu, żeby zatrzymać nadjeżdżające samochody. Ulica przed nimi zablokowana. Dwa pasy jezdni w przeciwnym kierunku oddzielone pasem zieleni z niedużymi drzewkami, do pokonania dla rovera. Z tyłu zbliżała się jakaś osobówka. Policjant uniósł rękę i zatrzymał ją w odległości dziesięciu metrów. Potem kolejne auto. Na jezdni po drugiej stronie ruch odbywał się bez zakłóceń.

– Czym możemy służyć? – spytał Jack przez opuszczoną szybę.

Facet nie był szczególnie wysoki, Jack patrzył na niego z góry.

– Proszę dokumenty do kontroli – powiedział policjant, rzucając okiem na Sama, Roba i Bella na tylnym siedzeniu, a potem na zakryty od góry bagażnik.

Jack podał mu dowód rejestracyjny, pozostali pod czujnym wzrokiem funkcjonariusza wyciągali z kieszeni spodni lub koszuli swoje dowody tożsamości. El zebrał je wszystkie, podał Jackowi, a ten wyciągnął z nimi rękę w kierunku dowódcy grupy, który wciąż jeszcze studiował dowód

rejestracyjny. Tamten wziął dokumenty i przeszedł przed maskę rovera, aby sprawdzić numer rejestracyjny. Wrócił, przyjrzał się dowodowi Ela, potem samemu Elowi.

– To pan?

– Tak.

Taką samą procedurę powtórzył w odniesieniu do pozostałych.

– Proszę wysiąść – powiedział na koniec.

To był moment krytyczny. Jack mógł jeszcze wrzucić wsteczny, dodać gazu i śmignąć przez pas zieleni na przeciwległą jezdnię. W razie potrzeby wszyscy mogli zrobić użytek ze swojej broni. Kiedy zobaczyli radiowóz ustawiony w poprzek jezdni, szybko ustalili znak dający sygnał do takiej akcji. Pytanie tylko, jak daleko by uciekli. I co mieliby wtedy zrobić ze swoimi pasażerami. Polecenie brzmiało wyraźnie: usunąć. Jednak było oczywiste, że musi to wyglądać naturalnie. Jak zresztą wszystko, co robili przez całą ostatnią noc. Wystarczy już hałasu i sensacji.

W razie wątpliwości rozkaz był jednoznaczny: skrócić procedurę.

Kiedy wysiądą z samochodu, stracą szansę na ucieczkę. A jeśli policjanci wpadną na pomysł, żeby przeszukać wóz? Dlaczego w ogóle zatrzymali akurat ich?

W bagażniku panował spokój. Czy ich pasażerowie zdają sobie sprawę z sytuacji?

Dokumenty w ręce gliniarza były oczywiście fałszywe. Ale wcześniej czy później policja znajdzie ich twarze w jakimś rejestrze danych i przyporządkuje je do właściwych osób. Jednak do tej pory El i reszta mogą być daleko stąd.

Odchrząknął dwa razy. To był znak.

Samochód stojący przed Jochenem gwałtownie się cofnął. Pisk opon, czarne smugi na asfalcie. Facet za kierownicą wpatrzył się w skupieniu we wsteczne lusterko. Rover wjechał tyłem na trawę, przemknął między dwoma drzewami na przeciwległą jezdnię. Jochen zareagował błyskawicznie: wpadł na pas zieleni, wymierzył broń w samochód, który próbował jechać prosto na wstecznym. Policjanci wbiegli na przeciwległą jezdnię, zatrzymali ruch, podnieśli broń, jednak nie odważyli się oddać strzału. Zagrożaliby osobom postronnym i swoim towarzyszom.

To samo dotyczyło Jochena. Ale czy ma pozwolić uciec tym typom? Ryczący pojazd pędził na wstecznym biegu prosto na niego. Jochen wycelował w koła poniżej bagażnika. Nacisnął spust.

Terterterter.

Terterterterter.

Tertereterterter.

Cholera! Nie trafił, samochód przemknął obok niego jak strzała. Jochen obrócił się i spróbował jeszcze raz.

Nie udało mu się, rover oddalał się coraz szybciej. Po chwili wpadł w poślizg, jednak kierowca odzyskał nad nim kontrolę i znowu przyspieszył. W przednim oknie po prawej stronie pokazała się ręka z pistoletem wymierzonym w policjantów przy radiowozie. Jochen nie zdążył odnotować, czy padł strzał, bo uskoczył w bok za stojący samochód. Dlaczego nikt nie ostrzegł, że ci goście mogą być niebezpieczni?! Odwrócił się, wycelował po raz kolejny, obok niego koledzy też już strzelali.

Jakieś sto metrów dalej rover z przeraźliwym zgrzytem zawadzał to jednym, to drugim bokiem o zaparkowane i stojące samochody. Pasażerowie czekających pojazdów wypadali z nich w panice i próbowali przyczaić się na chodniku. Rover, którego przednia szyba rozsypała się na kawałki, wpadł tyłem w stojące z boku auto, obrócił się dookoła własnej osi, kłapa bagażnika odskoczyła do góry, a przedni zderzak huknął w jakiegoś SUV-a. Opony wyły i dymiły, gdy kierowca rovera usiłował uwolnić go z zakleszczenia, wóz jednak zaklinował się zbyt mocno. Ponad kolbą swojego pistoletu Jochen widział, że stojący ukośnie do nich pojazd z rozwalonym przodem na dobre utkwiał w miejscu.

Kiedy klapa bagażnika poderwała się do góry, Jeanne o mało z niego nie wypadła. Jej stopy wisiały poza samochodem, a gdy wyczuła pod nimi asfalt, dźwignęła cały tułów. Przygarbiwszy się, skoczyła między najbliższe zaparkowane auta i skulona ukryła się za jednym z nich. Dookoła słyszała wrzaski, pojedynczy pochyleni ludzie przemykali w panice po chodniku i chowali się w wejściach do domów, inni zatrzymywali swoje samochody jak popadnie na ulicy, panował chaos, w którym każdy myślał wyłącznie o sobie i nie przejmował się nikim. Fitz zrobił to samo co ona, Jan jeszcze wiał się w bagażniku, ale po chwili również opuścił nogi na ziemię, zobaczył ich oboje i z włosami opadającymi mu na twarz podbiegł do nich przygarbiony. Po prawej Jeanne zauważyła uciekających bandziorów. Jeden odwrócił się i strzelił w ich kierunku! Prawdopodobnie mierzył do policjantów. Co najmniej osiemdziesiąt metrów dalej, po lewej od Jeanne, za zaparkowanymi i zatrzymanymi samochodami przyklekła grupa mundurowych. Celowali w kierunku rovera i krzyczeli jeden przez drugiego. Potem rozgrzmiała prawdziwa kanonada. Samochód stał obok zaparkowanych pojazdów, odwrócony tyłem do mundurowych i dlatego policjanci nie mogli widzieć Jana, Fitz i Jeanne. Niektóre pociski z głuchym dudnieniem trafiały w karoserię rovera i najbliższych aut. Kiedy bandyci uciekali, jeden z nich w biegu oddał jeszcze za siebie kilka strzałów. W końcu zrezygnował.

– Czy oni powariowali? – wysapał Jan. – Przecież tu jest pełno ludzi!

Ktoś głośno wrzasnął i hałas wreszcie ucichł.

– Przestać, do cholery! – Jeanne usłyszała z daleka głos jednego z policjantów.

– Nie podnoście się – syknął Fitz do niej i Jana. – Oni nie wiedzą, kim jesteśmy. Wolę, żeby nie kropnął mnie jakiś nerwowy Rambo.

Opaski zaciskowe przeraźliwie wpijały się Jeanne w nadgarstki.

– Zwłaszcza że jeśli ktoś rzuci „ręce do góry!”, to będziemy mieli problem – powiedziała.

Policjanci krzyczeli coś do siebie, ale nie ruszali się z miejsca.

– I co teraz? – spytała Jeanne.

– Trzeba stąd spadać – odpowiedział Jan.

Wokół nich nadal panował chaos, nikt nie zwracał uwagi na trzy osoby ukryte między samochodami.

Skuliwszy się, Jan przebiegł po chodniku do najbliższej bramy.

– Poczekaj! – syknął Fitz i ruszył za nim. – Może to było nieporozumienie.

Po sekundzie dołączyła do nich Jeanne.

– Że chcieli nas zamordować, tak?! – obruszył się Jan.

– Dokąd ty się wybierasz? – spytał Peel, kiedy Wutte przemknął do następnego bramy, oddalając się od policji.

Z daleka dobiegały odgłosy klaksonów. Przerażeni przechodnie nie wiedzieli, gdzie się schować albo przynajmniej patrzeć.

– Trzeba nam było współpracować z policją – jęknął Fitz, ale mimo wszystko pobiegł za Janem.

– Policja grzała w rovera bez najmniejszych oporów, chociaż byliśmy w środku! Nie zostanę tu ani sekundy dłużej! – oświadczył Jan.

Jeanne przemknęło przez głowę, że nie można mu odmówić racji, chociaż w całym tym chaosie w ogóle nie mogła pozbierać myśli. Wszystko działo się naraz, panowały zamęt i bezład, którego potem nikt nie potrafił opisać.

– Po tej akcji spodziewam się po policji dosłownie wszystkiego – mówił dalej Jan. – A jeśli to wcale nie nasz telefon uruchomił operację? Pewnie ochroniarze Holdena zgłosili, że zostali zaatakowani w garażu. I zaraz wszczęto pościg za porywaczami, ale i za nami jako włamywaczami. – Przyspieszył kroku. – Nie zostanę tu za żadne skarby.

Policjanci obok Jochena. Kilku szło środkiem jezdni, inni po bokach, przemykając za zatrzymanymi autami, w których wystraszeni pasażerowie pozsuwali się z siedzeń najgłębiej, jak to możliwe. Niewielka kolumna samochodów wyglądała na pierwszy rzut oka jak po apokalipsie zombie. Koledzy dotarli już do pustego rovera, Jochen był parę kroków za nimi. Szybko się upewnili, ale tamci goście w ciemnych ubraniach uciekli, swoją drogą zaskakująco szybko i zwinnie jak na ich masywne, napakowane sylwetki. To nie byli zwykli goryle zwerbowani ze środowiska niewykwalifikowanych bezrobotnych, rockersów i stałych bywalców podrzędnych pakerni. Wyglądali na byłych wojskowych, wyszkolonych i twardych gości.

Jochen rzucił okiem do wnętrza rovera. Wybita szyba zasypała morzem odłamków przednią część samochodu. Odłamki z tylnej leżały w bagażniku. Wszystkie drzwi i kłapa bagażnika były otwarte. Dwa otwory po kulach w dachu. Jeden w słupku między oknami. Więcej nie było widać. Przyjrzą się temu później. Teraz ważniejsi są uciekinierzy. Jochen spojrzał na radiowóz. Jeden z kolegów siedział przy radiu. Inny szedł wzdłuż kolumny samochodów i sprawdzał, czy nikt nie ucierpiał. Strzelanina wśród przechodniów mogła ich drogo kosztować. Ale skoro Jochen zaczął, doprowadzi to do końca. Ruszył za tamtymi gośćmi.

El pędził wolnym pasem jezdni, pozostali czterej obok niego. Czuł skutki bezsennej nocy, mimo to był pewien swojej kondycji. Obejrzał się za siebie. Sześciu policjantów biegło za nimi w różnych odstępach i w nierównym tempie. Dwóm wyraźnie ciążyły wydatne brzuchy. Pewnie za chwilę będą musieli się poddać. Czyli zostanie czterech na pięciu. El chłodno ocenił sytuację. Dwadzieścia metrów przed nimi było skrzyżowanie.

– Skrzyżowanie – rzucił do mikrofonu. – Sam i Rob w lewo, Jack i Bell prosto. Potem postarajcie się jak najszybciej znowu rozdzielić!

Policjanci się nie przybliżali. Dwa grubasy zwolniły. El odbił w prawo. Ulica była pełna sklepów i biur. Na chodnikach kręciło się trochę przechodniów, ruch samochodów był umiarkowany. Żaden policjant nie odważyłby się tutaj strzelać. El wpadł między ludzi, rozpychając się energicznie. Rzut oka do tyłu. Ścigał go już tylko jeden mundurowy, dzieliło ich jakieś dwadzieścia metrów. Ełowi na pewno starczyłoby kondycji, aby śpiewająco urwać się temu glinie, tyle że miał inny pomysł. Nie wiedział, jak szybko i jak duże wsparcie może wezwać ten funkcjonariusz. Być może wcale nie zamierzał tego zrobić, jednak El nie mógł ryzykować.

Cała ta robota okazała się jedną wielką katastrofą. Ale kiedy już się zaczęło...

– Stać! – wrzasnął ścigający go mężczyzna. – Policja!

Przechodnie rozejrzeli się zaskoczeni i zamiast zatrzymać Ela, ustępowali mu z drogi. Zwolnił. Policjant był coraz bliżej.

– Stać!

Dzieliło ich około ośmiu metrów.

El przystanął, odwrócił się i ruszył pędem prosto na mundurowego. Zanim ten zdążył zareagować, wpadli na siebie. Jednym celnym ciosem w skroń El powalił policjanta na ziemię. Kolejne uderzenie pozbawiło go przytomności. Przechodnie zaczęli uciekać z krzykiem. El zabrał tamtemu broń i skrupował mu ręce i nogi. Cała akcja zajęła pięć sekund. Potem zerwał się i ruszył pędem z powrotem w stronę skrzyżowania. Z daleka dostrzegł pozostałych policjantów ścigających po dwóch innych ulicach jego kompanów. Na ulicy, na której ich wcześniej zatrzymano, zrobił się korek i panował zamęt. Nad dachami samochodów El dostrzegł w odległości około stu metrów rovera, a za nim migające niebieskie światła radiowozu. Zdawał sobie sprawę, że przechodnie, którzy przed chwilą obserwowali jego akcję, być może zadzwonili już na policję. Ruszył w kierunku rovera, przyczał się w wejściu do jakiegoś domu i obserwował sytuację. Wyglądało na to, że nikt za nim nie biegnie. Zyskał czas na drobny kamuflaż. Zdjął koszulę, wywrócił ją pomarańczową stroną na wierzch i włożył z powrotem. Ale nie wcisnął jej w spodnie, tylko zostawił luźno zwisającą. Właśnie z myślą o takich sytuacjach on i jego koledzy używali dwustronnej odzieży. Z górnej kieszeni bojówek wyjął zieloną czapkę z daszkiem z dużym logo popularnej marki. Ze stroju mrocznego ochroniarza zostały już tylko szare spodnie. Stary trik: jeśli nie chcesz rzucać się w oczy, zachowuj się ekstrawagancko, ponieważ wtedy nikt nie będzie podejrzewał, że próbujesz się ukryć. Zamaskowany w ten sposób odważył się przejść na drugą stronę ulicy, gdzie ustawił się w bramie, z której miał lepszy widok na rovera. Wiedział, że nie będzie mógł tutaj tkwić wiecznie. Ale może uda mu się ustalić los trojga pasażerów z bagażnika samochodu, do którego policjanci grzali jak opętani.

– Mężczyźni odmówili poddania się kontroli i uciekli – oznajmił funkcjonariusz przez telefon. – Koledzy podjęli pościg.

– Uciekli? – spytała Maja w osłupieniu. – Jak to możliwe?

Właśnie opuściła Estate i nie bardzo wiedziała, dokąd ma się teraz udać.

– Najpierw samochodem, a potem pobiegli. Byli uzbrojeni. Przed czym, nawiasem mówiąc, nikt nas nie ostrzegł.

– Nie ostrzegł?! – Przecież Maja powiedziała o tym ludziom w centrali. Czego jeszcze nie przekazali? – A co z rzekomo uprowadzonymi?

– O czym pani mówi?

– W tym samochodzie znajdowały się podobno trzy porwane osoby. Znalaziono kogoś? Albo uwolniono?

– Nie. Nic takiego nie zauważyłem. Zaraz podejść bliżej. Ale o ile dobrze widzę z tego miejsca, samochód jest pusty.

– Ilu ich uciekło?

– Według wstępnych informacji pięciu. Wszyscy ubrani na ciemnoszaro albo czarno.

Maja słyszała, że mężczyzna z kimś rozmawia, ale nie rozumiała słów. Po chwili funkcjonariusz znowu zwrócił się do niej:

– Stoję przy roverze. Razem z kolegą, który do tej pory zajmował się przechodniami. Auto jest puste. Również bagażnik.

– Ja pier... – Maja zdławiła przekleństwo. – Czy w pobliżu nie widać kobiety i dwóch mężczyzn? Jeden jest dosyć wysoki, a kobieta bardzo atrakcyjna.

– Jest tu trochę ludzi – powiedział policjant – ale nikogo takiego nie widzę.

Maja wydała przeciągły bezgłośny krzyk.

– To, że uciekliśmy, czyni nas podejrzanymi – powiedział Fitzroy. – Nie wspominając już o tych przeklętych więzach. – Zaczął trzeć plastikowe bransoletki o ostry kant zamka.

Oparci plecami o drzwi wejściowe do jakiegoś domu stali nieco ponad dwieście metrów od rovera. W powszechnym chaosie nikt nie zwracał na nich uwagi.

– Policja powinna wreszcie zrobić to, co do niej należy. W hotelu na pewno są kamery monitoringu, które wszystko zarejestrowały.

– W każdym razie wygląda na to, że porywacze zniknęli – powiedziała Jeanne. – Waszym zdaniem to ci sami, którzy zabili Thompsona i Willa?

– To byli oni – potwierdził Fitzroy. – No, udało się!

Z ulgą rozcierał uwolnione z więzów nadgarstki. Po plastikowych opaskach zostały na nich jaskrawoczerwone bruzdy.

– Mógłbyś mi pomóc? – poprosiła Jeanne.

– Chwileczkę.

Fitzroy podszedł do skraju chodnika, podniósł kawałek szkła i zabrał się do przecinania plastikowych kajdanków.

– Ochroniarze Holdena też na pewno nie oddaliby nas policji – zauważył Jan.

– Chyba nie mówisz poważnie! – wykrzyknęła Jeanne. – No i jeśli za tym wszystkim stał Ted, dlaczego zostaliśmy porwani przez kogoś innego?

– Bo ktoś jeszcze wiedział o przemówieniu i maszynopisie?

– To absurdalne. Och, dziękuję!

Podczas gdy Jeanne rozcierała sobie nadgarstki, Fitz zajął się Janem. Dopiero teraz zauważył, że chłopak ściska w dłoniach komórkę.

– W całym tym zamieszaniu udało ci się nie upuścić telefonu? – spytał z uznaniem.

– Pomyślałem, że jeszcze się przyda.

– Chyba możesz się pożegnać ze swoją posadą – zwrócił się Fitzroy do Jeanne, dalej piłując więzy Jana.

– Nie tylko z posadą – jęknęła. – Ale jedno jest pewne: musimy ustalić, kto jest zleceniodawcą tych typów z rovera.

– O nie, ja mam dość – jęknął Fitzroy. – Kiedy ostatnim razem dałem się w coś takiego wmanewrować, minęła mnie lukratywna partia pokera, musiałem wisieć dwadzieścia metrów nad ziemią...

– Piętnaście – poprawił go Jan.

– To rzeczywiście duża różnica, gdybym spadł. Jeśli planujecie znowu coś w tym stylu, to beze mnie.

– Po wszystkim, co odstawiliśmy od wczorajszego wieczoru, policja ma nas w nosie – upierał się Jan. – Będą nas olewać, dopóki nie skończą się demonstracje, wcześniej nie znajdą czasu.

Fitzroy przerwał na chwilę piłowanie.

– Przetnij wreszcie – ponaglił go Jan, podsuwając mu spętane ręce. – I lepiej się zastanów, jak moglibyśmy znaleźć zleceniodawców tych gości.

– Musimy wrócić do hotelu – powiedziała Jeanne, wyjmując Fitzowi z ręki kawałek szkła, aby dokończyć dzieła. – Może ktoś w nim zna tamten samochód.

– I na pewno z radością podzieli się z tobą wszystkimi informacjami – zadrwił Fitz. – Mitch już czeka na ciebie z nowymi kajdankami. I policja, która bada nasze uprowadzenie. I nasze wtargnięcie do pokoju Willa, i, i, i.

– A masz lepszy pomysł? – odpowiedziała Jeanne, po czym ruszyła przed siebie. A za nią Jan, rozcierając obolałe nadgarstki.

– Sam, Rob, Bell, Jack, jak u was wygląda sytuacja? – spytał El przez mikrofon.

– Pozbyłem się swojego – odpowiedział pierwszy Rob.

– Ja też – dodał Jack, posapując.

– Mój sam się poddał – zameldował Bell.

El nie odrywał wzroku od tyłu samochodu jadącego kawałek przed nim. Była to taksówka, którą tamtych troje zatrzymało dwie ulice od miejsca zdarzenia. Na szczęście jemu udało się zaraz przywołać drugą.

– Okej. Ja też pozbyłem się mojego i mam znowu na oku naszych pasażerów. Złapali taksówkę i jadą w kierunku centrum. Jestem za nimi. Postarajcie się dotrzeć w to samo miejsce. Jak tylko będę wiedział więcej, dam wam znać. Sam, co z tobą?

El czekał na odpowiedź. Taksówkarz stosował się do jego zalecenia i zachowywał odpowiedni dystans od samochodu przed nimi. Przy tak intensywnym ruchu i wielu taksówkach poruszających się po ulicach istniało małe ryzyko, że zostaną zauważeni.

– Sam, odezwij się.

Jörn musiał zrobić objazd, aby ominąć demonstracje, blokady i korki. Z włączoną syreną i kogutem na dachu pędził przez berlińskie ulice, minął Checkpoint Charlie, gdzie skręcił na zachód, zostawiając Potsdamer Platz i Tiergarten daleko za sobą.

Znowu zgłosił się policjant, który kilka minut wcześniej powiedział im o pustym roverze.

– Mamy jednego – poinformował zadyszany bez zbędnych wstępów.

- Czyli kogo? – spytała Maja.
 - Jednego z pasażerów rovera, którzy uciekli.
- Pierwsza dobra wiadomość od początku tej cholernej sprawy.
- Kto to jest?
 - Nie ma żadnych dokumentów. Ale za to ma pistolet.
 - Czy panu i reszcie nic się nie stało?
 - Jeden z naszych jest ranny. Na szczęście niegroźnie.
 - To dobrze. Jadę do was. Gdzie dokładnie jesteście?

– Czyli jesteśmy umówieni – powiedziała Jeanne, gdy wysiedli z taksówki przed hotelem.

Z daleka dobiegało do ich uszu ciche dudnienie, chociaż demonstracja musiała być oddalona o pół kilometra. Setki tysięcy głosów zmieszanych z muzyką brzmiały niczym morskie fale wlewające się na brzeg. Jednostajny odgłos zakłócał tylko terkot śmigłowców krążących nad miastem.

Fitzroy i Jan zniknęli w ciżbie na chodniku, podczas gdy Jeanne po przejściu przez kordon bezpieczeństwa weszła do hotelu.

W stanie, w jakim się znajdowała, nie mogłaby zrealizować swojego planu. Pobiegnęła więc szybko do wind i wjechała na siódme piętro. Ostrożnie zlustrowała korytarz. Był pusty.

Odbicie w pokojowym lustrze potwierdziło, że jej wygląd znacznie ucierpiał. Jeanne zrzuciła kostium i bluzkę, pospieszyła do łazienki, wytarła się pobieżnie wilgotnym ręcznikiem, spryskała perfumami, włożyła świeżą bluzkę i kostium. Jeśli chodzi o fryzurę, musiało wystarczyć kilka pociągnięć grzebieniem. Dzięki dotychczasowej pracy nauczyła się w każdej sytuacji działać szybko i skutecznie, nie wyłączając dbałości o własny wizerunek. Otworzyła sejf, wzięła kilka banknotów z odłożonej w nim gotówki i chwyciła z kanapy zapomnianą komórkę. Nie była to niestety ta, którą filmowała notatki Thompsona do przemówienia.

Niecałe dziesięć minut później zmierzała już na dole do recepcji. Młodej kobiecie za lśniąca ladą podała swoje nazwisko i numer pokoju.

– Chciałabym rozmawiać z menedżerem hotelu.

Recepcjonistka obdarzyła ją niepewnym uśmiechem. Następnie zadzwoniła. Jeanne pilnie wsłuchiwała się w jej słowa. Jeśli zauważy choćby najmniejszy sygnał, że jest poszukiwana przez policję, natychmiast opuści hotel. Ale oczywiście nie mogła wiedzieć, czy wcześniej nie uzgodniono specjalnego szyfru w postaci określonych, na pozór niewinnych zdań. Nie miała wyjścia, musiała zaryzykować.

– Jedna z osób, które u nas goszczą, chce z panem rozmawiać – powiedziała kobieta do telefonu.

To nie brzmiało podejrzenie.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnąwszy się ponownie do Jeanne, rzuciła:
– Proszę o chwilę cierpliwości. Pan Kreuzer już idzie.

– Nie wierzę, że to robię – wymamrotał Fitzroy.

Po pochyłym zjeździe schodzili do hotelowego garażu na tyłach budynku. Minąwszy długi szereg w większości drogich pojazdów, dotarli do skrzyżowania w lewo, gdzie mieli do wyboru albo pozostać w części ogólnodostępnej, albo przejść do szlabanu odgradzającego strefę VIP. Wybrali to drugie. Zatrzymali się i zza węgła ostrożnie wyjrżeli w stronę przeszklonej klatki.

Stała osamotniona i pusta obok czerwonego dywanu z szeregami palm po bokach.

– Nie ma nikogo – zauważył cicho Fitzroy.

– Godzinę temu napadnięto tu na kilku ochroniarzy, obezwładniono ich, związano, a nas porwano, i policja już zdążyła zebrać wszystkie ślady i przepytac świadków? – zdziwił się Jan.

– Może jeszcze wcale nie zaczęła?

– No to nie mamy wyboru – odparł Jan i chyłkiem przemknął obok szlabanu.

– Nie wiem, o czym pani mówi – powiedział menedżer. – W garażu doszło do napadu?

Wyszedłszy zza lady recepcji, skierował Jeanne za jeden z wielkich filarów w lobby, gdzie przystanęli, i tam przysłuchiwał się jej z przechyloną na bok głową niczym ksiądz.

– Dobrą godzinę temu – potwierdziła. – Przecież ma pan tam kamery monitoringu, wskazują na to wszędzie widoczne tabliczki informacyjne. To musiało zostać zarejestrowane na nagraniach.

– Przykro mi, ale nic mi o tym nie wiadomo – rzekł mężczyzna, który przedstawił się jako Edwin Kreuzer. – A nawet gdybym miał takie informacje, mógłbym rozmawiać na ten temat wyłącznie z policją.

– Nawet gdyby pan miał? Czy to znaczy, że nie ma żadnych nagrań?

– Nie mogę tego skomentować.

Najwyraźniej się bał. Jeanne dobrze znała ten typ. Służalczy i posłuszny wykonawca poleceń, którego nic tak nie przeraża jak wywołanie sensacji.

– Jedną z napadniętych osób byłam ja! Gość pańskiego hotelu!

Rzecz jasna każdy mógł tak powiedzieć. Zwłaszcza jeśli nie istnieją na to żadne dowody.

– To... – wyjąkał Kreuzer, po czym odzyskawszy rezon, spytał: – Zawiadomiła pani policję?

– Czy to znaczy, że policjantów w ogóle jeszcze tutaj nie było?

– Nikt nie zabezpieczał żadnych śladów – oznajmił valet, marszcząc czoło.

– Ani nie rozmawiał z żadnymi świadkami. Z panem Kreuzerem przyszła tylko policjantka po cywilnemu i chciała wiedzieć, gdzie byłem po odprowadzeniu samochodu na najniższy poziom.

– Policjantka? – dopytał Fitzroy, wciskając mężczyźnie kolejne dwadzieścia euro do ręki. – Co to za kobieta?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszenie ramion. – Przyszła z menedżerem. Mniej więcej godzinę temu.

– Nie było pana tutaj przez cały czas?

– Byłem z małymi wyjątkami.

– A jak ona wyglądała? – chciał wiedzieć Jan.

Następna dwudziestka od Fitza.

– Normalnie. Niska, wysportowana, po czterdziestce. Z końskim ogonem.

Wiedzieli, o kim mówi parkingowy.

– Nic z tego – westchnęła Jeanne. – Na nagraniach nic nie widać! A kamery częściowo nie działały.

Spotkali się w zacisznej bramie domu nieopodal hotelu.

– Piękne zabezpieczenia, nie ma co! – podsumował Fitzroy. – Parkingowy też nic nie wie, a jeśli chodzi o policję, to dotarła tu tylko nasza znajoma!

– Albo oni wszyscy są w zмовie – powiedział Jan – albo ktoś celowo odciągnął parkingowego i zrobił coś z kamerami, więc rzeczywiście nie ma żadnych świadków.

– To by wymagało sporo zachodu – zauważył Fitzroy. – Nie tak łatwo zaaranżować i skoordynować coś takiego.

– A masz inne wyjaśnienie?

– Ale nawet gdyby tak było – zastanawiała się Jeanne – jak to możliwe, że Mitch i jego ludzie uwolnili się tak szybko i że nie znaleźli ich ani parkingowy, ani policjantka?

- A może oni wcale nie zostali napadnięci? – zasugerował Jan.
- Nie ma co – bąknęła Jeanne po chwili namysłu, prostując plecy. – Jest tylko jedno wyjście.
- Co zamierzasz?
- Wyjaśnić pewną kwestię – oznajmiła.

Jeanne Dalli odeszła. El wraz z Bellem, który do niego dołączył, obserwowali ją z drugiej strony ulicy. Samochody przesuwały się w ślimaczym tempie, chodniki i częściowo także jezdnie były pełne ludzi zmierzających na demonstrację.

Samarytanin i gracz zostali w bramie. Dyskutowali.

– Idź za nią – polecił El.

Bell ruszył w bezpiecznej odległości. Kobieta zmierzała w kierunku Bramy Brandenburskiej. Na konferencję. Czy na demonstrację? Chyba raczej nie.

Gracz gdzieś dzwonił. Po chwili dołączył do potoku ludzi razem z chłopakiem, który rozglądał się nerwowo.

„Masz rację, młody – pomyślał El. – Masz rację”. Szedł za nimi, zachowując odpowiedni dystans i kryjąc się za plecami ludzi.

„Dostałem zlecenie. I wykonam je do końca”.

Policjanci w mundurach odgradzili odcinek Windscheidstraße za pomocą taśmy. Po obu stronach utworzyły się już korki. Niektóre samochody zawracały i ruszały wolnym pasem w przeciwnym kierunku, aby odbić w najbliższą sąsiednią ulicę. Czterech mundurowych stało wokół człowieka spoczywającego na chodniku. Lekarz i sanitariusz zajmowali się dwoma innymi funkcjonariuszami.

Ujęty leżał na brzuchu, z rękami na plecach skutymi kajdankami. Nawet w tej pozycji wydawał się groźny. Był ubrany w stalowe bojówki i fioletową koszulę w turecki wzór, pod którą przeżyły się mięśnie godne trzech mężczyzn.

– Posadźcie go – poprosiła Maja kolegów.

Policjanci chwycili mięśniaka pod pachy i podnieśli. Również siedząc, facet wyglądał na takiego, który na śniadanie połyka małe kotki żywcem.

– Nic nie mówi – oznajmił policjant, z którym wcześniej rozmawiała przez telefon. Tibor.

Pojmany zmierzył Maję oczami ledwie widocznymi w mięsistej twarzy, po czym ze znudzoną miną zapatrzył się przed siebie między nogami swoich strażników. Widząc jego ciało, postawę i spojrzenie, nietrudno było dojść do wniosku, że nie jest to z pewnością zwykły bywalec klubów fitness o wybujałych ambicjach – to musiał być żołnierz, i to prawdopodobnie z oddziałów specjalnych. Jeśli nie chce mówić, nic go do tego nie zmusi.

– Nie ma żadnych dokumentów – powiedział Tibor, pokazując jednocześnie dwie foliowe torebki. – Za to znaleźliśmy przy nim pistolet i komórkę z miniaturowym zestawem słuchawkowym. Telefon jest chyba na kartę. Właśnie sprawdzamy odciski palców i przepuszczamy zdjęcie przez program rozpoznawania twarzy.

Maja sięgnęła po komórkę. Stary model, z przyciskami. Coś w tym rodzaju miała dziesięć lat temu. Włączyła klawisz uruchamiający aparat – rozbłysnął wyświetlacz. Telefon nie był zablokowany. Ktoś czuł się bardzo pewnie. Albo był nieprofesjonalny. Po kilku próbach znalazła rejestr połączeń. Mężczyzna komunikował się tylko z jednym numerem.

Zadzwoiła do centrali.

– Potrzebny mi właściciel komórki o następującym numerze. – Podyktowała szereg cyfr. – I jeśli to możliwe, jego aktualne miejsce pobytu. Na cito. Chodzi o sprawę Thompsona. – Po czym zwróciła się do Tibora: – Na razie ją zachowam. A gdzie rover?

– Stoi za rogiem.

Na Kantstraße korek był jeszcze większy niż wcześniej. W kieszeni spodni Mai zabręczał dzwonek telefonu.

Nie знаła numeru, który się na nim pokazał.

– Paritta.

– Edwin Kreuzer, The Estate. Pomyślałem sobie, że to może panią zainteresować: Jan Wutte i Fitzroy Peel byli znowu w hotelu.

Maja wstrzymała oddech, po czym bardzo powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Co to znaczy: *byli*?

Miała ochotę udusić tego faceta gołymi rękami.

– Operatorzy obsługujący monitoring zawiadomili mnie natychmiast, gdy tylko zauważyli obu w garażu. Ale zanim dotarłem tam z ochroną, już zniknęli.

– Wie pan chociaż, dokąd poszli?

– Nie. Nie mamy kamer na zewnątrz. À propos kamer: w tym samym czasie była u mnie pani Dalli i twierdziła, że została napadnięta w garażu, a potem porwana. Chciała zobaczyć nagrania z garażu. Dokładnie te same, które pani oglądała po wizycie w apartamencie.

Maja zdławiła jęk.

– I jej pewnie też już nie ma w hotelu...

– Opuściła go parę minut temu.

– W takim razie po co pan dzwoni?

– Proszę zrozumieć, że ja mam też inne rzeczy do roboty – tłumaczył się Kreuzer. – Jako menedżer dużego hotelu muszę zarządzać nieustającym kryzysem.

„Możemy się zamienić choćby na jeden dzień”.

– Domyślam się, że nie wie pan, dokąd udała się pani Dalli.

– Przykro mi...

– Czy kamery hotelowe nie obejmują ani kawałka terenu bezpośrednio przed wejściem do budynku?

– Obejmują fragment podjazdu i postój taksówek należący do hotelu.

– Proszę sprawdzić, czy nie widać jej na nagraniach. Jeśli coś pan znajdzie, proszę mi dać znać. Bezzwłocznie!

Nad ich głowami krążyły helikoptery, zataczając rozległe kręgi. Wzdłuż linii, która w okolicy Bramy Brandenburskiej dzieliła kiedyś Berlin na wschodni i zachodni, mur policjantów – hełm przy hełmie, ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy – odgradzał miejsca konferencji przy Potsdamer Platz. Niedaleko stamtąd, przed samą Bramą, na dwóch potężnych ciężarówkach wznosiła się scena, a na niej dawała czadu jakaś kapela rockowa, od czasu do czasu zagłuszająca nawet huk śmigłowców.

...jamás sera vencido. El pueblo unid...

...jamás sera vencido! – wtórował wielotysięczny chór. Wiele osób czytało tekst z telefonów.

Fitzroy rozpoznał refren chilijskiej pieśni rewolucyjnej z lat siedemdziesiątych, mimo rockowej wersji z rosyjskimi wstawkami i nieco zmienionego tekstu. Od estrady dzieliło ich jeszcze około dwustu metrów, nieopodal po prawej był pomnik pomordowanych Żydów, po lewej – Tiergarten. Najpierw zobaczył między uniesionymi pięściami machającą ku niemu rękę. Fitzroy, który odzyskał prepaid Jana i wciąż trzymał go przy uchu, także pomachał. Przez tańczących i śpiewających ludzi obaj przecisnęli się do Kim i Nidy. To demonstracja czy impreza?

– Widzisz, co tu się dzieje?! – krzyknęła Kim.

Byli w czołowej części zgromadzenia, tuż przy niedużej platformie zastawionej laptopami, komputerami, megafonami, mikrofonami i innym sprzętem, na której Fitzroy dostrzegł także Amistad, Argentynkę, poznaną poprzedniego wieczoru w squacie.

– Jeśli chodzi o ten numer rejestracyjny, musisz poczekać, aż skończy się demonstracja. Może go sprawdzić tylko paru specjalistów.

– To dla nas bardzo ważne! – wrzasnął Jan.

– Naprawdę zostaliście porwani? – spytała Nida, przekrzykując zgiełk.

– Tak – odpowiedział Fitzroy. – Ale uciekliśmy.

– Całe szczęście, że nic się wam nie stało. Dopadła ich policja?

– Nie mam pojęcia.

– Dlatego informacja o numerze przydałaby się nam jak najszybciej – naciskał Jan. – Po demonstracji może być za późno.

– Kim, gdzie jest twoja babcia? – zainteresował się Fitz.

– Kręci się gdzieś ze swoimi koleżankami. To stare działaczki związkowe.

Amistad, która wypatrzyła ich w tłumie, dała im znak, aby podeszli bliżej platformy. Cała czwórka ruszyła w jej kierunku.

– To wy mieliście maszynopis Thompsona? – spytała Argentynka. – Zdjęcia tych paru stron i wasze szkice wyglądały bardzo obiecująco. Przynieśliście resztę?

– Niestety nie.

– Dlaczego?

– To długa historia.

Zespół skończył swój ostatni utwór solówką na perkusji i przy gromkim aplauzie setek tysięcy słuchaczy opuścił scenę przed Bramą Brandeburską.

– Posłuchaj... – zaczął Jan, ale Amistad była szybsza.

– Szkoda. Ale dzięki źródłom widocznym na zdjęciach dotarliśmy do innych ciekawych prac. Parę osób z naszego zespołu już je studiuje.

– *Dottore!* – krzyknęła nagle, przyciągając z platformy szczupłego, brodatego mężczyznę z włosami splecionymi w warkoczyk, ubranego w T-shirt i marynarkę. Miał żywe spojrzenie i przypominał Fitzroyowi przywódcę hiszpańskiej Podemos.

– To właśnie oni – oznajmiła mu krótko. – A to jest Marius.

– Ta wasza opowiadka o chłopach i zdjęcia zdążyły stać się przebojem! – wykrzyknął Marius, siadając na brzegu platformy i spuszczając z niej nogi. – Na podstawie tego materiału ułożyliśmy program, który pozwala wypróbować ciekawe rzeczy. Popatrzcie.

Marius zaprezentował im w swojej komórce kolorową wersję szkicu wsi narysowanego przez Fitza. Poniżej znajdowała się tabelka.

– Tutaj dla każdego z czwórki możesz osobno ustawić różną początkową liczbę kłosów, różne roczne stopy wzrostu i różne kwoty dystrybucji. W zależności od tego zmienia się ich indywidualny dobrobyt. I da się to śledzić przez czterdzieści lat. To taka uproszczona prezentacja wzrostu i podziału dobrobytu w społeczeństwie. Bo chyba o to w tym chodziło, prawda?

– Tak przypuszczam – odparł Fitzroy. – Między innymi. – Bystrzaki.

Z kilku zdjęć ktoś bardzo szybko wyciągnął prawidłowe wnioski. I równie szybko przełożył je na program komputerowy. Fitzroy wypróbował grę Mariusa. Kliknął, przesunął. Pomysłowe.

– Wzrost, wzrost, nic tylko wzrost! – wybuchnęła Kim, która pilnie śledziła ich rozmowę. – Nie mogę już tego słuchać. Konsumujemy, jakby istniały co najmniej trzy światy, a wy dalej gadacie o wzroście. Każdy wzrost i rozwój mają granice!

– Faktycznie – powiedziała stojąca obok niej Nida i pokazała im swój telefon. Na wyświetlaczu widoczne były ostatnie doniesienia o panice na giełdach, wypowiedzi zaniepokojonych szefów firm i polityków. – To wygląda raczej na wielką katastrofę niż na wzrost.

– A potem i tak wszystko zacznie się od początku – dodała Kim. – Boom, zapaść, boom...

– Och, Kim – westchnął Marius. – Już ponad dwieście lat temu stary poczciwy Malthus zwrócił uwagę, że wzrost demograficzny doprowadzi ludzkość do katastrofy. Do której nie doszło, ponieważ Malthus nie docenił postępu technicznego i społecznego.

– Czyli twoim zdaniem możemy dalej postępować tak jak dotychczas – denerwowała się Kim – i bez ograniczeń wyniszczać naszą planetę? Którą przecież mamy tylko jedną.

– Nic takiego nie powiedziałem – odparł Marius. – Uważam, że znajdziemy rozwiązania.

– Może takie jak globalne ocieplenie? – prychnęła Kim.

Konferansjerka na estradzie zapowiedziała następną grupę.

– Niewykluczone, że to jest jakieś rozwiązanie – wtrącił Fitz, mając na myśli koncepcję Willa. – Prace londyńczyków pokazują przecież, że można różnie kształtować wzrost indywidualny i wzrost ogólny. W materiałach Thompsona i Cantora był fragment poświęcony temu, jak osiągnąć taki stan: postwzrost całej gospodarki, podczas gdy indywidualny dobrobyt mimo wszystko rośnie.

– To kwadratura koła! – krzyknęła Kim.

– Bynajmniej – zaproponował Fitzroy. – Czysta matematyka...

– Dlatego koniecznie jest nam potrzebny ten maszynopis – stwierdził Marius.

– Pewnie ktoś z tamtych go ma – powiedział Fitz, wskazując głową w kierunku Pariser Platz. – Tylko nie chce, aby został opublikowany.

– Nic dziwnego! Masz na myśli kogoś z uczestników szczytu?

– Tak.

– Myślicie, że udałoby się wam coś wskórać?

– Trzeba by zadać komuś parę pytań.

– Akurat to może dałoby się załatwić. Ale musielibyście się pospieszyć.

Jeanne minęła kordon bezpieczeństwa na Hannah-Arendt-Straße. O tej porze trwało już uroczyste otwarcie i prawie wszyscy uczestnicy słuchali pierwszych przemówień. Dalli podeszła do prowizorycznej recepcji, za którą kilkunastu młodych mężczyzn i kobiet w ciemnych garniturach i kostiumach odgrywało rolę komitetu powitalnego. Obok stało dziesięć metalowych bramek monitorowanych przez uzbrojonych policjantów w hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Było to jedno z ośmiu oficjalnych przejść.

Jeanne pokazała swój dowód.

– Jeanne Dalli – powiedziała. – Znajdzie pani moje nazwisko na liście uczestników.

Młoda kobieta za stołem recepcyjnym rzuciła okiem na dokument, następnie wpatrzyła się w monitor przed sobą. Zmarszczyła czoło.

– Przykro mi, ale cofnięto pani przepustkę – oznajmiła z rozdrażnieniem.

– Cofnięto? – spytała Jeanne. – Dlaczego?

Zdawała sobie sprawę, że do Teda nie powinna dzwonić. Do George'a? Czy lepiej w ogóle do nikogo blisko związanego z Holdenem?

– Nie mam informacji na ten temat – odpowiedziała kobieta, mierząc Jeanne krytycznym spojrzeniem.

Może lepiej się stąd zmyć i nie czekać, aż ktoś wpadnie na wspaniałą pomysł i zawiadomi policję.

– Wystarczy odrobinę się spóźnić i zaraz... – Chwyciła swój dowód. – Skoro tak, trudno. – Odwróciła się i odeszła z podniesioną głową. Czuli, że pali ją w żołądku.

Jan i Fitz ledwie nadążali za Amistad. Po nocy i przedpołudniu pełnych przeżyć teraz jeszcze jogging. Co będzie następne? Amistad wyprowadziła ich z tłumu demonstrantów, by szerokim łukiem dojść na tył Pariser Platz. Na Mauerstraße i Behrenstraße znajdowały się blokady policyjne: szerokie barykady z grubej siatki, zapór przeciwczołgowych, radiowozów, pojazdów wojskowych, armatek wodnych, a do tego setki policjantów z pełnym wyposażeniem. Prawdopodobnie na wszystkich dachach leżeli snajperzy. Jan poczuł się nieswojo.

Tylko gdzieś widać było zabłąkanych pojedynczych demonstrantów lub zwykłych przechodniów.

– Czy pomysły tego noblisty i innych rzeczywiście mogłyby zapobiec temu wszystkiemu, co właśnie się dzieje? Krachowi, masowemu bezrobociu, wojnom? – zwrócił się do Fitz’a Jan, ponieważ zadał sobie w duchu pytanie, czy cała ta sprawa warta jest kolejnej ryzykownej akcji.

– Tym razem prawdopodobnie już nie – odpowiedział Fitz – albo tylko częściowo. Ale w dłuższej perspektywie mogłyby wyeliminować to i owo.

„W dłuższej perspektywie to mnie już nie będzie. Ale na razie chciałbym jeszcze trochę pożyć”, pomyślał Jan.

Przy blokadzie z dwiema metalowymi bramkami nudziło się paru agentów ochrony. Garstka osób czekała na kontrolę, by móc pójść dalej.

– To tutaj – odezwała się Amistad. – To jest przejście tylko dla pracowników i serwisu. – Rozejrzała się, gorączkowo kogoś szukając.

Z drugiej strony ulicy pomachał jej ktoś z niewielkiej grupy osób w strojach kelnerów i kelnerów. Niektórzy mieli nieduże plecaki na ramionach.

– To oni.

Fitz wsunął rękę do kieszeni dzinsów i wyjął wibrującą komórkę.

– Jeanne dzwoni – stwierdził nie bez zdziwienia, spojrzawszy na wyświetlacz. Odebrał, idąc z pozostałą dwójką w kierunku pięcioosobowej grupki w czarno-białych strojach.

Jan słyszał tylko odpowiedzi Fitz’ego.

– Zabawne, bo my właśnie zamierzamy to samo.

...

– Ach.

...

– Gdzie jesteś?

...

– Spróbuję.

Opuścił telefon i zwrócił się do Amistad.

– Wiem, że to bezczelność z mojej strony, ale czy moglibyśmy przemycić jeszcze kogoś? Ta osoba jest bardzo ważna.

Argentynka zmarszczyła czoło z mało przychylną miną.

– Rozumie temat jeszcze lepiej od nas – wyjaśnił Fitz. – A przede wszystkim doskonale zna człowieka, któremu chcemy zadać parę pytań.

Amistad zastanowiła się przez chwilę i zerknęła na zegarek.

- Za ile może tu być?
- Za pięć minut.
- Ma pięć minut – oświadczyła. – Potem nas tu już nie będzie.

Rover stał zaklinowany między dwoma kompletnie rozbitymi autami. Drzwi i bagażnik były otwarte. Przednia i tylna szyba nie istniały. Drobne kawałki szkła zaścięły siedzenia, część leżała na ulicy.

Po obu stronach odgródzonej strefy pasy ruchu zostały zablokowane przez radiowozy z włączonymi niebieskimi światłami. Dwóch funkcjonariuszy w mundurach zabezpieczało miejsce wypadku – miejsce przestępstwa – inni stali przy taśmach i trzymali na dystans gapiów.

W przedniej i tylnej części karoserii rovera widać było liczne otwory po pociskach.

– Tak po prostu łomotaliście na oślep? – spytała Maja, patrząc dookoła.
– Chociaż wszędzie było pełno ludzi?

– Rzeczywiście trudno to uznać za jakikolwiek powód do dumy – przyznał Tibor. – Na pewno nie obejdzicie się bez konsekwencji.

– W bagażniku nie było nikogo? – spytała Maja.

– Nikogo nie widzieliśmy – odpowiedział Tibor. – Przy zderzeniu klapa się otworzyła, mniej więcej po dziesięciu minutach mieliśmy sytuację pod kontrolą i zabezpieczyliśmy samochód. Sama pani widzi, jak on stoi. Oczywiście ktoś mógł w tym czasie wymknąć się niepostrzeżenie.

Obejrzała bagażnik, niczego nie dotykając.

– Ci od zabezpieczania śladów są już w drodze – poinformował Tibor.

Zawibrowała komórka Mai. Esemes z centrali. I kilka zdjęć.

Z kamery monitoringu. Zrobione niedawno przy jednym z wejść do centrum konferencyjnego, gdzie przed godziną nastąpiło otwarcie szczytu.

Maja oddzwoniła natychmiast.

– Czy ona już weszła?

– Nie została wpuszczona – odpowiedział policjant z centrali. – Mimo że była na liście uczestników. Cofnięto jej pozwolenie wstępu.

– Dlaczego?

– Jeszcze nie wiemy.

Maja skończyła rozmowę.

– Dzięki – rzuciła w stronę Tibora, po czym chwyciła Jörna za ramię. – Jedziemy!

Samarytanin i gracz stali z demonstrantką oraz grupą kelnerów i kelnerek w pobliżu blokady oddalonej o kilka budynków od ambasady amerykańskiej i brytyjskiej, a także hotelu Adlon. El zajął pozycję w wejściu do jednego z domów. Hałas helikopterów i zgiełk demonstrantów zagłuszał wszystko, nawet głos w jego słuchawce.

– Ona pędzi w kierunku wschodnim – wysapał Bell.

„Do nas?!”.

Wyłoniła się około dwustu metrów za inną grupą.

El gorączkowo przenosił spojrzenie z biegnącej kobiety na demonstrantów, spośród których nagle zaczęły dobiegać okrzyki zachwytu i radości oraz oklaski.

Przyczyną nagłego entuzjazmu tłumu okazały się szybujące na pewnej wysokości nad głowami ludzi małe punkty, które szybko wzbijały się coraz wyżej. Przybywało ich z każdą sekundą, wreszcie były ich setki i tysiące. Niczym rój szpaków nad polami tworzyły dużą chmurę układającą się w ciągle nowe, fascynujące wzory.

El rozpoznał małe czarne drony.

Taki sam spektakl jak poprzedniego wieczoru. Tylko bez świateł.

Na widowisko na niebie zwrócili uwagę także ochroniarze przy blokadzie oraz grupka skupiona wokół samarytanina i gracza. Jedynie Dalli biegła niewzruszenie przed siebie i prawie już do nich dotarła.

Kolejno uruchamiane drony dołączały do pozostałych, tworząc jedną wielką całość. Przeformowywały się stopniowo i zanim El zdążył się zorientować, na niebie nad Pariser Platz powstał gigantyczny znak pokoju. Wszyscy wokół wpatrywali się w niego z zadartymi głowami. El przyłapał się na tym, że uległ owczemu pędowi i też obserwuje tę inscenizację. Gdy zaś z powrotem przeniósł spojrzenie na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stali samarytanin, Peel, Dalli i reszta, już ich tam nie było.

Dostrzegł ich przy blokadzie. Podczas gdy większość funkcjonariuszy jak zakłeta śledziła choreografię na niebie, jeden sprawdził dokumenty personelu w czarno-białych strojach, pobieżnie przeszukał ich plecaki i na koniec dał im znak, aby przeszli dalej.

W niebo unosiły się kolejne drony i w zgrabnym tańcu układały się wokół znaku pokoju w krótkie teksty w różnych językach, zlewały się z nim, oddzielały i formowały na nowo.

Ochroniarz właśnie wpuścił na teren konferencji gracza! El wybrał głosowo numer zleceniodawcy.

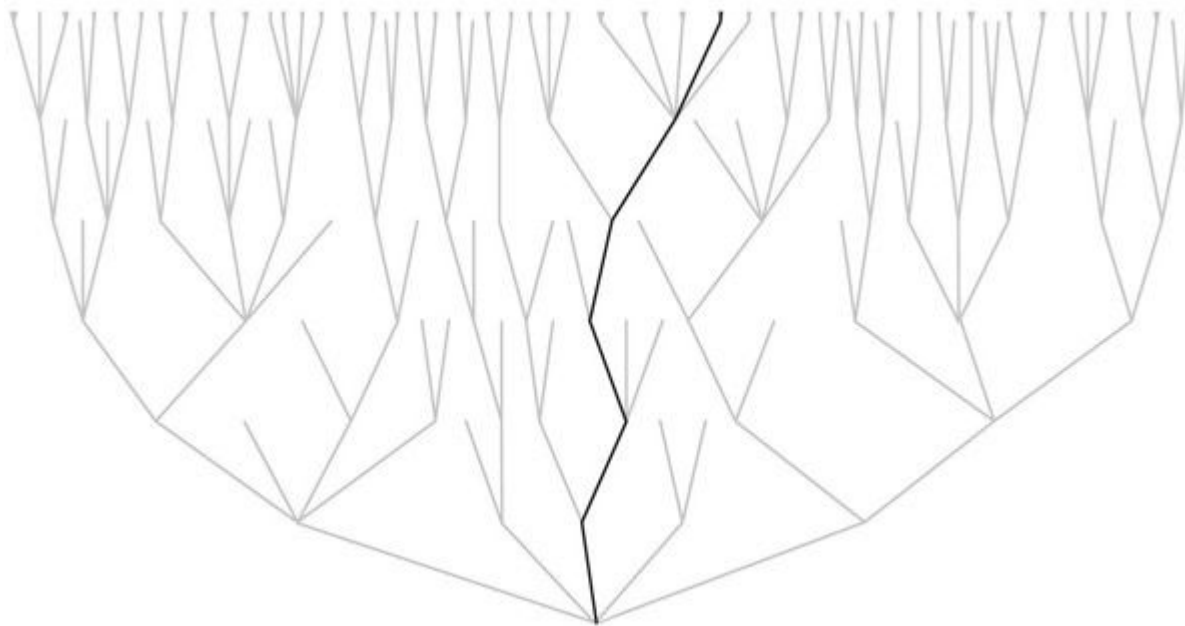
Dalli również bez problemu przeszła kontrolę.

Sygnal w słuchawce. Pozostali ochroniarze w ogóle nie zwracali uwagi na swojego kolegę wykonującego za nich obowiązki. Przedstawienie na niebie było o wiele bardziej interesujące.

Zleceniodawca zgłosił się wreszcie.

Brakowało jeszcze samarytanina i dwóch kelnerów. El nie miał wątpliwości, że to nie są kelnerzy.

Decyzja siódma



„Znajomość reguły matematycznej pomaga rozpoznać nieprawidłowości i je usunąć”

Will Cantor

Jeanne i Fitz zostali wpuszczeni za blokadę przed Janem. Ochroniarz nawet nie przyjrzał się temu, co mu pokazali. Chodzi wyłącznie o kamery monitoringu, wyjaśniła im Amistad. A funkcjonariusz był jednym z nich, przemycony do służb ochrony dużo wcześniej. Podobnie jak jeszcze dwóch członków sześćosobowej ekipy, która zresztą w ogóle nie zwracała sobie nimi głowy. Mimo to Jan miał nogi jak z waty, a serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. To ostatni moment, żeby zawrócić i dać sobie spokój z tym wszystkim. Maszynopis i jego zawartość już dawno przestały go interesować, dla niego liczył się jedynie dowód na własną niewinność. Ochroniarze dalej gapili się jak zaczarowani na balet dronów. Trzeba przyznać, że widowisko było równie ekscytujące jak poprzednie. I na pewno będą je pokazywać w mediach na całym świecie.

– Dowód, proszę – zwrócił się do niego kontroler.

Jan usłyszał ogłuszający szum w uszach, do oczu napłynęły mu łzy. Setki żołnierzy uzbrojonych po zęby, ciężkie pojazdy. Podjął decyzję i teraz już nie może się cofnąć, bo wzbudziłby sensację i naraził na niebezpieczeństwo innych. Pokazał dokument.

Mężczyzna popatrzył na niego spod przymrużonych powiek. Jan uśmiechnął się nieporadnie.

Znak ręką pozwalający przejść dalej.

Ciągle jeszcze naładowani adrenaliną szli szybkim krokiem wzdłuż Behrenstraße aż do Wilhelmstraße. Na skrzyżowaniu kolejna barykada całkowicie przesłaniała widok. Prowadząca do ambasady brytyjskiej Wilhelmstraße była zamknięta. Z kolei jakieś sto pięćdziesiąt metrów na wprost samochody i policjanci blokowali przejście w kierunku pomnika pomordowanych Żydów i Tiergarten. Za tą zaporą znajdowała się ambasada amerykańska. Podwójne kordony zabezpieczające.

Zdecydowanym krokiem, ale nie nerwowo obeszlą od tyłu hotel Adlon i Akademię Sztuk Pięknych, kierując się na blokadę przed ambasadą USA. Groźne spojrzenia rzucające spod hełmów, nieodparte wrażenie, że jest się na muszce niezliczonych snajperów.

W wejściu do ostatniego domu przed barykadą kilku palaczy pozwoliło sobie na krótką przerwę.

Weszli do budynku przez wjazd do podziemnego garażu. Zaaferowany personel obsługi restauracyjnej pchał wózki ze skrzynkami napojów i z kartonami z jedzeniem, biegali gorączkowo, rozmawiając jednocześnie przez minizestawy słuchawkowe; nieliczni stali oparci o ścianę, żeby przez chwilę odetchnąć. Janowi przypomniały się gry komputerowe, w których chodziło o budowanie społeczności złożonych z mrowia zabieganych postaci kręcących się beładnie na ekranie. Nikt nie zwracał uwagi na grupkę nowo przybyłych. Chociaż Jan miał poczucie, że już samo ich ubranie czyni z nich podejrzanych, nie wspominając o jego pokiereszowanej twarzy.

Razem z Amistad szli za jedną z czarno-białych postaci. Po schodach dotarli do centrum cateringowego. Tu przeważały białe uniformy, na głowach czapki kucharskie, chustki. Obłoki pary, pobrzękiwanie naczyń, gwar głosów, wyszczekiwane polecenia, pomieszanie najrozmaitszych zapachów.

Świadoma celu przewodniczka przeprowadziła ich przez tę dziką wrzawę do kolejnego korytarza, po którym kelnerzy i kelnerki biegali z pełnymi tacami w tym samym kierunku co oni, z pustymi w przeciwną stronę.

Przy najbliższych drzwiach Amistad się zatrzymała i ostrożnie za nie zajrzała. Tam zaczynał się inny świat. Czerwony dywan, eleganckie boazerie, długie stoły z białymi obrusami i dekoracjami z kwiatów. Kelnerzy rozstawiali na nich przysmaki przyniesione na tacach. Tu i ówdzie wysokie stoliki barowe nakryte białymi obrusami sięgającymi podłogi. Na nich małe wazoniki z kwiatami, wnoszące nieco pogody w tę poważną scenerię.

Po przeciwległej stronie jeszcze zamknięte liczne dwuskrzydłowe drzwi. Zbliżała się kolacja, za godzinę lub dwie setki zgłodniałych uczestników szczytu wleją się tutaj wszystkimi wejściami.

– Za foyer znajduje się sala konferencyjna – wyjaśniła Amistad. – Od tej chwili każdy robi swoje – zwróciła się do Jeanne, Fitza i Jana. – Powodzenia!

Znowu ostrożnie wyjrzała, następnie dała im znak ręką. Wszyscy po kolei weszli do foyer. Przy wysokich stolikach stali uczestnicy konferencji spragnieni pauzy w przemówieniach lub nimi niezainteresowani. Dzięki dużym monitorom z niemym obrazem zaopatrzoną w napisy można

było śledzić przebieg obrad w sali. Amistad i reszta nie zwrócili niczyjej uwagi.

Jan, Fitz i Jeanne nie zamienili ze sobą do tej pory ani słowa.

– Najpierw chciałabym pomówić z Tedem – powiedziała w końcu Jeanne.

– To my na razie tu zostaniemy – odparł Fitz.

„My?”

Odwróciwszy się, Jeanne zamierzała już przejść przez drzwi, gdy nagle Jan chwycił ją za ramię i pociągnął do tyłu.

– Uważaj – rzucił tylko.

W jednym z wyjść z dużej sali konferencyjnej po drugiej stronie foyer ukazał się wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna w garniturze, z krótko ostrzyżonymi włosami. Towarzyszył mu drugi o podobnym wyglądzie. Jan już ich widział. Przed kilkoma godzinami w apartamencie Jeanne.

Fitzroy odsunął Jeanne na bok; oboje przyłgnęli do ściany, aby nie przeszkadzać kelnerom.

– Co oni tutaj robią? – spytał cicho.

– Ochroniają Teda – odpowiedziała. – On zawsze lubi mieć ich paru w pobliżu. Nawet w najbardziej strzeżonych miejscach, takich jak to.

– Najbardziej strzeżone miejsce – rzucił z drwiną Fitzroy. – I właśnie bez problemu udało nam się tutaj dostać.

– Czy oni mogą nosić tu broń? – zainteresował się Jan.

– Nie – odparła Jeanne.

– Okej.

– Dlaczego wyszli akurat tymi drzwiami właśnie teraz? – szepnął Fitzroy.

Jan obserwował obu mężczyzn. Po wymianie kilku zdań jeden z nich został w holu, podczas gdy drugi szerokimi schodami poszedł na górę.

– Nie uda nam się przejść obok niego – powiedział.

– Rany boskie, wyprzedź go w końcu! – wrzasnęła Maja do Jörna.

To nie było sprawiedliwe, bo wioził ją w zawrotnym tempie z włączonym kogutem i syreną – byłby świetnym kierowcą rajdowym. Dotarli do południowej okolicy Tiergarten. Ruch na ulicach stawał się coraz gęstszy.

– Co mam zrobić? – spytał głos w komórce, którą Maja trzymała przy uchu.

– Ty? Ty masz przekazać zdjęcia i nazwiska kolegom pilnującym wejść w strefie konferencyjnej! Tylko uważajcie, bo niektórzy z nich są skrajnie niebezpieczni!

– Atak terrorystyczny?

– Raczej nie.

– No to co?

– Też bym chciała wiedzieć. Macie ich poszukać i jeśli znajdziecie choćby jednego, zatrzymać! A najlepiej wszystkich!

– Usunąć?

– Skąd! Działać dyskretnie!

Do centrum konferencyjnego mieli jeszcze kilometr. Na niebie w jego okolicy unosiło się wielkie stado... To nie ptaki!

We want our share! – widniał napis z gigantycznych liter! „Domagamy się naszej części!”.

Znowu.

– Super.

– Słucham?

– Nic, nic. Rób, co ci powiedziałam.

– Idę – odezwał się głos w słuchawce Ela.

Eldridge dostrzegł wysokiego faceta w garniturze podchodzącego szybkim krokiem od tyłu do kordonu bezpieczeństwa. Nad budynkiem tańczyły drony, od strony demonstracji dobiegał potężny pogłos klasycznego soulowego kawałka śpiewanego przez setki tysięcy gardeł.

...ar-i-es-pi-i...

El i Sam podeszli przez ulicę do blokady. Dopiero teraz jeden z ochroniarzy zwrócił na nich uwagę. Mężczyzna w garniturze, który przyszedł po Ela, okazał dowód tożsamości i jakąś plaketkę, prawdopodobnie przepustkę.

– Ci dwaj są ode mnie – oznajmił. – Mogą wejść.

El i Sam wyjęli dokumenty. Ochroniarz sprawdził je, następnie zajrzał do swojej listy. Wyraźnie zmieszany przenosił niepewne spojrzenie z jednego na drugiego. Jego koledzy niewzruszenie śledzili spektakl na niebie.

– Ale ich nie ma na naszej...

– Bzdura – rzucił opryskliwie garniturowiec. – Chyba pan widzi, od której strony przyszedłem. Ze środka. Skoro ja mam przepustkę i ci dwaj są ze mną, to oni też je mają. – Jeszcze raz podsunął ochroniarzowi swoją legitymację pod nos. – Czy koniecznie muszę wezwać pana przełożonego? Zależy panu na kłopotach?

– Puść ich – rzucił jeden z jego kolegów, który śledził sytuację kątem oka, od czasu do czasu odrywając spojrzenie od spektaklu na niebie.

Zacisnąwszy usta, ochroniarz służbista dał znak dwóm mężczyznom, aby przeszli dalej.

– Dokąd pobiegli? – spytał garniturowiec.

El ruszył Behrenstraße, na której wcześniej zniknęli samarytanin i gracz. Po chwili dotarł do podziemnego garażu hotelu Adlon.

– Mam już dość tej szopki – oznajmił Jan. – Wyjdę i odwrócę uwagę tego typa.

W foyer zapracowany personel sukcesywnie uzupełniał przekąski, talerze, serwetki, szklanki na szwedzkim stole i na wysokich stolikach.

– Przecież nie może mi nic zrobić. Policji raczej nie wezwie. A jeśli nawet... Jeanne potwierdzi, że wcale się do niej nie włamaliśmy.

– A podejrzenie o zabójstwo? – wtrącił Fitzroy.

– Nikogo nie zabiłem. Policja chyba wreszcie to wie. A jeżeli nie, to z naszą pomocą do tego dojdzie. Ostatecznie czegoś powinniśmy się byli nauczyć z historyjek i papierów Thompsona i Willa. Ważne są zaufanie i kooperacja.

– Owszem – powiedział Fitzroy. – Tyle że oni dwaj właśnie nie żyją.

– Zobaczymy się później – rzucił Jan, po czym wymknął się przez uchylone drzwi i dyskretnie ruszył w kierunku schodów.

Fitz nie spodziewał się po nim takiej przebojowości. Obserwował sytuację przez szparę w drzwiach.

Gdy Wutte pokonał mniej więcej połowę drogi, mężczyzna w garniturze go zauważył. Coś mówił pod nosem – prawdopodobnie porozumiewał się przez minizestaw słuchawkowy. Najpierw śledził chłopaka wzrokiem, a po chwili zaczął za nim iść.

Jan dotarł do schodów. Typ w garniturze, starając się zachowywać jak najdyskretniej, szedł jego śladem.

Jeanne chciała od razu ruszyć, jednak Fitzroy ją powstrzymał.

Garnitur obejrzał się przez ramię, ale zaraz ponownie skupił się na Janie, który już im zniknął z pola widzenia.

Fitzroy i Jeanne przemknęli przez foyer, przystanęli, chowając się za grupką skupioną wokół jednego z wysokich stolików. W samą porę, ponieważ znalazłszy się na pierwszych stopniach, mężczyzna w garniturze znowu się obejrzał. Gdy nie dostrzegł nic podejrzanego, przyspieszył kroku. Jeanne i Fitzroy dostali się do drzwi sali konferencyjnej. Pchnęli je delikatnie.

Wślizgnęli się do środka.

– Ja cię kręcę... – szepnął mimo woli Peel.

Jeanne rozglądała się uważnie. Razem z Fitzroyem wemknęła się do sali bocznymi drzwiami. Dokładnie tego się spodziewała. Pod ogromną szklaną kopułą mniej więcej trzysta osób siedziało za rzędami stolików i przysłuchiwało się mówcy, który za pulpitem na gigantycznym podium wydawał się bardzo mały. Dlatego wypełniający całą ścianę monitor za plecami prelegenta prezentował w dużym zbliżeniu jego twarz.

Większość uczestników była ubrana w garnitury, kostiumy lub odświętne stroje narodowe. Na stołach leżały przed nimi papierowe teczki, kartki, lśniły laptopy i tablety. Wiele osób miało słuchawki na uszach. Siedzieli podzieleni na osiem bloków po pięć rzędów – w czterech przednich blokach stały stoły, w czterech tylnych tylko krzesła, między którymi pozostawiono szerokie przejścia, aby dało się dotrzeć do każdego miejsca. Po bokach sali na nieco podwyższonych platformach roiło się od dziennikarzy i ekip telewizyjnych z całego świata.

Niemal wszyscy słuchali uważnie, ale w lekkim półmroku sali Jeanne odkryła też wcale niemało osób, które przez szklaną kopułę próbowały zerkać na rój dronów ponad nimi lub koncentrowały się na swoich komórkach bądź tabletach. Na kilku wyświetlaczach w pobliżu dotrzegła obrazy na żywo z demonstracji odbywającej się nieopodal, przeplatane ujęciami tańca dronów, który w tym momencie odbywał się dokładnie nad ich głowami. Na niektórych ekranach widoczne były zdjęcia ilustrujące inne wiadomości, nie brakowało też osób piszących esemesy lub nawet grających w gry. Poruszające się gorączkowo po displayach palce przypominały owady, które – zwabione i zwiędzone światłem – obijają się z desperacją o szybę, próbując wydostać się na wolność. Pojedynczy słuchacze opuszczali swoje miejsca lub właśnie na nie wracali. Jeanne doskonale znała tego rodzaju zgromadzenia. Zawsze ktoś musiał wyjść do toalety albo odebrać jakiś ważny telefon.

– Zostań tutaj – szepnęła do Fitzroya.

Zdecydowanym krokiem ruszyła pierwszym przejściem, potem skrzyła w kierunku podium, idąc wzdłuż przednich dziesięciu rzędów. Organizatorzy przydzielili najważniejszym uczestnikom szczytu stałe miejsca. Jeanne dostrzegła Teda w czwartym rzędzie, na czwartym krześle od przejścia. Krzesło po jego lewej ręce było puste.

W brzuchu centrum konferencyjnego El i garniturowiec poruszali się szybko tunelem zaopatrzeniowym między pracownikami serwisu. Raz po raz odchodziły od niego w bok węższe i szersze korytarze, ale oni podążali za głównym potokiem ludzi.

W wielkim pomieszczeniu kilkudziesięciu kucharzy pochylało się nad długimi stołami, przygotowując rozmaite przekąski. Tu parę krewetek, tam porcyjka kawioru.

Gdy garniturowiec zaczął coś mówić, El dopiero po kilku sekundach się zorientował, że facet nie zwraca się do niego.

– Okej – potwierdził na koniec, po czym poinformował Eldridge’a: – Mamy na razie skupić się tylko na dwóch osobach. Obchodzą nas Jan Wutte i Fitzroy Peel.

Z migającym kogutem w mgnieniu oka przedostali się przez blokadę dla samochodów na Unter den Linden. Z bliska obłoki dronów robiły jeszcze większe wrażenie – wyglądały zdecydowanie groźniej. Trudno było rozpoznać, co przedstawiają – pełny obraz był widoczny tylko z większej perspektywy. Jörn wyłączył sygnał świetlny i starał się jak najszybciej podjechać pod front budynku. Maja wyczytała gdzieś, że tysiące uczestników szczytu obradują w trzech miejscach w okolicy Pariser Platz.

Z piskiem opon zatrzymali się przed głównym wejściem. Wyskoczywszy z samochodu, popędzili po czerwonym dywanie do dużych przeszklonych drzwi.

Maja w przelocie pokazała swoją legitymację osobom siedzącym za stołem recepcyjnym. Dzięki obecności Jörna w mundurze nie musiała niczego wyjaśniać.

Znaleźli się w holu wysokim na kilka kondygnacji. Na ogromnym ściennym monitorze leciała transmisja na żywo z sali obrad. Setki osób w długich rzędach krzeseł słuchało mężczyzny stojącego na podium.

Zadzwoniła komórka. Centrala.

– Słucham?

– Czy pani jest *na terenie* szczytu? – Maja usłyszała pełen przerażenia głos Köstritza.

– Na szczęście tak – odpowiedziała. – Jestem zajęta, więc jeśli nie ma pan nic ważnego do przekazania...

– Mam – przerwał jej. – Jeśli będzie się tam pani zachowywać tak jak do tej pory, to się pani doigra!

– To była ta ważna wiadomość?

– Nie! – warknął Köstritz.

Trzaski na linii. Znajomy głos koleżanki, z którą kilkakrotnie rozmawiała tego przedpołudnia.

– Mam dla ciebie dwie informacje. Którą chcesz najpierw?

– Chcę tylko dobre.

– To zależy od punktu widzenia.

– Nie filozofuj, tylko dawaj.

Obok rzędów krzeseł było dość miejsca, aby przedostać się do przodu. Ted trzymał na kolanach komórkę i czytał wiadomości. Parę metrów, które zostały Jeanne do pokonania, dłużyły się jak kilometry. Jeszcze kilka godzin temu była odnoszącą sukcesy, atrakcyjną młodą kobietą w dobrze rokującej relacji z miliarderem. Otwierało się przed nią życie bajkowej księżniczki. Przynajmniej na parę lat, może nawet do dwudziestu. Nie była tak naiwna, by nie wiedzieć, że mężczyźni pokroju Teda wcześniej czy później wymieniają swoje kobiety na młodsze modele. Zbierając równocześnie coraz starsze auta, samoloty lub dzieła sztuki. Nieustannie uciekała myślami od zasadniczego tematu, prawdopodobnie po to, by nie musieć zajmować się łatwymi do przewidzenia następstwami ostatnich godzin. Mimo wszystko wciąż miała nadzieję, że Ted wytłumaczy jej zachowanie Mitcha oraz to, skąd wzięła się koperta w jego sejfie. W głębi ducha czuła jednak, że to próżna nadzieja. I że będzie musiała się zdecydować, którą drogą iść. Lecz niezależnie od tego, co postanowi, będzie to droga całkiem nowa, która nie wiadomo dokąd ją zawiedzie.

Usiadła obok Teda, jakby nigdy nic, jakby właśnie wróciła z toalety. Spojrzał na nią, nie kryjąc irytacji.

– Jeanne! Gdzie ty się podziewałaś przez tyle czasu? Już zacząłem się o ciebie martwić! – powiedział cicho. – Kilkakrotnie próbowałem się dodzwonić.

Położyła przed nim na stole swoją komórkę z wyświetloną listą połączeń.

– Ale chyba nie na ten numer.

– Masz też inne.

To w jego stylu. Czyżby rzeczywiście o niczym nie miał pojęcia? W takim razie na czyje polecenie działałby Mitch?

– Co najbardziej przeszkadzało ci w koncepcji Thompsona i Willa Cantora? – spytała prosto z mostu. – Konsekwencje dla firm finansowych, takich jak Syllabus Invest? Zapoznanie szerokiej opinii publicznej z materiałami naukowymi, z których wynika, że od lat osiemdziesiątych gospodarcze bogactwo Stanów Zjednoczonych zagarniane jest przez najbogatszych, takich jak ty? – Ktoś przed nimi obrócił się do tyłu i syknął z irytacją. – Chodzi po prostu o pieniądze? Czy kryje się za tym jakaś ideologia? Bo oni dwaj podważyli wiarygodność rynkową i konkurencyjną dzisiejszej ekonomii i polityki? Posługując się nie oderwanymi od rzeczywistości tezami, tylko jasnymi wyliczeniami. Czy też...

– O czym ty mówisz? – szepnął Ted. Wstał, ale pochylił się nieco, aby osobom siedzącym z tyłu nie zasłaniać widoku. Ruchem ręki dał jej znak, aby też się podniosła i poszła przed nim. – Porozmawiamy na zewnątrz.

Zaskoczona Jeanne ruszyła przodem.

Maja schowała komórkę i szybkim krokiem podeszła do stołu recepcyjnego, gdzie czekała na nią w napięciu gromadka ochroniarzy. Zwróciła się do niskiego z wystającym brzuchem, w o numer za dużym uniformie.

– Wszyscy pójdziecie ze mną!

– Ale my...!

– I wezwijcie swojego szefa!

– Co to ma być? – wysyczał przez zęby Ted. – Owszem, znałem treść mowy Thompsona i tamten materiał. Wy wszyscy nie docenicie skali problemu! Nawet Thompson i Cantor rozumieją go tylko marginalnie. Oczywiście jego koncepcje są słuszne. Tyle że Thompson to człowiek minionego tysiąclecia. Myślał, że tak powiem, analogowo. I w starych kategoriach: klasyczna gospodarka rynkowa, kapitalizm, pieniądz. A my zmierzamy w kierunku całkiem nowego świata. – W jego głosie dało się słyszeć nietypowe dla niego napięcie, słowa padały z ust jak pociski, szybciej i bardziej nerwowo niż zwykle. – Po co mi dzisiaj rynki, konkurencja czy pieniądze do określania cen, skoro ceny przestały już być jakimkolwiek sygnałem, a są raczej tylko odwzorowaniem danych? Skoro nieprzebrane ilości danych dostarczają mi o wiele szybciej znacznie precyzyjniejszych informacji o potrzebach ludzi i ofertach służących ich

zaspokojeniu? I w związku z tym owe dane wystarczą, aby przy wykorzystaniu odpowiednich algorytmów skutecznie dostosować dobra i usługi do popytu konsumentów i je dystrybuować, czyli innymi słowy: koordynować społeczeństwo i nim zarządzać?

– Mówisz o sobie akumulującym i posiadającym ten nowoczesny kapitał. A co z resztą świata?

Osoby, obok których się przeciskali, z rozdrażnieniem dawały im do zrozumienia, że powinni zachowywać się ciszej.

– Modele Thompsona i Willa, ewentualnie wcześniej prace londyńczyków, to kamień węgielny nowego rozumienia i nowego ukształtowania rozdziału dóbr – dodała Jeanne. – Niezależnie od tego, kto będzie sterował tym procesem.

– Żyjemy w społeczeństwie nauki – powiedział Ted, popychając ją między rzędami. Jego skulona sylwetka nie wyrażała szacunku dla innych słuchaczy, przywodziła raczej na myśl drapieżnika na polowaniu zapędzonego w pułapkę. – Dane to wiedza. A wiedza od zawsze zapewniała władzę. I w przyszłości zapewni większą niż kiedykolwiek.

– I na tym polega twój problem. Bo wiedza poszerza się tym bardziej, im bardziej dzielisz się nią z innymi. Ale wraz z nią dzielisz się też władzą.

– Z pieniędzmi, ziemią, nieruchomościami, papierami wartościowymi i każdym innym kapitałem nie jest inaczej – zauważył Ted.

– Pssst!

Okej, okej! Już prawie dotarli do wyjścia.

– Ale Thompson i Will, a także naukowcy, na których prace ci dwaj się powołują, pokazują, że długoterminowo jest to korzystne dla wszystkich – powiedziała Jeanne.

– Poza mną. Widzę, że ciągle nie rozumiesz. W przypadku rozdziału dóbr nigdy nie chodziło i nie chodzi o dobrobyt. Tylko o władzę. – Jego głowa była tak głęboko wciśnięta między ramiona, jakby Ted był bykiem gotującym się do ataku. – Herb i Cantor doszli do wniosku, że w zasadzie istnieją dwa mechanizmy. Po pierwsze: multiplikatywna, eksponencjalna dynamika przypadku, szczęścia, sprawiająca, że wszelkie bogactwa nieustannie gromadzą się w rękach paru szczęśliwców, a nie są dzielone według normalnych zasad między wszystkich. Jeśli już jesteś bogaty, bogactwo się do ciebie klei.

– A będąc takim szczęśliwcem, można jeszcze dodatkowo wesprzeć tę dynamikę, by działała na twoją korzyść, tak jak ty ostatniej nocy... – zauważyła Jeanne. – Jednak jak dowodzą londyńczycy, a za nimi Thompson i Will, istnieje też dynamika kooperacji, łączenia i dzielenia, umożliwiająca jeszcze lepszy wzrost. Jako pierwsze istoty żywe my, ludzie, możemy *świadomie* tak ukierunkować tę dynamikę, aby przynosiła jeszcze więcej korzyści, co w rezultacie służy wszystkim.

– Widzę, że rzetelnie się w to wczytałaś – powiedział Ted.

Znów wzruszył ramionami, co tym razem chyba pomogło mu nieco rozładować wewnętrzne napięcie. Zdawał się pogodzony z sytuacją, czym wzbudził w Jeanne podejrliwość.

– Ci, którzy zajmują pozycje dystrybutorów, zawsze byli najpotężniejsi w społeczeństwie – powiedziała. – To oni regulują, komu przypadną owoce takiej a nie innej dynamiki. W języku niemieckim jeden z owych mechanizmów nawet właśnie tak się nazywa: *Steuern*¹. Dystrybutorzy określają, do kogo należy szczęście. Albo przynajmniej ta jego część, którą nie da się sterować.

– Cóż za mądra i piękna kobieta – zaczął Ted. – Teraz już wiem, dlaczego jesteś taka pociągająca. Nowe technologie, takie jak sztuczna inteligencja czy może blockchain i jeszcze inne perspektywiczne projekty, nie tylko radykalnie obniżą koszty dystrybucji. Gigantyczne będą też zyski. Ten, kto będzie nimi dysponował, będzie też miał władzę w przyszłym społeczeństwie. I określał podział dobrobytu. Mogłabyś być częścią tego systemu.

– A co stoi na przeszkodzie, żeby wszyscy mieli udział w dobrobycie?

– Już o tym mówiliśmy – odparł, marszcząc czoło i udając rozczarowanie. – To, że mieliby wtedy też udział we władzy.

– Którą nie chcesz się dzielić.

– A dlaczego miałbym to robić? Herb i Cantor nie zrozumieli jednego. Wcale nie musisz dostarczać ludziom argumentów. Daj im *poczucie*, które *wygląda* jak argument. Poczucie, które wcale nie jest im obce: rzekomej dyskryminacji, ucisku, nietraktowania poważnie, moralnej wyższości i tak dalej. Oni się na to nabiorą. Nawet jeśli jesteś miliarderm i – jak to zgrabnie ujęłaś – od dziesięcioleci zagarniasz pieniądze właśnie tym ludziom.

– To będzie państwo oparte na nadzorze i zdalnym sterowaniu!

– Społeczeństwo. Państwo nie jest do tego potrzebne. Co najwyżej jako kulisy. Czym częściowo jest już dzisiaj. Ale ludzie tego nie zauważają. I łapią się na ten lep. Oczywiście czują, że w takich warunkach zaspokojenie ich potrzeb dzięki dostępnym rozwiązaniom nie zawsze przebiega tak, jak powinno. Prowadzi to do nieokreślonego niezadowolenia, które jednak można łatwo skanalizować. Robiono to zresztą już nieraz. Wystarczy im powiedzieć, że winni są cudzoziemcy. Albo państwo. Albo Unia Europejska. To emocja, która wygląda jak argument. I oni w to wierzą.

– Dla mnie ważne jest pytanie, w jaki sposób dotarłeś do materiałów Thompsona i Willa.

– Prawdziwe pytanie brzmi: w jakim świecie chcesz żyć? W moim czy w jakimś innym? – Przyjrzał się jej spod przymrużonych powiek. – Chociaż wydaje mi się, że już znam odpowiedź.

Nagle, nie wiadomo skąd, wyrosła przed nią wysoka postać. Mitch. Uśmiechnął się do niej.

– Jeanne...

Wziął ją pod rękę.

– ...nie chcą państwo – powiedziała duża twarz na ściennym monitorze.

Fitzroy, słuchając słów z mównicy, jednocześnie pilnie śledził wzrokiem Jeanne i mężczyznę, który lekko przygarbiony szedł za nią w półmroku między rzędami. Oraz tego, który właśnie wziął ją pod ramię. To był agent ochrony z jej apartamentu!

– ...co... co to ma... – rozbrzmiało z głośników.

Przez salę przetoczył się szmer. Niektórzy ze słuchaczy wstali, aby lepiej widzieć. Także Jeanne i dwaj towarzyszący jej mężczyźni przystanęli i zwrócili spojrzenia na podium.

Wiwaty z setek tysięcy gardeł wzbijały się w niebo nad Bramą Brandeburską, gdy Amistad i jej dwaj kompani opanowali scenę w centrum konferencyjnym i rozwinęli transparent. Kim śledziła przebieg wydarzeń równocześnie na ekranie nad estradą i na swojej komórce. Aplikacja demo umożliwiła transmisję na żywo. Amistad podeszła do mikrofonu, od którego mówca odsuwał się lękliwie, jakby młodą kobietę otaczała niewidzialna tarcza. Z kolei na monitorze w sali konferencyjnej zamiast jej twarzy widoczne było morze demonstrantów w Tiergarten.

– Bomba! – krzyknęła Kim, trącając Nidę. – Jednak się udało!

Fachowcy od IT zhakowali serwery konferencyjne i wyświetlali teraz w sali obrad obrazy tłumów na zewnątrz. Amistad wyrzuciła w górę zaciśniętą pięść.

– Pokój! Wolność! Sprawiedliwość!

Gdy powtórzyła te słowa, wtórowały jej już tysiące. Wzbierająca nawałnica upojona własną siłą.

Amistad opuściła pięść i skierowała ją w stronę publiczności.

– Oho, widzę, że już idą! – krzyknęła.

Ze swojego miejsca z boku Fitzroy mógł ogarnąć wzrokiem całą salę. Między rzędami foteli – z których wszyscy wstali i mówili jeden przez drugiego, a niektórzy rzucali pełne oburzenia komentarze w kierunku podium lub trzymanymi nad głową komórkami filmowali zajście – pędziło ku scenie kilkunastu mężczyzn. Towarzysze Jeanne ocknęli się z osłupienia i popchnęli ją dalej przez tłum. Chociaż jej opór był niemal

niewidoczny, Fitzroy natychmiast go dostrzegł. Wprost nie do wiary, jak szybko można dogłębnie poznać człowieka w sytuacjach ekstremalnych. A oboje takie niedawno przeżyli. Fitzroy odkleił się od ściany obok wyjścia i ruszył naprzeciw nim.

– Wobec tego – powiedziała pospiesznie Amistad, zanim zdążyli chwycić ją pierwsi ochroniarze – chciałabym wyrazić moje ubolewanie, że nie usłyszymy dzisiaj przemowy Herberta Thompsona, ponieważ wczoraj wieczorem został *zamordowany*.

„Powiedzieliśmy ci to w zaufaniu”, wściekł się w duchu Jan, stojąc w holu przed monitorem.

Salę wypełniły nabrzmiewające szepty przerywane tu i ówdzie okrzykami zaskoczenia. Ochroniarze dopadli do ludzi z transparentem. Próbowali wyrwać go z rąk towarzysom Amistad.

– Jak wiem z dobrze poinformowanych źródeł, profesor zamierzał przedstawić bardzo interesujące koncepcje.

Jan nie był sam przed monitorem, dookoła niego stali uczestnicy konferencji, którzy akurat znaleźli się poza salą, czuł się więc w miarę bezpiecznie. Kątem oka szukał swojego prześladowcy – musiał się dobrze schować, nigdzie nie było go widać.

– Te koncepcje pomogłyby rozwiązać wiele problemów, z powodu których tutaj dzisiaj jesteście!

Ochroniarze chwycili Amistad za ręce i za nogi, próbując oderwać ją od pulpitu, którego kurczowo się trzymała. Jeden z jej przyjaciół dzierżących transparent upadł na ziemię, okrywając się zmiętym płótnem, po chwili pokonany został także jego towarzysz.

– Herbert Thompson już ich nie wygłosi, ponieważ został zamordowany! – Amistad właściwie się nie broniła, tylko wciąż nie puszczała się mównicy, podczas gdy zmagający się z nią ochroniarze trzymali ją za nogi, odciągając je niemal poziomo do tyłu. – Ale są wśród nas osoby, które przeczytały tę tajemniczą mowę!

Jeden z mężczyzn zdołał w końcu oderwać prawą dłoń Amistad od krawędzi pulpitu, drugi zaś, chwyciwszy ją za włosy, odciągnął jej głowę od mikrofonu.

– I znają koncepcje Thompsona! I mogliby je nam zaprezentować!

Za chwilę również lewa dłoń Amistad będzie musiała się poddać.

– Jeanne?! Fitz?! Jan?! Któreś z was?! Czy Ted Holden?!

Ostatnie nazwisko wywołało kolejną falę szeptów.

„Czy ona zwariowała?! Po co nas w to wciąga?!”. Jan rozejrzał się nerwowo. Na szczęście nikt go tu nie zna. Nikt nie wie, że Amistad jego miała na myśli.

Ochroniarze w końcu odnieśli zwycięstwo. Ale nawet gdy wlekli Amistad po scenie, ona, wykręcając szyję, krzyknęła jeszcze w stronę publiczności:

– Chcecie poznać tajemnicę Thompsona?! – Bez mikrofonu jej głos był słyszalny tylko w przednich rzędach.

– No jasne! – zawołał ktoś z widowni dla żartu.

– Spadaj! – odezwał się ktoś inny.

– Właściwie dlaczego nie? – zareagował kolejny słuchacz.

Według Jana brzmiał całkiem poważnie.

– Dajcie jej powiedzieć do końca!

– Spadaj!

Wówczas z głośników rozbrzmiał donośny kobiecy głos, który zagłuszał pozostałe, oznajmił:

– A ja chętnie bym posłuchała.

Sala zamarła.

Fitzroy, który prawie dotarł już do Jeanne, Holdena i Mitcha, rozpoznał kobietę za mikrofonem. Jej twarz była widoczna na wypełniającym całą ścianę monitorze. Widział ją już dwa razy. Poprzedniego wieczoru w towarzystwie policjanta przed swoim hotelem, a potem to właśnie przed nią uciekli z Janem ze squatu.

Teraz stała na podium w otoczeniu wielu ochroniarzy w mundurach i garniturach.

– Maja Paritta, wydział do spraw zabójstw – przedstawiła się, wyciągając w kierunku publiczności legitymację. Na ekranach miała wielkość ulicznego plakatu. – W słowach tej kobiety na temat Herberta Thompsona może być ziarno prawdy. – Powiodła wzrokiem po sali pogrążonej w półmroku, jakby czegoś szukała. – Więc może jest też coś ciekawego w jego przemówieniu.

Podczas gdy oczy wszystkich były skierowane na podium, Mitch pchnął Jeanne w stronę wyjścia. Chociaż próbowała się opierać, nie miała najmniejszej szansy w konfrontacji z potężnym mężczyzną. Ted był już dwa kroki dalej.

– Jeanne Dalli?! – krzyknęła ze sceny policjantka. – Fitzroy Peel? Jan Wutte? Czy ktoś z was jest tutaj?

Fitzroya wytropiła w jego hotelu, można też było zrozumieć, że podczas śledztwa zdołała ustalić nazwisko Jana, ale skąd wiedziała o Jeanne? Dzięki telefonowi Kim? Czy z innego źródła? Fitzroy gorączkowo usiłował rozwikłać tę zagadkę. Czy to dla nich trojga dobry znak, czy zły?

Mitch jeszcze mocniej ścisnął Jeanne za ramię, tymczasem policjantka ponownie wymieniła jej nazwisko.

– Jeanne Dalli? Fitzroy Peel! Jan Wutte! Wiemy, co się wydarzyło!

Przecież ta sama kobieta niedawno oświadczyła jej w hotelowym apartamencie, że poszukuje Peela i chłopaka w związku z zabójstwem. I teraz wzywa ją na scenę? Mitch brutalnie pchnął ją dalej. Kilka metrów przed sobą dostrzegła w półmroku Fitzroya.

– Jesteśmy! – krzyknął Fitz. – Jesteśmy tutaj!

Jeanne gwałtowniej oparła się Mitchowi. W tej samej chwili zagroził im drogę Fitz.

– Jestem tutaj! – krzyknęła także ona. To jej jedyna szansa, aby uciec Mitchowi i Tedowi. – Jeanne Dalli!

Odwróciły się pierwsze głowy, skierowały się na nią spojrzenia.

– Jesteśmy tutaj! – zawołał jeszcze raz Fitzroy.

Obserwowany przez tłum Mitch zwolnił nieco uścisk. Jeanne wykorzystwała moment i oswobodziła się gwałtownym ruchem, na co Fitz błyskawicznie wsunął się między nią a ochroniarza, po czym oboje pospieszyli w kierunku podium. Ted i Mitch zrobili kilka kroków za nimi, ale niemal zaraz się zatrzymali i wycofali w cień.

Komisarz przywitała Jeanne i Fitzę na scenie. Za nimi stała Amistad ze swoimi towarzyszami, nadal trzymana przez ochroniarzy.

– My się już znamy – zwróciła się policjantka po angielsku do obojga poza zasięgiem mikrofonu. – Ja na razie swoje zadanie wykonałam. Proszę powiedzieć to, co możecie powiedzieć. O całej reszcie porozmawiamy później.

Nie wyglądało na to, by chciała aresztować Jeanne czy Fitzę.

– Ja? – spytała Dalli z niedowierzaniem, trochę za głośno.

Na scenie pojawił się znowu poprzedni mówca, tym razem w towarzystwie kilku siwowłosych panów gotowych protestować. Policjantka jednak ruchem ręki skłoniła ich do milczenia.

– Pani albo Peel, jak chcecie.

Jeanne objęła wzrokiem salę.

Reflektory świeciły jej prosto w oczy. Zdawała sobie sprawę, że ma przed sobą wiele znamienitych postaci, słyszała gorączkową wymianę zdań, pojedyncze okrzyki, żeby w końcu zniknęli i by kontynuowano obrady zgodnie z planem, oraz głosy przeciwne: „Nie, chcemy usłyszeć, co Thompson...”.

– Puśćcie ich – zwrócił się Fitz do policjantki, wskazując na Amistad i jej kolegów.

Komisarz zawahała się, ale zamieniwszy kilka słów z Argentyńką, dała znak ochroniarzom. Mężczyźni niechętnie wykonali polecenie, demonstranci jednak nie opuścili sceny, tylko czekali, ciekawi, co się wydarzy.

Komisarz wycofała się bez komentarza, nakłoniwszy dwóch demonstrantów, aby zeszli z podium razem z nią. Argentyńce pozwoliła

na nim zostać.

Jeanne wpatrzyła się w oślepiający blask reflektorów. Sala pełna najważniejszych przywódców państw i największych osobistości świata gospodarki czekała w milczeniu. Czy ta młoda kobieta przed nimi odważy się coś powiedzieć?

Podeszła do mikrofonu.

Fitzroy trzymał się z tyłu. Był bardzo ciekawy, co zrobi Jeanne. Czy spróbuje wygłosić mowę Thompsona? Przeczytała ją jedynie pobieżnie. A może ma fotograficzną pamięć? Czy też będzie improwizować, odnosząc się do treści, które zapamiętała i zrozumiała? Przez lata praktyki w swoim zawodzie z pewnością nauczyła się prezentować ważne zagadnienia spontanicznie i przed większymi zgromadzeniami. Poza tym jest błyskotliwa i odważna. Mimo to bez przygotowania i scenariusza to byłby spory wyczyn.

Jeanne wyprostowała się, poprawiła mikrofon i skierowała spojrzenie na widownię.

– Dzień dobry! Nazywam się Jeanne Dalli. Pracuję w jednym z funduszy hedgingowych, wcześniej pracowałam na Wall Street, a dzisiaj przed południem miałam okazję przejrzeć przemówienie Herberta Thompsona. Podobnie jak – wskazała ręką za siebie – Fitzroy Peel, również były pracownik banku inwestycyjnego, dzisiaj... nieważne.

„Błagam, nie! Mnie zostaw w spokoju!”.

Odwróciła się i z uśmiechem kiwnęła ku niemu głową, zapraszając go, aby podszedł bliżej.

Fitzroy zawahał się, gdy nagle z sali ktoś zawołał:

– Izzy?!

Przezwisko używane jedynie przez najbliższych członków jego rodziny, brata, siostry, matkę i ojca, wykrzyknięte gardłowo-nosowym głosem, jednym z pierwszych, jakie usłyszał w swoim życiu, a którego nie słyszał od miesięcy; słyhać w nim było nutę niedowierzania, przerażenia i oczekiwania. Fitzroy potrafił precyzyjnie odczytywać odcienie tego głosu i nawet dzisiaj wywoływały w nim najgłębszą sympatię i zarazem najgorętszy opór, jakby wciąż jeszcze nie udało mu się dorosnąć.

Fitz zaczerpnął głęboko powietrza i stanął za Jeanne.

Widzowie zgromadzeni przed monitorem obok Jana poszeptywali między sobą z ożywieniem, niektórzy zamierzali zejść na dół. Na ekranie Fitz rozłożył za plecami Jeanne pomiętą kartkę i wyjął komórkę, podczas gdy ona zaczęła mówić.

– Za sprawą naszych decyzji kształtujemy własne życie, kształtujemy życie innych, kształtujemy świat. Dlatego bardzo ważne jest, by wiedzieć, w jaki sposób ludzie dochodzą do swych decyzji. Herbert Thompson i Will Cantor...

Jan rozejrzył się dookoła, ale nadal nigdzie nie widział swojego prześladowcy. Policjantka nie tylko zostawiła Fitz'a w spokoju, ale nawet wprowadziła go na scenę. I kazała mu mówić. Wezwała ich wszystkich troje. Nie zrobiłaby tego, gdyby nadal uważała go za podejrzanego. Nareszcie! Jan oderwał się od monitora i ruszył schodami w dół. Pokonywał dwa stopnie naraz.

El pędził z garniturowcem, który wprowadził go do budynku, przez przejścia pod arkadami w pobliżu wielkiej sali konferencyjnej. Z otwartych drzwi docierały wzburzone głosy. Ludzie wsparci na wysokich stolikach wpatrywali się jak zakłęci w ścienne monitory ukazujące to, co działo się w sali. Niektórzy wychodzili z niej, przeklinając, inni tłoczyli się, żeby dostać się do środka. Za pulpitem na wielkim podium przemawiały dwie osoby; ich twarze na ekranie były powiększone do gigantycznych rozmiarów.

Tamta kobieta. A za nią gracz. Brakowało samarytanina.

– ...na podstawie modeli decyzyjnych wypracowujemy świadomie i nieświadomie strategie dotyczące wszystkich dziedzin naszego życia: partnerstwa, porządku społecznego, pomnażania majątku, koncepcji ekonomicznych, strategii eskalacji i unikania społecznych niepokojów, których właśnie coraz częściej doświadczamy, po rokowania pokojowe, które powinniśmy podjąć...

Garniturowiec sięgnął do guzika w uchu, słuchał. Następnie zwrócił się do Eldridge'a.

– Wasze zadanie jest skończone – oznajmił sucho i odwróciwszy się na pięcie, oddalił się w kierunku sali.

El zrozumiał. Nie musiał się nawet specjalnie wysilać. Ich zleceniodawca wystawił ich do wiatru. Mogli zapomnieć o drugiej połowie honorarium. Byli zdani wyłącznie na siebie. Albo, co gorsza,

zleceniodawca teraz ich wystawi... Żeby śledczy capnęli wykonawców i dali spokój reszcie. El do dzisiaj go nie poznał. Choć akcja w hotelowym garażu dostarczyła mu pewnych wskazówek, z których przy bliższym zbadaniu być może uda mu się wyciągnąć jakieś wnioski. Kim byli tamci goście, którym on ze swoimi ludźmi odbił zakładników w udawanym porwaniu? El zapamiętał numery rejestracyjne samochodów. Skąd się tam wzięli? I dokąd potem poszli? Kim była tamta kobieta? Teraz nie miał jednak czasu na takie rozmyślenia.

– Jack? Sam? Rob?

Po kilku sekundach, podczas których El ogarnął wzrokiem salę i tych wszystkich sytych elegantów, niemal równocześnie odezwali się trzech jego ludzie.

– *Code stealth* – rzucił krótko.

Na razie trzeba będzie się gdzieś zaszyć.

Czy ma się wydostać z hotelu przez podziemie, tak jak do niego wszedł, czy pójść na górę wielkimi schodami do głównego wejścia?

Kiedy El dostrzegł na stopniach tę przekłętą gębę, wiedział, że ma jeszcze coś do załatwienia.

Jan wyprzedził wszystkich na schodach prowadzących do dużej sali konferencyjnej. W podcieniach znajdowało się znacznie więcej ludzi niż wcześniej. Grupki zgromadzone przed monitorami oglądały Fitza – właśnie prezentował szybko naszkicowaną na kartce krzywą wieżę w Pizie. Jan przecisnął się do pierwszego z brzegu wejścia, przed którym tłoczyło się grono osób zainteresowanych tym, co dzieje się w sali. Wspiął się na palce, aby ponad ich głowami zajrzeć do środka. Dalsze przepychanie się nie miało sensu. Jan postanowił poddać się potokowi ludzi, który powoli niósł go do przodu. Z głośników rozbrzmiewał głos Fitza, mocny i pewny.

– ...jeśli u podstaw leżą nieprawidłowe modele decyzyjne, uzyskamy oczywiście złe wyniki...

„Jakie to szczęście, że nie muszę stać na tym podium”.

Tuż za nim jakiś wyjątkowo natrętny gość wcisnął mu między żebra kostki palców.

– *Stay quiet!* Ani słowa! – Jan usłyszał tuż przy uchu ochryply szept.

Jego lewe ramię ścisnęło imadło, zmuszając go do lekkiego obrotu. Gdy próbował się bronić, nacisk na plecach zamienił się w bolesne ukłucie.

– To jest nóż – wysyczał nieznajomy głos po angielsku. – I nie zawaham się wbić go głębiej. Ruszaj.

Jan się poddał. Na razie. Kim jest ten człowiek? Musiał być wyższy od niego, bo słowa docierały z góry. Dłonie miał jak łopaty. Potężny tułów popychający go do przodu niczym spychacz dziwnie przypominał jednego ze znanych mu mięśniaków. Krótkie zerknięcie kątem oka na buty i spodnie potwierdziło obawy.

Kowadło lub jeden z jego kompanów. Jakim cudem się tutaj dostał? I jak *po raz kolejny* go odnalazł? Czy na tym świecie nie ma już żadnego bezpiecznego miejsca?! Nawet w otoczeniu głów państw i największych biznesmenów, mimo wszystkich środków ostrożności obowiązujących przy tego rodzaju spotkaniach? Jana ogarnęło poczucie kompletnej beznadziei, które odebrało mu wszelkie siły. Poddał się i szedł posłusznie. Od czasu do czasu ktoś z boku obrzucił spojrzeniem ten dziwny tandem, by zaraz ponownie wbić wzrok w monitor.

Jan słyszał słowa wypowiedane przez Jeanne, ale nic z nich nie rozumiał.

Pamiętał, co się stało w parku. Pamiętał, do czego zdolni są ci ludzie. Skoro typ za jego plecami mówi, że nie zawaha się wbić mu noża między żebra, to Jan mu wierzył. A jeśli ochrona na dole przepuściła bez problemu jego, Fitzę i Jeanne, dlaczego miałyby zatrzymać tego szaleńca, na dodatek uzbrojonego w nóż?

Mimo wszystko gdzieś w głębokim zakamarku duszy Jana tliła się iskierka nadziei. „Jeszcze żyję!”.

„Unikaj ryzyka, które mogłoby cię zabić”.

Zabić może go opór. Teraz.

Brak oporu prawdopodobnie też go zabije. Tylko później.

Ostre dźgnięcia w plecy nie ustawały. Znaleźli się w foyer. Było tu zdecydowanie mniej ludzi.

Między teraz a później być może kryje się jakaś szansa.

Decyzja w warunkach zagrożenia. Znowu.

Maja chętnie posłuchałaby Dalli i Peela, ale miała coś ważniejszego do zrobienia. Ocena, czy otrzymane z centrali wiadomości są dobre czy złe, rzeczywiście zależała od punktu widzenia. Najbliższe minuty będą rozstrzygające.

Pierwsza informacja pochodziła od techników kryminalnych. Badanie krwi zaschniętej na kawałku karoserii zabezpieczonym na miejscu wypadku okazało się celnym strzałem. Na podstawie DNA ustalono, że była to krew osoby poszukiwanej międzynarodowym listem gończym z powodu podejrzenia o wielokrotne zabójstwo. Osoba ta posługiwała się wieloma nazwiskami, ale twarz miała jedną. Technicy przysłali zdjęcie. Gdy Maja je zobaczyła, poczuła ciarki na plecach. Znała ją.

Druga informacja dotyczyła numeru telefonu, który poleciła zlokalizować. Właśnie ustalono, że urządzenie znajduje się w budynku hotelu!

Dzięki pomocy kolegów, którzy zapewnili jej dostęp do lokalizacji online, Maja mogła teraz śledzić aparat na swoim telefonie. Znajdował się całkiem blisko! Próbując się zorientować w schematycznym rozkładzie centrum konferencyjnego widocznym na jej małym wyświetlaczu, stwierdziła, że czerwony pulsujący punkt powoli oddala się od zielonego pulsującego punktu, który oznaczał jej pozycję na skraju wielkiej sali.

Jeśli dobrze odczytywała mapkę, osoba z telefonem znajduje się trzy pomieszczenia dalej. Tylko w którym kierunku?

Maja ostatni raz podniosła wzrok na Jeanne.

– ...dlatego chciałabym opowiedzieć krótką historię. W pewnej wsi żyli kiedyś Ann i Bill. Oboje...

Maja wypadła z sali, nie odrywając wzroku od wyświetlacza. Prawidłowy kierunek. Przez hol z wysokimi stolikami dotarła do umiarkowanie zaludnionego bufetu z jedną przeszkloną ścianą, w którym wszyscy interesowali się nie jedzeniem, lecz bezpośrednią transmisją z wielkiej sali. Na części monitorów były widoczne obrazy z okolicznych ulic i placów. Falowało na nich zwarte morze demonstrantów, nad którym transparenty powiewały niczym żagle statków.

Gdzieś musi być wyjście w przeciwnym kierunku.

Anioł stróż Jana nawet się nie starał obchodzić ostrożnie z ostrym narzędziem przytkniętym do jego pleców. Grubym jak pień drzewa prawym ramieniem otoczył Wuttego niczym dobry przyjaciel. W lewej ręce miał nóż przyłożony do boku chłopaka. Nieustannie szukał czubkiem odpowiedniego miejsca między żebrami, aby w razie czego móc szybko i bez przeszkód wbić klingę prosto w klatkę piersiową i serce. Już nawet trochę rozciął skórę na próbę. Jan czuł ciepłą krew wsiąkającą w T-shirt, miał wrażenie, jakby był u dentysty na zabiegu bez znieczulenia. Zacinawszy zęby, panował nad sobą, aby nie wydać choćby najmniejszego dźwięku. Nie miał ochoty się przekonać, jak to jest, gdy zimny metal zanurza się w boku. Panika rozgrzewała do czerwoności każde włókno jego ciała.

– *You've been a pain in the ass* – syknął mu facet w ucho. – *You won't be a witness.*

Jesteś wrzodem na dupie. Nie zostaniesz świadkiem.

Brutalnie pchał go przez pomieszczenie, w którym cały sztab ludzi przygotowywał catering. Jan nie miał żadnego pomysłu, jak mógłby się wyrwać z imadła. Na pozór musieli wyglądać jak najlepsi kumple. Już za chwilę dotrą do tunelu z jego ponurymi niszami, zakamarkami i kryjówkami, w których w ciągu kilku chwil można niepostrzeżenie zrobić dosłownie wszystko.

Drzwi były otwarte. Dwadzieścia metrów przed nimi w tym samym kierunku zmierzał ktoś jeszcze. Z przeciwka nie zbliżał się nikt. Pod

Janem ugięły się nogi, żołądek podszedł mu do gardła.

Mężczyzna ścisnął mu ramieniem szyję i włókł go dalej. Kiedy Jan próbował stawić opór, umięśniona łapa znudzonym ruchem przywoływała go do porządku. I jednocześnie gorące ostrze wwiercało się głębiej w skórę.

– *Don't* – zachrypiał bandzior. – *It just worsens the pain.*

Bo będzie jeszcze bardziej bolało.

Wepchnął go za filar.

„Unikaj ryzyka, które mogłoby cię zabić”.

Tyle że niepodjęcie ryzyka oznaczało pewną śmierć.

Jan zacisnął lewą pięść. Skoncentrował się. Odchylił tułów najdalej, jak się dało, i zgiętym w łokciu ramieniem z całej siły uderzył przeciwnika w nos. Facet sapnął gardłowo, a jego prawe ramię zacisnęło się wokół szyi Jana jak pyton.

Chłopak z niedowierzaniem stwierdził, że w tym samym momencie ostrze noża zanurzyło się w jego lewym boku, napotykając opór nie większy niż przy krojeniu steków. Skrobnęło żebra, aż Jan poczuł gorąco, a potem z furią podsycaną desperacją ostatni raz spróbował stawić opór drągalowi.

Gdy Maja wraz z dwoma ochroniarzami znalazła się na dole, gdzie przygotowywano catering, dwie osoby opuszczały właśnie pomieszczenie po przeciwnej stronie. Olbrzym miał całkowitą kontrolę nad Janem – Maja była tego pewna, mimo że na pierwszy rzut oka ci dwaj mogli wyglądać na superkompanów. Domyśliła się, że mięśniak przyciska do boku chłopaka jakąś broń. Co prawda nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób facet przedostał się na teren kompleksu bez przepustki i z bronią, jednak zakładała, że nie jest to broń palna. Może udało mu się prześlizgnąć przez bramki z jakąś klingą ze specjalnego materiału ukrytą blisko ciała?

Dotarła do wyjścia, gdy dwie sylwetki pięć metrów dalej, w połowie zasłonięte przez ustęp muru w bladym świetle neonowej lampy zaczęły się ze sobą mocować. Ruszyła pędem, wyciągając pistolet z kabury.

– Ręce do góry! Policja! Puść go!

Między dwiema sylwetkami coś błysnęło.

Maja nacisnęła spust.

Mężczyzna upadł bezwładnie na plecy. Zwaliste ciało leżało jak martwy wieloryb.

Głowa Jana Wuttego spoczywała w zgięciu jego ramienia jak głowa kochanki w czułym uścisku.

Maja sprawdziła puls na szyi chłopaka. Nie miała pewności, czy go czuje. Ale w szoku wywołanym adrenaliną mogła się mylić.

Dwaj ochroniarze sprawdzali napastnika.

– Chyba jeszcze oddycha – powiedział jeden z nich.

Maja rozerwała koszulkę Wuttego. Z rozcięcia między żebrami sączyła się krew. Zwinęła kawałek materiału w kłębek i przycisnęła go do rany.

Pod plecami postrzelonego rosła kałuża krwi. Maja strzeliła trzy razy i trzy razy trafiła. Nie wiedziała jednak dokładnie gdzie.

– Przewróćcie go na brzuch – poleciała ochroniarzom. – Załóżcie mu na wszelki wypadek kajdanki. I opatrzcie mu rany.

Gdy mężczyźni nie bez wysiłku próbowali poruszyć ciężkie ciało, nadbiegli jeszcze trzej pracownicy ochrony, a wraz z nimi dwaj sanitariusze i lekarka.

Maja przeszukała kieszenie postrzelonego. Znalazła tylko zwykłą komórkę. Dokładnie taką samą, jaką miał gość zatrzymany przez policjantów w pobliżu rovera. Lekarka zajęła się Janem.

Ranni znaleźli się w profesjonalnych rękach. Maja nie była już potrzebna. Skupiła się więc na skonfiskowanym telefonie.

Nie odrywając od niego wzroku, ruszyła tunelem. Najnowsza sprawność *homo sapiens digitalis*: gapić się w telefon i jednocześnie iść, nie wpadając na latarnie ani przechodniów. Również ten aparat nie był zablokowany. Maja szybko sprawdziła listę połączeń. Częste równoczesne połączenia z czterema numerami. Coś w rodzaju konferencji. Jeden z nich Maja знаła – należał do faceta zatrzymanego przy roverze. Cztery numery wyczerpywały niemal cały rejestr połączeń; oprócz nich w nieregularnych odstępach pojawiał się jeszcze tylko jeden.

Ze swojej komórki zadzwoniła do centrali.

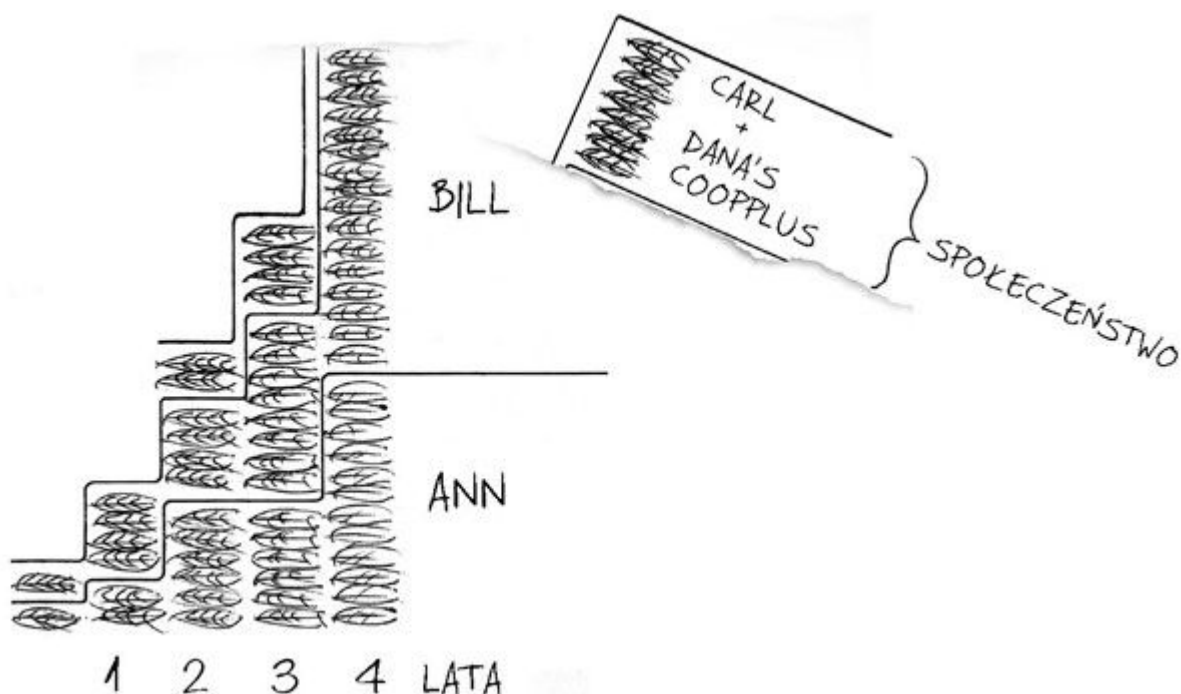
– Potrzebna mi lokalizacja czterech numerów. Na cito! Każda sekunda się liczy!

– ...w gruncie rzeczy wcale nie musimy mieć matematycznych dowodów, by wiedzieć, że współpraca, solidarność, empatia, miłość bliźniego, wzajemna pomoc, pokój – jakkolwiek byśmy to nazwali – zawsze lepiej służyły ludzkości i przynosiły wszystkim większy dobrobyt niż konkurencja, współzawodnictwo, konflikty, rozłam, podział, izolacja, barykady... – wyjaśniał Fitz. – Ponieważ jednak wielu najwyraźniej potrzebuje na to dowodu, oto on! Czarno na białym. Jest dla tych, którzy nie potrafią zrozumieć świata bez liczb. – Roześmiał się. – Jak na przykład ja.

Fitz przesunął komórkę z opowieścią o chłopach przed obiektyw kamery jednego z operatorów, którzy przez cały czas krążyli po scenie lub przed nią.

– Przewaga zasady kooperacji – włączyła się Jeanne – dotyczy oczywiście nie tylko tych czterech hipotetycznych chłopów. Ann, Billa, Carla i Danę może zastąpić każda dowolna osobista relacja, ich miejsce w tej historii mogą zająć ludzie o lewicowych czy prawicowych poglądach, miasto i wieś, młodzi i starzy, tubylcy i cudzoziemcy, Amsterdam, Pekin, Chicago czy Dar es Salaam. Albo Indonezja, Burundi, USA, Meksyk, Chile, Chiny, Nigeria, Rosja, Laos czy Dania. I każdy inny kraj, każdy kontynent.

– Ten, kto głosi *America first, Prima la nostra gente*, „Ja pierwszy”, postępuje jak Ann i Bill... – zawołał Fitzroy, po czym chwycił pomietą kartkę z rysunkiem przedstawiającym przewagę współpracy Carla i Dany i bez namysłu oderwał jej górną część, co zostało pokazane w dużym powiększeniu na ścianie za nimi.



– ...pozbawia siebie i swoich bliskich owego nadmiaru dobrobytu, który mogliby wytworzyć Carlowie i Dany współczesnego świata dzięki kooperacji. Zamiast przynosić korzyści sobie i bliskim i zgodnie z obietnicą chronić ich interesy, ktoś taki szkodzi im wszystkim!

Uniósł wysoko oderwany strzęp, czekał, aż myśl, którą wypowiedział, zapadnie w świadomość słuchaczy.

Znowu płynnie włączyła się Jeanne. Można było odnieść wrażenie, że ci dwoje nigdy nic innego nie robili, tylko wygłaszali wykłady w duecie.

– Wystarczy zastąpić lata pokoleniami, wtedy łatwo zrozumieć, jak ważne są stabilne i silne instytucje, aby utrzymać tę zasadę również na przestrzeni kolejnych generacji. A jeśli lata zastąpimy ułamkami sekund, wówczas dojdziemy do strategii gospodarki finansowej i pojmemy, jak ogromną rolę odgrywa w ekonomii czas.

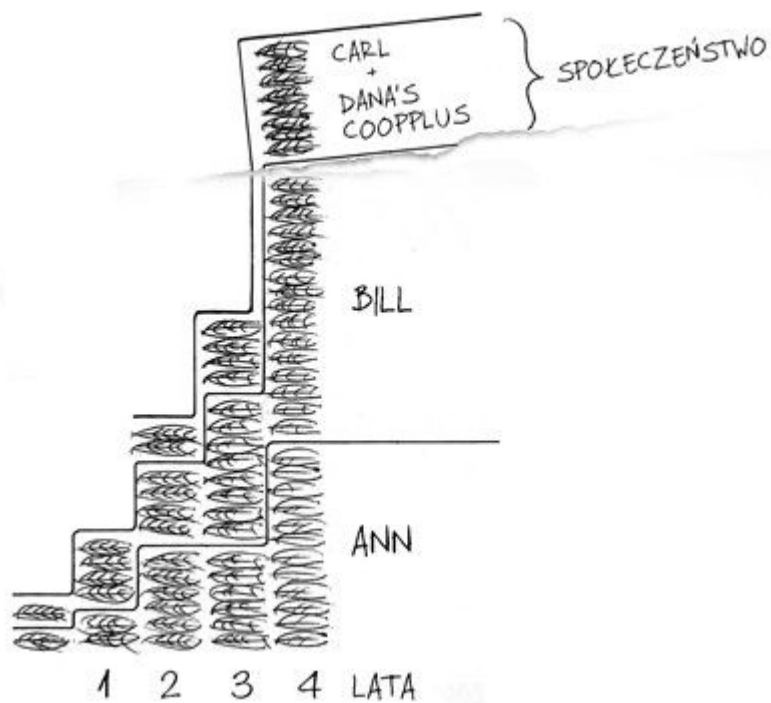
Jej oczy zdążyły się przyzwyczaić do jaskrawego światła reflektorów. Przerwawszy na chwilę, Jeanne powiodła wzrokiem po zarysach głów na widowni, po czym kontynuowała:

– Każda odnosząca sukcesy firma w ostateczności działa zgodnie z tą zasadą, podobnie jak każde udane społeczeństwo, każde prosperujące państwo: zasoby dzielone są wspólnie w taki sposób, aby przynosiły optymalny wzrost dla wszystkich. Przedsiębiorstwa i państwa, które, zamiast kooperować, stawiają tylko na konkurencję i konflikty, wcześniej czy później upadają lub w przeważającej większości ubożeją. W zglobalizowanym świecie odnosi się to oczywiście także do wymiaru globalnego.

– Weźmy na przykład piłkę nożną – wtrącił Fitz. – Czy dowolną zespołową dyscyplinę sportu. Nieustannie obserwujemy, że menedżerowie kupują najdroższych graczy, a mimo to ich drużyny nie wygrywają. Ponieważ owe gwiazdy nie grają razem, tylko każda na własny rachunek. A co się nam najbardziej podoba? To, gdy zespół dobrych zawodników, którzy się uzupełniają i dają z siebie wszystko dla drużyny, pokonuje niestanowiącą zespołu drużynę gwiazd, które są aroganckimi egoistami!

– Jeśli świat jest taką właśnie drużyną piłkarską aroganckich egoistów, to ani ona, ani żaden z jej zawodników na dłuższą metę nie wygra w walce ze zmianami klimatu, z głodem, biedą, przemocą i innymi przeciwnikami. Natomiast jako drużyna współdziałających ze sobą graczy stworzy długotrwałe korzyści dla wszystkich – wyjaśniała Jeanne Dalli, złożąwszy razem dwie części przerwanej kartki, które wzięła z rąk Fitzroya Peela.

W tym momencie bocznymi drzwiami z przodu weszła do sali Maja i zatrzymała się zaraz za nimi. Z tego miejsca widziała całą widownię. Większość słuchaczy stała, niektórzy filmowali lub robili zdjęcia. Wielki monitor na ścianie za Jeanne Dalli wypełniał wyświetlacz komórki z grafiką wyobrażającą wioskę i kłosa. Poniżej znajdowała się tabela z liczbami.



Maja wybrała numer centrali.

– I co z tą lokalizacją? To bardzo pilne!

– Właśnie w tej sekundzie dostaliśmy! Jeden z czterech numerów jest teraz w Mitte, drugi na przeciwległym końcu Unter den Linden.

– Poślijcie tam kogoś. Właściciele komórek zatrzymać.

– Maja, przecież wiesz...

– ...że po mieście kręci się paru szaleńców, którzy strzelali do naszych ludzi! Muszę ci to przypominać?

– Nie – odpowiedział cicho jej rozmówca.

– Dzięki. A co z dwoma pozostałymi?

– Na razie mamy tylko przybliżone dane. Trzeci jest gdzieś w rejonie Potsdamer Platz. A czwarty blisko ciebie.

– Blisko mnie?

Kilka głów odwróciło się w jej stronę. Maja zniżyła głos.

– Gdzie?

– Przy Pariser Platz – odparł lakonicznie jej informator. – Może nawet w budynku DZ. Zadzwoń, jak dostanę dokładne współrzędne.

„Pospieszcie się, błagam!”.

– Dziękuję – odpowiedziała tylko.

Wszyscy powinni trzymać nerwy na wodzy.

– Przecież ta historyjka o chłopach to komunizm... – krzyknął ktoś z publiczności. – Jeśli muszę oddać całe swoje plony...

– Wręcz przeciwnie – odparł spokojnie Fitzroy.

Kolejny, którego nie stać na to, żeby się zastanowić, albo który we wszystkim, co mu nie pasuje do własnego obrazu, od razu dopatruje się ukochanego ideologicznego wroga: komunistów, lewaków, idealistów, faszystów, nazistów, neoliberalów...

– Opowiadka o chłopach w uproszczony sposób wyjaśnia *zasadę* kooperacji. To, że Carl i Dana wszystko łączą i potem dzielą, to model skrajny, przyjęty w celu uproszczenia wyliczeń. W rzeczywistości chodzi o proporcjonalne...

– Przecież państwa nie robią nic innego, utrzymując systemy podatkowe i programy socjalne! – zawołał ktoś inny z widowni.

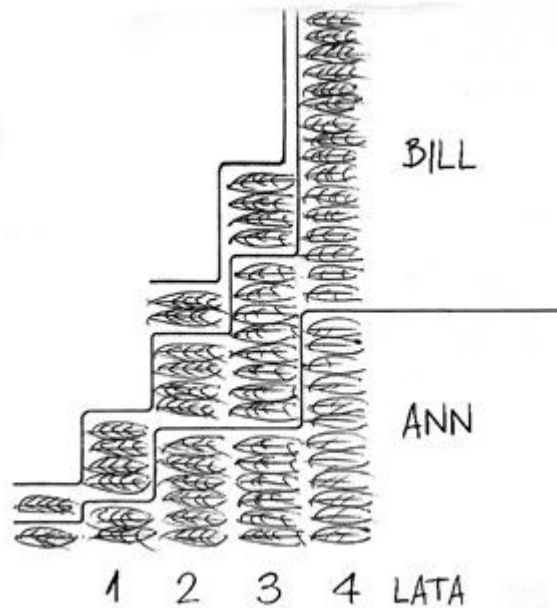
– No właśnie! – zapał z drwiną ten pierwszy. – Pracowitych i przyzwoitych karzą podatkami, a leniwym wtykają pieniądze w tyłki!

– Wręcz przeciwnie! – krzyknął drugi. – Jak ci dwaj matematycznie udowodnili, podatki i narzędzia dystrybucji, właściwie zastosowane, sprzyjają wzrostowi! Zawsze tak twierdziłem!

Fitzroy, nieco oślepiiony światłem, usiłował wypatrzyć ostatniego dyskutanta i odnalazł go w drugim rzędzie. Mężczyzna wstał z miejsca i energicznie gestykułował. Peel natychmiast go rozpoznał: to jeden z tych superbogaczy, którzy jako pierwsi przyłączyli się do inicjatywy The Giving Pledge, powołanej do życia przez założyciela Microsoftu Billa Gatesa i legendarnego inwestora Warrena Buffetta, mającej na celu przekazanie znacznej części ich majątku na cele charytatywne. Wsparcie z zaskakującej strony!

Niewiele myśląc, Fitzroy ponownie podniósł przed obiektyw kamery porwaną kartkę bez swojej ilustracji przewag korporacyjnych.

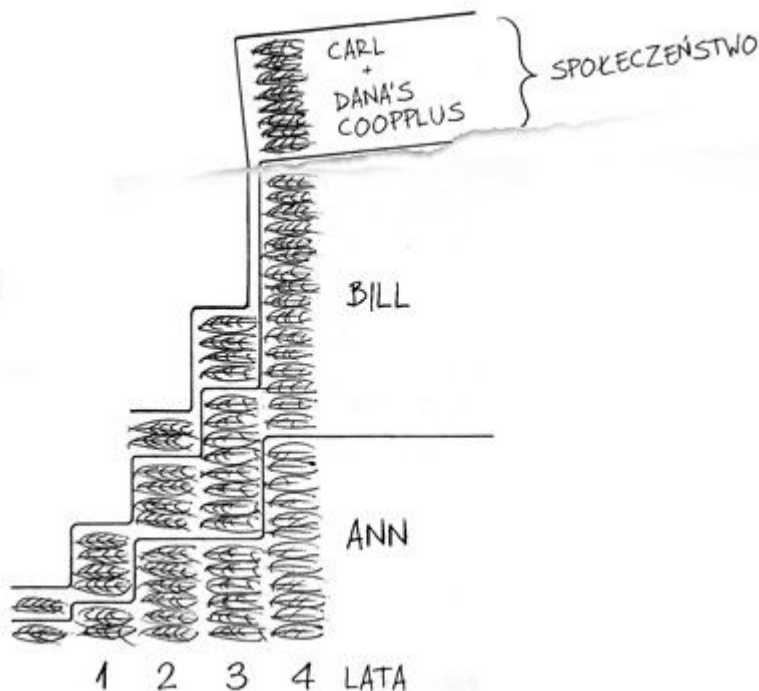
– Proszę! Ann i Bill pracują niejako bez podatków i programów socjalnych.



Następnie przyłożył do niej oderwaną część z przewagami Carla i Dany.
 – Carl i Dana stosują podatki i programy socjalne. I czerpią z tego korzyści.

– To przecież śmieszne! – rzucił pierwszy oponent.

– Sorry, ale na tym polega matematyka! – krzyknął miliarder z drugiego rzędu. – Ci dwoje właśnie to panu pokazali! I to, jak wszyscy mieliśmy się okazać przekonać, w dosyć prosty sposób. Ale niezбитy!



– Warto jednak zaznaczyć – odezwał się Fitzroy, usuwając kartkę sprzed kamery – że kluczowe słowa w tym kontekście to „właściwie zastosowane”.

– Tak jest! – ryknął pierwszy z mężczyzn.

– Oczywiście ma pan rację, że taka forma kooperacji, czyli łączenie zasobów i ich dzielenie, nie zawsze jest korzystna dla wszystkich. Zależy od tego, ile kto wkłada i ile otrzymuje.

– Otóż to! Jedni oddają wszystko, a inni dostają wszystko!

– Istotnie – odpowiedział Fitzroy. – Londyńscy matematycy, a za nimi Thompson i Cantor, udowadniają matematycznie, nie tylko empirycznie, na przykładzie Stanów Zjednoczonych, że najpóźniej od lat osiemdziesiątych dokonuje się redystrybucja od biednych do bogatych. Biedni wnoszą wkład, a bogaci otrzymują. W wielu innych krajach jest podobnie.

– To niesłychane!

– Też tak uważam – powiedział Fitzroy obojętnie. – Ponieważ Thompson i Cantor definiują łączenie i dzielenie jako kooperację, tę formę nazywają „kooperacją negatywną”.

– To coś jak wzrost negatywny! – rzuciła kpiąco gdzieś z tyłu Amistad.

– Z wyliczeń londyńczyków wynikają też pierwsze wskazówki dla właściwych stawek podatkowych, powyżej których nierówny podział bogactwa ustabilizuje się na określonym poziomie albo ponownie się zmniejszy.

– Mogłyby to być roczne podatki od majątku w wysokości od jednego do dwóch procent – włączyła się Jeanne – albo podatki od spadku na poziomie czterdziestu procent. Już teraz można powiedzieć, że ten, kto uznaje podatki od majątku i od spadku oraz wiele innych podatków za czynniki hamujące wzrost lub za niesprawiedliwe, ten albo się nie zna, albo okłamuje ludzi. Prawidłowo rozłożone stymulują wzrost. Ułatwienia podatkowe, zwłaszcza dla bogatych, w długiej perspektywie wpływają hamująco na wzrost, co zostało udowodnione.

– Od lat to powtarzam! – wykrzyknął bogacz z drugiego rzędu.



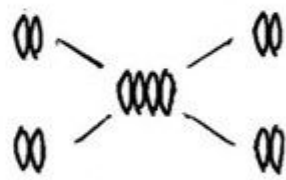



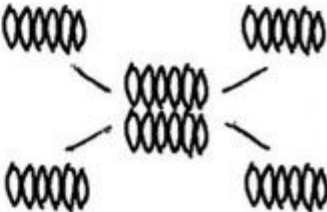



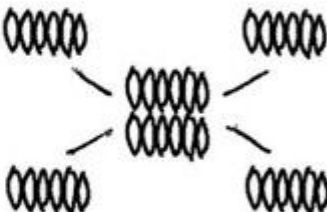





– To tak, jakby jeden z chłopów, tylko dlatego, że przez kilka lat lepiej mu się powodzi, mniej wpłacał do wspólnego worka – kontynuował Fitzroy. – Teoria skapywania zawsze była bzdurą, ale teraz mamy dowód matematyczny dlaczego! – Nie przejmując się szmerem, który przetoczył

się przez salę, dodał: – Thompson i Cantor przeanalizowali to szczegółowo.

Fitzroy zdawał sobie sprawę, że pierwszego z komentatorów z sali mocno już zirytował, a może nawet zezłościł, jednak właśnie zamierzał zaprezentować drugą kartkę, która mogła mu całkiem przypaść do gustu.

– Ale teraz – zwrócił się wprost do krytyka – pora na część, która się panu spodoba: komunizm! Wielki planista, wielki walec. Co się stanie, jeśli wszyscy będą jednakowi? Nasza historyjka o chłopach cudownie to ilustruje! Ann i Carl osiągają takie same stopy wzrostu, czyli pod względem gospodarczym są jednakowi. Podobnie Bill i Dana. Może najlepiej będzie, jeśli to państwu pokażę.

Wyciągnął komórkę i podsunął ją pod kamerę.

ROK	ANN	CARL	ANN	CARL
	0	0	0	0
1	x2	x2	x2	x2
				
2	x3	x3	x3	x3
				
3	x1	x1	x1	x1
				
4	x2	x2	x2	x2
				

- Dla przypomnienia: Ann i Carl po tej samej stronie wsi mają identyczne stopy wzrostu. Co się stanie, jeśli Carl będzie kooperował nie z Daną, tylko z Ann, która ma taką samą jak on sytuację gospodarczą? Byłoby jak w komunizmie.

Fitzroy wstukał coś w komórkę, następnie przesunął palcem po wyświetlaczu, aż wreszcie ukazał się na nim wyliczony do końca przykład.

– *Voilà!* Ann i Carl uzyskają mimo kooperacji tyle samo, jakby pracowali w pojedynkę. A ponieważ w bardziej złożonych systemach musieliby jeszcze ponosić drobne koszty transferu, okazuje się, że kooperacja między jednakowymi jest projektem przynoszącym wręcz straty. W takim przypadku rzeczywiście lepiej pracować na własną rękę.

– To samo odnosi się także do innych wielkich systemów usuwających różnice – dodała Jeanne. – Poczynając od jakichś „wiodących kultur” po faszystów, którzy uroili sobie jednolity albo „czysty” naród. Różnorodność to atut, a jedyną rzeczą, która musi łączyć wszystkich różnorodnych, jest wola współpracy!

Kim nie bardzo wiedziała, na co ma patrzeć. Na swoją komórkę czy na monitor? Czy facet, widoczny na wyświetlaczu, to naprawdę ten dziwny Anglik, który spał na kanapie u jej babci? Właśnie pokazywał do kamery kartkę z rysunkiem przedstawiającym plusy kooperacji, aby publiczność mogła porównać oba przykłady. A gdzie jest Jan, którego wcześniej wywoływała policjantka?

Podobnie jak setki tysięcy demonstrantów wokół niej i miliony ludzi na świecie, śledziła na żywo w swoim telefonie akcję Amistad i jej towarzyszy. Już samo dotarcie tam z transparentem i rozwinięcie go było gigantycznym sukcesem. Ale tego wykładu nikt nie mógł się spodziewać. Czy oni dwoje zdają sobie sprawę, że przemawiają do wielomilionowej globalnej publiczności?

– Zasada kooperacji *umiera* w następstwie zacierania różnic! – oznajmiła kobieta stojąca obok Fitz'a na podium. Nie wzbudziła sympatii Kim, wyglądała jak typowa korpolała. Ale to, co mówiła, miało sens. – *A żyje* dzięki różnaitości, różnorodności, wolności, swobodzie robienia rzeczy w różny sposób. Potrzebuje zarówno apologetów, jak i buntowników. Dopiero z wolności rodzi się różnorodność, która nadaje sens kooperacji! Język angielski pozwala tu na dokładniejsze rozróżnienie. U podstaw kooperacji leży nie bezwarunkowa wolność samotnego wilka – *freedom* – który robi i bierze, co mu się podoba, ale *liberty*, wolność ludzi pozostających w społecznych relacjach, *wspólnie* wolnych obywateli i obywateli żyjących w wolnych krajach! Których wolność jednak kończy się tam, gdzie zaczyna się sfera prywatna innych.

– A przecież różnorodność czerpie z kooperacji! – ciągnął Fitz. – To pokazuje, do jakiego stopnia ma sens postępowanie polegające na tym, że

ci, którzy w określonym czasie wytworzą więcej, część z tego oddadzą tym, którym powiodło się gorzej, aby również oni mogli otrzymać coś, jeśli kiedyś nie dopisze im szczęście. To jest zabezpieczenie na przyszłość. Tym samym ta zasada nie ujednolica wszystkich, tylko stwarza trwałe *równe szanse* dla różnych. W konsekwencji umożliwia każdemu i każdej, a zatem całemu społeczeństwu, optymalne warunki rozwoju. Dlatego też ktoś może otrzymać więcej, ktoś mniej, wedle indywidualnego wkładu i indywidualnych umiejętności. Istnieją też rozmaite bodźce i nagrody. Dopóki tylko ludzie kooperują!

– Jak państwo widzą, to nie ma nic wspólnego z komunizmem! – wykrzyknęła kobieta. – Wręcz przeciwnie! To jest najmądrzejsza i najbardziej korzystna forma kapitalizmu! Kapitalizm to cudowna sprawa!

„Słuuucham?!”, zdumiała się Kim. A jednak to jest korpolała!

– Tylko my zawsze źle go rozumieliśmy. Albo niewłaściwie nam go objaśniano. Owszem, motorem napędowym kapitalizmu jest interes własny, egoizm, chciwość! Ale jak dowodzi historyjka o chłopach, uwzględnianie interesów innych leży w najlepszym interesie każdego z nas! Z egoizmu należy współpracować! Z chciwości należy się dzielić!

„Z egoizmu należy współpracować! Z chciwości należy się dzielić!”. Zdumiona Kim rozejrzała się wokół. Na wielu twarzach dostrzegła nie mniejsze zaskoczenie, niż sama odczuwała.

– Chociaż może to brzmieć paradoksalnie – mówiła dalej ta Jeanne – interesy innych są naszymi interesami. Jezus powiedział to już przed dwoma tysiącami lat: Kochaj bliźniego swego jak siebie samego.

Okej, z tym Kim mogła się zgodzić. Lekko trąciła Nidę w bok.

– To akurat nie jest nam obce, prawda?

– Jak więc państwo widzą – kontynuowała kobieta – nie chodzi o dobro ogólne dla samego dobra ogólnego, ale o dobro jednostki.

– To nie jest żadna ideologia, to nie są żadne mgliste tezy ani żadne egzaltowane bujanie w obłokach niemające konkretnych podstaw – wtrącił Fitz, widoczny teraz i na ekranie, i na wyświetlaczu telefonu. – Jak widać, jest to czysta matematyka. Wyliczalna. Przewidywalna.

– Tyle tylko, że społeczeństwo musi oczywiście zadbać o to, aby wszyscy przestrzegali tej zasady – uzupełniła znowu Jeanne. – To znaczy trzeba nie tylko brać, kiedy wiedzie się nam gorzej, ale także dzielić się, gdy wiedzie się nam lepiej. Kooperacja jest dobrowolna, ale polega na

wzajemności. Musi postawić barierę pasożytom społecznym i osobom uchylającym się od wnoszenia wkładu. Albo przynajmniej nie dopuścić do tego, aby rośli w siłę i by ich przybywało. Wspomnę tu tylko o cum-ex, największych wyłudzeniach podatkowych popełnianych przez bogate jednostki, do których doszło po drugiej wojnie światowej. Trzeba jednak przyznać, że tego rodzaju oszustwa mają też pozytywną stronę: demaskują słabości systemu, które dzięki temu można usunąć. Jak więc miałyby to wszystko wyglądać?

Kim też chętnie by się tego dowiedziała.

– Istnieją liczne modele zaczerpnięte z teorii gier, psychologii, socjologii, biologii – mówiła dalej Jeanne ze swobodą, która nawet ją samą zadziwiła.

Być może pomagało jej to, że oślepią jaskrawym światłem reflektorów prawie nie widziała publiczności. Pomagało również rozczarowanie Tedem. Na dodatek Fitz okazał się genialnym partnerem jako prelegent.

– Wystarczy wymienić prace Roberta Axelroda. Przy czym Thompson i Cantor dokonali pierwszych niezbędnych modyfikacji, ponieważ również u tego teoretyka często występuje problematyczna korzyść oczekiwana. Dlatego w złożonych nowoczesnych społeczeństwach potrzebne są silne i godne zaufania instytucje. Państwowe, prywatne, oparte na technologiach... wszystko jedno, ale muszą istnieć. I działać.

W sali panowała cisza. Jeanne powiodła wzrokiem po publiczności. Jej słuchacze skupili się teraz na obliczaniu. I analizowaniu. Bardzo dobrze. Nawet wciąż przerywającemu oponentowi nic nie przyszło do głowy.

Maja z osłupieniem wpatrywała się w monitor wypełniający niemal całą ścianę. Liczyła po raz drugi. Słyszała tylko część wykładu, na szczęście jednak była całkiem dobra z matematyki, a prezentowane tu zadania należały do najprostszych.

– Ale najważniejsza kwestia – krzyknął ktoś z widowni – polega na tym, kto miałby decydować, ile ma wynosić wkład każdego i ile każdy ma otrzymać.

– Rzecz jasna – zaczął Fitzroy Peel – nawet w naszym „wymierzonym” i zdigitalizowanym świecie nie da się wszystkiego ująć w liczbach. I całe szczęście! Wszyscy jesteśmy na tak różne i złożone sposoby od siebie nawzajem zależni, że chyba nie ma nikogo, kto by te zależności dogłębnie rozumiał! Ale jedno teraz jest jasne: ta zasada działa, i wiemy już, jak działa!

– A jak w przypadku wszystkiego, co podlega kwantyfikacji – dodała Jeanne Dalli – mamy w ręce potężne narzędzie kształtowania. Służące trwalszemu, bardziej świadomemu i odpowiedzialnemu, stabilniejszemu i zorientowanemu na przyszłość zarządzaniu...

– Z jednej strony wolności, z drugiej strony rozdzielanie – wtrąciła jakaś kobieta z widowni. – To brzmi jak klasyczny model państwa bezpieczeństwa socjalnego. Połączenie rynku i państwa.

– Trochę tak – przyznała Jeanne. – Ale trzeba zauważyć, że w wyniku tych procesów zmianie ulegną także rynki. Jako przykład z przeszłości najlepiej dotychczas ilustrujący tę ideę Thompson i Cantor wymieniają zachodnie kraje cudu gospodarczego lat pięćdziesiątych do siedemdziesiątych. Kiedy po protekcjonizmie okresu międzywojennego i po wojnach handel światowy znowu nabrał wiatru w żagle. A instytucje, głównie państwa, przynajmniej częściowo dbały o to, aby wspólnie wypracowany dobrobyt był w miarę sensownie dzielony. Chętnie zapominamy dzisiaj, że właśnie wtedy także w USA najwyższa stawka podatkowa dla bogatych wynosiła ponad dziewięćdziesiąt procent! Tak, ponad dziewięćdziesiąt procent! Dawniej podatki były wyższe, nie niższe! To były te „stare, dobre czasy”, kiedy demokracje dotrzymywały swoich obietnic mówiących o większym dobrobycie dla wszystkich i dlatego cieszyły się popularnością.

– Jednak to nie wielki wzrost gospodarczy doprowadził do tak zwanego efektu windy, czyli do awansowania wszystkich – powiedział Peel. – Było wręcz odwrotnie! Ponieważ wszyscy mieli wystarczająco dużo środków, aby dokonał się wzrost gospodarczy, był on tak ogromny. Thompson i Cantor nie opierają się na miękkich tezach mówiących o dobrobycie i solidarności, tylko, jak już wspomnieliśmy, na twardej, konkretnej matematyce. I pokazują, co doskonale zilustrował przykład chłopów, że dobrobyt znacznie się zwiększa, jeśli podejmujemy właściwe działania. Bez nich zaś to nie nastąpi. Jeśli redystrybucja, jak często się to nazywa, zostanie przeprowadzona prawidłowo, jest nie tylko altruistyczna, przyjemna, prospołeczna. To także najlepszy *deal* dla wszystkich. Formuła dobrobytu i pokoju!

Maja ponownie zerknęła na swoją komórkę. Kiedy wreszcie dostanie precyzyjną lokalizację telefonu, z którym łączył się napastnik?

– Koncepcje Thompsona i Cantora opierają się na licznych danych empirycznych i opracowaniach naukowych ukazujących, że od lat osiemdziesiątych na przykład w USA redystrybucja dobrobytu przesuwana się na korzyść bogatych, podczas gdy wzrost gospodarczy coraz bardziej się kurczy, a zaufanie do demokracji zaczyna maleć.

– Mogliby państwo to wszystko przeczytać, ale Ted Holden – Jeanne powiodła wzrokiem po rzędach, szukając konkretnej postaci – który jest w posiadaniu tego maszynopisu, nie chce go udostępnić!

Wiele głów odwróciło się nerwowo.

Maja wzdrygnęła się, czując wibrowanie komórki w dłoni.

– Mamy go – usłyszała głos z centrali. – Sprawdź na swoim telefonie. Możesz śledzić, gdzie on jest.

Zielony punkt na schematycznym planie widocznym na wyświetlaczu migał w prawym dolnym rogu sali konferencyjnej. To ona. Specjalnie wybrała miejsce blisko podium, aby mieć widok na całą widownię. Czerwony punkt drżał, pulsował.

Gdzieś z boku, na końcu jednego ze środkowych rzędów.

Maja gorączkowo wyjęła z kieszeni skonfiskowany telefon postrzelonego przestępcy i jednocześnie zaczęła dyskretnie przesuwać się wzdłuż ściany w kierunku czerwonego punktu.

Zielona kropka była coraz bliżej czerwonej. Właściciel telefonu znajdował się zaledwie kilka metrów od niej. W okolicy jednego z bocznych wejść, gdzie panował dosyć duży ścisk. W półmroku niełatwo było dostrzec twarze. Większość osób słuchała uważnie wykładu, niektórzy pochylali się nad swoimi komórkami lub tabletami.

Maja otworzyła w skonfiskowanym aparacie listę połączeń. Znalazszy odpowiedni numer, położyła kciuk na klawiszu z zieloną słuchawką i spojrzała w kierunku, gdzie powinien być znajdować się właściciel telefonu.

Jeszcze raz sprawdziła pozycję pulsującego czerwonego punktu.

Nacisnęła przycisk.

Przyłożyła aparat do ucha.

Sygnał.

Żadna z osób w obserwowanym rejonie nie zareagowała.

Sygnał.

Maja szybko potoczyła spojrzeniem dookoła. Wyglądało na to, że nikt z obecnych nie odnotował połączenia. Albo nie chciał go odebrać.

Sygnał.

Zatrzymała wzrok na głowie z idealnie równym przedziałkiem jakieś pięć metrów przed sobą, do tej pory niemal całkowicie zasłoniętą przez innych. Zrobiła krok w bok, aby dojrzeć twarz.

George Lamack przysunął komórkę do ucha i syknął:

– Czego pan jeszcze chce? Zlecenie zakończone.

W tym samym momencie zobaczył przed sobą policjantkę. Z jednym telefonem w dłoni, z drugim przy uchu. Utkwiła w nim wzrok.

– W teorii to wszystko brzmi wspaniale, ale przecież ludzie tak nie postępują! – zawołał siwowłosa mężczyzna w garniturze. – Każdy człowiek jest z natury egoistą i...

– Myli się pan – wtrącił energicznie jakiś młodszy słuchacz bez krawata i w designerskich okularach. – Przecież jeśli ktoś spyta pana na ulicy o drogę, udzieli mu pan informacji, nie oczekując w zamian niczego poza „dziękuję”. Kiedy kilkunastu chłopców zostało odciętych w tajlandzkiej jaskini, o ich ocalenie walczyli wszyscy. Po trzęsieniu ziemi czy katastrofalnej powodzi z pomocą spieszą ratownicy z całego świata! Każdemu z nas właściwy jest odruch pomagania innym...

– Jak długo będą istnieć ludzie, będzie istnieć też konkurencja, panowanie jednych nad innymi oraz klasy! – oznajmił ze wzburzeniem kolejny słuchacz.

Na co kobieta w eleganckim kostiumie z nie mniejszą pasją odparła:

– To wcale nie jest takie oczywiste, wszystko zależy od tego, jak się ich zorganizuje!

– A skąd się biorą konkurencja i współzawodnictwo? – spytał agresywnie wysoki mężczyzna w okularach bez oprawek, zwracając się do grupy młodych ludzi. – Dlaczego w ogóle istnieją?

– Może to jest współzawodnictwo o kooperację? – zasugerował jeden z nich.

– Albo konkurencja tworzy i podtrzymuje różnice, różnorodność, a z tych różnic korzysta kooperacja – powiedziała młoda kobieta.

– Współzawodnictwo nie stanie się zbędne – zauważył inny młody człowiek – tylko otrzyma nową rolę. To nie będzie już dominujący paradygmat, przestanie być celem, a zamieni się w środek prowadzący do celu...

– Człowieczeństwo i altruizm to ma być po prostu lepszy interes?! – wykrzyknęła z oburzeniem jakaś kobieta. – Nie pozwolę zredukować swoich uczuć do jakiegoś matematycznego równania i jeszcze wmontować ich w kapitalizm!

Starszy pan powiedział do swojego sąsiada:

– Takiemu ekstremalnemu kapitaliście jak ty, który dąży do wzrostu za każdą cenę, ta koncepcja musi się chyba podobać!

– Trzeba przyznać – odparł zagadnięty – że trudno znaleźć kontrargumenty przeciw temu wyliczeniu...

– Dziwne, że nikt nie wpadł na to wcześniej! A przecież to takie proste!

– To burzy wszystkie lewicowo-prawicowo-postępowo-konserwatywne schematy – zauważył korpulentny pan w okularach, zwracając się do wysokiej damy.

– Ale kwestionuje też pozycje zdobyte przez każdą ze stron – odparła kobieta. – W koncepcji wzajemnej kooperacji nie widzę na przykład bezwarunkowego otrzymywania. Od tych, którzy chcą coś dostać, wolno również czegoś się domagać, zakładając, że oni mogą...

– ...nadwyżka wynikająca z kooperacji i współdziałania społeczeństwa zapewnia rezerwy dla autentycznie potrzebujących, ale również na potrzeby długoterminowych projektów, takich jak eksperymenty, nauka i badania, sztuka i kultura... – wyjaśnił kolejny głos. – Stwarza bufor broniący przed niespodziankami...

Jan zauważył, że wykład Jeanne i Fitza wywołał niemałe poruszenie. Opierając się na ramieniu sanitariusza, kuśtykał między słuchaczami w kierunku podium. Spod rozerwanej koszulki wyglądał szeroki biały bandaż opasujący klatkę piersiową.

– Zarządzanie firmą może wyglądać całkiem inaczej – powiedział wysoki mężczyzna o ostrych rysach do bardzo podobnego sąsiada o nieco bujniejszej fryzurze.

– Bezwzględnie. I należałoby też na nowo określić kwalifikacje kadry kierowniczej – odrzekł ten drugi w skupieniu.

Jan widział z daleka łysą czaszkę Fitza wystającą ponad kręgiem otaczających go ludzi. Nie było wśród nich Jeanne i policjantki.

– Wszystko pięknie, ale jak to przełożyć na codzienną praktykę? – Energiczny typ menedżera zadał pytanie zasepionej pani, która wyglądała bardziej na naukowca niż na dyplomatę.

– To wcale nie takie trudne – odpowiedziała. – Wielu z nas wiedziało lub czuło to od zawsze, podobnie uczą też wielkie religie i filozofie. Dawajcie, a będzie wam dane. Nie ścigajcie się o każdy cent. Wspierajcie ludzi ideami. Wspierajcie potrzebujących. Drobiazgami przyczyniajcie się do nieco rozsądniejszego rozdziału dóbr: dzielcie się rachunkiem w restauracji... dawajcie napiwek również w budce z fast foodem... płaćcie więcej swojej pomocy domowej...

„Albo pielęgniarzowi”, dopowiedział Jan w duchu.

– ...a przede wszystkim: nie liczcie bez przerwy wszystkiego!

Gdy Fitz ujrzał Jana z daleka, oswobodził się od oblegających go osób i ruszył ku niemu z rozpostartymi ramionami. Na widok opatrunku spytał z z troskaniem:

– Coś ty znowu nabroił?

– Kiedy wy się tu grzejecie w światłach jupiterów, ktoś musi odwalać brudną robotę.

Teraz Wutte dostrzegł także Jeanne, która stała poniżej podium przed pierwszym rzędem stolików, otoczona żywo gestykułującymi, rozdyktowanymi gośćmi. Reporterzy telewizyjni, unosząc kamery i mikrofony ponad ich głowami, próbowali uchwycić jakieś kadry i wypowiedzi.

Fitz nieco rozchylił T-shirt Jana. Pod bandażem zaznaczała się gruba wypukłość opatrunku uciskowego.

– Na szczęście ostrze ześlizgnęło się po żebrach, tak przynajmniej twierdzi lekarka – wyjaśnił Jan. – Gdyby... Muszę jechać do szpitala na założenie szwów.

– I to jak najszybciej – odezwał się kobiecy głos za nimi.

Komisarz Paritta zlustrowała go troskliwym spojrzeniem.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedział chłopak, wskazując na swoją ranę.

– To ja dziękuję – odparła policjantka. – My wszyscy dziękujemy.

– Złapaliście ich?

– Oprócz jednego. Ale moi koledzy na pewno zaraz go dopadną.

– Jan! – W tłumku przed podium rozbrzmiało jego imię. To Jeanne przeciskała się przez wianuszek otaczających ją ludzi. – Co się stało?! – wykrzyknęła na widok opatrunku.

– Nic takiego – odpowiedział chłopak. – Najważniejsze, że policja złapała tych drani.

– Imponujący wykład. – Maja Paritta zwróciła się z uznaniem do Jeanne. – A przynajmniej to, co słyszałam.

– To nie nasza zasługa. My jedynie zrelacjonowaliśmy w skrócie to, co przeczytaliśmy. Mielibyśmy dużo więcej do przekazania, ale Ted... Holden chyba wszystko zniszczył.

– Źródła w postaci opracowań londyńczyków nadal istnieją – wtrącił Fitz ze śmiechem. – Muszę przyznać, że jak na byłą menedżerkę funduszu hedgingowego i asystentkę miliardera dosyć emocjonalnie podeszłaś do tematu.

– Niekoniecznie chodziło tylko o temat – mruknęła ponuro Jeanne.

Jan przeniósł spojrzenie z rozdyktowanej publiczności wprost na nią.

– Słyszałem jedynie urywki, ale wygląda na to, że oboje całkiem nieźle sobie poradziliście. Ty i... – tu zwrócił się do Anglika – Fitzroy.

– Możesz mi mówić Fitz.

W tym momencie ukazał się za nimi siwowłosy pan w garniturze, wzrostu Fitzroya.

– Trudno się dziwić! – Mężczyzna ujął dłoń Jeanne i zamarkował elegancki pocałunek. – Mając taką partnerkę...

Fitz wzniósł oczy.

– Jan, to jest mój ojciec. Tato, a to jest facet, który nawarzył tego całego piwa – powiedział, uśmiechając się do Wuttego.

– I kto w końcu stał za tym wszystkim? – spytał Jan. – Holden?

Na twarzy komisarz Paritty pojawił się uśmiech, który trudno było uznać za radosny.

– Połączenia z telefonów bandytów doprowadziły nas do lobbysty Holdena, niejakiego George'a Lamacka, który oczywiście zaprzecza, jakoby miał cokolwiek wspólnego z całą tą sprawą.

– Ale przecież w sejfie apartamentu Teda znaleźliśmy notatki do przemówienia Thompsona i maszynopis pracy noblisty i Willa Cantora! – wybuchnęła Jeanne.

– I szkic narysowany przez Willa w hotelu na kilka godzin przed śmiercią – uzupełnił Fitz.

– Nie tak łatwo będzie o nakaz rewizji w apartamencie Holdena – wtrąciła komisarz. – To bogaty i wpływowy człowiek.

Jeanne rozejrzała się nerwowo.

– A gdzie on w ogóle jest? Też go zatrzymaliście?

– Nie mieliśmy wystarczających podstaw.

– W takim razie pewnie jest w drodze do prywatnego samolotu, którym odleci na Nową Zelandię.

– Raczej nie będziemy w stanie temu zapobiec.

– Nie byłabym tego taka pewna – powiedziała Jeanne. – Wczoraj uruchomił transakcje na papierach wartościowych, które mogą być karalne. Może to byłby wystarczający powód, aby przynajmniej chwilowo uniemożliwić mu wyjazd.

– To nie moja działka – odrzekła policjantka – ale zaraz przekażę sprawę kolegom. Oczywiście przydałoby się nieco więcej informacji.

– Chętnie ich dostarczę.

– Tak czy owak, cieszę się, że w końcu mamy to za sobą – westchnął Jan.

Fitz powiódł spojrzeniem po gorączkowo dyskutującej publiczności, a potem przeniósł je na monitor na ścianie, na którym widoczne były setki tysięcy demonstrantów.

– Nie jestem pewny, czy to dopiero nie początek...

Zapach ziemi

Dana z lubością objęła wzrokiem świeżo zaorane pole. Przyleciały już pierwsze ptaki i gorączkowo dziobały w bruzdach.

– Rzeczywiście poszło co najmniej dwa razy szybciej – powiedział stojący obok niej kowal, który towarzyszył Danie w pierwszej próbie.

To ona wpadła na ten pomysł. W końcu wtajemniczyła kowala, który początkowo podszedł do niego sceptycznie, ale z czasem zaczął się nad nim zastanawiać i opracował własne propozycje. Przez całą zimę, kiedy nie ma pracy w polu, oboje wspólnie główkowali. Pomysł Dany wsparty rzemieślniczymi umiejętnościami kowala zrodził w końcu wspólne dzieło.

Oboje patrzyli z dumą na nowy pług.

Możliwość przeorania dwa razy większej powierzchni w takim samym czasie jak wcześniej oznaczała dwa razy mniej pracy albo dwa razy większe plony.

Dwa razy większe niż u Carla. I u innych chłopów, którzy tymczasem przystąpili do współpracy.

Dana zaczęła liczyć.

Postówie i podziękowania

„Przypowieść o chłopach” stworzyłem na podstawie naukowych prac grupy Olego Petersa z London Mathematical Laboratory (lml.org.uk), aby uczynić je zrozumiałymi dla laików (takich jak ja). Indywidualne, polityczne i gospodarcze następstwa owych opracowań są tak rozległe, że w książce byłem w stanie poruszyć i poddać pod dyskusję jedynie niektóre z nich. Zwłaszcza że materiały tej grupy (oraz innych zaangażowanych, w tym partnerów, względnie mentorów w osobach dwóch laureatów Nagrody Nobla – Murraya Gell-Manna i Kena Arrowa) stanowią obszerną bazę do stworzenia konkretnych projektów.

Jeśli ktoś miałby ochotę zająć się bliżej tym zagadnieniem oraz leżącą u jego źródeł matematyką, może to uczynić, wchodząc na przykład na stronę lml.org.uk/research/economics.

Animowana (na razie) anglojęzyczna wersja opowieści o chłopach, w której można to i owo wypróbować samodzielnie, jest dostępna online na marcelsberg.com, lml.org.uk, bauernfabel.org i farmersfable.org.

Dziękuję Olemu Petersowi i Alexandrowi Adamou za cierpliwą wymianę myśli i czas, który poświęcili na dyskusje ze mną. Ktokolwiek (kto jak ja nie jest matematykiem czy fizykiem) przystąpi do czytania ich prac, szybko się przekona, że zrozumienie ujętych w nich zagadnień naprawdę wymaga czasu.

Dziękuję także Davidowi Saracowi za obraz krzywej wieży w Pizie powstały podczas wspólnej narady w Londynie, jak również za pomoc w udostępnieniu wersji online opowieści o chłopach (która sama w sobie jest doskonałym przykładem kooperacji: przy jej powstaniu współpracowali naukowcy, jeden pisarz, przedsiębiorcy, programiści i projektanci w Anglii, Francji, Austrii, Australii i Kanadzie).

Wiele w tej książce jest fikcją, choćby większość postaci. Jeśli chodzi o lokalizacje w Berlinie, pozwoliłem sobie na swobodne podejście do geografii. Scenariusz kryzysowy może wyglądać zupełnie inaczej, potencjalnych bodźców reakcji łańcuchowych w naszym życiu politycznym i gospodarczym jest wiele.

Natomiast realnie stosowane są występujące w książce powszechnie przyjęte pojęcia społeczno-polityczne i ekonomiczne, jak zasada

subsidiarności, ekwilibrium, korzyść spodziewana, przewaga komparatywna, teoria deyzji, teoria gier etc.

Oczywiście znalazły w niej odbicie również teorie i poglądy niezliczonych innych naukowców, filozofów, polityków i osobowości. Ponieważ ich lista zapełniłaby wiele stron, kieruję ku nim ogólne podziękowanie.

Dziękuję zespołom wydawnictwa Blanvalet/Random House i Agencji Literackiej Gaeb. Gdyby nie Wy, takie książki jak ta nie mogłyby powstać.

Szczególne podziękowania należą się oczywiście Wam, drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy, za to, że zechcieliście wziąć udział w tej przygodzie! Jeśli się Wam spodobała i uważacie, że mogłaby się spodobać także innym, polecajcie ją dalej!

Marc Elsberg
Wiedeń, grudzień 2018

¹ *die Steuern* (niem.) – podatki; *steuern* (niem.) – sterować, regulować.

Redaktor inicjujący: Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Katarzyna Malinowska

Projekt okładki: Maja Tomaszewska
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Jun/iStock/vGetty Images Plus
Grafiki w książce: © Marc Elsberg i www.buerosued.de

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-7409-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo